



JUDITH O'BRIEN

Pamięty

Tytuł oryginalu
MAIDEN VOYAGE

Prolog

Szarzielona smuga światła rzucała rozmazane cienie na zabalaganione biurko Charlesa MacGuire'a. Wczesnym wieczorem w gabinecie zawsze panował złowieszczy nastrój; ostatnie promienie słońca drgały na zakurzonych meblach, a po kątach wirował pył.

Grube szyby gabinetu głużyły gwar współczesnego Dublina – przenikliwe syreny policji, łomot przejeżdżających autobusów, klaksony samochodów, nawet głosy dzieci.

Zegar ścienny brzęknął, mgliście przypominając o upływie czasu. Miał ponad sto lat i nigdy, jak daleko sięgała pamięć Charlesa, nie wybijał właściwej godziny. Zawsze trzeba było dokonywać przeliczenia według stałego wzoru. Tym razem rozległy się trzy drżące uderzenia, a po nich zgrzytliwy jęk i końcowe „bom”.

– Aha – powiedział do siebie Charles. – Wpół do ósmej.

Zegar należał kiedyś do jego ojca, a wcześniej do dziadka. Wszyscy mężczyźni w tej rodzinie pracowali jako radcy; byli spokojnymi, godnymi zaufania ludźmi, którzy specjalizowali się w dość pospolitych aspektach prawa.

Jeszcze jedno spojrzenie w papiery i można będzie bezpiecznie uciec z kancelarii na szklaneczkę whisky w hotelu Shelbourne. Gdy Charles zmrużył oczy, rogowe okulary zsunęły mu się na grzbiet nosa. Wyciągnął rękę, by podrapać się po głowie, i zdziwiony dotknął łysiny. Zawsze dziwił się tym, że tak szybko zaczął nagle tracić włosy, choć dopiero niedawno stuknęła mu pięćdziesiątka. Szkoda.

Jeszcze jeden rzut oka na papiery starego Finneganana i będzie można nacieszyć się smakiem whisky Jameson.

Był to jeden z najdziwniejszych przypadków w jego karierze. Delbert Finnegan zostawił cały swój majątek krewnemu, który, być może, nawet nie istniał. Szczególnie irytujący był zaś sam majątek.

Składał się on z podupadłej fabryki mebli i rudery w bardzo eleganckim rejonie Dublina, przy Merrion Square.

Wybrańców, którym udało się przejąć we władanie jedną z pięknych ceglanych, georgiańskich kamienic przy Merrion Square, zazwyczaj stać było na najdroższe nieruchomości świata. Merrion Square powstał w 1760 roku, podobnie jak otaczające go domy i park zajmujący centrum placu. Wśród rezydencji, ambasad i eleganckich sklepów tylko jeden budynek niechlubnie odbijał od reszty.

Dom po południowej stronie placu, pod numerem osiemdziesiąt dziewięć i pół, własność niedawno zmarłego Delberta Finnegana, stanowił naprawdę przykry widok. Taśma klejąca na oknach i żelazne stemple podpierające mur przy zwieńczonych łukiem drzwiach wejściowych dawały dość słabe wyobrażenie o zapuszczonym wnętrzu.

Mimo to architekci i studenci uniwersytetu zawsze przyglądali się tej ruinie z uznaniem i szacunkiem. National Trust i Royal Georgian Society nieraz zwracały się do Delberta z beznamiętnymi prośbami, by właśnie im zostawił swój dom. Można by wtedy przywrócić go do dawnej świetności i przekształcić w muzeum.

Ale kamienica stała pusta i niszczała, chociaż wcale nie była w dużo gorszym stanie niż za czasów, gdy stary Delbert dreptał po parterze, ubrany w szlafrok z indyjskiego kaszmiru i szlafmycę.

Fabryka mebli miała się nie lepiej niż dom. Stała przy Maiden Lane, brudnym zaułku odchodzącym od Wicklow Road. Mówiono, że robi się tam naprawdę dobre meble, tylko dla większości ludzi za drogie. Od czasu do czasu krążyły plotki, że jakiś mebel udało się sprzedać, aczkolwiek Charles musiał jeszcze zdobyć przekonujący dowód na prawdziwość takich pogłosek. Był raczej skłonny przypuszczać, że fabryka dokona żywota jednocześnie z kamienicą przy Merrion Square, która mogła się zawalić w każdej chwili.

Ostatni i prawdopodobnie niezamierzony żarcik był autorstwa samego Delberta. Dziewięćdziesięciosiedmioletni stary kawaler, który

nawet stojąc u wrót śmierci, miał nadzieję, że jeszcze spotka „właściwą dziewczynę”, zostawił swój niemały majątek dowolnemu krewnemu, którego uda się znaleźć.

Charles westchnął. W Irlandii krewnych nie było, to nie ulegało wątpliwości. Wyczerpał już również listę możliwości w Anglii, Szkocji, Australii i nawet Nowej Zelandii. Musiał jeszcze przeprowadzić poszukiwania dziedzica tylko w jednym miejscu: w Stanach Zjednoczonych.

Nie dzisiaj, pomyślał. Zacznę od poniedziałku. Wtedy...

Nagle coś zwróciło jego uwagę.

Plik informacji na karteczkach obok kubka z herbatą, którą pił rano. Musiała je zostawić na biurku jego asystentka, panna Reagan. Charles westchnął z irytacją i przysunął sobie zapiski, już zawczasu drżąc na myśl o zawilej procedurze odcyfrowywania tych hieroglifów.

Według panny Reagan, która ostatnio spędzała popołudnia w Bibliotece Narodowej nad zatechłymi papierzyskami z danymi genealogicznymi, istniało prawdopodobieństwo, że pewna linia rodziny Finneganów mieszka na Środkowym Zachodzie w Stanach Zjednoczonych.

- Wielki Boże - powiedział głośno Charles. - Panna Reagan będzie musiała zatelefonować do jakiegoś Whitefish Bay w stanie Wisconsin.

Poprawił sobie krawat i pogasił lampy. Idąc do hotelu Shelbourne, odległego o trzy przecznice, jak zwykle pogwizdywał skoczną melodię.

Maura Finnegan odchrząknęła, dając znak reszcie zarządu, że zebranie się zaczyna. Szybko zamarły ciche rozmowy, z szelestem podawano sobie papiery. Sekretarka w milczeniu napełniała filiżanki kawą i wodą. Wszystkie spojrzenia spoczęły na prezesie.

Postronnemu obserwatorowi Maura mogłaby się wydać zbyt młoda, by zasiadać na olbrzymim krześle u szczytu długiego stołu. Miała świeżą, lśniąca cerę jak u dziecka, bez widocznych śladów stosowania kosmetyków, i długie rude włosy starannie spięte z tyłu. Nie nosiła biżuterii, jeśli nie liczyć całkiem zwyczajnego zegarka. Szaroniebieski kostium wyróżniał się bardzo eleganckim krojem, ale i on był niezwykle prosty.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się, tocząc wzrokiem po twarzach mężczyzn i kobiet, którzy mogliby być jej rodzicami. Odpowiedziano jej powitalnym pomrukiem, ten i ów odwzajemnił uśmiech. Maura zerknęła na porządek dzienny.

Miała wszystkiego dość, była stanowczo za bardzo zmęczona, żeby prowadzić zebranie. Przez całą noc bezskutecznie szukała sposobu na zaśnięcie: kartkowała czytała, pstrykała pilotem, zmieniając telewizyjne kanały, słuchała radia. Nic nie pomagało. Tak było już od miesiąca, odkąd rzucił ją Roger.

Ktoś zabrał głos.

Maura zamrugała i spojrzała w stronę mówiącego. Zaraz jednak jej myśli znowu powędrowały ku Rogerowi. Jeszcze niedawno wydawał jej się chodzącą doskonałością. Kto tylko go poznał, zaraz odciągał ją na stronę.

- Ale masz świetnego faceta!

Początkowo bijąca od niego aura powodzenia wydawała jej się przytłaczająca. Ni stąd, ni zowąd przyjechał do Milwaukee, świeży, czysty i wspaniały. Nie był może przystojny w pełnym tego słowa

znaczeniu, lecz niewątpliwie bardzo zadbany i miał niezrównany garnitur zębów. Właśnie te zęby zapamiętała Maura z pierwszego spotkania.

Było to przyjęcie bożonarodzeniowe, arcy nudny spęd urządzone przez agencję reklamową obsługującą firmę jej ojca. Później nikt już nie pamiętał, skąd Roger wziął się na przyjęciu, bo wcześniej nikt go nie znał, a więc nie mógł tam zaprosić.

Z jasnymi włosami gładko zaczesanymi do tyłu, w czarnym płaszczu podszedł prosto do siedzącej Maury, trzymając w garści fistaszki i wysypał je na jej kolana.

- Chciałbym, żeby to były szmaragdy - szepnął. - Pasowałyby do pani oczu.

Nie mogła na to odpowiedzieć z dwóch powodów. Po pierwsze, wszyscy w holu przybranym srebrzystą folią gapili się prosto na nich. Po drugie zaś, tydzień wcześniej Maura widziała w telewizji publicznej program, z którego dowiedziała się, że prawie taka sama kwestia padła siedemdziesiąt lat temu z ust dramaturga Charlesa MacArthura i była adresowana do Helen Hayes. Nie wspomniała jednak mężczyźnie, że oglądała ten sam program co on, bo najważniejsze było dla niej znaczenie jego słów. Wywarły one wielkie wrażenie na Helen Hayes, a na Maurze wcale nie mniejsze.

Właśnie w tej chwili zaczął się ich romans, szalony związek pełen kwiatów, czerwonego wina i wieczorów przy trzaskającym kominku w domu rodziców Maury. Po śmierci ojca, który zmarł niecałe dwa lata po matce, dziewczyna czuła się bardzo osamotniona. Za jednym zamachem straciła ostatniego bliskiego człowieka i znalazła się w bardzo kłopotliwej sytuacji, musiała bowiem przejąć rodzinne interesy.

I właśnie wtedy pojawił się Roger. Prawie bez wahania pozwoliła mu porwać się w ramiona. Inteligentny, silny, wydał jej się darem niebios.

A potem stało się coś dziwnego: ludzie przestali jej mówić, jakiego ma wspaniałego faceta. Uznała to za skutek zazdrości. Kobiety bowiem miały partnerów, których nijak nie można było porównać do Rogera, mężczyźni zaś, nie mogli się – według niej – pogodzić z tym, że Roger bez trudu osiągał to, do czego oni latami wzdychali. Powodem musiała więc być zwykła i łatwo zrozumiała zazdrość.

Roger zdawał się wiedzieć wszystko, od wynajdywania najlepszych restauracji po znajomość najprzedniejszych win. Nawet kelnerzy byli pod wrażeniem, gdy upijał mały łyk burgunda i nazywał go „niezgorzszym winkiem”.

Nie miało dla niej znaczenia, że przestała widywać większość przyjaciół, bo spędzała coraz więcej czasu z Rogerem, odizolowana od reszty świata. Nie dbała też o to, że Roger nigdy nie przedstawił jej swojej rodzinie ani znajomym.

– Jestem zazdrosny o czas, który spędzasz z innymi ludźmi – powiedział, a ona, rzecz jasna, nie miała nic przeciwko temu. Choć Roger bardzo chciał przedstawić ją swojej dużej rodzinie, jakby żywcem wyjętej z komediowego serialu, to jego bracia –adwokaci i lekarze – bez przerwy latali samolotami po całym świecie, natomiast rodzice – emerytowany sędzia i jego żona, przewodnicząca klubowi miłośników zieleni ogrodowej – mieszkali daleko na Wschodnim Wybrzeżu. W każdym razie Roger opowiedział im o niej i rodzice bardzo niecierpliwie oczekiwali na okazję do spotkania.

Ktoś z uczestników zebrania nadal mówił. Maura wykonała serię wycwiczonych ruchów pozorujących skupioną uwagę. Jej zielone oczy raz po raz zdawały się wysyłać błysk zrozumienia, była to jednak reakcja na dręczące ją myśli, a nie na wystąpienie mówcy.

Choć Roger był prawdziwym mężczyzną, nie wstydził się okazać przed kobietą słabości. Raz nawet Maura zauważyła łzę w kąciaku jego oka, kiedy razem oglądali „Dumę Jankesów”. Później utrzymywał, że był to skutek nieprzyzwyczajenia do nowych szkielek kontaktowych, ale

Maura wiedziała swoje. Jej Roger był wrażliwy i czuły. Zawsze marzyła o poznaniu takiego mężczyzny. O poślubieniu takiego mężczyzny. Potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej prowadzić firmę.

Rzeczywistość była bowiem taka, że liofilizowana kapusta Finneganana nie była już tak dochodowa jak niegdyś. Na pół roku przed śmiercią ojciec Maury wycofał się z interesów, nie miał więc pojęcia, jak dalece pogorszyła się sytuacja. Wprawdzie Maura widziała wszystkie księgi, z których wyraźnie wynikało, że firmie wkrótce grozi bankructwo, ale ukrywała to przed ojcem.

Ojciec założył firmę przed dwudziestoma laty w przekonaniu, że liofilizowana kapusta Finneganana zapoczątkowuje imperium liofilizowanych warzyw.

Ale kapusta nigdy tak naprawdę nie chwyciła. Podawana do obiadu jako warzywo miała smak słonych wiórów. Największymi odbiorcami liofilizowanej kapusty Finneganana byli obecnie producenci zup i sosów w proszku, którzy ukrywali kapustę pośród innych składników. Koniecznym należało jednak znaleźć nowe sposoby zastosowania produktu i nowe rynki zbytu, gdyż inaczej upadek firmy był tylko kwestią czasu.

Pod kierownictwem ojca firma posuwała się żółwim krokiem do przodu, ale po objęciu rządów przez Maurę zapanowała stagnacja. O wcześniejszych postępach decydowała silna osobowość właściciela, a nie sam produkt.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Maura nie miała osobowości zdobywcy. Miała za to magisterium z zarządzania, zdobyte na uniwersytecie Notre Dame, a przez ostatnie półtora roku również Rogera.

Bez Rogera była absolutnie niczym.

Zacisnęła dłonie i powieki, walcząc z naporem łez. Nie teraz. Nie wolno jej było się rozplakać. Potem, w domu, będzie mogła zamknąć

drzwi na klucz i dać upust wszechogarniającemu ją smutkowi. Ale za nic na zebraniu.

Mała karteczka w jej dłoni była wilgotna od potu. Nieważne, że atrament się rozmazał; Maura dokładnie знаła sumę wypisaną tam przez sekretarkę, miała te liczby co do jednej w głowie.

Równym, pewnym pismem zanotowano tam: „Rachunek końcowy – przekroczenie konta o 98 872 \$”.

Nie dalej jak pięć tygodni temu Maura zwierzyła się Rogerowi z kłopotów, pokazała mu księgi firmy i pozwoliła przejrzeć ich zawartość. Roger był doradcą finansowym, tak głosiła wizytówka. A jeśli ktokolwiek potrzebował teraz porady finansowej, to właśnie Maura i liofilizowana kapusta Finnegana.

Rogerowi przyszedł do głowy pomysł. Postanowił uratować firmę. Zażądał jednak całkowitej swobody ruchów. Nikomu nie wolno było powiedzieć o jego zamiarach i o tym, że to on teraz rządzi, najmniejsza wzmianka o kłopotach finansowych mogła bowiem zniszczyć firmę. Wierzyciele, którzy dotąd zachowywali się spokojnie, wystąpiliby z żądaniami, a prawo było po ich stronie.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – powiedział, łaskocząc Maurę w podbródek.

Jednak w miarę upływu dni z Rogerem było coraz trudniej się skontaktować. Z czterech telefonów dziennie zrobiły się trzy, potem dwa, jeszcze potem jeden, aż w końcu w ogóle przestał dawać znaki życia. Dopiero wtedy Maura zrozumiała, że odszedł, gdy pojął, że bankructwo firmy jest bliskie. Wcale nie chodziło mu o nią, chciał jej firmy.

W końcu znikł zupełnie. Nie dość, że ją zostawił, to wyjechał z Milwaukee i w ogóle ze stanu Wisconsin. Ulotnił się jak kamfora, zabierając ostatnie zapasy finansowe firmy. Widocznym tego śladem było przekroczenie konta o prawie sto tysięcy dolarów.

Z samego rana Maura zatelefonowała do Harvardu z nadzieją wytropienia Rogera przez biuro do spraw absolwentów. Okazało się, że żaden Roger Parker nie studiował na wielokrotnie wspomnianym przez niego roku. Co więcej, w historii uczelni nie było nikogo o tym nazwisku, kto pochodziłby z domniemanego rodzinnego miasta Rogera.

Dopiero gdy urzędniczka skojarzyła nazwę miasta, Maura uświadomiła sobie, skąd ją zna. Roger twierdził, że pochodzi z Grovers Mili w stanie New Jersey.

- Czy to nie tam Orson Welles umieścił akcję „Wojny światów”? - spytała kobieta.

Oczywiście, że właśnie tam. Cokolwiek Robert rzekomo zrobił, gdziekolwiek był i mieszkał, zawsze można było wyśledzić pierwowzór w świecie filmu lub teatru. Jego życie było czystą fikcją, a mimo to Maura ślepo wierzyła we wszystkie jego kwestie.

Niespokojnie drgnęła, uświadomiła sobie bowiem, że w sali konferencyjnej zapadła cisza. Znowu patrzyli na nią w skupieniu wszyscy członkowie zarządu. Wkrótce dowiedzą się, co zaszło, co zrobiła właścicielka firmy.

Z wymuszonym uśmiechem Maura spojrzała na mężczyźnię stojącego u szczytu stołu. Był to szef działu marketingu, który przedstawiał wyniki swoich najnowszych badań, kolejnego wysiłku w niekończących się poszukiwaniach nowego zastosowania dla liofilizowanych płatków kapuścianych.

- ...osoby badane były też mile zaskoczone możliwościami różnorodnych zastosowań i wszechstronnością naszego produktu - podsumował.

Kogo to obchodzi? - o mało nie krzyknęła Maura. Jeszcze tydzień i nie będzie ani produktu, ani firmy. Głęboko zaczerpnęła tchu i skinęła głową szefowi marketingu, żeby kontynuował.

Peter Jones nie zdawał sobie sprawy z tego, że stanowisko, na którym pracuje od dwudziestu lat, jest zagrożone. Miał dwoje dzieci w

college'ach i okazały dług hipoteczny. Podobnie jak reszta zarządu, nie oglądał jeszcze pełnego sprawozdania finansowego. Maura przypomniała sobie, że gdy była dzieckiem, Peter Jones zawsze się śmiał z tego, jak rodzice ją ubierają w Dniu Świętego Patryka. Był to zielono-biały strój w koniczynki, który pleśniał w jakiejś szafie podmiejskiego domu w Whitefish Bay, czekając na kolejnego potomka Finneganów, by i następne pokolenie przeżyło podobne męki.

Skup się, pomyślała Maura. Niech wszyscy myślą, że panujesz nad sytuacją. Udawaj zainteresowanie tym sprawozdaniem.

- Przepraszam - przerwała szefowi marketingu.

Peter Jones zamilkł. Wciąż spoglądał na nią jak na dziecko z marchewkowymi włosami, ubrane w zielony strój taneczny.

- Czy mógłbyś powtórzyć ostatnie zdanie, Peter? - Próbowała ukryć zdenerwowanie.

- Naturalnie, Mauro.

Biedak, przemknęło jej przez głowę. Musiała coś wymyślić. Musiała jakoś uratować firmę i stanowiska pracy tych ludzi.

Roger uciekł i ją zdradził, ale jeśli spojrzano się na to bezstronnie, to ona zdradziła swoich pracowników, bo powodowana czystą desperacją, obdarzyła go zaufaniem. Krótko mówiąc, ona jedna była wszystkim winna.

Peter Jones podjął swój wywód:

- Zatrudniliśmy najlepszych krajowych specjalistów. Podsunęli nam kilkadziesiąt wspaniałych pomysłów na przepisy z obfitym zastosowaniem liofilizowanej kapusty Finnegana. Opierając się na nich, opracujemy teraz dynamiczną kampanię reklamową.

- Czy mogę usłyszeć konkretny przykład dania? - Maura była bardzo z siebie zadowolona. Zwracała uwagę na to, co się dzieje. Sprawiała wrażenie zainteresowanej.

- Naturalnie, Mauro. Udało nam się wprowadzić kapustę do wszystkich działów menu, od drinków po desery. Jesienią będziemy

mieli nowy koktajl, który z pewnością zrobi furorę wśród wszystkich ambitnych ludzi w tym kraju. Margarita pójdzie w odstawkę, Beaujolais będzie można wylać. Wszyscy będą pili Absolut Finnegan!

- Słucham?

- Nawiązaliśmy kontakt z gorzelnią. Tymczasem podchodzą do pomysłu współpracy dość ostrożnie. Ale zapewniam cię, że gdy tylko skosztują drinka dla smakoszy, przyrządzonego na bazie piure z liofilizowanej kapusty Finnegan, zmieszanego z ich wódką, to będą...

- Kapusta z wódką? - Paniczny lęk i znużenie nagle opuściły Maurę. Zaczął w niej bulgotać maniacki chichot. Czuli się jak żałobnik na pogrzebie, który nagle przypomniał sobie najlepszy dowcip, jaki słyszał w życiu. Jej przyszłość stanowiła jeden wielki chaos. W końcu musiała przecież powiedzieć tym ludziom, że sama, bez niczyjej pomocy, zniszczyła firmę, że wszyscy wkrótce znajdują się na bruku, lecz mimo to w tej chwili mogła myśleć tylko o tym, jak zabawna jest liofilizowana kapusta. - Jedno z drugim pół na pół, tak zwyczajnie?

Peter Jones wyprostował plecy.

- Podajemy tego drinka w wysokiej szklance, z plasterkiem surowego ziemniaka na krawędzi.

Maura zdołała stłumić radosne czknięcie i kichnęła.

- Na zdrowie - rozległo się ze wszystkich stron.

- Jaki to ma smak, Peter? - spytała, na wszelki wypadek unikając patrzenia na szefa marketingu.

- Hm... - Peter Jones zaczerpnął tchu. - Dość wyrafinowany. Jeden z naszych specjalistów, który jest autorem tego przepisu, przyrównał go do kilku wielkich, acz mało prawdopodobnych zestawień odkrytych przez smakoszy. Kto wyobraziłby sobie jeszcze niedawno, że pasztet z kaczych i gęsich wątróbek może być taki wyborny? Albo że z kiszzonej kapusty i peklowanej wołowiny da się zrobić wspaniałe kanapki? Peter śmiało rozwijał temat.

- Początkowo chcieliśmy opracować koktajl płonący. Ogień zdobiący drinka zawsze robi wrażenie. Ale cała kuchnia pachniała wtedy jak blok w dzielnicy biedoty.

- Rozumiem. - Maura przygryzła wargę i zauważyła, że inni członkowie zarządu również nagle zaczęli patrzeć prosto przed siebie. Często trudno było dyskutować o liofilizowanej kapuście Finnegan a ze śmiertelnie poważną miną.

- Spróbowaliśmy więc podać to schłodzone, z kryształkami lodu. Otrzymaliśmy w ten sposób odświeżającego drinka z uczciwym kopem. - Jones zaczął kartkować notatnik. - Zobaczmy dalej. Mamy tu coś na lancz: krem z kapusty na grzance i jaja a la Benedict Finnegan. Są też pikantne dania na każdą okazję: zielona musztarda winna, naleśniki z kapustą i tak dalej. Desery obejmują fondue to znaczy kapustę maczaną w gorącej czekoladzie, i szmaragdowy sorbet kapuściany.

W tej chwili Maurę - ku jej uldze - wyrwało z osłupienia klepanie po ramieniu. Sekretarka z zatroskaną miną podała jej karteczkę pokrytą równym maszynowym pismem.

- Przepraszam, Mauro, że przeszkadzam. Mam w tej chwili Dublin na linii. Kancelaria prawna, pilna sprawa. Odbierzesz telefon czy zadzwonisz później?

Kancelaria prawna, pilna sprawa. Serce jej zamarło. Czyżby już rozeszła się wiadomość o katastrofie firmy? Czyżby rekiny już czyhały, i to aż w Dublinie?

Z uśmiechem na twarzy wstała. Wszystko jedno, o co chodzi, i tak nie zmieniało to sytuacji. Jeśli nie zdarzy się cud, wszyscy wkrótce się dowiedzą, że Maura Finnegan sprzeniewierzyła wszystko, co powierzono jej odpowiedzialności.

Przestała ją obchodzić kapusta, przepisy, przewodniczenie zebraniu i zmięta karteczka, którą zostawiła na stole.

- Przepraszam, Peter. Muszę załatwić bardzo pilną sprawę. Czy możesz kontynuować beze mnie?

Na twarzach pozostałych członków zarządu malowała się powściągnięta wesołość przemieszana ze znużeniem. Na szczęście o niczym nie wiedza, pomyślała Maura za progiem. Boże, proszę cię, pomóż mi coś wymyślić.

Cud przybrał postać zamiejscowej rozmowy telefonicznej z przykrym pogłosem.

Maura otrzymała wiadomość, że jest dziedziczką kamienicy i fabryki mebli w Dublinie. Nastąpiły kolejne rozmowy; potwierdzano fakty, przysły również fakсы z kancelarii adwokackiej, dwóch irlandzkich banków i rządowej agendy.

Szacunkowa wartość majątku pozwoliła jej wziąć pożyczkę, która zapewniła firmie utrzymanie się na rynku przez przynajmniej miesiąc. Był to w samej rzeczy cud, krótkotrwały ratunek. Chociaż czas nie sprzyjał podróży do Irlandii i występowaniu o spadek, to warto było jednak spróbować. Sprzedaż majątku mogła przecież przynieść sumę wystarczającą do uratowania liofilizowanej kapusty Finnegana.

Tydzień później Maura rozesłała okólnik do wszystkich działów, w którym poinformowała o swoim wyjeździe. Peter Jones dowiedział się, że tymczasowo będzie pełnił obowiązki głowy firmy, i był tym wyraźnie zachwycony.

Maura wydobyła torby podróżne z piwnicy w domu rodziców. Zadzwoniła do przyjaciół i do współpracowników. Wszystko udało jej się załatwić szybko i sprawnie, jakby chodziło o montaż na niezawodnej taśmie.

Podróż była – w jej przekonaniu – ostatnią próbą ratowania firmy. Przelot w obie strony opłacił bank. Dostała bilet na wolne miejsce w samolocie irlandzkich linii Aer Lingus, które stanowiło współczesny odpowiednik niegdysiejszych pomieszczeń na rufie, przeznaczonych dla biedoty. Podobnie jak jej przodkowie zmierzali do Nowego Świata, by

tam szukać szczęścia, ona również wyruszyła w podróż, dziewiczą podróż do jej nowego świata.

Nie był to jednak triumfalny powrót do kraju przodków. Maura nie omieszkała odnotować ironii losu. Lecąc do Irlandii, zmierzała dokładnie do tego samego, do czego dążyły miliony irlandzkich emigrantów wybierających Nowy Świat.

Szukała swojej drugiej szansy.

Scandalous

Maura postanowiła, że nie pozwoli się zauroczyć Irlandii.

Zaraz po wejściu na pokład samolotu, gdy stewardesa powitała ją po irlandzku i wskazała „zaczynne miejsce z pięknym widokiem”, Maura przybrała wyzywającą pozę.

Nie podróżowała dla przyjemności. Nie zasługiwała na przyjemności ani nawet na ich namiastkę. To była wyprawa ratunkowa, a nie urlop.

Dawno już przekonała się, że Amerykanie zaskakująco szybko zakochują się we wszystkim co irlandzkie. Przyglądała się, jak turyści jeden za drugim wchodzą na pokład i padają ofiarami uwodzicielskiego celtyckiego czaru.

- To nie jest urlop - powtarzała sobie, zapinając pas bezpieczeństwa odrobinę zbyt mocno.

Ale euforia oczekiwania udzieliła się wszystkim pasażerom, irlandzkim i amerykańskim, zajmującym miejsca w fotelach. Maura leciała samolotem dziesiątki razy, była na wycieczce w Paryżu i na Karaibach. Wsiadaniu zawsze towarzyszyły beznamiętnie wykonywane, rutynowe czynności.

Tu było inaczej. Mimo że samolot nieprzewidzianie czekał przed odlotem trzy kwadranse na płycie lotniska, wszyscy zachowywali się jak na zwariowanych wakacjach.

Może powinna po prostu cieszyć się lotem, zostawić za sobą rozterki ostatnich tygodni i nie myśleć o kłopotach?

Wystukując stopą trudny do określenia rytm i przeglądając magazyn, który znalazła w samolocie, zaczęła się zastanawiać, czy para siedząca po drugiej stronie przejścia wyćwiczony klasyczny akcent irlandzki, zanim samolot wylądzuje u celu. Mimo wszystko bardzo ją zastanawiało, w jaki sposób taki mały kraj jak Irlandia zdołał urzec swą kulturą tak dużą część Ameryki.

Jej życie było tego doskonałym przykładem. W dzieciństwie brała lekcje tradycyjnego tańca i przyglądała się, jak matka ozdabia dom, obficie wykorzystując motyw irlandzkiej koniczyny. Czuła ciężar swego irlandzkiego pochodzenia w dalekim Wisconsin, mimo oddalenia o lata i tysiące kilometrów od Irlandii.

Wbrew swej urodzie, wbrew szmaragdowym oczom i gęstym rudym włosom, Maura nie była nawet w połowie Irlandką. Rude włosy odziedziczyła po babce Niemce. Ale pochodząca z Niemiec babka nie nazywała się Finnegan i nie miała magisterium z Notre Dame, siedliska Irlandczyków.

Całe życie Maury było mimowolnym przedzieraniem się przez irlandzkie dziedzictwo wątpliwej autentyczności. Okazało się jednak, że to ona śmieje się ostatnia, Maura Finnegan, nowa, tymczasowa właścicielka nieruchomości przy Merrion Square numer osiemdziesiąt dziewięć i pół.

Na peryferiach umysłu majaczyła jej też inna – ponura – myśl. W dzieciństwie zdarzało jej się śnić koszmary o Irlandii. Doprawdy dziwne miejsce jak na koszmarne sny. Nie Transylwania ani jakieś złowieszcze pustkowia skapane w poświęceniu księżycu, lecz zielona przyjazna Irlandia.

Przypisywała to zdarzeniu z dzieciństwa, gdy była w trzeciej klasie. Do jej szkoły zaczęła chodzić dziewczynka z Anglii i Maura powiedziała do matki, że ona też chciałaby mówić z takim pięknym akcentem.

Rodzice wymienili szybkie spojrzenia, po czym ojciec odrzekł, że pewnie mogłaby mówić z akcentem. Zarząd firmy poważnie rozważał ofertę rządu irlandzkiego, by przenieść siedzibę do tego kraju.

To zadziwiające, że jedno zdanie może przewrócić świat do góry nogami. Rodzice Maury nigdy nie dowiedzieli się, jak wszechogarniający lęk zasiali w niej tą wzmiankę. Nie odpowiedziała im ani słowem, ale wszystkie jej myśli skupiły się wokół wyjazdu z Whitefish Bay, pozostawienia przyjaciół, domu oraz tego, co było znane i swojskie.

Tego wieczoru długo leżała w ciemności z otwartymi oczami i wyobrażała sobie, że jest nową dziewczynką ze śmiesznym akcentem. Nikt nie będzie się chciał z nią bawić, a jeśli nawet, to i tak zawsze będzie się różniła od pozostałych dzieci.

Jakie są dzieci w Irlandii? Czy jeżdżą na rowerach i bawią się lalkami? Czy oglądają te same programy w telewizji? Czy nauczyciele w jej nowej szkole byłiby paskudni?

Co wieczór leżała, nie mogąc zasnąć, ścisłała w dłoniach rąbek prześcieradła, rozmyślała i zamartwiała się bez końca, aż wreszcie z oczu zaczynały jej płynąć łzy i ściekały strużkami na uszy, póki nie otarła ich dłonią. I te myśli z nią zostały, nawet za dnia miała je gdzieś w głowie; czuła, że mogą w każdej chwili wrócić.

Rodzice nigdy już nie wspomnieli o przeprowadzce, a ona dopiero w piątej klasie zebrała się na odwagę i zapytała ich o to wprost.

- Do Irlandii? - Ojciec znieruchomiał, trzymając w dłoniach półmisek ziemniaków, które przekładał na talerz z klopsem. - Ach, o to ci chodzi! Nie, kochanie. O tym już od dawna nie ma mowy. Zostaniemy tutaj, w Wisconsin. Podaj mi sól, proszę.

Ot, co. Przez prawie dwa lata zadręczała się bez powodu.

W końcu Maura całkiem zapomniała o dawnych lękach, ale teraz ożywiły je przygotowania do podróży. Wrócili z nową siłą, jeszcze bardziej niszczącą niż kiedyś, jakby trwanie w podświadomości przez prawie dwie dekady przydało im nadnaturalnej mocy.

Jej koszmar z dzieciństwa nabierał realnych wymiarów.

- Pierwszy raz? - spytała energiczna kobieta siedząca obok, po lewej.

Maura zerknęła na nią i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pytanie było skierowane do niej.

- Słucham?

- Czy to jest pani pierwsza wizyta w Irlandii? - spytała kobieta wolniej. Miała na sobie kombinezon z fioletowego płótna

spadochronowego. Maura próbowała zgadnąć, czy jest to wpływ mody, czy to na wypadek, gdyby przyszło skakać z samolotu.

Omali nie zwróciła sąsiadce uwagi, że jeszcze nie doleciały do Irlandii, że są mniej więcej nad Bangor w stanie Maine. Ale na ekranie można było obejrzeć film o irlandzkim futbolu, stewardesy roznosiły kawę ze śmietanką firmy Kerry Gold, a ktoś w ogonie samolotu śpiewał *Paddy's Green Shamrock Shore*. Nie był to czas na czepianie się szczegółów.

- Owszem. - Maurze udało się odwzajemnić uśmiech.

- Byłam tam osiem razy - oznajmiła z dumą kobieta, wypinając tors, jakby miała dostać medal. Maura dawno już zauważyła, że amerykańscy Irlandczycy mierzą swoją celtyckość liczbą odbytych podróży do Irlandii. Jedna była do przyjęcia, dwie stawiały w hierarchii wyżej, trzy lub więcej podnosiły status pasażera, który dostawał awans ze zwykłego turysty na członka elitarnego kręgu Celtów odbywających pielgrzymkę do ojczyzny.

Kobieta pochyliła się do Maury i mrugnęła do niej zza przydużych dwuogniskowych szkieł.

- Będziesz się tam dobrze czuła, kochana. Masz mapę Irlandii wymalowaną na twarzy.

Gdyby Maura dostawała pensa za każdy raz, gdy mówiono jej, że ma mapę Irlandii wymalowaną na twarzy, mogłaby już dawno żyć z procentów.

- Dziękuję - odrzekła machinalnie. Dlaczego powszechnie oczekiwano od niej, że wzmianki o swoich irlandzkich koligacjach będzie traktowała jak komplement? Czy przedstawiciele innych narodowości mają ten sam problem? Czy ludzie mówią „Masz mapę Bułgarii wymalowaną na twarzy” albo „Wyglądasz jak stuprocentowy francuskojęzyczny Kanadyjczyk” i oczekują entuzjastycznych podziękowań?

Zacisnęła dłonie, żeby jakoś się uspokoić, wiedziała bowiem, że zamiast cieszyć się lotem, zmaga się z natrętnymi uczuciami.

Mam szansę, przypomniała sobie, mam niepowtarzalną szansę spróbowania czegoś nowego. Mogła uratować firmę, a sobie i pracownikom zapewnić spokojną przyszłość. Dlaczego z zawziętością sabotażyści odcinała się od tego spadku, zanim jeszcze postawiła stopę na irlandzkiej ziemi?

Odpowiedź nasuwała się sama. Ze strachu.

Nigdy dotąd Maura nie była rzucona na tak głęboką wodę.

O jej życiu decydowali najpierw rodzice i zbiegi okoliczności, potem Roger. Nigdy nie było poważnego roztrząsania innych możliwości college'u niż Notre Dame, nigdy nikt nie wątpił, że pierwsze kilka miesięcy jej pracy w rodzinnej firmie to tylko początek wieloletniego okresu. Życie Maury biegło znanymi ścieżkami i ta świadomość wcale nie była dla niej przykra.

Naturalnie śmierć ojca, która nastąpiła wkrótce po tym, jak zmarła matka, stanowiła dla niej ciężki wstrząs. Wcześniej tylko romanse były dla Maury wielką niewiadomą, utrzymywała wyłącznie przelotne związki, nie bardzo wiedząc, jak je traktować i jak się zachowywać. Zanim poznała Rogera, zanim zachorował ojciec, jej życie było przewidywalne tak samo jak to, że 17 marca przypadnie Dzień Świętego Patryka.

Teraz leciała do obcego kraju, żeby naprawić olbrzymi błąd. I musiała to zrobić zupełnie sama.

Głośno westchnąwszy, zamknęła oczy i próbowała zasnąć. Jednak nawet tak błahe zadanie skończyło się dla niej niepowodzeniem. Jak wszystko ostatnio.

Samolot przeleciał przez kilka kłębiastych chmurek i zaczął podchodzić do lądowania w Dublinie.

Maura przetarła oczy, bojąc się mrugnąć ze strachu, żeby nie stracić pierwszego widoku Irlandii. Początkowo były to tylko niewyraźne plamy na ziemi, spowite gazą mgły.

Potem mgła ustąpiła i mimo że przez ostatnie tygodnie Maura kryła się za tarczą cynizmu, to aż zachłysnęła się z wrażenia.

Takiego pięknego krajobrazu jeszcze nie widziała. Pod nimi ciągnęła się eteryczna tkanina żywych kolorów, cieni i słonecznego złota. Brąz ziemi był intensywny jak barwa czekolady, zielenie zlewały się z żółciami i odcieniami niebieskiego. Wydawało się to nierealne, bardziej przypominało obraz namalowany z pomocą magicznej palety i pędzla, na który opadł czarodziejski pył.

Zanim zdążyła skarcić swoją wyobraźnię, przez plastikowy iluminator ujrzała jeszcze piękniejszy widok. Wzgórza miały niewyobrażalny odcień, bujny i intensywny, jakby warstwy koniczyny i trawy połączyły się, dając w wyniku jednolitą zieleń. Tu i ówdzie przez pola biegły linie kamiennych murów, lśniąco szare z domieszkami białego, było też wiele chat, niektóre kryte strzechami. Przez chmury przebił się promień słońca i w chwili gdy samolot położył się na skrzydło, nad wzgórzem wykwitła pastelowa tęcza.

A potem zobaczyła Dublin wibrujący odrobinę dalej, za tymi wszystkimi malarskimi cudami. Przeniknęło ją dziwne uczucie, lęk przemieszany z podnieceniem, a w głowie tłukła jej się jedna myśl:

- Dom - szepnęła. - Wracam do domu.

Gdy już zameldowała się w hotelu, przypomniała sobie tę chwilę. To była bardzo głupia myśl, bez wątpienia skutek przeciążenia umysłu, potrzebującego zdrowego snu. Przede wszystkim jak można nazwać domem miejsce, w którym nigdy się nie było?

W recepcji hotelu Mont Clare czekała na nią wiadomość. Charles MacGuire zapowiedział, że wpadnie po południu na herbatę, wyrażał też nadzieję, że podróż przez ocean przebiegła gładko.

W pierwszym odruchu chciała wyjść do miasta i obejrzeć swój nowy dom, ale postanowiła zdać się na głos rozsądku i poczekać. Ostrzeżono ją zawczasu, że miejsce jest „dość zapuszczone”, musiała więc dobrze wypocząć przed konfrontacją z brutalną rzeczywistością.

Zanim się położyła, żeby uciąć drzemkę, stwierdziła, że nie ma pościeli. Uznała, że na razie jej to nie przeszkadza, lecz mimo to zatelefonowała do recepcji.

- Przepraszam. - Westchnęła. - Nie chcę przeszkadzać, ale nie mam bielizny.

Młody człowiek, który odebrał telefon, głośno zaczerpnął tchu.

- Chwileczkę, proszę pani - powiedział takim tonem, jakby mu się śpieszyło, żeby przekazać słuchawkę komu innemu.

Tym razem odezwała się kobieta.

- Halo? - odezwała się tonem profesjonalistki. - W czym możemy pani pomóc?

Maura przedstawiła się, podała numer pokoju i powtórzyła zastrzeżenie. Kobieta w recepcji wydawała się zaskoczona.

- Bielizny? - szepnęła. - Ojej.

W tle rozległ się wyraźny chichot.

- Brian, bądź cicho. - Głos recepcjonistki był stłumiony, jakby zasłoniła dłonią mikrofon. - Bardzo panią przepraszamy. Ten nasz nowy chłopak jest nieznośny. Czyli życzy sobie pani, żeby przysłać na górę bieliznę?

- Tak, proszę.

- Ile?

- Słucham...? No, najlepiej tyle, ile wszędzie.

W słuchawce zapadła cisza, jakby recepcjonistka nie wiedziała, co powiedzieć.

- Może na początek przyniesiemy dziesięć sztuk - zaproponowała. - Gdyby potrzebowała pani więcej, to chętnie pomożemy.

- Wspaniale. Bardzo dziękuję. - Maura chciała odłożyć słuchawkę, ale recepcjonistka jeszcze nie skończyła.

- Aha, kiedy dostarczyć pani zamówienie?

Maura zerknęła na zegarek. Była dziesiąta rano. Charles MacGuire miał przyjść o czwartej po południu.

- Około czwartej zejść do holu na herbatę. Może wtedy?

- Oczywiście, panno Finnegan.

Zasympiając, Maura wciąż zastanawiała się, skąd wzięło się napięcie w głosie recepcjonistki. Wydało jej się to bardzo dziwne.

Charles MacGuire, pomyślała Maura, jest człowiekiem, którego ojciec nazwałby postacią.

Był wysoki, miał około pięćdziesięciu lat, okragłe okulary i grzywe szpakowatych włosów, opadającą na czoło. Było w nim coś młodzieńczego, zaraźliwa radość życia.

- Jak miło mi panią poznać! - wykrzyknął, ruszając ku niej tanecznym krokiem, otworzywszy lśniące drzwi z mosiężnymi zdobieniami.

Maura była zachwycona, że adwokat wreszcie przyszedł; było w pół do piątej i personel hotelu zaczął już dziwnie jej się przyglądać.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział błagalnie, mocno potrząsając jej dłonią na powitanie. - Zapomniałem, jak punktualni są Amerykanie. W Irlandii spotkanie o czwartej oznacza zwykle, że o czwartej dopiero myśli się o spotkaniu, dwadzieścia minut później wkłada się marynarkę i nie przychodzi na miejsce przed piątą.

Chociaż siedząc samotnie w holu, Maura czuła silne skrepowanie, to w towarzystwie Charlesa MacGuire'a natychmiast się odprężyła. Adwokat zamówił herbatę i przysunął sobie krzesło, żeby usiąść obok niej.

- Ho, ho, panno Finnegan, pani naprawdę jest młoda. I urocza, jeśli wolno mi dodać. - Przyjrzał jej się z widocznym namysłem. - W rzeczy samej...

Maura splotła dłonie na kolanach, oczekując nieuniknionej „mapy Irlandii wymalowanej na twarzy”.

- W rzeczy samej, panno Finnegan - powtórzył MacGuire, w zadumie stukając palcem po podbródku - ma pani taką świeżą amerykańską urodę.

Maura uśmiechnęła się od ucha do ucha. Już miała coś odpowiedzieć, gdy podeszła do niej spięta recepcjonistka, która trzymała dużą paczkę zawiniętą w szary papier.

- Proszę bardzo, zgodnie z pani życzeniem. - Dygnęła, nie patrząc Maurze w oczy.

- He? - zdziwiła się Maura i zaczęła rozplątywać sznurek.

- Boże, od razu prezenty. - Charles MacGuire uśmiechnął się. Zdołała rozchylić papier akurat w chwili, gdy podano im herbatę i małe kanapki.

- Cóż to jest? - wybałała, wyjmując z paczki bardzo dużą parę majtek. Powiększyła szczelinę w papierze i zobaczyła, że jest ich znacznie więcej.

Charles MacGuire zakrztusił się kanapką z ogórkiem i rzeżuchą.

- Zażyczyła sobie pani bieliznę.

Maura zerknęła na niego bardzo zmieszana. I nagle coś jej zaświtało. Wybuchnęła śmiechem; łzy napłynęły jej do oczu.

- Owszem, prosiłam o bieliznę, chodziło mi o pościel, pan rozumie. - Energicznie zaczęła klepać dłońią w szary papier, tym bardziej zwracając uwagę na zawartość paczki.

- O bieliznę pościelową, tak? - upewnił się prawnik. Skinęła głową i on również zaczął się śmiać, aż zwilgotniały mu oczy. Ludzie w holu przystawali i gapili się na zgiętych w pół ze śmiechu przyzwocie

ubranego dżentelmena i młodą kobietę z olbrzymią parą kobiecych majtek.

- Panno Finnegan, jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką śmiałość, to chodźmy poszukać bardziej stosownego sposobu na odświeżenie. Moje ulubione miejsce, bar hotelu Shelbourne, jest tuż obok. Idziemy?

Mogła jedynie skinać głową, a ponieważ nie wiedziała, co zrobić z bielizną, zaniosiła ją do recepcji. Młody chłopak imieniem Brian był tam sam. Oblał się rumieńcem, tak że poczerwieniały mu nawet uszy.

- Wezmę to później - zdołała wykrztusić. Szybko schował paczkę pod kontuarem, a Charles MacGuire i dziedziczka „hańby Delberta” razem poszli do hotelu Shelbourne.

A kiedy otworzyła paczkę, było tam ni mniej, ni więcej tylko dziesięć tuzinów fantastycznych galotów! Przynajmniej dziesięć tuzinów...

Maura zamaskowała ziewnięcie i uśmiechnęła się, słysząc po raz siódmy tę historię z ust Raya, mężczyzny, który przysiadł się do nich trzy kolejki wcześniej. Otaczały ją zainteresowane twarze, nie do rozróżnienia dla jej zmęczonych oczu.

Charles MacGuire wyjął dokumenty, które miała podpisać: potwierdzenie tożsamości i oświadczenie, że spadkobierca w pełni rozumie wolę wyrażoną w testamencie. Szybkie przekładanie papierów było, jak się zdaje, ostatnim punktem wieczoru, który zarejestrowała z pełną jasnością.

Bar hotelu Shelbourne był jasny i przestronny. Panowała w nim dużo swobodniejsza i bardziej nieformalna atmosfera niż w bogato zdobionym holu. Okna na całą wysokość ściany wpuszczały do pomieszczenia dużo słonecznego światła, a klienci woleli raczej piwo i porter niż martini i whisky, które pito obok.

Orzechowy kontuar był długi i wyglądał bardzo zachęcająco. Gdy Maura z Charlesem weszli do środka, wszyscy podnieśli głowy, chociaż nie od razu.

– Jest młodsza, niż myślałem, nie sądzisz, Bart?

– Dobrze mówisz, Seamus. Jak myślisz: dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa?

– Nie, nie. Musi mieć przynajmniej dwadzieścia sześć. Zdążyła skończyć uniwersytet, a od siedmiu lat pracuje w rodzinnej firmie.

Maura odwróciła się ku rozmawiającym mężczyznom, którzy wydali się nieco zmieszani jej wścibstwem. Obaj wygodnie opierali się o kontuar i wyraźnie czuli się tam równie swojsko, jak człowiek w zaciszu domowym, który kładzie nogę w samej skarpecie na starym stoliku do kawy.

– We wrześniu skończę dwadzieścia osiem, panowie – powiedziała.

– Nie wierzę! – Człowiek imieniem Bart gestem przyzwał barmana, wskazując puste kufle, swój i przyjaciół. – Panno Finnegan, Charlie, czego się napijecie?

Maura zawahała się.

– Hm, może białego wina. – Przed chwilą dość śmiało dała mężczyznom do zrozumienia, że podsłuchiwała ich konwersację, ale wydali się bardzo z tego zadowoleni.

– Seamus, sprawdź jej zęby. – Bart wskazał Maurę. – Nie bój się, dziewczyno. On jest weterynarzem. Mogłaś zostać wprowadzona w błąd co do swojej daty urodzenia, więc Seamus obejrzy ci zęby i powie, ile lat masz naprawdę.

Seamus uśmiechnął się niezbyt mądrze, odstawił kufel i zaczął się zbliżać do Maury, po drodze wycierając odrażająco brudne palce w tweedową marynarkę.

– Mam lepsze oko do koni, panno Finnegan, ale mogę określić pani wiek z dokładnością do osiemnastu miesięcy.

- O, nie! - Dała nura pod jego ramieniem. Charles roześmiał się i przedstawił jej trzech następnych ludzi, którzy weszli do baru.

Zbliżała się jedenasta wieczorem; Maura oparła się łokciem o kontuar. Przed nią stało pięć nietkniętych kieliszków białego wina, wszystkie zafundowane przez mężczyzn z otaczającego ją tłumku. Nie pozwolono jej postawić kolejki w zamian, za to wymuszono obietnicę, że zaprosi ich do swego nowego domu, gdy tylko się w nim urządzi.

Na dworze jeszcze było jasno, latarnie dopiero co zapalono. Charles wspomniął, że latem zmierzch zapada tuż przed północą.

- Niestety, musimy płacić za to zimą, gdy słońce zachodzi o czwartej po południu - powiedział ze smutkiem, a jego ożywiona twarz posmutniała na tę myśl.

- Kiedy mogę obejrzeć mój nowy dom, Charles? - wymamrotała Maura. - Masz klucze, a jestem tu już ponad sześć godzin.

- Och! Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?! Trudno było przekonać wszystkich w barze, żeby zostali na miejscu i nie szli za Charlesem i jego klientką do domu przy Merrion Square. Rozległy się liczne protesty i błagania, aż wreszcie adwokat obiecał postawić wszystkim kolejkę, jeśli nie ruszą się od baru i pozwolą mu w spokoju wykonać zawodowy obowiązek. Język nie był mu całkiem posłuszny i Maura zastanawiała się nawet, czy Charles dobrze wie, dokąd idą.

Przemknęło jej przez myśl, że jest w obcym kraju, zdana na łaskę pijanego adwokata, i nawet nie zna drogi.

Jednak gdy pożegnali ludzi w barze i wyszli, natychmiast zaczął wyglądać jak trzeźwy człowiek, no, może nie sędzia, ale na pewno członek ławy przysięgłych.

- Czy na pewno wiesz, dokąd idziemy? - spytała.

Roześmiał się.

- Podejrzewam, że cały Dublin to wie. Gdybym zapomniał albo przypadkiem wpadł pod ciężarówkę, to zapytaj pierwszego lepszego przechodnia i każdy z radością zaprowadzi cię na miejsce.

Odrętwienie i wyczerpanie Maury ustępowały. Nie czuła się już tak, jakby śniła, a ciało miała oddzielone od umysłu. Teraz wszystko rejestrowała całkiem jasno, otaczał ją hałas pojazdów, bardziej przenikliwy niż w Stanach. Samochody nieustraszenie warczały po złej stronie jezdni, wielkie, zielone piętrowe autobusy przechylały się na zakrętach.

Naprawdę była w Dublinie i zaraz miała obejrzeć swój nowy dom.

Scandalous

Taśma klejąca.

Z pierwszego rzutu oka na swoją kamienicę Maura zapamiętała niewyobrażalne ilości taśmy klejącej. Spajała ona popękane szyby. Pokrywała całe drzwi wejściowe, zupełnie jakby była potrzebna do utrzymania na miejscu klamki. Owijała żelastwo do czyszczenia podeszew i pstrzyła drewniane pilastry przy drzwiach. Nawet numer domu, osiemdziesiąt dziewięć i pół, znajdujący się na półkolistym oknie nad drzwiami, był zrobiony z wyblakłej, nierówno przymocowanej taśmy.

- Szyba stłukła się wieki temu - wyjaśnił Charles. - Nad drzwiami był kiedyś wspaniały witraż, najwspanialszy na całym placu. Ale zostało tylko zwykłe szkło i taśma.

Maura z trudem przełknęła ślinę.

Miała przed sobą największą rudere po tej stronie placu, a może nawet w całym Dublinie. Chociaż samą bryłą budynek nie różnił się od sąsiednich, to wyglądem odbiegał od nich zdecydowanie. Był smutny, wręcz ponury, odarty z wszelkiej godności.

Nie miał tych architektonicznych detali, które stanowiły o elegancji reszty placu. Zamiast małego ogródka i starannie przyszczyżonych żywopłotów, przed wejściem były dwa kwadratowe splachcie ziemi, zachwaszczone i pełne odpadków. Brakowało pięknie pomalowanych drzwi z mosięzną kołatką i klamką, wypieszczonego żelaznego ogrodzenia i pieczołowicie przywróconego porządku cegieł. Krótko mówiąc, była to trzypiętrowa rudera, która wydawałaby się równie nieatrakcyjna w Brooklynie lub Indianapolis, jak w Dublinie.

- No, cóż - odezwała się Maura, gdy w końcu odzyskała głos. - Na pewno wygląda solidnie.

- Właśnie! - Charles jednym skokiem pokonał dwa stopnie, uważając, by nie stanąć na górnym, który wyraźnie nie wzbudzał

zaufania. Poklepał jeden z pilastrów przy drzwiach, by pokazać, jak solidny jest budynek.

Kawałek drewna odpadł i uderzył o ziemię.

– No, tak. – Charles odchrząknął. – Ale to tylko kosmetyka, sama wiesz. To nie jest element nośny.

Maura podeszła bliżej i zauważyła metalowy pręt, biegnący przez całą szerokość wejścia między pilastrami, tuż poniżej numeru wyklejonego z taśmy.

– Po co to? – spytała.

– Och, to takie małe zabezpieczenie, żeby drzwi trzymały się na miejscu.

– Rozumiem.

Nie oczekiwała wiele, nigdy nie marzyła o tym, że stanie się właścicielką jednej z imponujących kamienic przy tym placu. Ale na pierwszy rzut oka dom nie nadawał się do zamieszkania.

– Wejdziemy do środka? – spytał Charles. Maura zamrugała, wytrącona z oszłomienia.

– Naturalnie. Czemu nie?

Tymczasem już się zastanawiała, jak wytłumaczy swój błyskawiczny powrót do Wisconsin. Adwokat usiłował zmusić do uległości zamek długim kluczem, który wydawał się pełnić funkcje raczej ozdobne niż użytkowe, a ona zobaczyła oczami wyobraźni Rogera. Gdyby nie on, cieszyłaby się tą przygodą bez ściskającego gardło uczucia paniki. W tej sytuacji nie mogła jednak zapomnieć ani na chwilę o swoim zadaniu, choć bardzo się starała.

Wróciła myślami do swojej nowej kamienicy. Fasada była mało atrakcyjna, ale może wewnątrz prezentowało się lepiej. Niektórzy ludzie celowo utrzymują dom w opłakanym stanie z zewnątrz, żeby zapewnić w ten sposób ochronę bogactwom zgromadzonym w środku. Budynek pod numerem osiemdziesiąt dziewięć i pół mógł być właśnie jednym z tych

niepozornych domostw, ukrywających swe wspaniałości przed światem i zostawiającym je do wyłącznej dyspozycji właścicieli.

Natchniona tą myślą, postąpiła krok do przodu.

- Uwaga. Wnętrze jest trochę mniej zadbane niż mury - ostrzegł Charles, napierając lewym ramieniem na drzwi. Nie ustąpiły. Cofnął się i spróbował ponownie, tym razem z rozbiegu. Rozległ się przeraźliwy skrzyp i drzwi stanęły otworem.

W nozdrza uderzył Maurę zapach zgnilizny, oczy zaczęły jej łzawić. Adwokat kichnął. Jedną ręką trzymał otwarte drzwi, a drugą obmacywał ścianę w poszukiwaniu wyłącznika.

Nagle po wnętrzu rozlało się słabe bladeżółte światło. Goła żarówka zwisała z czegoś, co w przeszłości było imponującym żyrandolem. Przewód, na którym się trzymała, był poczerniały i niczym nie okryty, jeśli nie liczyć strzępków taśmy izolacyjnej. Na suficie, w miejscu zamocowania żyrandola, widniały ślady okrągłej stiukowej dekoracji.

Maura stała na starej, biało-czarnej marmurowej posadzce, a przed sobą miała łuk, który kiedyś zwiastował wejście na pokoje. Były na nim resztki tynku i zdobień. Dalej główne schody prowadziły na pierwsze piętro. Nie czekając na adwokata, zaczęła pięć się po nich do góry.

- Chwileczkę, Mauro - usłyszała niewyraźny głos Charlesa. - Tylko zamknę drzwi. Poczekaj. Nie chcesz obejrzeć pomieszczeń na dole? Te schody mogą być nie całkiem bezpieczne.

Nie posłuchała go. Gnana niepowstrzymaną ciekawością, dążyła do celu, prawie nie dotykając stopni. Wokół jej stóp kłębiły się kurz i drobiny tynku, a gdy dotknęła poręczy, wzbila następny tuman pyłu. Nie zwracała jednak na to uwagi.

Dokładnie wiedziała, dokąd iść. Wzrok miała skupiony nie na schodach, lecz na miejscu, w którym chciała się znaleźć. Potknęła się na jednym z wyszczerbionych stopni, ale to jej nie powstrzymało.

- Mauro! - Charles wydawał się teraz bardzo daleko, ledwie było go słychać.

Znalazł się na piętrze, minęła pierwsze drzwi i poszła prosto do drugich, w stronę frontu kamienicy. Światła było niewiele, tyle co wpadało do korytarza przez okno od ulicznej latarni. Na ścianie kładły się ciemne plamy, bo brud i taśma klejąca mąciły przezroczystość szyby.

Maura zerknęła na klamkę, ujęła ją zdecydowanym ruchem i otworzyła drzwi.

- Idę z latarką. Była u podnóża schodów - doszedł ją z dołu głos Charlesa.

Maura zignorowała go i weszła do pokoju.

Odniosła wrażenie, że powietrze ucieka jej z płuc. Zatoczyła się pod ścianę, jakby cisnęła ją tam jakaś niewidzialna siła. Krew zaczęła pulsować jej w uszach. Adwokat coś mówił, ale ona słyszała inny głos, niższy i bardziej dźwięczny.

- Bądź cicho! - krzyknęła, chciała bowiem, żeby Charles pozwolił jej posłuchać tamtego drugiego głosu. Ale z jej ust dobyło się tylko ciche syknięcie.

- To muszą być gazy - gadał bez przerwy adwokat, wymachując latarką. - Ten dom był bardzo długo zamknięty. Czy nie ma tu wyłącznika? Zobaczmy...

Chciała się pozbyć Charlesa i zostać sama w swoim domu.

Zamknęła oczy i spróbowała wyrównać oddech. Niech on się wreszcie uciszy. Serce biło jej tak mocno, że prawie zagłuszało brzmienie drugiego głosu.

A był to miękki, piękny męski głos.

- No, jest - usłyszała Charlesa z drugiego końca pokoju. Adwokat włączył światło.

Pokój był nieumeblowany i niczym nieozdobiony z wyjątkiem żółtej tapety, której strzępy odlażyły od ściany. Gdzie on jest? Mężczyzna,

którego głos słyszała? Przed chwilą na pewno tu był. Maura czuła jego obecność tak samo wyraźnie jak swoją.

Ale teraz znikł. Poczula również nagłą pustkę dookoła.

Charles coś mówił, chodził po pokoju, wskazywał obudowany drewnem kominek i rzeźbienia na jego gzymsie. Ale nic z tego, co mówił, nie składało się w spójną całość.

- I sam papier ma swoją wartość - ciągnął monotonicznie adwokat, dotykając ściany. Kawałek tapety rozsypał mu się w palcach jak popiół i opadł na podłogę. - Oryginalna georgiańska tapeta. Tylko pomyśl: ręcznie malowana przez artystę dwa i pół wieku temu. - Wyprostował się, trzymając oburącz czerwoną latarkę. - Chcesz to wziąć, Mauro?

Przez chwilę nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Tapetę?

Przesłał jej przelotny, niepewny uśmiech.

- Tapetę i dom, w którym ją przyklejono. Jutro po południu zawiozę cię do fabryki. Jest pod miastem, kilka mil w stronę Wicklow. Spróbujesz tam zajrzeć?

Mogła dać mu tylko jedną odpowiedź.

- Oczywiście. - Było w tym słowie tyle entuzjazmu, że aż sama się zdziwiła.

- Doskonale! Doprawdy doskonale! - Charles omal nie zaczął skakać po pokoju. - Wobec tego odprowadzę cię do hotelu.

- Czy mogę tu zostać? - Mówiła całkiem poważnie. Myśl o opuszczeniu tego domu była dla niej bardzo przykra, zupełnie jakby miała zostawić chorego przyjaciela.

Zaskoczyła adwokata.

- Twoje ubrania i wszystkie rzeczy są w Mont Clare, prawda? Poza tym pokój masz zarezerwowany na tydzień.

- Ale mogę się wyprowadzić, kiedy chcę - powiedziała, nagle zdesperowana. - Chyba nie muszę tam mieszkać? Mogę wymeldować się jutro rano i zamieszkać tutaj?

- Oczywiście, Mauro. - Charles przestał się uśmiechać. - Nie jesteś w więzieniu. Po prostu założyłem, że będziesz chciała pomieszkać kilka dni w Mont Clare, póki ten dom nie stanie się trochę wygodniejszy.

- Może być taki, jaki jest.

Spojrzał na nią powątpiewająco.

- Chcę się tu wprowadzić jak najszybciej - wyjaśniła, nerwowo wykręcając sobie dłonie.

Charles spojrzał na nie, więc przestała.

- Proszę bardzo. Powiem jednemu z bagażowych w hotelu, żeby jutro z rana przeniósł twoje rzeczy tutaj. - Zrobił kilka kroków ku drzwiom, ale przystanął, bo Maura zwlekała.

- Idziesz, Mauro? - Adwokat trzymał już otwarte drzwi.

- Tak, tak. - Ostatni raz obrzuciła spojrzeniem pokój z żółtą tapetą i zgasiła światło. - Charles, jak ten pokój się nazywa?

Przez chwilę się zastanawiał.

- Pierwotnie musiał to być pokój dzienny. Na dole były jadalnia dla gości i salon, gdzie również podejmowano gości. To pomieszczenie miało bardziej nieformalny charakter, tu spotykała się rodzina.

Schodząc na dół, Maura rozmyślała nad ostatnimi słowami adwokata.

- Pokój dzienny - wymamrotała. - Tam, poniżej pejzażu. Między oknami. To jest tam.

- Słucham? - Charles szeroko się uśmiechał, jakby czekał na pointę dowcipu.

- Co takiego?

Otworzył przed nią frontowe drzwi i oboje wyszli na ulicę.

Było przyjemnie; wieczornego chłodu właściwie się nie zauważało. Lekkie powiewy wiatru niosły zapach kwiatów i liści z parku po drugiej stronie ulicy, delikatny roślinny aromat.

- Coś powiedziałaś - stwierdził Charles. - O pejzażu między dwoma oknami.

- Naprawdę? - Szczerze zdumiona Maura jeszcze raz popatrzyła na dom. - Nie przypominam sobie. Pewnie pomyślałam, że między oknami byłoby całkiem dobre miejsce do powieszenia obrazka.

Gdy zaczęli się oddalać od placu, jeszcze raz odwróciła się ku domowi numer osiemdziesiąt dziewięć i pół.

- Dobranoc - szepnęła.

Adwokat pokręcił głową i nie pierwszy raz zaczął się zastanawiać, dlaczego Amerykanie są tacy zwariowani.

W południe następnego dnia wszystkie rzeczy Maury były już uporządkowane w sypialni na drugim piętrze jej nowego domu. W tym jednym pokoju miała teraz mnóstwo szuflad, cztery komody i kredens. Meble były tak zakurzone i brudne, że po prostu nie wyjęła rzeczy z walizek.

Cały dom wydawał się trwać w stanie, w jakim znajdował się w końcu dziewiętnastego wieku. Przy świetle dziennym Maura mogła powoli obejść wszystkie piętra. W każdym pokoju zdumiewały ją ślady, które pozostały po dawnych mieszkańcach. Czuła się zupełnie tak, jakby zwiedzała wehikuł czasu po wypadku.

Były tu, oczywiście, i strzępki współczesności, ale wydawały się zbędnymi dodatkami. Aparat telefoniczny w kuchni miał przynajmniej pięćdziesiąt lat. Obok stała puszka po kawie wypełniona zaschniętą farbą, chociaż Maura nie znalazła w całym domu miejsca, które malowano w ostatnich dziesięcioleciach. Od frontu, u podnóża trafionych krzywicą żelaznych schodów, tuż za ciemną plamą ziemi, która powinna być ogródkiem, znajdowało się dawne wejście dla służby. Było zasypane odpadkami, a na szczycie sterty leżała rękawica ochronna, sparciała i sztywna, ze wskazującym palcem wycelowanym w niebo.

Maura zbadała wnętrze domu, przytłoczona ogromem zadania, jakie stanowiło uporządkowanie choćby tylko terenu na zewnątrz, od

strony placu. Jej nowy dom naprawdę był jednym wielkim chaosem, ale chaosem fascynującym. Miał isticie szlachecką godność, jakby kurz i brud stanowiły jedynie przejściową dolegliwość, którą sama może wyleczyć.

Kiedys był zamieszkany i darzony miłością. Naroża miał już zaokrąglone, stopnie schodów ugiwały się pośrodku, nieodwracalnie starte przez ludzkie stopy, które stapały po nich przez wieki. Ściany nosiły ślady ciężkich mebli, które tu i ówdzie odłupały drzazgę z deski. W pokojach na górze było więcej takich śladów i Maura wyobraziła sobie rozbawione dzieci, wysłane do swojego pokoju w dżdżysty dzień, gdy pogoda nie pozwoliła iść do parku naprzeciwko.

Doszła do wyklejonego żółtą tapetą pokoju dziennego. W odróżnieniu od reszty pomieszczeń, nie stały w nim meble i nic nie wisiało na ścianach. Był tak samo nagi, jak reszta domu zagracona. Mimo braku mebli panowała tu duszna, ciężka atmosfera. Czuło się czyjąś obecność, choć w innych pomieszczeniach nie miało się tego wrażenia.

Za ścianą był salonik, zapchany meblami z ciemnego drewna i wielobarwnym perskim dywanem. Część mebli musiała pochodzić z żółtego pokoju, Maura widziała bowiem oczami wyobraźni, jak masywne krzesło doskonale zmieściłoby się tam między dwoma oknami, a obraz oparty o ścianę pasuje na puste miejsce nad kominkiem. Zdmuchnąwszy kurz, pochyliła pejzaż do światła, żeby dokładniej go obejrzeć. Nie był arcydziełem, namalował go raczej rzemieślnik niż natchniony artysta. Przyjrzała się dokładniej i zauważyła na wzgórzu konika, który, prawdę mówiąc, wyglądał bardziej jak powiększony pies myśliwski. Ktoś w oddali, być może pasterz, mimo że nigdzie nie było owiec, też miał pokraczną sylwetkę; był wątlý, z łebkiem jak szpilka i wymachiwał laską.

Rozmiar jednak przemawiał za tym, że pejzaż idealnie pasowałby między okna w żółtym pokoju, tam gdzie ciemny kwadrat wskazywał dawne miejsce jego zawieszenia.

Jak mogła się tego domyślić, zanim jeszcze zobaczyła ten pejzaż?

W kącie stało biurczko, które kiedyś musiało należeć do kobiety. Ono również na pewno pochodziło z pokoju dziennego. Dopasowane do niego krzesło z żółtą tapicerką, zbliżoną odcieniem do tapety, stało jakiś metr dalej. Maura przysunęła je do biurka i poczuła takie zadowolenie, jakby połączyła rozdzielonych kochanków.

Długo przyglądała się temu kompletowi. Wreszcie po chwili wahania usiadła na krześle i wsunęła nogi pod biurko.

Wszystko było na wymiar, jakby meble zaprojektowano specjalnie dla niej. Na chwilę zawiesiła dłonie nad bibułą, a potem opuściła je na blat.

Po jej ramionach przebiegły ciarki, jakby próbowała uciszyć uparty kamerton. Nie było to przykre doznanie, lecz bardzo dziwne i niespodziewane. Pozostała więc przy biurku, przyciskając dłonie do bibuły.

W końcu wolno uniosła ręce. Niezwykłe doznanie ustąpiło, ale na wszelki wypadek zacisnęła palce, żeby sprawdzić, czy coś się stanie. Nie stało się nic.

Tuż nad jej nogami była szufladka. Maura pociągnęła za mosiężną gałkę i szufladka znalazła się na jej kolanach. W środku były stare pióra, które trzeba zamoczyć w atramencie, zanim można coś napisać. Były też flakoniki wysuszonego atramentu, czarnego i granatowego, wszystkie z kruszącymi się korkami.

Z boku leżała starannie złożona piękna papeteria. Maura przesunęła palcem po kartkach, ciesząc się gładkością eleganckiego papieru. W głębi szufladki były jakieś zgniecione kartki, więc sięgnęła po nie i przysunęła je bliżej.

Gdy wychodziła z pokoju i czyściła ręce z kurzu, wycierając je o dżinsy, zobaczyła swoje lustrzane odbicie. I przez chwilę wydawało jej się, że się zmieniła – była elegancką kobietą w sukni koloru kości słoniowej. Włosy miała związane na czubku głowy, skąd swobodnie

opadały na wszystkie strony i otaczały twarz o nadzwyczaj delikatnej urodzie. Przy talii, za szerokim pasem z różowego atlasu, sterczał uroczy bukiet polnych kwiatów w pastelowych kolorach.

Ale gdy Maura podeszła krok do przodu, żeby przyjrzeć się dokładniej, zobaczyła już tylko dziewczynę w wytartych dżinsach i flanelowej koszuli. Włosy zwisały jej niesfornymi, strzępiastymi pasemkami po obu stronach twarzy, stanowczo zbyt bladej jak na modny ostatnio krzepki wygląd. Pod oczami miała cienie, świadectwo bezsennych nocy przed przylotem do Dublina. Wyglądała okropnie. Mimo to ogarniało ją coraz większe ożywienie. Była tak podniecona, że zapomniała o skutkach wyczerpującej podróży w nowe miejsce i stresie związanym z poznawaniem nowych ludzi i wprowadzeniem się do dziwnego domu.

Zerknęła z bliska na swoje odbicie, a następnie dotknęła swej prawdziwej twarzy, dziwiąc się gładkości cery. Potem przeniosła dłoń i wsunęła palce we włosy, miękkie i gęste.

Nikt nigdy nie powiedział jej, że jest ładna. Zawsze była fajna albo atrakcyjna, miała zgrabną figurę i intrygujące oczy. Trudno to wyjaśnić, ale zniemacka Maura poczuła się ładna.

Z uśmiechem poszła po walizkę, żeby wyjąć jakieś czyste ubranie, które nie wyglądałoby jak z innej bajki na Merrion Square lub w adwokackiej kancelarii. Mogła tu być nuworyszem, ogarnęło ją jednak nagle i bardzo silne pragnienie przynależności do tego miejsca. Nie na chwilę, lecz na zawsze.

Charles przyszedł tuż przed dwunastą. Krawat miał przekrzywiony, włosy rozczochrane, a ubranie to samo co poprzedniego dnia. Maura była tego pewna, bo na koszuli wciąż widniał wydłużony ślad kropli guinnessa, a tłusta plama nadal znaczyła nogawkę spodni w miejscu, gdzie wytarł dłonie po zjedzeniu torebki chipsów ziemniaczanych, które zwał chrupkami.

- Piękny mamy ranek, prawda? - Głos miał pełen entuzjazmu, ale wzdrygnął się, gdy przypadkowy promień słońca padł mu na twarz.

- Owszem. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha i szeroko otworzyła przed nim drzwi. - Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę fabrykę, Charles.

- Ach, Maiden Works Furniture. - Wszedł do holu i wyciągnął szyję, żeby zerknąć do salonu i jadalni znajdującej się obok. - O, zdaje mi się, że to miejsce zaczyna już wyglądać jak należy.

- Tylko przemieściłam trochę kurzu.

- Dobra robota. - Skinął głową. - Teraz o fabryce. Odbiłem dziś rano bardzo ciekawą rozmowę telefoniczną.

- Naprawdę? - Maura odczekała chwilę, nim sięgnęła po torebkę. Była zdecydowana jak najszybciej obejrzeć fabrykę, czyli resztę swojego spadku.

- Fabryka, niestety, od trzech lat nie przynosi dochodów. W gruncie rzeczy dzieje tej firmy w najlepszym wypadku można nazwać zmiennymi.

- Co masz na myśli? - Odłożyła torebkę na stolik w holu, zrozumiałwszy, że nie wyjdą, dopóki Charles nie powie tego, co sobie zamierzył.

Adwokat uniósł brwi, tak że wyjrzały znad oprawki okularów niczym splecione gałęzie niestrzyżonego żywopłotu.

- Znasz historię tego miejsca, prawda?

- Nie. Prawdę mówiąc, nie znam. Pamiętaj, Charles, że skontaktowałeś się ze mną zaledwie przed kilkoma tygodniami.

- Słusznie. Oczywiście. No, więc słuchaj, tę kamienicę zbudował Fitzwilliam Connolly, twój bardzo daleki krewny. Tak daleki, że panna Reagan nie była w stanie znaleźć żadnego dowodu na istnienie pokrewieństwa.

- Ojej. To co ja tutaj robię?

- Być może nie jesteś daleką krewną Fitzwilliamia Connolly'ego, ale z pewnością jesteś daleką krewną Delberta Finnegana. A tylko to ma znaczenie w przypadku nieruchomości, o których mowa.

- Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome?

- Delbert Finnegan? - Przez twarz adwokata przemknął wyraz lekkiego zaniepokojenia. - Ponieważ to on zostawił ci ten dom i fabrykę.

Maura wybuchnęła śmiechem.

- Nie, mam na myśli Fitzwilliamia Connolly'ego. Dlaczego jego nazwisko wydaje mi się znajome?

Charlesowi jakby ulżyło.

- Ach, o niego ci chodzi! Connolly'ego otacza coś w rodzaju legendy. Miał kompanię morską. Po tym, jak go zamordowano firmę przejął jego brat.

- Zamordowano?

- Tak. Ale nie masz się czym przejmować. To się nie stało w tym domu.

- Ulżyło mi.

- Zamordowano go na schodach przed domem. Maura skrzyżowała ramiona.

- Kiedy to było? Złapano mordercę?

Charles uśmiechnął się.

- O, więc teraz będziesz dobrze zamykać drzwi i okna, co? Ale to się zdarzyło kilkaset lat temu. Nawet jeśli by nie złapali mordercy, to wątpię, czy sprawiałby ci dużo kłopotów. Chociaż Delbert utrzymywał, że od

czasu do czasu widuje starego Connolly'ego we własnej osobie. Naturalnie zawsze opowiadał o tym, kiedy wypił kilka kufli za dużo.

Maura zrobiła pogardliwą minę. Nie wierzyła w duchy.

- Ale mordercę złapano?

- Oczywiście. Biedny Fitzwilliam Connolly, zamordował go najbliższy przyjaciel. Nawet uczyli się razem z tym Patrickiem Kildare'em w College'u Świętej Trójcy. Wygląda na to, że Kildare'owi nie podobała się działalność polityczna Connolly'ego, co w ówczesnej Irlandii było wystarczającym powodem do dźgnięcia kogoś w plecy.

- To straszne.

- Owszem. Masz, trzymaj swoją książeczkę, wyjaśnię ci wszystko po drodze. Jesteś głodna?

- Trochę - przyznała.

- Tak myślałem. Joe powiedział mi, że od twoich porcji wróbel umarłby z głodu.

- Joe?

- Ten człowiek w hotelu, który podawał ci śniadanie. Pamiętasz go? Szczupły, w zielonej marynarce. Powiedział, że nie smarujesz pieczywa masłem. Niedobrze. W Irlandii nie jada się suchego chleba.

- Będę o tym pamiętać.

- Powiem ci coś. Szybko rozejrzemy się po fabryce, a potem pójdziemy coś zjeść i napijemy się herbaty.

Po zamknięciu drzwi, co wymagało kilku prób, paru kopnięć i dość długiego majstrowania kluczem w zamku, Charles zaprowadził ją do samochodu.

- Oj, chwileczkę - bąknął i zaczął przerzucać z siedzenia obok kierowcy papiery, magazyny i coś, co wyglądało jak niedojedzona kanapka. Zwał to na miejsce z tyłu, gdzie po prostu powiększyła się podobna sterta śmieci. - No, gotowe. - Otworzył drzwi przed Maura, wykonując przy tym ukłon godny odźwierzego z pałacu Buckingham.

Samochód prawdopodobnie miał kiedyś jasny lakier, teraz jednak oblepiały go błoto i glina, więc kolor był nie do ustalenia. Charles wskoczył na siedzenie kierowcy i wystrzelił z miejsca na parkingu tak, jakby startował w wyścigach formuły pierwszej.

Maura zaczęła obmacywać siedzenie w poszukiwaniu pasa bezpieczeństwa.

– Ach, zdjąłem pasy – powiedział, gdy zauważył jej wysiłki. Właśnie w tej chwili wprowadził samochód w ostry zakręt i Maura uderzyła o drzwi.

– Dlaczego zdjąłeś pasy? – spytała, gdy wreszcie mogła swobodnie odetchnąć. Dezorientowało ją, że jada złą stroną ulicy, a ona siedzi na miejscu, które powinien zajmować kierowca.

– W zeszłym roku podczas wakacji, kiedy jechałem do Hiszpanii, musiałem czymś przypiąć bagaż na dachu. Byłaś kiedyś w Hiszpanii? To wspaniałe miejsce. Słońce, słońce i jeszcze raz słońce. Uważaj, będzie dosyć ostry zakręt.

Maura zacisnęła dłonie na oparciu i słusznie, Charles wziął bowiem lewy zakręt z pasją rajdowca, nie zważając na dziką gestykulację młodego człowieka, który jechał obok na motocyklu.

– Teraz co do tej porannej rozmowy. Wygląda na to, że jest kupiec na fabrykę.

– Pies! Uważaj na psa!

– Nie martw się. Dublińskie psy są mądre. Widzisz?

Przez zasuniętą szybę usłyszała skowyt i zobaczyła, jak mały terier oddala się, pociągając łapą.

– Potraciłeś tego psa! – powiedziała wstrząśnięta.

– Nie. Po prostu dałem mu lekcję. Może nawet uratowałem mu życie. W każdym razie ten facet, z którym rozmawiałem, ma za sobą zagraniczny kapitał. Chyba niemiecki. I bardzo go interesuje ta fabryka.

Zanim Maura się odezwała, zamknęła oczy, żeby nie myśleć o skrzyżowaniu, do którego się zbliżali.

- Dlaczego ktoś miałby kupować fabrykę, która od trzech lat nie przynosi zysku? - Wbrew rozsądkowi nieznacznie rozchyliła powieki. - O Boże! Autobus! Autobus!

Charles raptownie skręcił w prawo, ani na chwilę nie zdejmując nogi z pedału gazu. Tym razem Maura poleciała na drażek zmiany biegów, ale adwokat mówił dalej:

- Zdaje się, że potencjalny nabywca chce zmodernizować zakład, zainstalować tam nowoczesne urządzenia i zatrudnić do zarządzania irlandzkich inżynierów.

W głosie miał stoicki spokój, więc Maura z przerażeniem wytrzeszczyła na niego oczy. Nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia to, co dla niej było otarciem się o śmierć.

- Jak daleko mamy do fabryki? - Nie była w stanic ukryć przerażenia.

- Niedaleko. Chcesz posłuchać muzyki? - Puścił kierownicę i zaczął szukać w schowku kasy. - Mam Neila Diamonda i takiego waszego Gailha Brooksa.

- Nie! - Widząc, że Charles marszczy czoło, zniżyła głos. - To znaczy, dziękuję. Wolałabym porozmawiać niż słuchać muzyki.

- Nie lubisz Gartha Brooksa?

- Jest bajeczny, mogę go słuchać bez końca. Ale akurat teraz wolałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tej ofercie.

Wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, Mauro, powinnaś podejść do niej bardzo ostrożnie.

- Będę o tym pamiętać - szepnęła, w myślach dodając: jeśli przeżyje.

- No, jesteśmy. - Zatrzymał się przed niewielkim parterowym budynkiem, otynkowanym na biało. - Jeszcze mniej więcej dwadzieścia lat temu dach był pokryty strzechą. - Nad drzwiami wisiał szyld z napisem „Maiden Works Furniture”. - Zanim wejdziemy, wprowadzę cię trochę w historię. Za życia Fitzwilliama i jego ojca firma zajmowała się

wyłącznie transportem morskim. Ale Andrew, młodszy brat, który przejął interes po przedwczesnej śmierci Fitzwilliama, nie miał do tego smykałki. Nawet na handlu niewolnikami stracił pieniądze.

- Kiedy to było?

- Pewnie w siedemdziesiątych latach osiemnastego wieku, tuż przed tym, jak wy, Jankesi, zaczęliście sprawiać kłopoty w koloniach.

Ponieważ samochód już się zatrzymał, Maura mogła bezpiecznie się uśmiechnąć.

- W koloniach?

- Nie mam do was bynajmniej pretensji. Jestem gorąco za tym, żeby trochę zatrząść imperium. No, więc Andrew Connolly postanowił zająć się piwowarstwem.

- Chwileczkę. Przeszedł od transportu morskiego do piwowarstwa?

- To całkiem logiczne, jeśli się nad tym zastanowić. Miał przecież pod dostatkiem beczek.

- No, tak. I jak szły interesy browaru?

- Niezbyt dobrze. Młodszy Connolly uznał, że lepiej nie konkurować z panem Guinnessem, więc wyspecjalizował się w piwie cytrusowym i ananasowym. Wiesz, to były wtedy modne smaki, chociaż prawdę mówiąc, ludzie wcale ich nie znali. W każdym razie Andrew założył, że towar będzie się sprzedawał i opracował recepturę tak zwanego piwa deserowego. Był święcie przekonany, że Dublin w szczególności, a świat w ogólności na gwałt potrzebuje zmiany i odpoczynku od ciągłego picia portu.

- Okropność.

- Według wszelkich znaków na niebie i ziemi, istotnie była to okropność, ale później stwierdzono, że piwo ananasowe sianowi doskonały lakier. Andrew wykorzystał więc powtórnie tę samą recepturę, wprowadził na rynek lakier i nawet przed śmiercią trochę na nim zarobił. Miał jednak kłopoty, bo wyrób był bardzo słodki i lepiły się do niego owady, które po wyschnięciu powłoki zostawały już na stałe.

To właśnie Andrew zainteresował się meblami. Naturalnie już po nieudanej próbie eksportowania masła do Nowego Świata.

- Próbował eksportować masło? Czy ono po drodze nie jęczało?

- Bystra jesteś! W rzeczy samej jęczało. Twój prapra... wujek Andrew powinien się zawczasu trzepnąć w głowę, ale był równie przekonany, że kolonie potrzebują irlandzkiego masła, jak przedtem święcie wierzył w to, że świat potrzebuje ananasowego piwa.

Maura miała coś powiedzieć na ten temat, ale w porę przypomniała sobie, że na jej ojcu spoczywa odpowiedzialność za założenie fabryki liofilizowanej kapusty. Kto jak kto, ale ona na pewno nie miała prawa sądzić innych ludzi interesu.

- Czy robili jeszcze coś innego? - spytała.

Wysiedli z samochodu. Dopiero stanąwszy na chodniku, Maura uświadomiła sobie, że wciąż drżą jej kolana po szalonej jeździe do fabryki.

- O, tak. Ale o to powinnaś spytać Jimmy'ego O'Neila. Oto i on we własnej osobie. James!

Niski mężczyzna w zniszczonym czarnym garniturze ukazał się w drzwiach. Najbardziej zadziwiające w jego postaci były włosy: obfite śnieżnobiałe pukle, które na szczycie głowy przechodziły znienacka w sztywną szczotkę. W każdym razie efekt skojarzył się Maurze z papugą kakadu.

Mężczyzna skinął im dłonią i powiedział coś w dziwnym gardłowym języku.

Charles MacGuire roześmiał się i odparł:

- Nie mylisz się! A to jest Maura Finnegan.

Mężczyzna podał jej rękę i znowu coś powiedział. Charles tym razem również zachichotał.

- Przepraszam, nie mówię po irlandzku - bąknęła zakłopotana Maura. - Ale miło mi pana poznać.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią w osłupieniu.

- O co ci, u diabła, chodzi?
- Czy on nie mówił przed chwilą po irlandzku?
- Nie. Zwrócił się do ciebie w czystej angielszczyźnie.

Tamten znów zrobił jakąś niezrozumiałą uwagę i znów obaj spojrzeli na Maurę.

Uświadomiła sobie, że teraz jej kolej, żeby coś powiedzieć.

- Och, jak miło - wymamrotała.

Mężczyźni wymienili spojrzenia; Jimmy O'Neil wzruszył ramionami i dopiero po chwili odezwał się Charles:

- Co w ciebie wstąpiło, Mauro? On właśnie powiedział, że umarła Rosie Cahair, która mieszkała przy tej ulicy. To prawda, że miała grubo po czterdziestkę, ale mimo wszystko...

- Jak mi przykro! Obawiam się, że... prawdopodobnie mam kłopoty ze słuchem po długim locie samolotem. Poza tym niewiele ostatnio spałam.

Mężczyźni skinęli głowami, Charles z prawie niezauważalnym marsem na czole, a potem Jimmy O'Neil coś jeszcze powiedział. Maura zareagowała tak samo jak adwokat, po czym we troje weszli do fabryki.

Była to ciemna niska hala. Maura szła przez nią ze świadomością, że pod nogami chrzęszczą jej wióry. Kilku mężczyzn pochylało się nad kozłami i piłowało deski, dwaj pili herbatę z cynowych kubków. Na sznurach wisiały niedokończone krzesła, stoły bez nóg oraz kawałki drewna, które trudno było skojarzyć z jakimkolwiek meblem.

Jimmy nadal coś opowiadał, a Maura cierpiała rozterki, nie wiedziała bowiem, czy patrzeć we wskazywanych przez niego kierunkach, czy skupić się na jego twarzy w nadziei, że uda jej się zrozumieć jakieś słowo, a może nawet zdanie.

Bez względu na to, w czym był problem, zdawała się jedyną osobą w tym budynku, która miała jakiegokolwiek kłopoty ze zrozumieniem Jimmy'ego. Na szczęście, gdy przedstawiano jej pozostałych

pracowników, mogła z nimi trochę porozmawiać i rozumiała, jeśli nie każde słowo, to przynajmniej co drugie.

Jimmy O'Neil powiedział coś, czemu Charles przytaknął.

- Wspaniały pomysł! Co o tym sądzisz, Mauro?

- Tak. Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam.

- Czyli umowa stoi. Zgoda?

Maura uśmiechnęła się i wyszli z fabryki. Jimmy O'Neil wydawał się bardzo podniecony, błyskawicznie dopadł samochodu Charlesa MacGuire'a i wskoczył na tylne siedzenie. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko leżącym tam śmieciom i odpadkom, twarz bowiem pałała mu niecierpliwym oczekiwaniem.

Maura z ociąganiem usiadła obok kierowcy i nawet zdołała się powstrzymać przed próżnymi poszukiwaniami pasa bezpieczeństwa.

- To znaczy, że jutro ci odpowiada, Mauro? - spytał Charles, brutalnie zwalniając ręczny hamulec.

- Jutro? Co jutro?

Nie spoglądając przez ramię, z wyciem silnika odjechał od krawężnika.

- Mamy się spotkać z facetem, który interesuje się fabryką. Do diabła, Jimmy, jak on się nazywa?

Jimmy O'Neil powiedział coś, co zabrzmiało jak „Blafferborner”.

- Naturalnie. - Charles przytaknął. - Nazywa się Donal Byrne. Młody błyskotliwy człowiek z tego, co wiem.

- Hm, dokąd jedziemy, Charles?

- Jak to, nie słuchałeś?

Jimmy wtrącił niewątpliwie zabawny komentarz. Mężczyźni zaczęli rozmawiać o celu podróży, ale Maura rozumiała z tego tylko kwestie Charlesa. Doszła do wniosku, że ich cel znajduje się niedaleko Merrion Square, będzie więc miała bliźniutko do domu. Oficjalna nazwa miejsca, w które się udawali, brzmiała Doheny i Nesbitt, ale wszyscy mówili o nim po prostu Nesbitt. Charles opisał to miejsce, mówiąc tonem

przewodnika, który podkreśla zarówno znaczenie historyczne i literackie, jak również architekturę budynku.

Jimmy co rusz coś dodawał, a jego rozmówca zgadzał się z nim z całego serca.

- Aha! Więc to jest budynek! - wykrzyknęła Maura. Panowie ją zignorowali.

Zdawało jej się, że krótka wymiana zdań dotyczy wartości pięknego szyldu w szafirowym odcieniu koloru niebieskiego, dokładnie takim samym jak wody Zatoki Dublińskiej. Choć Nesbitt powstał dopiero w 1867 roku, co według irlandzkich kryteriów jest datą bardzo młoda, to wtajemniczeni zgodnie uważali to miejsce za jeden z najbardziej monumentalnych zabytków w kraju.

Panowie zapomnieli tylko powiedzieć Maurze, że Nesbitt jest pubem.

Wydawało się niemożliwością, że tyle osób może się zmieścić w tak niewielkiej przestrzeni.

Liczni klienci pubu wyszli na Lower Baggot Street, trzymając w dłoniach kufie, i z ożywieniem prowadzili przyjazne pogawędki, rozparci na odrapanych maskach samochodów, jakby to były sofy. Maura pamiętała wielu ludzi z poprzedniego wieczoru w Shelbourne, inni tylko wydawali jej się znajomi. Tak czy owak udało jej się obdarzyć wymuszonym uśmiechem wszystkich, którzy zachowywali się tak, jakby ją znali.

Pub zamienił się w morze twarzy, rozkołysane przez przygniatające fale uprzejmości. Maura zwróciła uwagę na łoże wydzielone przepierzeniami z matowego szkła i wahadłowymi drzwiami z drewnianymi gałkami. Wyjaśniono jej, że na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku łoże te, zwane äsnugsö, umożliwiały klientom ukrycie się przed żonami, gdy nieszczęśniczki zaglądały do pubu przez uchylone drzwi w poszukiwaniu mężów. Raz po raz Maurze wpadały w

ucho strzępki nowych informacji. Wszyscy dookoła twierdzili, że piszą książkę, choć dżentelmen z posępną twarzą ostrzegł ją, że Irlandczycy wolą opowiadać o swoich książkach niż rzeczywiście utrwalć je na papierze.

Znów nie chciano jej pozwolić na postawienie drinków, póki się nie zorientowała, że może je zamówić, nie pytając nikogo, co sobie życzy. Barman dokładnie wiedział, kto co pije, i miał w głowie na bieżąco przynajmniej pół tuzina rachunków, mimo że cały czas nalewał nowe kufle piwa i jeszcze rzewnie podśpiewywał *The Foggy Dew*.

Nagle zdarzyło się coś niezwykłego. Ktoś poklepał ją po ramieniu i powiedział:

- Uwważaj na torebkę.

Obróciła się i zobaczyła Jimmy'ego O'Neila. Zrozumiała jego słowa!

- Dziękuję!

Skinał głową.

- Ta gromada potrafi być bardzo nieprzyjemna.

Przypomniały jej się zajęcia z francuskiego w szkole średniej, kiedy to włączała się w dialog, który dopiero po chwili z wolna nabierał sensu. Nagle zaczęła rozumieć, o czym mówi do niej Jimmy O'Neil; wdał się właśnie w poetyckie porównanie zawiasów tradycyjnych i kołkowych w konstrukcji składanego stołu. Sensu nie rozumiała ani trochę, ale za to podobało jej się brzmienie słów.

Może był to skutek wypitego przezeń porteru, a może wina wypitego przez nią, w każdym razie Jimmy O'Neil okazał się wspaniałym rozmówcą.

Później zastanawiała się, o której właściwie wróciła do domu. Chociaż odprowadziło ją jedenastu mężczyzn z Jimmym O'Neilem włącznie, nikt chyba nie miał pojęcia, która jest godzina. Było późno, ciemno, a ona jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie zmęczyła.

Taka była ostatnia myśl Maury, zanim zapadła w głęboki, czarny sen.

Coś ją zniecka zbudziło.

Poczuła, jak jej odprężone kończyny powoli przygotowują się do gwałtownego ruchu. Nie miała jednak najmniejszej ochoty opuścić swego sennego sanktuarium. Było zbyt wygodne i kojące, by je porzucić. Przypomniła sobie, jak zwała się na łóżko, nie mając siły nawet zdjąć z siebie ubrania, i uśmiechnęła się na wspomnienie wieczoru u Nesbitta. Purytańska, zawsze przykładna Maura dotrwała do zamknięcia pubu! Spędziła tam radosne chwile; wszyscy dookoła śmiali się i opowiadali rubaszne historie, a ona była jedną z nich. Na ten wieczór udało jej się zapomnieć o kłopotach, nie dumiała nad niczym ponurym, tylko cieszyła się towarzystwem.

Na dole rozległ się hałas.

Resztki snu ją opuściły. W całym domu paliły się światła. Zapomniła je zgasić. Ktokolwiek tam był, nie przejmował się możliwością spotkania jej na swojej drodze.

Serce podeszło jej do gardła i zaczęło bić tak, jakby przebiegła milę. Czy dobrze zamknęła drzwi? Przypomniła sobie chwilę manipulowania przy zasuwie, ale może nie do końca ją zaciągnęła? Stare zamki są kapryśne, a ten...

Natręt wchodził teraz po schodach. Była pewna, że jest mężczyzną. Chociaż starał się nie hałasować, schody skrzypiały głośniejsz niż pod jej ciężarem.

O, Boże! O Boże.

Jak w złym śnie, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. W gardle jej zaschło. Była sama, nie miała kogo zawołać na pomoc.

Miała wrażenie, że ożył senny koszmar z dzieciństwa: sama, zdana na łaskę losu w obcym kraju. Ale to było jeszcze gorsze, o wiele gorsze niż jej dziecięce lęki.

Teraz słyszała nadchodzącego mężczyznę tuż za drzwiami sypialni. Dlaczego nie zaryglowała drzwi albo przynajmniej zwyczajnie ich nie zamknęła? Były otwarte na oścież, każdego zapraszały do środka.

Mężczyzna przystanął, bo skrzypienie na moment ucichło, zaraz jednak rozległo się znowu.

- Proszę - powiedziała łamiącym się głosem. Ścisnęła w dłoniach krawędzie prześcieradła, gorączkowo rozglądając się po pokoju. Nie miała gdzie się ukryć.

Miała ochotę zacisnąć powieki, żeby nie widzieć intruza, lecz zmusiła się, by czuwać z otwartymi oczami. Jeśli miały to być ostatnie minuty jej życia, chciała być w pełni przytomna.

Mężczyzna wszedł do pokoju.

Nie знаła go, nigdy w życiu go nie widziała. Wiedziała to od pierwszej chwili. I miał na sobie dziwny strój - luźną białą koszulę, obcisłe spodnie do konnej jazdy i skórzane buty z cholewami po kolana. Włosy sięgały mu ramion, gęste i ciemne, związane na karku rzemykiem, a może kawałkiem brązowej tkaniny.

Rysów twarzy nie dostrzegła, bo, zajęty czymś, obrócił się do niej plecami. Taki człowiek zwraca uwagę, więc gdyby go już widziała, na pewno by go teraz poznała. Plecy miał szerokie, umięśnione. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie wiedział o jej obecności.

Mimo chaosu w głowie osiągnęła niezwykłą jasność myśli. Ten mężczyzna nie wiedział, że tu zamieszkała. Przecież dom długo stał pusty.

Intruz pochylił się. Przyjrzała się jego ruchom; były zręczne, zaskakująco zręczne jak na tak postawnego mężczyznę. Zerknęła na buty; lśniły nawet w przyćmionym świetle.

Odwrócił się, więc w końcu mogła zobaczyć jego profil i przynajmniej część twarzy. On tymczasem przeczesał dłonią włosy i niechcący uwolnił kosmyk z kucyka.

A potem odwrócił się jeszcze bardziej ku niej, zaciskając pięści w geście bezsilności. Miał zadziwiające oczy. Nie potrafiłaby określić ich koloru, ale były lśniące i ożywione. Promieniowały bystrością nawet z daleka. Rysy nieznajomego były wyraziste i bardzo męskie, choć

nieostre, czoło szerokie, bez zmarszczek, proste brwi o ton lub dwa ciemniejsze od rozjaśnionych przez słońce włosów. Nos miał klasyczny, nie zadarty jak u chłopca, lecz ukształtowany jak u dojrzałego mężczyzny, lekko asymetryczny, cechujący człowieka, który wie, że jest aktywny, może nawet hulaszczy tryb życia. Przygryzł wargę i Maura ujrzała błysk białych zębów.

O dziwo, mężczyzna jeszcze nie był świadom jej obecności. Chociaż na nią patrzył, nie przybrał zaskoczoności wyrazu twarzy, nie dał żadnego znaku, że zauważył ją, kulącą się na łóżku.

Wydawało się dziwne, że tak odziany człowiek mógł być złodziejem. Wyglądał raczej tak, jakby właśnie wrócił z konnej przejażdżki. Maura wyobraziła sobie nawet lekki zapach koni. Mężczyzna zaczął się do niej zbliżać. Omal nie krzyknęła, żeby uważał, bo na jego drodze stały dwie walizki.

Ale on nie potknął się, lecz przeniknął przez bagaże, a jego nogi były przez chwilę niewidzialne, póki nie stanął po drugiej stronie.

Wtedy Maura Finnegan zorientowała się, że intruz jest duchem.

Przysłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Po kilku drżących oddechach, które zaczerpnęła, nie odrywając oczu od zjawy, zauważyła niewyraźny kształt krzesła, prześwitujący przez tors mężczyzny. Przybysz przystanął, poruszył ramionami tak, jakby głęboko zaczerpnął tchu, i znów odgarnął ręką włosy z twarzy.

Maura odsłoniła usta.

- Dobry wieczór - wyszeptała.

Nie usłyszał jej. Powtórzyła powitanie zaskakująco pewnym i zdecydowanym głosem, nadal jednak nic nie wskazywało na to, by duch ją usłyszał.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytała go uprzejmym tonem ekspedientki.

Niespodziewanie duch opuścił sypialnię.

Bez zastanowienia zeskokczyła z łóżka i podążyła za nim, poruszał się jednak tak szybko, że goniąc go, omal nie poleciała na łeb, na szyję ze schodów. Tylko rozpaczliwe złapanie się balustrady uratowało ją przed upadkiem.

Zobaczyła jednak, jak duch wchodzi do żółtego pokoju.

- Dobry wieczór - powtórzyła jeszcze raz, przestępując próg pustego pokoju zaraz po nim. Mówiła już głośniejszym i pewniejszym głosem, przekonała się bowiem, że duch jej nie słyszy.

Zainteresował się tapetą, obmacywał ją silnymi palcami. Dłonie miał duże i ładne, Maura zauważyła jednak, że mały palec jego lewej dłoni jest nieco odstający i zakrzywiony.

- Miał pan złamany ten palec? - spytała. Z nerwów zaczęła chichotać. - Weź się w garść, Finnegan - mruknęła pod nosem, krzyżując ramiona na piersiach. W pokoju zapanował nagle straszny chłód, wilgotny i dojmujący.

Duch miał poważną minę i zachowywał się tak, jakby mu się śpieszyło. Zdawało się, że ciężko oddycha, ale Maura nie słyszała świstu powietrza, chociaż podeszła do przybysza na wyciągnięcie ręki. Mogła śledzić najdrobniejsze zmiany wyrazu jego twarzy i z pewnością usłyszałyby każdy wydany przez niego odgłos, gdyby to był mężczyzna z krwi i kości.

- Nie boję się ciebie - powiedziała i zdziwiła się w chwili, gdy te słowa jej się wyrwały, uzmysłowiła sobie bowiem, że są prawdziwe. - Chcę ci pomóc.

Duch zamarł, wszelki ruch ustał. Przez ułamek sekundy Maurze zdawało się, że ją usłyszał. Na tę myśl przeszył ją dreszcz. Już miała się znowu odezwać, ale duch wzdrygnął się i wybiegł z pokoju.

Zamrugnęła i po chwili dopędziła go na dole. Frontowe drzwi były otwarte na oścież, więc znów ją zastanowiło, czy przedtem je zamknęła. Nieproszony gość zbiegł po schodkach na ulicę i na chwilę się zatrzymał. Zerknął w lewo, potem w prawo i jakby się trochę odprężył.

Mama zauważyła, że włosy odrobinę mu się kręca, przynajmniej na końcu kucyka, tam gdzie dotykał pleców.

Zawrócił i chciał wejść po schodach z powrotem do domu, patrząc prosto na nią.

- Dobry wieczór - powiedziała, usuwając się, by zrobić mu miejsce.

Na wargach wykwitł mu niewyraźny uśmiech.

- A niech mnie! - powiedział tak cicho, że potem Maura nie była pewna, czy rzeczywiście słyszała jego głos, czy tylko wyczytała mu to z warg.

Nagle zatoczył się do przodu, jakby silnie uderzono go w plecy. Na jego twarzy odmalowały się zaskoczenie i gniew, a potem ból, straszliwe cierpienie.

- Czy pan jest ranny? - spytała strwożona.

Potknął się na schodach, wyciągając przed siebie ręce. Maura podbiegła do niego. Na plecach białej koszuli szybko powiększała mu się czerwona plama tuż poniżej miejsca, którego sięgał kucyk. Ale nie było widać nikogo innego, nie było słycać żadnego dźwięku. Maura zrobiła jeszcze krok w stronę ducha, leżącego na kamieniach w dziwnie wykręconej pozie.

I nagle duch znikł.

Obróciła się dookoła, gorączkowo szukając widziadła, ale na schodach zostało tylko kilka wyschniętych liści. Nic więcej. Jej duch znikł.

Pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się wyraźny zapach, nawet niejeden. Czuła woń kominka. Natychmiast podniosła wzrok i popatrzyła po dachach kamienic przy Merrion Square, z których każda miała staroświecki komin. Po drugiej stronie jezdni, pośrodku placu, był ogrodzony park z drzewami, kwiatami i ławeczkami.

Drugi zapach był ostry, metaliczny. Maura pamiętała go sprzed paru lat, z okropnego dnia polowania na kaczki. To był zapach krwi.

Oszołomiona, wróciła do środka, starannie zamknęła za sobą drzwi i upewniła się, że zasuwa jest na miejscu. Potem obeszła cały dom, metodycznie gasząc wszędzie światło. Do pokoi zaczynały się sączyć pierwsze zapowiedzi słonecznego blasku. Wkrótce należało wstać.

Jej zegarek pokazywał wpół do piątej. Jak długo trwała ta wizja? Nie wydawało jej się, by od chwili, gdy pierwszy raz ujrzała swojego ducha, minęło więcej niż pół godziny.

Jej ducha.

To śmieszne, pomyślała, potykając się o bagaż, przez który zjawa z łatwością przeniknęła. Myślę o nim jak o „moim” duchu. Opadła na łóżko całkiem skołowana. I mimo że właśnie była świadkiem zbrodni sprzed wieków, jakoś udało jej się zapaść w niespokojny sen.

Po przebudzeniu Maurze przychodziło do głowy tylko jedno logiczne wyjaśnienie: duch musiał być halucynacją. Miało to sens. Po pierwszym dniu spędzonym od świtu do nocy w Irlandii i zakończonym – co nie bez znaczenia – w pubie, naprawdę mogła sobie wyobrazić ducha. W dodatku nie byle kogo, lecz Fitzwilliama Connolly'ego.

Coś podobnego zdarzyło jej się, gdy studiowała w college'u. Zdawała wtedy końcowe egzaminy na przedostatnim roku i akurat miała za sobą dwie nieprzespane noce, bo przygotowywała się do zaliczenia statystyki. Idąc przez miasteczko uniwersyteckie na test, mijając figurę Matki Boskiej. I Matka Boska pozdrowiła ją uniesieniem dłoni.

Gdy Maura spojrzała ponownie w stronę figury, znów zobaczyła kamienną postać zastygłą w bezruchu. Nigdy nie dowiedziała się, jak było naprawdę, czy Matka Boska rzeczywiście przesłała jej pozdrowienie, czy po prostu brak snu i nadmiar kofeiny zrobiły swoje. Wiedziała tylko, że zdała śpiewając, co wprawiło ją w wielkie zdziwienie, by nie wspomnieć o zaskoczeniu profesora. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, co pomogło jej w osiągnięciu takiego sukcesu, czy godziny spędzone na nauce, czy święta figura. Tak czy owak stał się cud. A pewny w tym wszystkim był tylko wynik.

Może widzenie Fitzwilliama Connolly'ego miało podobną naturę. Doprawdy, śmiechu warte. I rzeczywiście Maura ubierając się, z włosami jeszcze mokrymi po wzięciu prysznic, kilka razy zachichotała.

Wyraźnie jednak ulegała czarowi tego domu, a jej wyobraźnia, pobudzona nowym otoczeniem, zaczęła pracować ze zdwojoną siłą. Było coś urzekającego w tym miejscu, w jego chropowatych ścianach i wyszczerbionych schodach, spaczonych drzwiach i starych popękanych okuciach, tak już wytartych, że bardziej przywodziły na myśl miękkie

starzejące się ciało niż nieożywiony mosiądz. Ten dom widział tyle życia, że nawet jego ściany wydawały się śmiertelne.

O jednym Maura była przekonana: należało zachować ten sen w tajemnicy. Charles MacGuire był, być może, człowiekiem chimerycznym, przede wszystkim był jednak prawnikiem. Gdyby zaczął w niej widzieć osobę umysłowo chorą lub pod jakimkolwiek względem nieodpowiednią, to zabezpieczenie majątku stanowiłoby jego święty obowiązek. Nie wątpiła, że za jednym pociągnięciem pióra straciłaby dom i Fabrykę.

Ruszyła w dół po schodach i właśnie wtedy zadzwonił telefon. Dźwięk był dziwny, metaliczny i ostry, zupełnie niepodobny do elektronicznego bzyczenia aparatów cyfrowych.

Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

– Maura! Czyli to działa... wspaniale!

Charles przywitał ją z takim entuzjazmem, że aż musiała odsunąć słuchawkę od ucha na wyciągnięcie ręki.

– Witaj, Charles – szepnęła z nadzieją, że zrozumie ten subtelny sygnał i zniży głos. Nic z tego.

– Dzisiaj rano kazałem włączyć telefon. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Czyżbyś się przeziębiła? Masz taki słaby głos.

– Nie. Czuję się dobrze.

– To znakomicie! Rozmawiał ze mną ten Donal Byrne, masz z nim dzisiaj zjeść lancz.

– Aha. No, dobrze. – Nie wiadomo czemu, myśl o spotkaniu z biznesmenem budziła jej niepokój. – Czy ty też tam będziesz?

– Nie. Sądzę, że najlepiej zrobicie, jeśli zaczniecie od omówienia sprawy w cztery oczy. Nieraz się przekonałem, że obecność radcy prawnego wyprowadza ludzi z równowagi. Życzę wam miłego lanczu... jestem pewien, że to on zapłaci rachunek.

Maura zaczęła bawić się przewodem.

– Gdzie mam się z nim spotkać? I jak go poznam?

- W tym ci nie pomogę. Nigdy nie widziałem tego faceta. Przypuszczam, że skoro jest Irlandczykiem, to musi mieć ten sam zabójczy wdzięk, do którego my wszyscy w swej skromności się przyznajemy.

Maura mimo woli parsknęła śmiechem.

- Poczynię jeszcze jedno założenie i powiem, że właśnie przypomniał ci się dowcip, który jest trochę zbyt pieprzny, by opowiedzieć go w mieszanym towarzystwie. Zaraz, zaraz, muszę poszukać, miałem gdzieś zapisane miejsce i godzinę. O, jest kartka, dokładnie tam, gdzie powinna być, pod kubkiem z herbatą. Masz się z nim spotkać dziś o wpół do drugiej. Żebyś nie miała kłopotów, wybrał hotel Shelbourne. Trafisz tam sama?

- Naturalnie, bez problemu. Czy jest coś, co powinnam o nim wiedzieć?

- Nic mi nie przychodzi na myśl. Po prostu dobrze się bawcie. Przy okazji powinnaś spróbować lososia... w Shelbourne świetnie go przyrządzają. I nie zapomnij o krewetkach po dublińsku, jeśli będą w jadłospisie. O, i jest też doskonała zupa...

- Może przyjdiesz tam coś dla mnie zamówić?

- To wspaniały pomysł! - Charles zachichotał. - Zadzwoń do mnie po południu i opowiedz, jak ci poszło i co sądzisz o jego ofercie. Nie mów „nie”, dopóki nie rozważysz dokładnie wszystkich możliwości.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Doceniam to, co dla mnie robisz.

- Nie ma za co dziękować, moja droga. No, to powodzenia. Gdy odłożyła słuchawkę, miała jeszcze trzy godziny do lanczu, postanowiła więc zwiedzić okolicę. Dzień był piękny, mgła prawie niezauważalna, a miasto tonęło w słonecznej purpurze.

W powietrzu unosił się świeży zapach, który nasilał się z każdym podmuchem wiatru. Maura spędziła trochę czasu w Merrion Square Park, a potem w Phoenix Park. Przeszła przez Half Penny Bridge, a potem minęła główną pocztę na O'Connell Street, której budynek wciąż

jeszcze nosił ślady kul po powstaniu wielkanocnym w 1916 roku. Przechodziła obok domów towarowych, księgarń i sklepów, w których nie było nic innego oprócz wełny i koronek.

Tuż przed dwunastą zerknęła na zegarek i uznała, że może jeszcze pospacerować. Wszędzie w mieście natykała się na brązowe posagi. Jeden z nich, u wylotu Grafion Street, przedstawiał przepupkę z piosenki, Molly Malone, chociaż kobieta z dwójką małych dzieci powiedziała Maurze, że dublińscy zwa go przeważnie „kózka u wózka”. Przy Half Penny Bridge również było kilka rzeźb, między innymi dwie kobiety siedzące na ławce, inaczej mówiąc „baboły i ich toboły”, a dalej rzeka z kobiecą twarzą pośrodku. Artysta chciał przedstawić w ten sposób matkę Irlandię, ale nieoficjalnie nazwano jego dzieło „dobrze pannie w wannie”.

Znowu spojrzała na zegarek i zdumiona zamrugała. Brakowało kwadransa do drugiej. Już była spóźniona.

– Nigdy się nie spóźniam – mruknęła pod nosem, próbując ustalić swoje położenie. Była kompletnie zdezorientowana, niechcący wzięła bowiem naroże Phoenix Park za St. Stephen's Green, a gdy pytała o drogę, za każdym razem dostawała inną odpowiedź i każdy rozmówca przekonywał ją, że podpowiada jej najlepszy skrót.

Zanim dotarła do hotelu Shelbourne, było parę minut po drugiej. Hol mimo bogatych zdobień sprawiał przytulne wrażenie. Georgiański splendor w najwygodniejszej z możliwych postaci. Maura stwierdziła, że dwa dni temu ze zmęczenia po podróży samolotem i nadmiarze wrażeń właściwie wszystko jej się zlało w jedną plamę. Teraz, mimo pośpiechu, natychmiast zauważyła, jaki kontrast tworzą pluszowe sofy i krzesła z zimnymi, ozdobnymi stiukami na ścianach i suficie.

Lekko zdyszana, przyglądała włosy i wyprostowała plecy.

– Dzień dobry – powiedziała do kierownika sali, który powitał ją z podwyższenia przy drzwiach. – Mam się tu spotkać z panem Donalem Byrne'em. Czy już przyszedł?

- O tak. Był już tu kwadrans po pierwszej.

Wspaniale, pomyślała. Że też musiała się spóźnić akurat wtedy, kiedy trafiła na jedyne punktualnego Irlandczyka.

W restauracji było pełno turystów, biznesmenów i krzątających się kelnerów. Zaprowadzono ją do stolika pod oknem, gdzie siedział samotny mężczyzna i czytał książkę.

Najpierw Maura zobaczyła plecy Donala Byrne'a; były szerokie. Poruszył się, gdy przewrócił stronę. Nawet w naturalnym oświetleniu włosy miał bardzo ciemne, jeśli nie czarne. O nogi krzesła, na którym siedział, opierała się bardzo kosztownie wyglądająca aktówka.

- Panie Byrne, przyszła panna Finnegan - powiedział kierownik sali, nieznacznie się skłonił i odszedł na swoje miejsce.

Zauważyła, że zanim pan Byrne wstał, wykonał nieznaczny ruch dłonią; zacisnął pięść.

- Panna Finnegan?

Nie wiedziała, kogo spodziewała się zobaczyć, ale na pewno nie mężczyznę, który teraz stał przed nią. Jego rysy wydały się Maurice znajome.

Donal Byrne zmierzył ją wzrokiem, ale jego oczy o niezwykłym odcieniu błękitu pozostały nieprzeniknione.

- Proszę, niech pani usiądzie. - Wskazał jej wolne miejsce, więc w milczeniu skinęła głową i skorzystała z zaproszenia, ale gdy chciała energicznie dosunąć się do stołu, omal nie straciła równowagi.

Byrne bez słowa wstał, obszedł stół i pchnął krzesło do przodu. Maura poczuła jego ciepłe ręce na oparciu.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwała się niepewnym głosem. - Straciłam rachubę czasu.

Bez słowa usiadł z powrotem na krześle.

Był bardzo przystojnym mężczyzną. Twarz miał prawie chłopcę, ale była to tylko kwestia cery, świeżej, czerstwej, przyciemnionej prawie niezauważalną opalenizną. Donal Byrne spędzał zapewne dużo czasu

pod gołym niebem, nie w siłowni. Może zajmował się jakimś sportem. W co mógłby grać? – zaczęła się zastanawiać Maura. W tenisa? Nie, na pewno nie. W piłkę nożną? Może. Ale tylko może.

– Mam nadzieję, że miło spędza pani czas w Dublinie, panno Finnegan. – Mówił też wspaniale. Miał zupełnie inny akcent niż ludzie, których dotąd słyszała, niż Charles, goście Nesbitta i – dzięki Bogu – Jimmy O'Neil. Akcent Donała Byrne'a był wyraźniejszy. Maura wyobrażała sobie, że właśnie tak powinni mówić prawdziwi Irlandczycy.

– Och, wręcz cudownie! – Nerwowo zachichotała. Jej głos uciekł w żenująco wysoki rejestr. Kilku gości zerknęło w ich stronę.

Kelner podał Maurze kartę, ale na razie nie miała ochoty nic wybierać. Jeszcze nie.

Donal Byrne zamknął książkę, którą czytał, czekając na pojawienie się niepunktualnej Amerykanki. Maura uśmiechnęła się do niego. Miał naprawdę interesujące oczy. Każda kobieta pozazdrościłaby mu takiego błękitu. Mimo to był niezaprzeczalnie męskim typem. Wszystko w nim było męskie, – od wyraźnie zarysowanej szczęki przez czarne, proste i surowe brwi po usta.

Trudno było oderwać wzrok od jego warg. Jeszcze się nie uśmiechnął, ale Maura nie miała wątpliwości, że uśmiech będzie zabójczy.

Tymczasem pochylił się i schował książkę do aktówki.

– Co pan czyta, panie Byrne?

Po co o to spytała?

Donal Byrne przez chwilę nie odpowiadał. Po prostu przenikał ją wzrokiem.

Nie odrywając od niej oczu, sięgnął w dół i z powrotem wyjął książkę. Wtedy Maura zauważyła, że mały palec jego lewej ręki lekko odstaje od sąsiedniego, bo jest trochę krzywy.

Gdzieś już coś takiego widziała...

Mocno popchnął książkę w jej stronę.

Uśmiechnęła się i przeczytała tytuł:

- O, „Mikroekonomia i europejski Wspólny Rynek”. To się musi czytać jednym tchem. - Kiedy zwróciła książkę, znów wsunął ją do aktówki. - Z niecierpliwością czekam na ekranizację. Słyszałam, że ma w niej zagrać Mel Gibson.

- Panno Finnegan, czy mogłaby pani zajrzeć do menu i coś zamówić. Byłem tu punktualnie i bardzo już zgłodniałem.

Rumieniec zalał jej policzki.

- Proszę mówić do mnie po imieniu. Nazywam się Maura.

Menu miało na szczęście dostatecznie duży format, by ukryć za nim twarz. Wpatrywała się tępo w litery, słowa bez żadnego znaczenia grupowały się również bez sensu. Obraz zaczął jej się zamazywać, jakby patrzyła na rysunek wykonany kredą, zmywany przez deszcz. Zaczęły ją piec oczy.

To śmieszne. Co się z nią działo? Dlaczego ten człowiek budził w niej lęk?

Kelner stał przy stole, z ołówkiem przygotowanym do notowania.

Donal Byrne odchrząknął, zanim się odezwał. Palcami bębnił po stole, ale gruba serweta tłumiała ten odgłos. Z bezpiecznej kryjówki za menu Maura obserwowała jego ręce: ciemne włosy na wierzchu dłoni i skrzywiony mały palec.

- Panno Finnegan, czy już się pani na coś zdecydowała? - odezwał się wciąż tym samym surowym, rozdrażnionym głosem.

Tak, pomyślała. Chciałabym, żeby był pan dla mnie uprzejmy.

- Może pan wybierze coś pierwszy, panie Byrne. - Nie zaproponował jej, żeby mówiła do niego Donal. Na to zwróciła uwagę.

- Dobrze. Na początek poproszę dublińską sałatkę z krewetek, a potem łososia z rusztu.

- Służę uprzejmie. A co dla pani?

- Dla mnie to samo. - Złożyła menu i zwróciła je kelnerowi.

- Proszę bardzo. Czy życzy pan sobie wino?

Maura znieruchomiała w oczekiwaniu. Może jeśli ten facet wypije trochę wina, to się rozchmurzy. Może przestanie sprawiać takie wrażenie, jakby budziła w nim wielką niechęć.

- Nie. Tylko wodę. Panno Finnegan, czy pani sobie coś życzy?

Miała ochotę zamówić podwójne martini.

- Nie, dziękuję. Woda wystarczy.

Gdy kelner odszedł, zapadło między nimi milczenie. Wreszcie Maura ponownie spróbowała nawiązać rozmowę.

- Jestem dość zdziwiona pańską punktualnością, panie Byrne. - Dlaczego, u licha, zaczęła nagle mówić z brytyjskim akcentem? Aż rozbolała ją szczęka od zaciskania zębów. - No, właśnie. Naprawdę jestem zdziwiona.

- Czyżby? - Pierwszy raz w jego głosie nie było tej szczególnej nuty.

- Chodzi o to, że, jak rozumiem, w Irlandii spotkanie o wpół do drugiej oznacza, że o wpół do drugiej zaczyna się myśleć o spotkaniu, kwadrans później wkłada się marynarkę i przychodzi na miejsce po drugiej.

Tak, właśnie. Czyż nie to samo powiedział jej Charles MacGuire, gdy spóźnił się do Mont Clare?

- Rozumiem. - Rozdrażnienie w głosie Donała Byrne'a wróciło. - Irlandia z pocztówki, wszędzie dookoła szczęśliwi ludzie w cylindrach koloru koniczyny bawią się do upadłego. Proszę pozwolić, że coś pani powiem, panno Finnegan. Wychowano mnie w małym mieście na zachodzie, które wy, jankesi, nazwalibyście malowniczym. Codziennie przejeżdżały przez moje miasteczko autokary z wycieczkami, a niebieskowłose paniusie ze Stanów robiły zdjęcia plastikowymi aparatami fotograficznymi, żeby wysłać je do przyjaciółek w... zaraz, skąd pani jest?

- Z Wisconsin - szepnęła Skinął głową.

- Żeby wysłać je do przyjaciółek w Wisconsin.

Postanowiła, że się nie rozplacze. Nie zrobi mu tej satysfakcji.

Nie będzie płakać.

Właśnie wtedy kelner postawił przed nią czarę pełną ohydny. Były tam szczypce, oczy jak koraliki i ogony skorpionów.

Krzyknęła.

Kelner przystanął i zerknął na Donalą Byrne'a.

- Pani krewetki - powiedział.

W restauracji zapadła śmiertelna cisza; wszyscy patrzyli prosto na nią.

- Och, naturalnie. - Próbowала zachować resztki godności. - Nie spodziewalam się... - Co mogła w tej sytuacji powiedzieć? Że nie oczekiwała wysokiego naczynia, wypełnionego po brzegi potworami z filmu science fiction? Że oczekiwała koktajlu, a nie czegoś żywcem wyjętego z filmu o Godzilli? - Dziękuję - powiedziała w końcu.

Była tak zawstydzona i upokorzona, że nie zauważyła uśmiechu, który zaigrał na wargach Donalą Byrne'a. Gdyby go dostrzegła, stwierdziłaby, że nie omyliła się ani trochę.

Ten uśmiech istotnie był zabójczy.

Maura Finnegan była zupełnie nie taka, jak się spodziewał. Donal Byrne nalał sobie do szklaneczki czystej whisky Jameson i usiadł na zniszczonym krześle, swoim ulubionym. Wprawdzie ani trochę nie pasowało do reszty mieszkania, ale lubił jego wygniecione kształty oraz wytartą tapicerkę poręczy i oparcia w ohydnej mieszance kolorów pomarańczowego i oliwkowego. Przypominało mu dom.

Kiedyś myśl o domu dawała mu poczucie bezpieczeństwa, ale to było dawniej, gdy jeszcze mieszkał w Monachium. Od powrotu do Dublinu sny znowu zaczęły go dręczyć, niejasne jak zawsze, ostatnio jednak jeszcze bardziej przerażające. Za studenckich czasów zawsze sądził, że te koszmary są skutkiem przepracowania, lecz teraz odczuwał w nich najprawdziwszy strach, nie o siebie, ale o kogoś innego. Może o matkę? Nie. Nie w tych snach. Już nie.

Upił łyk whisky, potem jeszcze jeden. Maura Finnegan. Nie wiadomo czemu, Charles MacGuire dał mu do zrozumienia, że ta kobieta jest całkiem przeciętną Amerykanką, młodą, lecz przeciętną. Gdy wreszcie przyszła do hotelu Shelbourne, Donal osłupiał.

Maura była piękna.

Nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, w każdym razie nie przyciągała wzroku typową urodą jankeski. Wydała mu się bardziej irlandzką pięknnością, wyidealizowaną, z bardzo jasną karnacją skóry, zielonymi oczami i włosami, które u kogo innego wydawałyby się stanowczo za rude. U niej wyglądały doskonale.

Oczywiście miała również lśniące – amerykańskie – zęby. Jak to jest z tymi zębami? Czy wszyscy Amerykanie mają je proste i nieskazitelne?

W każdym razie jeśli Charles MacGuire miał choć odrobinę zawodowej uczciwości, powinien był go ostrzec przed wyglądem tej dziewczyny. No nie, coś tam jednak powiedział. Co takiego?

– Uwważaj na dziedziczkę, chłopie. Robi wrażenie.

MacGuire powiedział o niej tylko, że jest zachwycająca i ma nieprzeciętną osobowość. Tu właśnie Donala zawiodło wyczucie. Według jego doświadczeń wszystkie kobiety, którym przypisywano „nieprzeciętną osobowość”, zazwyczaj miały najrozmaitsze fizyczne niedoskonałości. Najczęściej był to wyraźny wąsik nad górną wargą, czasem krzywe nogi albo zez.

Ale nie Maura Finnegan.

Chciał mieć tę fabrykę, Maiden Works Furniture. Nie, to było coś więcej niż chęć. Potrzebował tej fabryki, żeby urzeczywistnić swój sen. Jego przyszłość była związana właśnie z Maiden Works. Fabrykę należało zmodernizować, zamówić do niej nowe maszyny, najlepiej w Irlandii, i koniecznie zatrudnić do ich obsługi Irlandczyków.

W ten sposób zyskałby możliwość, jakiej wielu ludzi – podobnie jak on do tej pory – nie miewa. Mieszkałby w rodzinnym kraju i pracował

na miejscu, zamiast jechać w poszukiwaniu pracy do Anglii, Australii lub, niech Bóg broni, Stanów Zjednoczonych.

Po skończeniu uniwersytetu Donalowi niewiele brakowało do przymusowej przeprowadzki do Bronxu. Jego kuzyn, doktor fizyki, już tam mieszkał i nielegalnie pracował jako barman. W Stanach były tysiące Irlandczyków bez zielonych kart, którzy pracowali jako opiekunki do dzieci, barmani, kelnerki. Wielu z nich miało za sobą przynajmniej parę lat uniwersytetu.

Do Donala uśmiechnęło się szczęście. Już miał pakować manatki, by przenieść się do Bronxu, gdy zaproszono go na spotkanie w sprawie pracy do Monachium. Po trzech kolejnych rozmowach dostał posadę w niemieckiej firmie farmaceutycznej. Siedział tam prawie dziesięć lat i ciężko harował codziennie do późna i w weekendy.

Opląciło się. Firma nabrała do niego dostatecznego zaufania, by poprzeć jego propozycję zainwestowania w Irlandii.

Potrzebował właśnie takiej firmy jak Maiden Works. Fabryka stała na skraju bankructwa, gotowa do przejęcia. Budynek nie był zbyt duży, ale beznadziejnie przestarzały. Należało sądzić, że z nowym wyposażeniem i nowym personelem modernizacja nie będzie trudna. Ktoś musiał tylko tym pokierować, mieć docelową wizję, no, i naturalnie nie mało gotówki. Donal spełniał te warunki. Brakowało mu jeszcze tylko prawa własności fabryki, ale zdobycie go wydawało mu się najłatwiejszym zadaniem.

Wreszcie mógł zamieszkać w Irlandii na stałe. Liczył, że może któregoś dnia ożeni się z Irlandką, która rozumie i wyznaje irlandzkie wartości.

I nagle zjawiała się ta Amerykanka.

W odróżnieniu od wielu swoich znajomych Donal nigdy nie lubił Amerykanów, a szczególnie tych irlandzkiego pochodzenia. Ci byli wyjątkowo uciążliwi, kapryśni, narzekali na ciepłe piwo, zawsze prosili o kostki lodu do drinków i pstrykali tymi cholernymi aparatami

fotograficznymi. Mówili bardzo głośno, jakby Irlandczycy byli głusi. Mężczyźni co do jednego nosili spodnie z nisko opuszczonym pasem, a kobiety ubierały się w jaskrawe sweterki i sprawiały wrażenie absolutnie zauroczonych dzianinami, popielniczkami i szalami, na których maszynowo wykonano wzory oparte na motywach celtyckich.

W restauracjach chcieli jeść po swojemu, meldowali się w hotelach i oczekiwali amerykańskiej obsługi. Donal wiele razy słyszał opowiadania o właścicielach kwater prywatnych, którym tacy goście dopieklili do żywego.

Jeśli chcą, żeby wszystko było amerykańskie, to dlaczego, u diabła, w ogóle ruszają się z domu?

Świat dla takich jest czymś w rodzaju prywatnego parku rozrywki. Wszystko jest po to, żeby oni mogli się bawić. Donal jednak nigdy nie miał zrozumienia dla tej mentalności i nawet nie próbował jej zrozumieć.

Biedna Maura Finnegan. Ale zrobiła minę na widok sałatki. Musiała oczekiwać najwykleszych w świecie krewetek, a nie piętnastocentymetrowych langustynek.

Mimo wszystko musiał przyznać, że otrząsnęła się z szoku szybko, a potem zrećnie podpatrzyła jego sposób radzenia sobie ze skorupiakami. Donal zwrócił też uwagę, że dziewczyna stara się nie patrzeć na oczy langustynek.

Co tam. Panna Finnegan wkrótce znajdzie się z powrotem w swoim Wisconsin, a fabryka będzie należeć do niego. Jej pozostanie prowadzenie kapuścianego interesu po ojcu.

Może powinien był wspomnieć o śmierci jej ojca, ze zwykłej uprzejmości złożyć kondolencje, skoro stało się to nie dalej jak w zeszłym roku. Ze słów MacGuire'a, wynikało, że Maura była tym zdruzgotana. Ale Donalowi nie wolno było przesadnie się rozczulać, zwłaszcza nad kimś, kto stał mu na drodze. W ten sposób tylko by

namacili. Nie mógł pozwolić na to, żeby uczucia, wszystko jedno czyje, zatrzymały go w drodze do celu.

Należało wyrzucić z głowy myśli o tym, jak potraktował pannę Finnegan podczas lanczu. Bo gdyby zaczął o tym rozmyślać, z pewnością głęboko by się zawstydził. Przy końcu posiłku odpowiadała mu na pytania już tylko monosylabami i poprosiła, by dał jej ofertę kupna na piśmie, żeby mogła ją przemyśleć.

Za nic nie wolno mu było zwracać uwagi na jej kobiecość. Była Amerykanką i kobietą interesów. I przeciwnikiem.

Właśnie dlatego pozwolił jej zapłacić za lancz. Sądził, że w ten sposób wyrównuje stan meczu, jeśli można tak powiedzieć, okazało się jednak, że panna Finnegan była szczerze zdziwiona. Potem, gdy przypomniał sobie jej dyskretnie zerknięcie do portfela, pojął, że mogła się niepokoić, czy ma dość pieniędzy.

Mniejsza o to. Kobiety zawsze narzekają na brak równouprawnienia. Dał jej więc próbkę tego, czego chcą.

Gdyby była mężczyzną, Donald bez wątplenia zapłaciłby za lancz. To oczywiste. Przecież propozycja wyszła od niego i on prosił o spotkanie. Dlatego powinien pokryć koszty.

- Cholera! - mruknął pod nosem.

Musiał jakoś jej to wynagrodzić. Może znowu zaprosić ją do restauracji, najlepiej eleganckiej, i tym razem pokazać się z jak najlepszej strony?

- Cholera!

Choć był poirytowany swoim zachowaniem i sytuacją, poczuł, że nie może się nie uśmiechnąć.

- Nie obchodzi mnie to, Charles. Odrzucam jego ofertę. To jest ordynus.

Maura rozkładała w kuchni zakupy, owijając się kablem telefonicznym. Wreszcie zniecierpliwionym gestem uwolniła się z opłotu. Czekala na odpowiedź.

- Niech sobie będzie ordynusem, ale pamiętaj, że to jest bardzo dobrze ustawiony ordynus, moja droga, a innych ofert możesz nie dostać. Nigdy nie lekceważ wagi gotówkowego zaplecza. Z takim atutem nawet odrażający facet może nagle wydać się cudowny.

Wolałaby raczej zatrzymać tę fabrykę, niż sprzedać ją temu Byrne'owi. Trudno, będzie musiała gdzie indziej znaleźć pieniądze na ratowanie firmy ojca.

- Czy powiedziałam ci, że on mi kazał zapłacić za lancz? Na miłość boską, Charles, ledwie starczyło mi pieniędzy na pokrycie rachunku. I tak muszę wrócić do Shelbourne, żeby dać kelnerowi przyzwoity napiwek.

- Prawdę mówiąc, jestem dość zdziwiony, że nie zapłacił za lancz. Pewnie chciał ci w ten sposób coś pokazać.

- Że jest ordynusem? - W tej chwili kabel telefonu zaczepił o karton mleka, który wypakowała z siatki, i na poźółkłej wykładzinie pojawiła się wielka kałuża.

Charles roześmiał się, a zanim zakończyli rozmowę, jeszcze raz poradził Maurze, żeby dobrze rozważyła ofertę. Obiecała, że to zrobi, ale w duchu podjęła już decyzję. Nie było sensu dalej zaprzętać sobie głowy. Im mniej będzie miała do czynienia z Donalem Byrne'em, tym lepiej. Pozostawało jej tylko wymyślić inne rozwiązanie dla kłopotów finansowych jej firmy w Wisconsin.

W Stanach głupio by się czuła, tak wcześnie idąc na spoczynek. Tu jednak, mimo czterech filiżanek herbaty wypitej do obiadu, miała klejące się oczy już kwadrans po dziewiątej. Była zmęczona fizycznie, a co ważniejsze - psychicznie.

Poczula miękkość flanelowej koszuli nocnej i miły zapach świeżej pościeli, którą kupiła. Z westchnieniem zgasiła światło, nawet nie próbując przeczytać choćby strony czytadła, wciąż nietkniętego.

Po pewnym czasie się ocknęła.

Tym razem nie była zdezorientowana. Odgłos kroków na schodach wcale jej nie przstraszył. Raczej nieco zdziwił. Nie sądziła, że duch nawiedzi ją znowu.

Zanim wszedł do sypialni, otrząsnęła się z resztek snu. Na wszelki wypadek spróbowała sobie przypomnieć, którą koszulę nocną wyjęła z walizki. Bez patrzenia na siebie doszła do wniosku, że tę czerwono-niebieską z flaneli.

Zerknąwszy pod koc, przekonała się, że się nie myli. Może to jednak działo się naprawdę, może to nie był sen?

Kroki były równie sprężyste jak poprzedniej nocy, gesty przybysza też takie same. A jednak coś się zmieniło.

- Dobry wieczór - powiedziała odważnie. - Miło mi znów pana zobaczyć.

Zatrzymał się na chwilę, a potem przeszedł na drugą stronę pokoju, tak samo jak za pierwszym razem. Nie mogła sobie przypomnieć, czy i wtedy przystanął po drodze.

Duch albo był dzisiaj bardziej materialny, albo po prostu zauważyła nowe szczegóły. Luźna biała koszula miała sznurowane mankiety. Na spodniach był widoczny szew, a buty wydawały się tak lśnić, że przy każdym kroku odbijały wiązkę światła.

Znów przystanął i przez ulotną chwilę zdawał się patrzeć prosto na Maurę. Właśnie wtedy zauważyła kolor jego oczu. Były piwne, ale tak głębokie, że wydawały się prawie czarne.

Gdy opuszczał sypialnię, była już na nogach. Mijając go, zastanawiała się, dlaczego właściwie nie boi się ducha. Poprzedniej nocy wystraszyła się, bo sądziła, że to włamywacz.

To dziwne, ale spotkanie z duchem wydawało jej się mniej przerażające niż z żywym człowiekiem, a zwłaszcza mężczyzną.

Tym razem zatrzymała się na chwilę, by włożyć kaptcie.

- Hej, poczekaj! - zawołała.

Gdy go dognała, był w pustym żółtym pokoju. Zmarszczył czoło, jakby zdziwił go brak mebli, a potem odwrócił się do drzwi i przemknął tuż obok Maury. Żachnęła się, gdy musnął jej ramię, odniosła bowiem takie wrażenie, jakby powiał zimny wiatr.

Schodami na parter szła krok w krok za duchem.

- Nie wychodź na dwór - szepnęła.

On jednak skierował się prosto do drzwi.

- Nie, proszę. - Wyprzedziła go i dopadła ich pierwsza. Oparła się o nie, barykadując je całym ciałem. - Nie możesz tam wyjść.

Miał bardzo zdecydowany wyraz twarzy i wydawał się obojętny na jej błagania. Położył rękę na klamce.

- Nie! Nie możesz wyjść!

Odskoczył do tyłu, a w jego ciemnych oczach odmalowało się gigantyczne zdumienie.

- Co, u... - zaczął.

- Nie możesz wyjść!

Na jego twarzy wykwitł uśmiech. Duch powoli skrzyżował ramiona.

- Kim jesteś, u diabła, moja luba?

Maura nieznacznie pochyliła się do przodu.

- Widzisz mnie? - zapytała cicho, choć nie spodziewała się odpowiedzi.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i pochylił się ku niej tak, że dostrzegła zaczątki świeżego zarostu na jego twarzy.

- Widzę - odszepnął. - Nie tylko cię widzę, ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, co, do jasnego pioruna, robisz w moim domu.

Maura wpatrywała się w niego i nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

- No, co? Przed chwilą trajkotałaś jak najęta, a teraz zapomniałaś języka w gębie.

To się nie mogło dzieć naprawdę. Nieprawdopodobne. To przekroczyło granice najbardziej obłądnych sennych wizji.

Tylko dlatego czuła obecność tego ducha, chłód, który go otaczał? I dlatego słyszała jego głos, stanowczy i władczy?

- Ja... ja... - bąknęła.

- No, słucham. - Wydawał się całkiem rozbawiony jej zmieszaniem. Przystąpił z palców na pięty.

Nagle Maura uzmysłowiła sobie absurdalność tej sytuacji. Rozmawiała z duchem, który czekał na odpowiedź. Po chwili wahania odwzajemniła jego uśmiech.

- Nigdy mi nie uwierzysz. - Zdumiona pokręciła głową.

- Skąd jesteś? Masz przedziwny akcent.

Już miała odpowiedzieć, gdy zrozumiała, że on najwyraźniej nie wie o swojej śmierci. Dla niego wciąż był rok 1767, a dom stanowił jego własność. Czy powinna spróbować mu wytłumaczyć, że w rzeczywistości zginął ponad dwa stulecia temu?

Nie. Jak mogłaby?

A potem pomyślała coś jeszcze: może to ona, Maura Finnegan, jest duchem. Może gdyby otworzyli drzwi, okazałoby się, że w Dublinie jest rok 1767.

- Pochodzę z kolonii - powiedziała w końcu.

- Czyżby? A skąd dokładnie? - Sceptycyzm bił z każdego jego słowa.

- Eee... - Zawahała się. Jaka odpowiedź miałaby sens w 1767 roku? Na pewno nie mogła powiedzieć, że pochodzi z Wisconsin.

Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć książkowe wiadomości o kolonialnej Ameryce, ale przychodziła jej do głowy tylko powieść, którą czytała w piątej klasie, „Johny Tremain”. – Z Bostonu – powiedziała w końcu – Jestem z Bostonu.

– Ach, z Bostonu? Znam to miasto osobiście. Może mamy wspólnych znajomych?

– Nie sędzę. Nie byłam tam już dosyć dawno. – Przemknęło jej przez myśl, żeby wspomnieć Johny'ego Tremaina. Było to przynajmniej konkretne nazwisko, a mogłaby jeszcze dodać, że jest on czeladnikiem u jubilera.

Nie wydawało się jednak prawdopodobne, by dorosła kobieta z Bostonu mogła pamiętać wyłącznie nazwisko dorastającego chłopca z kaleką ręką, w dodatku fikcyjnego.

– Rozumiem. – Przez chwilę milczał, oddał się bowiem szczegółowym oględzinom jej osoby. – Czy to jest ostatnia bostońska moda?

– Och. – Dłoń Maury znalazła się w miejscu, gdzie pod szyją kończył się rząd guzików zwykłej flanelowej koszuli. Rąbek koszuli nie sięgał kostek, wystawały więc spod niego kapcie, a właściwie stare mokasy.

Właśnie wysiłła umysł, żeby powiedzieć coś sensownego, gdy jej rozmówca zaczął się śmiać. Cichy chichot szybko przeszedł w rechotanie.

– Dobrze zagrane, moja pani! Naprawdę dobrze.

Wciąż przytrzymując koszulę pod szyją, uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dziękuję – odrzekła niepewnie.

– No, to gdzie ona jest?

– Gdzie jest kto?

– Kitty! Wiem, że to ona cię do tego namówiła, nie kto inny jak moja Katherine! Takiego dobrego żartu jeszcze dotąd nie wymyśliła.

- Ach, Kitty. - Maura udala, że się za nią rozgląda. - Nie wiem, dokąd poszła. Ale czy to nie jest do niej podobne, że tak znika?

Duch znieruchomiał; uśmiech mu stopniał.

- Nie masz pojęcia, o kim mówię, prawda?

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo kłamiesz jak najęta, pani. Czy byłaś kiedykolwiek w Bostonie? Albo w ogóle w koloniach?

- Naturalnie!

- Założę się, że nie postawiłaś stopy dalej niż pięć mil od Dublina. Ten akcent wstrętne udajesz. - Skrzyżował ramiona na piersiach i zmierzył Maurę wzrokiem. - Co naprawdę robisz, pani, w moim domu? Nie wydajesz mi się pospolitą złodziejką.

- Nie jestem złodziejką.

- Wyborne! To jest pierwsze prawdziwie pobrzmiwające zdanie, które od ciebie słyszę. Czyli nie jesteś złodziejką. Jak się nazywasz, jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką śmiałość i spytać?

- Jestem Maura Finnegan. - Już chciała wyciągnąć do niego rękę, gdy uświadomiła sobie, że jej rozmówca prawdopodobnie jest zwykłą parą wodną. Szybko cofnęła dłoń i zmarszczyła czoło.

- A ja Fitzwilliam Connolly. - Nieznacznie się przed nią skłonił. - Ale przypuszczam, że to już wiesz.

Maura skinęła głową.

- Zgadłam.

- Rozumiem, panno Finnegan. „Panno”, prawda?

- Tak, ale proszę do mnie mówić „Mauro”.

- Mamy sobie mówić po imieniu? Nasza znajomość rozwija się zadziwiająco szybko. Dlatego zanim wyrosną między nami jakiegokolwiek nieporozumienia i uśmiercą wzajemną sympatię, która jeszcze nie zdążyła rozkwitnąć, proszę mi powiedzieć, co pani robi w moim domu o tej dziwnej godzinie.

Tysiące myśli przemknęły jej przez głowę, rozważała najrozmaitsze preteksty, które tłumaczyłyby jej obecność, ale żaden nie był dostatecznie prawdopodobny. Mogła powiedzieć, że jest daleką krewną albo, na przykład, zagubionym podróżnym, co nawet mniej mijałoby się z prawdą, ale w końcu i tak nie umiałaby wyjaśnić powstałej sytuacji.

Nic z tego nie złożyłoby się w całość sensowną dla Fitzwilliama Connolly'ego.

- Czy na pewno chcesz usłyszeć prawdę?

- Moja panno - westchnął - obawiam się, że zrobiłem już wszystko co w mojej mocy, żeby usłyszeć prawdę, może z wyjątkiem błagania.

- Prawda ci się nie spodoba.

- Już się przygotowałem na taką możliwość. W tej chwili nie widzę zresztą wyjaśnienia, które mogłoby mi się spodobać.

- Może najpierw usiądziesz?

Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie, wzrok mu spochmurniał.

- W moim własnym domu proponuje mi się, żebym usiadł? Nie, postoję. I ostrzegam, panno Finnegan, że szybko tracę cierpliwość.

- Mauro.

- Niech będzie: Mauro. Powiesz mi więc? Teraz?

Maura odchrząknęła.

- Przykro mi, że właśnie ja muszę ci to powiedzieć... Nawiasem mówiąc, jak się czujesz? Czy nie masz zawrotów głowy albo czegoś podobnego?

- Owszem, zaczynam czuć się dziwnie - przyznał.

- Naprawdę? To znaczy jak?

- Jeszcze nigdy nie miałem najmniejszej ochoty, żeby uderzyć kobietę albo zacisnąć dłoń na jej szyi, a w tej chwili trudno mi myśleć o czymkolwiek innym.

Maura cofnęła się o krok, żeby znaleźć się poza jego zasięgiem, i odezwała się tak obojętnym tonem, na jaki tylko umiała się zdobyć:

- Dobrze, wobec tego usłyszysz prawdę. Jesteś martwy. Jesteś duchem. Zjawileś się w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym, a ja jestem właścicielką zarówno tego domu, jak i fabryki. A ty straszysz w tym miejscu, ponieważ zamordowano cię na schodkach przed domem...

Rysy jego opanowanej twarzy nagle wykrzywiła wściekłość. Rzucił się, by chwycić ją za ramię.

- Ty diablico! Każe...

Ręka ducha przeniknęła przez, rękaw Maury. Oboje znieruchomieli. Po chwili ponowił próbę. Tym razem Maura poruszyła się w jego stronę, ręka przeniknęła więc przez jej tułów.

- Przykro mi - szepnęła, widząc, jak Fitzwilliam, wielce zmieszany, wpatruje się w swoją dłoń z miną zdradzonego człowieka.

- To musisz być ty - burknął. - To ty nie istniejesz. Przypominam sobie, że widziałem cię we śnie. To ty jesteś zjawą.

Mówiąc to, zaczął rozglądać się po domu. Jego głos tracił przekonanie z każdą żarówką, każdym kontaktem i każdym innym śladem współczesności, które wpadały mu w oko.

- Co się stało? - spytał cicho. - Widzę meble z moich czasów. Ale to są cienie, przesłonięte cienie.

- Przykro mi.

Jego mina budziła najwyższe współczucie, wyrażała zagubienie i smutek. Maura wiedziała, że nie zapomni tego widoku do końca życia.

- Niemożliwe - rzekł Fitzwilliam i zamknął oczy. - Kto mnie zamordował?

- Nie pamiętam jego nazwiska. To był, zdaje się, twój przyjaciel.

Natychmiast uniósł powieki.

- Przyjaciel? - W jego głosie zabrzmiał przekorny ton. - Przypomnij mi, Mauro, żebyśmy skreślił go z listy gości na przyjęcie bożonarodzeniowe.

Przez jego ciało ujrzała schody.

- Zaczynasz blednąć.

Tylko skinał głową, z każdą chwilą stawał się bowiem mniej wyraźny, aż w końcu jego sylwetka stała się prawie niewidoczna.

- Do widzenia - powiedziała, lecz nikt jej nie odpowiedział. Została sama.

Zbliżał się świt. Gdy wracała do sypialni, ciało ciążyło jej przy każdym kroku. Zastanawiała się, czy Fitzwilliam znikł na zawsze, czy wróci.

Tuż przed dziewiątą rano zadzwonił telefon.

- Halo, czy to panna Finnegan? - Głos w słuchawce mgliście kojarzył się z czymś Maurze.

- Tak, słucham.

- Mówi Donal Byrne. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojemu telefonowi. Charles dał mi pani numer.

Nie odpowiedziała, a on wydał z siebie bliżej nieokreślony, głośny dźwięk. Czyżby parsknął śmiechem?

- Jest tam pani jeszcze? Wcale nie miałbym pretensji, gdyby wyrzuciła pani aparat telefoniczny przez okno z nadzieją, że polecę za nim.

- Czym mogę służyć, panie Byrne? - Maura ledwie poznała swój głos.

- Jestem winien przeprosiny. Czy zechce mi pani wybaczyć moje wczorajsze odrażające zachowanie?

- Może pan uznać przeprosiny za przyjęte. Ale nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Dziękuję za telefon i do widzenia. - Chciała odłożyć słuchawkę.

- Nie, nie, chwileczkę!

Maura z ociąganiem ponownie przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Tak?

Tym razem roześmiał się bez wątpienia. Usiłowała wytrwać w surowości, ale jego śmiech był tak rozbrajający, tak ujmujący, że mimo woli się uśmiechnęła.

– Proszę dać mi szansę nadrobienia mojego *faux pas*. Dałem bardzo złe świadectwo irlandzkiej gościnności.

– Jeśli pan sobie przypomina, panie Byrne, to ja zapłaciłam rachunek w restauracji. Oznacza to, że właściwie należy mówić o mojej gościnności.

– Och, zasłużyłem sobie na to. Czy zechce pani zjeść ze mną kolację dziś wieczorem?

– Nie wiem, panie Byrne. Nie jestem pewna, czy mam dość gotówki.

– Au! Na to też sobie zasłużyłem. Ale obiecuję, że tym razem to ja płacę za wszystko. Aha, czy jest pani zainteresowana teatrem?

– Może – powiedziała nieodgadnionym tonem.

– Mam na dziś wieczór dwa bilety do Abbey, grają „Szelmę z zachodnich rubieży” Johna...

– Johna M. Synge'a! Och, bardzo chciałabym to obejrzeć! – Maura wyprostowała się i natychmiast stonowała swój entuzjazm. – A ile będę musiała zapłacić za bilety?

– Ceną będzie zjedzenie ze mną kolacji przed przedstawieniem. I powstrzymanie się od jakichkolwiek rozmów o interesach. Przyjdzie pani?

– A co pan zrobi, jeśli powiem „nie”?

– Do końca życia będę chodził z głową, spuszczoną ze wstydu.

– Hm. To bardzo kusząca perspektywa.

Donal Byrne znowu się roześmiał.

– No, niech będzie – zgodziła się Maura. – Pójdę.

– Dziękuję. Przyjadę po panią około piątej, jeśli nie będzie za wcześnie. Pomyślałem, że najpierw pokażę pani kilka ciekawych miejsc. – Najwyraźniej wcale nie miał ochoty na zakończenie tej rozmowy i

Maura myślała o jego zakłopotaniu z głęboką satysfakcją. – Co pani będzie dzisiaj robić?

– Jeszcze raz pojedę do fabryki, a potem zbiorę trochę informacji.

– Informacji. O czym? Nie, nie, proszę pozwolić, że sam zgadnę. Zamierza pani zbadać swoją irlandzką przeszłość, poszukać korzeni.

– Mniej więcej. Zamierzam znaleźć wszystko co możliwe na temat Fitzwilliamia Connolly'ego.

– Naprawdę? – Donal Byrne przez chwilę milczał. – Podczas studiów napisałem o nim kilka artykułów. Zostały mi z tego czasu książki, a artykuły też zapewne gdzieś mam. Czy wziąć je z sobą?

Zaskoczył ją. Był to przejaw uprzejmości, może nawet niewymuszonej troskliwości. Ten mężczyzna wyraźnie chciał się popisać swymi zaletami towarzyskimi.

– Chętnie skorzystam. Dziękuję.

– Nie ma za co. Aha, warto wpaść do Muzeum Narodowego. Jest niedaleko pani domu. W głównej sali wisi bardzo duży portret Connolly'ego. Ogląda się go z takim wrażeniem, jakby stanęło się twarzą w twarz z człowiekiem. No, to do zobaczenia o piątej.

– Do zobaczenia. Będę gotowa do wyjścia.

– A czy myśli pani, że miałbym prawo robić pani kwaśne uwagi, gdyby okazało się inaczej? Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, zanim Maura znalazła ciętą ripostę.

Odczuła z tego powodu pewną ulgę. Do Donala Byrne'a w dobrym humorze było o wiele trudniej się dostosować niż do Donala Byrne'a w złym nastroju.

Zapłaciła taksówkarzowi, mając wzrok wbity w fabrykę.

Po dokładniejszym obejrzeniu jej przekonała się, że budynek z odrapanym szyldem „Maiden Works Furniture” jest znacznie większą rudera, niż wydało jej się za pierwszym razem.

Znowu przyjechała w porze picia herbaty, chociaż godzina była inna niż poprzedniego dnia. Grupka robotników siedziała i popijała herbatę z cynowych kubków.

Jimmy O'Neil powitał ją skinieniem ręki. Założyła, że jest to gest powitania, znów bowiem powiedział coś w zupełnie niezrozumiałym języku. Zwróciła się do innego człowieka, mającego na głowie tweedową czapkę tak startą, że aż lśniącą.

- Przepraszam, dlaczego w fabryce jest tak mało ludzi?

Mężczyzna zwlekał z odpowiedzią.

- Ech, wie pani, jakaś choroba się do nas przyczepiła. Tak, to musi być to.

- Jaka choroba?

- To, zdaje się, zależy od człowieka. Jedni są chorzy na brzuch, inni na głowę. Tak, to zależy.

Dopiero gdy porozmawiała z innymi pracownikami, odkryła prawdę. Jeden z zatrudnionych, niejaki Kermit McGee, poszedł na zwolnienie. Okazało się, że był on dla większości załogi głównym powodem regularnego przychodzenia do pracy. Gdy rozeszła się wiadomość, że Kermita nie będzie, wybuchła epidemia tajemniczej choroby.

Cała fabryka stanęła, bo jeden człowiek poszedł na zwolnienie.

Niby było to oburzające i dowodziło absolutnego braku odpowiedzialności ze strony dużej części załogi, ale Maura mimo woli uległa rozbawieniu, nawet trochę się wzruszyła. Ci ludzie długo pracowali razem, więc połączyły ich więzi sięgające daleko poza fabryczne mury.

Realia były zresztą takie, że nie starczało pracy dla wszystkich, więc ludzie nie mieli co robić i stąd ciągle przerwy na herbatę.

Coś trzeba było z tym zrobić.

Spytała, czy można zamówić taksówkę na Merrion Square, ale Jimmy O'Neil pokręcił głową i coś powiedział, szeroko się uśmiechając.

- Dobry chłop - skomentował któryś z pracowników, a reszta mu przytaknęła.

- Najlepszy. - Skinęła głową. Być może Jimmy O'Neil zaofiarował się przed chwilą, że dokona wiwisekcji kota, ale wszyscy i tak wydawali się niezmiernie zadowoleni.

Trochę się więc zdziwiła, gdy Jimmy ujął ją za ramię i zaprowadził do małego czerwonego samochodu. Maski i tylne błotniki trzymały się na miejscu, bo były przydrutowane, a tylnej szyby po prostu brakowało. Jimmy otworzył drzwi po stronie pasażera i dopiero wtedy Maura zorientowała się, że chce ją odwieźć do domu.

W każdym razie miała nadzieję, że właśnie o to chodzi.

Jimmy zapalił silnik, uśmiechając się i wskazując w lewo, a potem w prawo. Maura ze zdumioną miną posłusznie spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo, usiłując jednocześnie zrozumieć, co mówi Jimmy.

Tym razem nawet nie próbowała odszukać pasa bezpieczeństwa. W pojeździe pozbawionym szyby, błotników i, co stwierdziła z niejakim przerażeniem, działających klamek w drzwiach, samo pojęcie pasa bezpieczeństwa wydawało się szczytem optymizmu.

Jimmy O'Neil okazał się zdecydowanie lepszym kierowcą niż Charles MacGuire, wkrótce więc odprężyła się i nawet udało jej się zrozumieć zdanie lub dwa z jego opowieści.

Nagle Jimmy wskazał na dwoje autostopowiczów z pękatymi plecakami, wyglądających na Skandynawów. Maura uświadomiła sobie, że Irlandczyk zamierza ich podwieźć, i uśmiechnęła się.

Uprzejmy facet, pomyślała.

Autostopowicze byli bardzo wdzięczni. Łamaną angielszczyzną wyjaśnili, że są ze Szwecji i podróżują już sześć tygodni. Jimmy O'Neil powiedział do nich kilka przyjaźnie brzmiących słów, których jednak najwyraźniej nie byli w stanie zrozumieć.

Po chwili turyści wskazali pobocze drogi, dając znak, że chcą wysiąść. Jimmy uśmiechnął się od ucha do ucha, skinął głową ze

zrozumieniem, a jego szorstkowane siwe włosy nadal sterczały do góry. Pochylił się nad kolanami Maury, która, dość spłoszona, wcisnęła się w oparcie.

On tymczasem przycisnął guzik w desce rozdzielczej i ich oczom ukazał się sprawny taksometr.

- Dwa funty sześćdziesiąt - powiedział z precyzją profesora college'u.

Autostopowicze wymienili zdziwione spojrzenia.

- Chcesz wziąć od nich pieniądze za jazdę? - spytała z niedowierzaniem Maura.

- To jest ich samochód! - odparł z oburzeniem Jimmy.

Maura sięgnęła do torebki i wręczyła mu trzy funty. Zachichotał i poruszył dźwignią w desce rozdzielczej. W ten sposób otworzył tylne drzwi dla pasażerów. Maurze przyszło do głowy, że gdyby za nich nie zapłaciła lub gdyby turyści nie mieli pieniędzy, to może Jimmy nie chciałby otworzyć tych drzwi.

Z min autostopowiczów wynikało, że przemknęła im ta sama myśl. Podziękowali Maurze i uciekli z samochodu tak szybko, jak pozwalały im na to wielkie plecaki.

- Czy zawsze podwozisz cudzoziemców i każesz im płacić za jazdę?

Jimmy O'Neil wytrzeszczył oczy, jakby nie mógł jej zrozumieć, i w milczeniu odjechali. Gdy dotarli na Merrion Square, puścił do niej oko.

- To nie jest ich samochód - powiedział, a może powtórzył.

Maura nie była tego pewna.

- Nigdy więcej - mruknęła, mocując się z drzwiami. Ustąpiły wreszcie po silnym kopnięciu. Gdy Jimmy O'Neil odjeżdżał, Maura słyszała jego głośny, radosny śmiech.

Muzeum Narodowe rzeczywiście znajdowało się niedaleko domu Maury na Merrion Square. Na frontowym dziedzińcu stał pomnik

George'a Bernarda Shawa, patrona muzeum, który spędził w Dublinie młode lata.

Nie była w nastroju do zwiedzania galerii obrazów. W każdym razie nie była, zanim przestąpiła próg muzeum. Potem jednak nie umiała już sobie wyobrazić, że mogłaby spędzić to popołudnie gdzie indziej. Miejsce było niezwykle; obrazy i rzeźby z różnych stuleci zapierały dech w piersiach, tym bardziej że wspaniale je wyeksponowano.

Szła za trzema zakonnikami w sandałach i surowych brunatnych habitach i podслуchiwała ich rozmowę.

– O, jeszcze jeden Jack Yeats.

– A widziałeś ten, bracie Brendanie. Moim zdaniem to jeden z najlepszych obrazów Moynana...

– Czy ta młoda Amerykanka wciąż idzie za nami?

W tym momencie Maura ukryła się w sąsiedniej sali, za szkolną wycieczką. I tam, w samym środku rozległej galerii, znalazła wielki portret Fitzwilliana Connolly'ego.

– Wielki Boże! – zawołała głośno. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy wolno podeszła do obrazu.

Postać była trochę podobna do ducha z jej domu, ale tylko trochę. Autor portretu znakomicie odwzorował tkaniny: aksamitne spodnie do kolan lśniły jak prawdziwe, a aksamit w tle był wręcz zachwycający.

Za to twarz była zupełnie nieudana. Ktokolwiek ją malował – a Maura specjalnie spojrzała na mosiężną tabliczkę pod spodem, żeby poznać nazwisko twórcy – obdarzył ją zbyt długim nosem i za słabo zarysowanym podbródkiem. Oczy były prawie dobre, tak samo ciemne, brakowało w nich tylko bystrości spojrzenia i wesołych ogników. Poza tym malarz za bardzo zbliżył je do siebie i wyglądały jak zezowate.

Chyba jednak najbardziej zrytowała Maurę upudrowana peruka z lokami. A może brokatowy frak dandysa w bardzo drażniącym, niemowlęcym odcieniu błękitu.

Fitzwilliam Connolly nie był dandysem i nigdy się tak nie ubierał. Tego była absolutnie pewna. W gruncie rzeczy nie mogła sobie nawet wyobrazić, że mógłby usiedzieć dostatecznie długo, by ktoś go sportretował. Wydawało się, że potrzebuje nieustannego ruchu.

- Mam nadzieję, że on za to nie zapłacił - mruknęła do siebie. Jeszcze raz spojrzała na tabliczkę pod obrazem.

„Fitzwilliam Connolly. Malowała Katherine Burbridge Connolly, ok. 1768”.

To wyjaśniało sprawę. Biedak był już martwy, gdy powstał portret, więc nijak nie mógł się obronić przed śmiesznym strojem, w jaki go odziano.

Czy Katherine, która go namalowała, była tą Kitty, którą posadził o sprowadzenie jej, Maury, do swego domu? Jeśli tak, to rzeczywiście musiała być figlarką nie lada. Portret dowodził tego ponad wszelką wątpliwość.

To głupie malowidło dręczyło Maurę przez całe popołudnie. Nawet gdy wzięła prysznic i przebrała się do kolacji z Donalem Byrne'em, nie przestała myśleć o głupkowatym uśmiechu na twarzy Fitzwilliana Connolly'ego z portretu. W niczym nie przypominał on jego prawdziwego uśmiechu, który wyraźnie krył coś bardzo groźnego.

Donal Byrne znów przyszedł przerażająco punktualnie. Maura była przekonana, że gdyby śledziła tarczę swego timexa, to zardzewiała dzwonek u drzwi odezwałby się dokładnie w chwili, gdy wskazówka osiągnęła dwunastkę.

Tym razem czekała na Irlandczyka gotowa, z torebką w dłoni. Nie wiadomo czemu, postanowiła włożyć swoją najładniejszą suknię, tę, w której przed rokiem była na ślubie. Suknia sięgała do kostek, była z kremowego jedwabiu i miała delikatny wzorek w różyczki. Rękawy były bufiaste, dekolt wycięty, ale bez przesady. Na ślub włożyła także dobrany do sukni kapelusz, więc ktoś jej powiedział, że wygląda jak postać z powieści F. Scotta Fitzgeralda. Bez kapelusza mniej zwracała

uwagę, ale włożyła te same pantofle na wysokim obcasie. Wtedy, pod koniec przyjęcia weselnego, zdawało jej się nawet, że zaczyna lubić te buty, uznała więc, że może bezpiecznie włożyć je po raz drugi.

Nawet jeśli w oczach Donala Byrne'a nie była atrakcyjna, to przynajmniej taka się czuła.

Stał na sypiących się schodkach przed wejściem i był niesłychanie przystojny w granatowej marynarce, spodniach khaki, zapiętej na ostatni guzik koszuli, no i naturalnie z obowiązkowym krawatem w czerwono-niebieskie paski. Co więcej, było w nim coś niemal dzikiego – czarne włosy miał znacznie mniej ulizane, niż pamiętała z pierwszego spotkania, a przede wszystkim oczy, te oczy w niesamowitym odcieniu błękitu. W jaskrawym świetle dublińskiego popołudnia jasny błękit miał znacznie ciemniejszą obwódkę.

I właśnie te oczy otworzyły się szerzej na widok jej kreacji.

– Panno Finnegan – na jego twarzy zagościł prawie niezauważalny ślad uśmiechu – ależ pani dzisiaj pięknie wygląda!

– Wzajemnie, panie Byrne.

Jedną ręką poprawił krawat i wtedy Maura zauważyła, że w drugiej trzyma szarą kopertę.

– Mam dla pani informacje o Connollym. Wszystkich książek nie mogę znaleźć. Obawiam się, że część wciąż jeszcze leży w pudłach po przeprowadzce z Monachium. Ale dostarczę je pani, gdy tylko będę mógł.

– Dziękuję. – Położyła kopertę w korytarzu i zamknąwszy za sobą drzwi, wyszła na schodki.

Donal cofnął się o krok, nie spuszczać oczu z wejścia do domu.

– Czy na pewno pani nie zmarznie? – Przeczesał dłonią włosy, patrząc wciąż w ten sam punkt. Bezpośrednia bliskość tego domu budziła w nim niepokój i skrepowanie. Po chwili znów się odezwał: – Wieczory w Dublinie bywają bardzo chłodne, nawet wiosną.

- Jestem przyzwyczajona. U mnie w domu zimą temperatura spada poniżej zera.

Co go obchodzi zima w Wisconsin? - pomyślała.

- Mimo wszystko mam nadzieję, że dziś nie zrobi się bardzo zimno. Czy pomóc pani przekręcić klucz? - Zbliżył się do drzwi.

- Nie, dziękuję. - Po długiej walce udało jej się wreszcie zamknąć drzwi. - Myślę, że po prostu muszę wymienić zamek na nowy.

- Nie - odparł. - Wystarczy go trochę naoliwić. Amerykanie zawsze chcą wyrzucać całkiem dobre rzeczy tylko dlatego, że są stare.

- To nieprawda. Jak może pan wygłaszać takie twierdzenia? - Sytuacja zdawała się z każdą chwilą pogarszać. - Proszę posłuchać, panie Byrne. Może powinniśmy zrezygnować z dzisiejszej kolacji. To jest dobrowolne ściąganie na siebie katastrofy. - Siegnęła po klucz, żeby wrócić do środka.

- Niech pani poczeka, proszę. Bardzo przepraszam.

Łatwo byłoby jej nie zwrócić uwagi na te przeprosiny, gdyby się nie uśmiechnął.

- Przysięgam, że nie wiem, co takiego w pani jest. Nie wydaje mi się, żebym przy kimkolwiek gorzej się zachowywał od czasów szkolnych, kiedy tak na mnie działał Billy Connors.

Ze zwykłej ciekawości Maura obróciła się, chciała bowiem sprawdzić, jak wygląda Donal Byrne, gdy się uśmiecha. To był jedyny powód. Zwykła ludzka ciekawość.

Gdy tylko ujrzała jego twarz, mocniej zacisnęła dłoń na kluczu.

Był niesłychanie przystojny. I dziwnie znajomy.

Znów się roześmiał i wyciągnął do niej rękę. Nie zdążyłaby cofnąć dłoni, zresztą wcale nie chciała.

- Ruszajmy więc. Czy jest pani głodna? - Wyglądało na to, że w ogóle nie rozważał myśli o rezygnacji z randki. - Zajrzymy tu, niedaleko. Czy może pani chodzić w tych pantoflach?

Zerknął na nie z jawnym powątpiewaniem. Maura miała na nogach te buty tylko raz, a przez większość weselnego przyjęcia siedziała, więc sama poważnie się nad tym zastanawiała.

Ale za nic nie pokazałaby Donalowi Byrne'owi, że ten może mieć rację.

- Oczywiście - odparła beztrąsko. Gdy kurczowo zacisnęła dłoń na chwiejnej poręczy betonowych schodków, zauważyła nikły uśmiech na jego twarzy. Przesuwała się w dół krok po kroku, co bardzo przypominało schodzenie ze stromego klifu, na szczęście w końcu udało jej się stanąć na ulicy.

Donal wyciągnął rękę w jej stronę, a gdy ujęła ją ze wzruszeniem ramion, żwawo pomaszerował przed siebie. Usiłowała dotrzymać mu kroku, choć musiała w tym celu trzy razy szybciej niż on przebierać nogami, a próbowała jeszcze słuchać jego uwag o różnych zabytkach.

- Mijamy teraz Leinster House, siedzibę irlandzkiego parlamentu. Kiedyś był to prywatny budynek, postawiony przez earla Kildare'a w połowie osiemnastego wieku. Jeśli bryła wydaje się pani znajoma, to dlatego, że projektant Białego Domu w Waszyngtonie właśnie z niej czerpał inspirację. Czy na pewno może pani iść w tych pantoflach?

- Oczywiście. - Chciała zrobić większy krok, ale niebezpiecznie przechyliła się w lewo. - Czy pan zaparkował samochód w pobliżu?

- Nie wziąłem dzisiaj samochodu. Pomyślałem, że mamy wspaniały wieczór na spacer. Restauracja jest tuż przed nami. Natomiast ciekawostką Leinster House jest to, że z każdej strony wygląda inaczej. Z tej wydaje się duża wiejska rezydencja, ale od Kildare Street sprawia wrażenie niczym nie wyróżniającą się kamienicy...

Jego głos miał magnetyczny zaśpiew; brzmiał kojąco nawet wtedy, gdy Donal opowiadał o budynkach i innych atrakcjach dla turystów. Taki głos nigdy nie męczy, zawsze zwraca uwagę.

Wreszcie dotarli do restauracji, dziwnego lokaliku przy bocznej ulicy, zwanego The Griffin. Choć Maurze wydawało się to niemożliwe,

Donal Byrne zdołał znaleźć w Dublinie restaurację pozbawioną wszelkiego ciepła i uroku. Wnętrze miało wystrój wzięty prosto z katalogu Searsa, od czerwonych winylowych krzeseł począwszy, a na postaci matadora, wymalowanej na czarnym aksamicie i wiszącej nad plastikowym kominkiem, skończywszy. Był też haft przedstawiający Johna F. Kennedy'ego i mniejszy z papieżem oraz plakietka z lakierowanego kartonu z napisem „An Irish Prayer”.

- Mamy szczęście. - Donal Byrne puścił do niej oko. - Udało nam się bez tłoku.

Maura odniosła wrażenie, że są jedynymi ludźmi w promieniu dwóch przecznic. Nie potrafiła wyobrazić sobie tłumów spragnionych kolacji, które pchają się na wyścigi, by chłonąć atmosferę The Griffin.

- Proszę, niech pani usiądzie. - Podsunął jej krzesło i wziął dwa jadłospisy.

- Zdaje się, że jesteśmy sami. Czy ktokolwiek tu pracuje? - Jej głos odbił się echem o twarde plastikowe powierzchnie, gdy z kuchni dobiegł ich głośny łoskot i drzwi się otworzyły.

- Donal! Witaj, witaj! - Niski, krępy mężczyzna z wąsikami cienkimi jak ołówek zbliżył się do ich stolika, szeroko rozkładając ramiona. Fartuch miał upstrzony brązowymi plamami, które kojarzyły się z zaschniętą krwią albo obfitym użytkowaniem przypraw.

- Witaj, Nino. - Donal wyciągnął przed siebie rękę i mężczyźni wymienili energiczny uścisk dłoni, zanim zwrócili uwagę na Maurę.

Brwi Nina podjechały aż pod linię lśniących włosów.

- To jest Maura Finnegan, Amerykanka - rzekł Donal.

- Ach, więc to pani odziedzyczyła Hańbę Delberta razem z fabryką.

Witamy w Irlandii!

- Nino nie jest Irlandczykiem, więc nie ma absolutnie żadnego prawa witać pani w Dublinie jak u siebie - oznajmił Donal Byrne. - Nino jest Włochem.

- Ale uczę się angielskiego - oznajmił z dumą krępy mężczyzna. Jego akcent był nie mniej szczególny niż sama restauracja.

- Wina, Donal?

- Naturalnie, Nino. Wiesz doskonale, że nikt nie może zjeść twoich dań, jeśli najpierw nie podleje ich winem.

Zamiast się obrazić, Włoch roześmiał się radośnie i wyrzucił Donalą w plecy, a potem szybko odszedł po wino.

- Tego pani nie obejrzy podczas grupowej wycieczki z przewodnikiem - powiedział Donal, otwierając jadłospis.

- To nie ulega wątpliwości. - Maura zerknęła do swojego jadłospisu, usunęła z niego zaschnięty liść sałaty i uświadomiła sobie, że restauracja jest włosko-irlandzka. Różne dania z duszonego mięsa i chleb na sodzie sąsiadowały z linguini i pesto. Na stronie poświęconej pizzom były takie dodatki jak smażony boczek, jajka sadzone, parówki i nerczki z rusztu.

Nino wrócił z dwoma kieliszkami wina i otwartą butelką, nie całkiem pełną. Na jego fartuchu pojawiła się nowa plama - czerwona. Również na podbródku miał czerwoną kroplę.

- Macie. - Uśmiechnął się. - Chcesz spróbować, Donal?

- Nie, dziękuję. Ufam, że już to za mnie zrobiłeś. I co?

- Wspaniale! W pierwszym łyku było trochę korka, ale drugi i trzeci smakowały wybornie.

- Mnie to zadowala. A panią, Mauro?

- W porządku - odparła. Zwrócił się do niej po imieniu. Ciekawe, czy świadomie. - Nino - spojrzała w kartę - czy masz dzisiaj coś specjalnego?

- Coś specjalnego? Każdy dzień jest specjalny!

Donal upił łyk wina.

- To nie ma większego znaczenia, co pani zamawia. Obawiam się, że wszystko jest okropne.

Włoch mu przyklasnął.

- Naturalnie ma rację. Ale na pani miejscu uważałbym przede wszystkim na zasmażaną kapustę i pizzę z nerczkami.

- Ziemniaki z sosem pesto też należy sobie darować - włączył się Donal. - Poza tym linguini z dorszem i ravioli z bekonem nie nadaje się do niczego. Jaką zupę otwierasz dziś wieczorem, Nino?

- Minestrone albo drobiową z makaronem.

- Zupy pochodzą prosto z puszki, więc wiadomo, czego można się spodziewać.

Drzwi wejściowe się otworzyły i do środka weszło trzech klientów.

- Nino! - zawołał jeden z nich. - Czyżby Urząd Kontroli Sanitarnej jeszcze nie zamknął ci tej budy?

Włoch się rozpromienił.

- Jeszcze nie. Przyszliście akurat na czas. Właśnie decydujemy, którą puszkę zupy otworzyć.

W miarę upływu wieczoru Maura pojęła, że to wcale nie są żarty. Jedzenie było ohydne. Zupa istotnie pochodziła z puszki. Klopsik w jej makaronie, o kształcie, którego nigdy nie widziała, nazywany przez Nino „baranim łbem”, nie wiadomo czy od kształtu głównego składnika czy od osoby, która to danie zamówiła, był z jagnięcego mięsa. Dodatek stanowiła ćwiartka kruchej sałaty obficie unurzana w zalewie domowej roboty - która jak Nino wyznał - powstała przez połączenie w stosunku jeden do jednego majonezu i sosu do steków.

Ale Donal miał rację. Zanim skończyli jeść kolację, na zewnątrz stała kolejka, która ciągnęła się dość daleko w głąb uliczki. Mimo paskudnego jedzenia i dziwnego otoczenia Maura uświadomiła sobie, że wspaniale się bawi. Wszystko jedno, czy zawdzięczała to właścicielowi restauracji, czy Donalowi, czy też dziwacznemu urokowi tego miejsca, który nie miał nic wspólnego z wystrojem i zależał wyłącznie od ludzi, w każdym razie nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła tak przyjemny posiłek.

- Niech pani sobie wyobrazi, Mauro, jakie popularne byłoby to miejsce, gdyby jedzenie było znośne - powiedział Donal po wyjściu.

Podczas kolacji kilka razy zwrócił się do niej po imieniu, a ona do niego tylko raz. Podobało jej się, jak wymawia jej imię, przeciągając samogłoski.

Przekonała się również, że Donal Byrne ma wspaniale poczucie humoru. Śmiał się swobodnie, czasem nawet z jej uwag, co nastroiło ją do niego bardzo ciepło.

Oprócz tego umiał słuchać. W pewnej chwili zorientowała się, że opowiada mu o swoich rodzicach, o dorastaniu w Wisconsin, o college'u. Stanowczo za szybko okazało się, że muszą już iść, żeby zdążyć na podniesienie kurtyny w Abbey Theatre.

- To jest niedaleko - powiedział, gdy minęli College Świętej Trójcy i weszli na most prowadzący na O'Connell Street.

Trudno było jej powiedzieć, co stanowi dla niej większą niewygodę: pantofle na idiotycznie wysokim obcasie czy cienki materiał sukni. Tymczasem zrobiło się bowiem dostatecznie chłodno, by Donalowi leciała z ust para, gdy oddychał.

Przystanęli, czekając na zielone światło, i wtedy Donal zdjął marynarkę i okrył jej ramiona.

- Wiem, że tu nie jest tak zimno jak w Wisconsin, Mauro, ale nie przypominam sobie, żebyś przedtem miała niebieskawe wargi.

- Dziękuję. - Z wdzięcznością przyjęła okrycie i zaczęła się rozkoszować ciepłem ciała Donala. Było coś intymnego, bardzo zmysłowego w noszeniu jego marynarki.

Stopy doskwierały jej tak strasznie, że była prawie otępiąta z bólu.

-- Po co ja włożyłam te pantofle? Umieram z bólu - wyrwało jej się.

Roześmiał się.

- Na to chyba nic nie mogę poradzić. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś okryła się moją marynarką, ale buty mam trochę za duże. Poza tym nie jestem pewien, czy potrafiłbym paradować w twoich pantoflach z taką elegancją.

Siedziała okryta marynarką przez całe przedstawienie, nie tylko dlatego że było jej ciepłej, lecz również dlatego, że należała do Donala. Ich ramiona prawie się stykały, a gdy Donal szepnął jej na ucho jakąś uwagę, przy okazji ujął ją za nadgarstek. Miał dużą ciepłą dłoń, po prostu wspaniałą. Chociaż „Szelma z zachodnich rubieży” była jedną z ulubionych sztuk Maury, z całego spektaklu wyraźnie pamiętała tylko bliskość Donala, każde jego poruszenie, westchnienie i wybuch śmiechu.

Gdy wzywał taksówkę, żeby odwieźć ją do domu, przemknęło jej przez myśl, że dla tego mężczyzny mogłaby stracić głowę.

Chciała, żeby pocałował ją na pożegnanie przy drzwiach albo żeby skorzystał z zaproszenia na filiżankę herbaty. Ale on ani jej nie pocałował, ani nie wszedł do środka. Zachowywał się tak, jakby niecierpliwie wyczekiwał chwili, gdy odejdzie spod jej domu. Tylko uścisnął jej dłoń i obiecał zatelefonować nazajutrz.

To też coś, pomyślała, wchodząc do środka. Przynajmniej zadzwoni.

Już miała iść na górę, gdy uświadomiła sobie, że wciąż ma na sobie marynarkę Donala. Ale gdy otworzyła drzwi, już go nie było. Znikł za jednym z wielu rogów w okolicy.

Z uśmiechem wsunęła dłoń do kieszeni marynarki. Wyczuła palcami karteczkę, więc ją wyjęła. Była to strona z notesu, opatrzona firmowym nagłówkiem. Nagłówek był niemiecki, ale notatkę zrobiono po angielsku. Już miała odłożyć kartkę z powrotem do kieszeni, kiedy zauważyła swoje imię.

„Panowie – brzmiał tekst. – Nabycie Maiden Works Furniture jest sprawą najwyższej wagi. Jediną przeszkodę, Maurę Finnegan, będzie można wkrótce usunąć, czy to perswazją, czy siłą. Potrzebne są większe środki, żeby zapewnić prawo własności. Z poważaniem – Donal Byrne”.

Przez kilka minut stała osłupiała i wpatrywała się w kartkę. Ręce trzęsły jej się ze złości, a jeszcze bardziej z gorzkiego rozczarowania. To wszystko była lipa, ten urok, śmiech, uprzejmość. Donal Byrne tylko

udawał sympatię do niej. To wszystko było jednym wielkim przedstawieniem, od chwili gdy rano zadzwonił aż po rozstanie na schodach jej domu.

- Sukinsyn. - Do oczu napłynęły jej łzy, parzące, ciężkie, sprawiające ból. - A to sukinsyn! - krzyknęła wśród marmurów holu. Dobrze, chciała popłakać, chciała krzyczeć.

Potem przeszła kilka kroków i bezwładnie opadła na schody. Siedziała na nich, podpierając dłonią czoło; szlochała coraz głośniejsze i głośniejsze. Nie mogła przestać. Zrobiła z siebie idiotkę. Czy kiedykolwiek nabierze rozumu?

Nagle za jej plecami rozległ się męski głos.

- Wielki Boże. Nie mów mi, pani, że publicznie pokazałaś się w czymś takim.

I oto u szczytu schodów stanął jej duch.

- Czy mógłbyś z łaski swojej odejść? - Maura chciała być sama. Musiała porozmyślać, ułożyć sobie wszystko w głowie. Przede wszystkim zaś potrzebowała czasu, żeby porządnie się wypłakać.

- Nie jestem pewien, czy mogę odejść. - Duch zsunął się po schodach. - Poza tym, moja droga, to jest mój dom.

- Posłuchaj, miałam okropny wieczór.

- Z okna na górze wcale na to nie wyglądało. W istocie odniosłem wrażenie, że byłaś, pani, o włos od wykorzystania, zresztą w bardzo przyjacielski i życzliwy sposób, dżentelmena z czerwoną szmatką na szyi.

- Z czerwoną szmatką? Ach, masz na myśli krawat? - Obróciła się i powoli wstała ze stopnia. - Czyżbyś mnie szpiegował? Nie masz nic lepszego do roboty?

- Zdaje się, że nie. Właśnie dowiedziałem się, że nie żyję, więc chyba muszę poszukać sobie nowego zajęcia.

- Przykro mi. - Westchnęła. - Tylko że... dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Wielki Boże, czy kobiety noszą teraz coś takiego? - Dokładnie przyjrzał się jej sylwetce, mierząc wzrokiem wszystko od obszernej marynarki po pantofle na wysokim obcasie i cienutki jedwab sukni.

- Dziękuję bardzo. - Zacisnęła zęby. - Gdybym wiedziała, że przyjazd do Dublina tak mi pomoże podnieść samoocenę... - urwała i spojrzała na niego złym wzrokiem. Na wargach ducha igrał dziwny grymas. - Śmiejesz się?

- Nie, skądże.

- A właśnie, że tak!

- Z całego serca przepraszam, moja luba. Tak bardzo się oburzyłaś, chociaż nie zrobiłem nic złego, tylko zapytałem cię, pani, o twoje odzienie. Dla mnie to wszystko jest po prostu dziwne. Nie zamierzałem

cię obrazić. – Skłonił się przed nią z gracją. – Proszę się nie gniewać. Mam tak mało powodów do śmiechu.

Wcisnęła dłonie do kieszeni marynarki.

– Ja też przepraszam. Jestem po prostu zła, to wszystko.

– Na krawcową?

– Na kogo?

– Twoja narzutka wydaje mi się za duża, nie masz halek, a pantofle dorównują wysokością maszтови okrętu. Wnioskuje więc, że twoja krawcowa jest dość niechlujna.

– Och, ta marynarka nie jest moja. Należy do Donala, to znaczy do pana Byrne'a. Wiesz, do tego mężczyzny z czerwoną szmatką na szyi.

– Aha. Czyli wymieniliście się odzieniem, zanim poszedł?

– Nie. Dał mi swoją marynarkę, bo sądził, że jest mi zimno. – Głęboko zaczerpnęła tchu. – Ale tak naprawdę po prostu chce mnie wykupić.

Duch wydawał się wstrząśnięty, ale szybko się opanował.

– Rozumiem. Chce ci dawać pieniądze w zamian za mile spędzony wieczór.

– Nie! Jego obchodzi tylko mój interes.

– Właśnie o tym mówię, pani. Nazwij to jak chcesz. Fakt pozostaje faktem, że on daje ci pieniądze, nawet jeśli robi to w twoim interesie. A czy ty, pani, istotnie, hm...

– Jego obchodzi tylko moja firma, biznes, a nie ja. – W desperacji uderzyła dłonią o poręcz schodów. Jedyłą reakcją ducha był wątył uśmiech. – Firma, którą ty założyłaś, Maiden Works. Jest nawet jeszcze w tym samym miejscu, w tym samym budynku, który znasz. Na miłość boską, jestem skłonna uwierzyć, że i pracownicy wciąż są ci sami. Czy nazwiska Jimmy O'Neil i Kermit MacGee coś ci mówią?

Z wolna na twarzy ducha odmalował się wyraz zrozumienia.

– Moja kompania? On chce kupić kompanię przewozową, którą ja, Fitzwilliam Connolly, stworzyłem z niczego?

- To już nie jest kompania przewozowa tylko fabryka mebli.
 - Mebli? Co ty mówisz, pani?
 - Proszę, dajmy temu spokój. Nie chcę o tym rozmawiać.
- Zignorował jej sprzeciw.
- A jakie ty prawo masz, żeby być tutaj i z lekceważeniem mówić o mojej kompanii? Jesteś tylko kobietą, zwykłą słabą kobietą bez szczególnych zasług ducha czy umysłu. - Zacisnął dłonie w pięści.
 - W niczym się nie różnisz od Donala, jesteś zwykłym bękartem.
 - Nieprawda! Jestem prawowitym dziedzicem. Chcę...
 - Nie użyłam tego określenia dosłownie. Boże, mam dość! Proszę, odsuń się, bo chcę przejść.
 - Nie.
 - Trudno. Wobec tego przejdę przez ciebie.
 - Nie. Proszę, nie rób mi tego. - Chociaż nadal stał w bezruchu, niezłomny jak dąb, słychać było, że czuje się bezradny. - Bardzo proszę.
- Przystanęła i spojrzała na niego z odległości kilku stopni.
- Panie Connolly, jestem bardzo zmęczona. Chcę tylko jednego: położyć się do łóżka. Jestem zmęczona obelgami Irlandczyków, których nawet nie znam. Naprawdę mam za sobą okropny wieczór.
 - Ufam więc, że przyjmiesz, pani, ode mnie przeprosiny nie tylko za moje zachowanie, lecz również za zachowanie moich ziomków. My, Irlandczycy, słyniemy z gościnności. Gdyby ktoś złamał tę zasadę, pięciu innych powinno starać się podwójnie, żebyś była, pani, zadowolona.
 - Dlaczego odkąd tylko tu przyjechałam, ciągle słyszę o irlandzkiej gościnności? A tymczasem, jak dotąd, kazano mi zapłacić za lancz, zmuszono do chodzenia po bruku w pantoflach na wysokim obcasie, a szaleńcy w dziwnych wehikułach wożą mnie w kółko. - Gdy urwała, żeby zaczerpnąć tchu, wpadł jej w słowo.
 - To prowadzi nas do następnej kwestii. Skąd jesteś, pani? Nie wierzę w twoją opowieść o Bostonie i koloniach.

- Dobrze, powiem ci prawdę. Nazywam się Maura Finnegan i pochodzę z Whitefish Bay w Wisconsin. Mój kraj nazywa się Stany Zjednoczone, bo taką nazwę przyjęły kolonie po tym, jak ogłosiły niezależność od Anglii w 1776 roku. W zeszłym roku, po śmierci ojca, odziedziczyłam jego firmę, która produkuje liofilizowaną kapustę, ale jest ona na skraju bankructwa. Myślałam, że uda mi się ją uratować, słowo daję. Lecz nie umiem, to jest zwykła niemożliwość. A potem mężczyzna, z którym się spotykałam, Roger - chociaż może to imię jest takim samym kłamstwem jak wszystko inne, co mi mówił - zostawił mnie, kiedy się przekonał, że nie jestem bogata, a moja firma bankrutuje. Innymi słowy, był łowcą posagów, a ja nie miałam posagu. A potem dowiedziałam się, że odziedziczyłam ten dom i fabrykę mebli, ponieważ jestem twoją daleką krewną. Bardzo daleką, jeśli cię to pocieszy. Jeszcze potem ten Donal, który chce kupić ode mnie fabrykę, co rozwiązałoby wszystkie moje kłopoty finansowe, kazał mi zapłacić za lancz. A gdy zaprosił mnie na kolację, był uprzejmy i uroczy, ale okazało się, że jest taki sam jak Roger. Naturalnie przystojniejszy od Rogera, ale taki sam.

Fitzwilliam wyciągnął ku niej ramiona, ale wnet się zreflektował, zresztą Maura i tak go nie widziała. Właściwie mówiła do siebie, pochłonięta własnym nieszczęściem. Znów usiadła na schodach i strzepnęła z nóg pantofle.

- Donal po prostu chce mieć fabrykę. Ja jestem dla niego, ni mniej, ni więcej, tylko przeszkodą. Znalazłam tę kartkę. - Wyciągnęła z kieszeni marynarki zmięty kawałek papieru, by po chwili włożyć go tam z powrotem.

- Masz na imię Maura, prawda?

Przez jakiś czas zwlekała z odpowiedzią. Ton głosu Fitzwilliama był delikatny, niemal czuły, a gdy duch podsunął się bliżej, poczuła falę chłodu.

Nie ufała własnemu głosowi, więc po prostu skinęła głową.

- To piękne imię.
- Dziękuję.
- Czy masz je po matce?

Pokręciła głową, wpatrując się w swoje stopy. Z boku zauważyła wielkie oczko, a gdy pociągnęła za rajstopy, poleciało dalej i wyglądało jak strażacka drabina.

- Miałam być chłopcem i mieć na imię Peter. Gdy okazało się, że jestem dziewczynką, dano mi imię pielęgniarce, która pracowała na nocnej zmianie w szpitalu, w którym się urodziłam.

- Rozumiem. - Nie była pewna, czy naprawdę zrozumiał, czy nie, ale w każdym razie zachował się bardzo uprzejmie. - Moim zdaniem to dobrze, że nie uparli się, żeby dać ci na imię Peter, mimo że okazałaś się dziewczynką. No, i że tego wieczoru nie pomagały akurat Bertha albo Gertrude.

Wbrew swemu strapieniu Maura podniosła głowę i uśmiechnęła się. Fitzwilliam odwzajemnił uśmiech i jego twarz natychmiast się zmieniła. Promieniowała ciepłem i życzliwością.

- Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie, pani?

Skinęła głową. Najwyraźniej miał trudności z ubraniem myśli w słowa i musiał zaczynać kilka razy, lecz za każdym razem urywał. Wreszcie spojrzał jej prosto w oczy.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli spytam wprost. Wierzę we wszystko, co mi opowiedziałaś o koloniach i o swoim pochodzeniu. Po tym, czego się dowiedziałem, to wyjaśnienie naprawdę brzmi stosunkowo mało nieprawdopodobnie. W twojej historii jest tylko jeden szczegół, którego nie mogę zrozumieć. A nie wiem, czy nie ma on dużego znaczenia.

Maura nieznacznie przechyliła głowę, a on przyglądał jej się przez chwilę, śledząc wzrokiem zwłaszcza jeden pukiel włosów, który opadał na ramię. Potem znów spojrzał na jej twarz i rysy mu złagodniały.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć - znów zaczął szukać słów - czym, na Boga, jest filozofowana kapusta.

Gdy w końcu oboje przestali się śmiać, mogła wyjaśnić istotę procesu liofilizacji człowiekowi, który nie żył od prawie dwóch i pół stulecia.

Wyciągnięcie szwów z marynarki Donala nie było jej pomysłem. Przynajmniej nie od razu.

Przyszło to do głowy duchowi, gdy wspominał, jak jego Kitty w napadzie złości – całkiem usprawiedliwionej, jako że bezwstydnie flirtował z kuzynką – ostrożnie poprzerywała paznokciami nitki w szwach jego surduta. Odzienie wytrzymało jeszcze kilka dni, aż wreszcie podczas spotkania Fitzwilliama z dżentelmenem, który pragnął wysłać jego statkiem ładunek płótna dobrej jakości, lewy rękaw zsunął się z ramienia i spadł na but rozmówcy. Fitzwilliam schylił się po niego, ale wtedy drugi rękaw majestatycznie osunął się na podłogę.

– Oj, zasłużyłem sobie na to. – Roześmiał się i w ten sposób wyłudził od Maury uśmiech. Siedział na jednym stopniu schodów, podpierając się łokciami o następny, położony wyżej. – Ciekaw jestem, co się stało z moją drogą Kitty.

– Ojej, omal nie zapomniałam. Widziałam twój portret w Muzeum Narodowym.

– Cóż to jest, u diabła, Muzeum Narodowe?

– Kolekcja sztuki. W każdym razie twój portret namalowała kobieta, niejaka Katherine Burbridge. Czy to była twoja Kitty?

– Tak! Z całą pewnością! – Pochylił się naprzód. – Tylko że nigdy nie pozowałem jej do portretu. Obiecałem, że zrobię to po ślubie, ale do tego nie doszło.

– Owszem, doszło. Musiałeś o tym zapomnieć, Fitz. Na tabliczce z nazwiskiem twórcy jest wymieniona Katherine Burbridge Connolly, więc widocznie jednak ją poślubiłeś.

– Nigdy nie zapomniabym naszego ślubu – powiedział cicho. – No, może...

- Może co?
- Mógłbym zapomnieć samą ceremonię, ale na pewno nie noc poślubną.
- Ech, mężczyźni. Wszyscy są tacy sami. - Wyprostowała się. - Poczekaj chwilę... Donal dał mi informacje o tobie.
- Donal? Myślisz, pani, o tym młodym człowieku z pechowym surdudem?
- Maura była już w połowie sieni. Wzięła szarą kopertę, która wciąż leżała przy wejściu, wróciła na swój stopień i zaczęła manipulować przy zszywce.
- Zobaczmy, co tu jest. On to pisał podczas studiów na uniwersytecie.
- Świętej Trójcy? - Fitzwilliam zerknął jej przez ramię. - Ładnie pisze, ma wyrobioną rękę.
- Hm? Och nie, to nie jego pismo. To maszyna do pisania, taki przyrząd, żeby to, co napisałeś, wyglądało jak druk. Poza tym. Donal studiował w University College. Dobrze, już mam...
- Co to jest? - Wskazał coś nad jej ramieniem.
- Spinacz do papieru. Tu jest napisane... - Urwała.
- Mów, mów.
- Naprawdę chcesz to wszystko usłyszeć? Pozwól, że przeskoczę kawałek i znajdę akapity o twoim życiu. Nie ma sensu wysłuchiwać reszty.
- Swoje życie znam, pani. Chcę się dowiedzieć czegoś o swojej śmierci i o tym, co się stało z Kitty.
- Masz. Przeczytaj sobie. - Chciała mu podać papiery, ale się odsunął.
- Nie mogę.
- Nie umiesz czytać?
- Umiem, rzecz jasna. Ale nie wiem, czy mogę cokolwiek trzymać w ręce. Nie próbowałem.

Oboje spojrzeli na papiery, wreszcie Maura wolno podsunęła je Fitzwilliamowi. Przez chwilę pozostawał z bezruchu, potem wyciągnął rękę.

Ostrożnie położyła rozprawę na wysuniętej dłoni Fitzwilliama. Kartki spłynęły na schody i rozsypały się na stopniach. Niektóre zsunęły się aż na marmurową posadzkę, jakby nie miało ich co zatrzymać.

Zacisnął dłoń i wykonał nerwowy gest pięścią.

- Tak myślałem.

- Wobec tego ja ci przeczytam. - Pochyliła się, żeby pozbierać kartki i przywrócić im właściwą kolejność. Ponieważ spuściła głowę, nie widziała miny Fitzwilliama, nie zdawała sobie sprawy, z jakim smutkiem i napięciem śledzi jej ruchy.

Zanim skończyła, znowu przyjął swobodną pozę i leniwie opierał się o stopień, jak dżentelmen w wolnej chwili.

- No, dobrze. Przejrzę to sama i przekażę ci najważniejsze fakty.

- Nie chcesz przeczytać autorskich uwag pana Byrne'a?

- Nieszczególnie.

Nie zauważyła jego przelotnego uśmiechu.

- Tu jest napisane, że Katherine rzeczywiście była twoją narzeczoną.

- Czyli pamięć mi służy.

- Przygotowywaliście się właśnie do hucznego wesela, gdy zostałeś zamordowany przez...

- Przez kogo?

- Przez twójgo najlepszego przyjaciela, Patricka Kildare'a. Przykro mi.

- Przez Kildare'a? Niemożliwe. To musi być jakaś pomyłka. Na Boga, w to nie uwierzę. Jak przebiegł proces?

- Chwileczkę. - Przesunęła palcem wzdłuż linijek akapitu. - Nie doszło do procesu.

- Nie doszło do procesu?

- Dla wszystkich, zdaje się, było jasne, że twój przyjaciel Kildare zamordował cię na schodkach przed drzwiami twojego własnego domu. Widocznie chciał upozorować przypadkowy rozbój. Uznano, że miał do ciebie pretensje o katolików.

- O katolików?

- Pozwól mi przeczytać jeszcze kawałek. - Przewróciła kartkę i znów zagłębiła się w tekst. - Och, Fitz. Jak to ładnie z twojej strony.

- O co chodzi? Powiedz mi, co się stało!

- Byłeś znany z reprezentowania katolickich właścicieli nieruchomości, bo posiadanie przez nich własności było sprzeczne z prawem. Trzymałeś więc ich tytuły własności i przekazywałeś im wszystkie pieniądze. - Przygryzła wargę. - Naprawdę byłeś wspaniały.

- I co się stało?

- Czy wiesz, że jestem katoliczką?

- Bardzo się cieszę, Mauro, ale czy mogłabyś mi powiedzieć coś więcej?

- Chodzi o to, że robiłeś to wszystko nie dla poklasku. Naprawdę przejmowałeś się losem sąsiadów, a przede wszystkim niesprawiedliwością, jaka ich spotkała. Tak wielu ludzi afiszuje się z dobroczynnością i chce zmieniać świat na pokaz, ale ty...

- Do diabła, pani! Czy możesz mi po prostu powiedzieć, co się stało?!

Aż podskoczyła, gdy krzyknął.

- Przepraszam. Wygląda na to, że Kildare nie podzielał twoich poglądów. Próbował z tobą o tym rozmawiać. Obawiał się, że katolicy zdobędą władzę i wypędzą z kraju was, posiadaczy. Byliście w zdecydowanej mniejszości. O, to jest ciekawe.

- Co? Co się stało?

- Nic, tylko Donal porównuje protestancki rząd i jego politykę wobec katolików z tym, jak rząd Stanów Zjednoczonych potraktował

Indian sto lat później. Różnica polega na tym, że w Ameryce było więcej ziemi i mniej Indian. W Irlandii wszyscy mieszkali w większym skupieniu. Na akr...

- Nic mnie nie obchodzą akry. Powiedz mi, co się stało z Kildare'em.

- Ach. Zdaje się, że tłum katolików... ojej, to jest okropne, Fitz. Zanim Patrick doczekał się procesu, został zlinczowany przez tłum. A w odwecie władze z Zamku Dublińskiego powiesiły ponad trzy tuziny przypadkowych ludzi. A właściwie niezupełnie przypadkowych, bo akurat tych, którym pomagałeś. Założono, że to oni są winni linczu.

- Nie. To niemożliwe.

- A potem... - Zawahała się.

- Mów dalej.

- Czy miałeś młodszego brata imieniem Andrew?

- Tak, mam, to znaczy miałem. - Fitzwilliam spiorunował ją wzrokiem. - Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Tylko my dwaj przeżyliśmy, moja matka zmarła, wydając go na świat. Boże, czy go oszczędzono?

- O tak, Fitz. Andrew dożył podeszłego wieku, zmarł dopiero w następnym stuleciu.

Głośno odetchnął.

- Przynajmniej to. Za to trzeba Bogu dziękować. - Nagle skupił wzrok na twarzy Maury. - Co złego się stało?

- Twój brat ożenił się z Kitty.

W pierwszej chwili wydawało się, że w ogóle tego nie usłyszała. Zaczęła więc powtarzać swoje słowa: Powiedziałam, że twój brat...

- Niemożliwe. W to nie uwierzę. - Zerwał się tak szybko, że aż się zachnęła. - To był prawie dzieciak, młodszy od Kitty. Zawsze z niego żartowaliśmy, ile się da. Kitty za nic nie poślubiłaby Andrew.

Zanim Maura zdążyła powiedzieć coś więcej, Fitzwilliam zbladł.

- Fitz, czy wszystko w porządku?

- Za nic. Za nic. Za nic.

I już go nie było.

Pierwsze smugi słonecznego światła wciskały się do wnętrza przez brudne okna. Maura pozbierała papiery, wyciągnęła jeszcze kilka szwów z marynarki Donala Byrne'a i poszła do kuchni wypić filiżankę mocnej herbaty.

Właśnie kończyła czytać ostatnią stronę, gdy ktoś zapukał do drzwi. Włożyła stare džinsy i zielony sweter, które powinny były ochronić ją przed przenikliwym chłodem poranka.

Zaskoczyło ją, że Donal Byrne, chłodno kalkulujący człowiek interesów, może pisać z taką pasją. Czytając, nieraz na długo zapominała, kto jest autorem tekstu, zapominała też, że Donal uważa ją za „przeszkodę”, a wszelkie uprzejmości stanowią część jego wielkiego planu bitwy.

Gdyby przeczytała te zapiski, nie znając autora, bardzo chciałaby go poznać.

Za drugim razem pukanie rozległo się głośniejsze. Udało jej się dotrzeć do drzwi, nim powtórzyło się po raz trzeci. Na schodkach stał Donal Byrne we własnej osobie.

- Mam nadzieję, że pani nie zbudziłem - powiedział z wdziękiem.

Poczuła ukłucie w dołku, skrzyżowała więc ramiona na piersiach.

- Nie. Nie spałam, bo czytałam pańską pracę.

- Naprawdę? - Uśmiech mu zamarł. Donal wydawał się jej taki świeży i czysty. - I co pani o niej sądzi? Oczywiście pisałem ją wiele lat temu, ale czy przydała się pani do czegoś?

- Tak, dziękuję. Przeczytałam z dużym zainteresowaniem. - Przestąpiła z nogi na nogę, zdawała sobie bowiem sprawę, że powinna go zaprosić na kawę albo herbatę. Nie mogła jednak zapomnieć o notatce znalezionej w kieszeni marynarki. Na tym jednym świstku zanotował to, co naprawdę o niej myśli, i tego było jej dość.

- Czy jest pan pewien, że pana informacje są dokładne?

- O, tak. Nie odszedłem od stwierdzonych faktów historycznych. Po prostu wypracowałem ich możliwą interpretację. - Odchylił się do tyłu, jakby chciał lepiej widzieć jej twarz. - Czy pani jest na mnie zła?

- Nie. Dlaczego miałabym być zła? Przecież prawie pana nie znam.

- Wydaje mi się, że utrzymuje pani, hm... dystans.

Samochód wyjechał zza rogu z głośnym rykiem klaksonu, więc spojrzała w tamtą stronę. Zrobiłaby wszystko, byle nie patrzeć Donalowi w oczy.

- Przypuszczam, że chce pan odzyskać marynarkę.

- Owszem.

- Przyniosę ją panu.

Zachowała się niegrzecznie, każąc mu czekać na schodach, ale musiała jak najszybciej zwiększyć dzielącą ich odległość.

Dom wydawał jej się azylem, schronieniem przed światem, który otaczał ją zacisznymi czterema ścianami.

Gdy brała marynarkę, upewniła się, że karteczka spoczywa w tej samej kieszeni co przedtem. Wsadziła też papiery Donala do szarej koperty. Nic, co należało do niego, nie powinno u niej pozostać. Absolutnie nic.

Gdy wróciła, właśnie naciągał skarpetę.

- Mam skarpety nie do pary. - Uśmiechnął się szeroko. - Jeśli ktoś kiedyś rozwiąże zagadkę Trójkąta Bermudzkiego, to prawdopodobnie znajdzie tam również przynajmniej pięć tuzinów moich skarpet.

- I piór - powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co robi. - Tam są całe fury piór, które znikają z futerałków natychmiast po wyjęciu.

Po co w ogóle odpowiedziała?

Donal roześmiał się, a ona podała mu kopertę i marynarkę.

- Proszę.

Przez chwilę wydawał się zaskoczony.

- Dziękuję. Przy okazji chcę powiedzieć, że wczorajszy wieczór był niezapomniany.

Nie odezwała się ani słowem.

- Zastanawiałem się, czy również dziś nie zjadłaby pani ze mną kolacji. Słyszałem o pewnym miejscu w Doneybrook, bardzo eleganckim. Jestem gotów nawet usiąść za kierownicą, żeby mogła pani włożyć pantofle na wysokim obcasie.

- Nie, dziękuję.

- Nie?

- Tak powiedziałam. Doceniam pańską propozycję, ale nie, dziękuję.

- Więc może jutro wieczorem?

- Nie, dziękuję. Muszę już iść...

- Mauro, chciałem...

- Do widzenia. - Wahała się przez chwilę, lecz mimo to zamknęła drzwi. Usłyszała trzask zamka. Znalazła się w środku domu, a on pozostał na zewnątrz.

Wkładając marynarkę, przyglądał się parkowi po drugiej stronie jezdni. Dziecko odbiegło od matki, a stary człowiek, spacerujący z psem, przystanął, żeby zapalić papierosa.

Ten dom był dziwny, to nie ulegało wątpliwości. A kobieta, która w nim mieszkała, idealnie pasowała do otoczenia.

Dlaczego więc nagle poczuł się tak, jakby kopnięto go w żołądek? Była to dla niego nietypowa i bardzo krępująca reakcja. Nie podobała mu się. Ani trochę.

Spotkanie przebiegało dobrze.

Donal stał na podwyższeniu, przyglądając się swoim przełożonym z firmy farmaceutycznej. Dobrze znał ich wszystkich, pracował z nimi od dziesięciu lat.

Mimo to tu, w Dublinie, ci ludzie wydawali mu się obcy. Szeptali między sobą po niemiecku i do niego też zwracali się w tym języku, choć większość z nich stać było na płynną angielszczyznę. Zupełnie jakby czuli się w obowiązku podkreślić swoją przynależność narodową, upewnić się, że podczas trzydniowego pobytu nie stali się Irlandczykami.

Czy on był taki sam w Monachium?

- Panie i panowie - zaczął, grzebiąc w notatkach. Miała to być podsumowująca sesja. Gdy przełożeni zobaczą fabrykę i poznają możliwości, jakie się przed nimi rysują, interes stanie się faktem. - Rząd irlandzki jest gotowy bardzo korzystnie dla nas rozwiązać kwestie podatkowe...

Gdy był w Monachium, uparcie podkreślał swoje irlandzkie pochodzenie. Mówił po niemiecku z charakterystycznym akcentem z West Cork, mimo że mógł to robić płynnie i używać idiomów. Tak jak tutaj Niemcy trzymali się swojego języka, on robił to samo w ich kraju.

Amerykianie też się tak zachowują. Cóż ugryzło tę Maurę?

- Ponadto gdyby okazało się, że jest na sprzedaż przyległy teren, rząd irlandzki jest gotów partycypować w kosztach jego kupna w proporcji funt za funt wynegocjowanej przez nas sumy. Innymi słowy, moglibyśmy kupić taki teren za pół ceny.

Śluchacze zdawali się go nie rozumieć. Przez chwilę nie było reakcji, potem rozległ się cichy szmerek i zdawkowe oklaski.

Czyżby powiedział coś, czym ich obraził?

Poprzedniego wieczoru, na kolacji z Maurą, starał się zachowywać poprawnie, ku swemu zaskoczeniu przekonał się jednak, że jej towarzystwo sprawia mu autentyczną przyjemność. Raz po raz zapominał, dlaczego tam z nią siedzi, kim jest Maura i jaki ostateczny cel mu przyświeca. A ona była po prostu wspaniałą partnerką, radosną, dowcipną i tak piękną, że aż trudno mu było spojrzeć jej w oczy. Czy mogła być na niego zła o jego zachowanie? Nie. Na pewno nie o to

chodziło. Ten wieczór był dokładnie taki, jak jej powiedział: niezapomniany.

Ktoś postawił mu pytanie, krępy mężczyzna siedzący z tyłu. Donal znał go z nazwiska, umiał nawet przywołać przed oczy obraz jego żony, równie krępej kobiety z siwiejącym warkoczem owiniętym dookoła głowy. Mimo to teraz nazwiska nie mógł sobie przypomnieć.

Nie słuchał tego człowieka.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć?

Mężczyzna powtórzył pytanie po niemiecku.

Nagle Donal uświadomił sobie, że nic nie rozumie. Słowa zlewały się i stawały pozbawionym znaczenia zabawnym szumem.

Nigdy nie odczuwał lęku przed publicznymi wystąpieniami, nigdy nie musiał się długo przygotowywać, żeby wstać i przemawiać przed dużą grupą słuchaczy. Teraz jednak czuł się głupio i niezręcznie.

– Hm – odchrząknął głośno. – Tak, oczywiście. – Mówiąc, skubał guzik przy mankiecie. – Tak, tak, oczywiście...

Nagle rękaw oddzielił mu się od reszty marynarki.

Po sali przeszedł szmer, Donal bowiem z namaszczeniem ściągnął z ramienia niebieski rękaw i pokazał go zebranym. Położył go na mównicy, a potem szarpnął za drugi rękaw. Ten również gładko oddzielił się od reszty okrycia.

Donal położył drugi rękaw tuż obok pierwszego.

– Czy są jeszcze pytania?

Kilka osób zaczęło się śmiać. Początkowo ostrożnie, lecz gdy Donal również się uśmiechnął, śmiech huknął salwą. Wszyscy pomyśleli, że tak było w planie, że jest to część wystąpienia, i bardzo im się to spodobało.

Wśród głośnych braw Donal sięgnął do kieszeni i poczuł w palcach kawałek papieru. Gdy część Niemców wstała, wyjął karteczkę i zerknął na nią.

Notatka. Ta, której nie mógł znaleźć. Napisał ją jeszcze przed przyjazdem Maury. Nawet nie zanotował daty. Miał jasny plan: pozbyć się przeciwnika, tej Amerykanki bez twarzy.

Naturalnie nie zamierzał uciec się do brutalnej przemocy. Notatka bardziej miała motywować go do walki, niż dokładnie opisywać zamierzenia. Użył w niej wyrazów „przeszkoda” i „siła”, i jak na ironię także „perswazja”.

Najwidoczniej Maura przeczytała tę kartkę.

- Dziękuję - powiedział i szedł z podwyższenia w nowo powstałej niebieskiej kamizelce, przy ramionach której ciągnęły się nitki.

- Donalu, nie masz już nic więcej do dodania? - syknął rudowłosy facet z ministerstwa. Zaraz, jak mu tam?

- Czy mógłbyś przejąć ode mnie przewodniczenie? Muszę pilnie zatelefonować. - Donal uścisnął mężczyźnie dłoń, potrząsnął nią i skierował się do wyjścia, zostawiając w sali rękawy.

Mógł myśleć w tej chwili jedynie o tym, jak musiała się czuć Maura, gdy czytała jego notatkę.

O tym i o okrucieństwie, z jakim potraktował tę kobietę, która zawiniła tylko tym, że odmawiając sprzedaży firmy, stanęła mu na drodze do urzeczywistnienia jego wielkiego marzenia.

Coś z nim było bardzo nie tak. Może powinien był posłuchać lekarza. Kiedy poprosił medyka o środek na bezsenność, ten zalecił mu wizytę u psychiatry, mówiąc, że tabletki usuną tylko symptomy, lecz nie rozwiążą problemu.

Miał też sny, wciąż nachodziły go sny o domu i upływie czasu, o ludziach, którzy zdawali się żyć w gejzerach światła, a czasem wydawali mu się tak prawdziwi, że zostawali z nim nawet po przebudzeniu. Donal stworzył sobie drugie życie, w którym były miłość i radość, lecz również strach i zagubienie, w każdym razie mógł żyć tym życiem, nie ryzykując zetknięcia z rzeczywistością. Musiał z kimś o tym porozmawiać i wiedział, że prędzej czy później to zrobi.

Ale co mógłby powiedzieć mu psychiatra. Że jest samotny, że kariera zawodowa nie zapełniła dziury, ziejącej w jego sercu, pustki, która tak mu doskwierała, że stała się częścią jego ja.

Nie częścią. To było właśnie jego ja. Określała go ta samotność, krucha powłoka nie do przebicia dla większości ludzi. A jeśli nikt go nie wypytywał i się nad nim nie zastanawiał, on mógł uniknąć zagładania w głębię swojego ja i sprawdzania, czego tam brakuje.

Dlatego brał tabletki nasenne, choć nie leczyły niczego. Wciąż nie mógł zaznać spokoju i nie mógł się zdrowo wyspać.

Sposób, w jaki obszedł się z Maurą, stanowił teraz część jego problemu. Przecież nie miał prawa tak jej potraktować tylko dlatego, że jego życie było puste. Nie miał najmniejszego prawa.

Musiał do niej zatelefonować, i to szybko, zanim opuści go odwaga, by to zrobić.

Scandalous

Pomysł przyszedł Maurze do głowy tego popołudnia. Jak większość wspaniałych pomysłów objawił się akurat wtedy, kiedy wcale nie próbowała się nad niczym zastanawiać.

Sposób na ocalenie Maiden Works wydał jej się tak oczywisty, że z wrażenia upuściła papierowy ręcznik, którym próbowała wyczyścić frontowe okno, i po prostu stanęła, wpatrzona w głąb salonu. Nie widziała bałaganu ani kurzu, którego zwalczanie musiało zająć jeszcze tygodnie. Za to zobaczyła przyszłość.

Postanowiła zamienić Maiden Works w kwitnący interes.

Uśmiech wypłynął jej na twarz, podczas gdy umysł rozwijał ideę. Budynek był dziwaczny i zniszczony. Wystarczyło pokryć go strzechą i natychmiast niedochodowa fabryka mebli zamieniłaby się w muzeum folklorystyczne. Pracownicy zachowaliby swoje posady, i Kermit MacGee, i Jimmy O'Neil, i wszyscy inni, tyle że ubrani w stroje z epoki.

Naturalnie wyboru epoki mogła dokonać później. To było bez znaczenia.

Znaczenie miało to, że budynek stał przy głównej drodze prowadzącej prosto w góry Wicklow. Pracownicy mogliby zrezygnować z produkcji niesprzedawalnych mebli i zacząć wytwarzać pamiątki. Możliwości było mnóstwo, na przykład mebelki dla lalek. Nie, jeszcze lepiej Magiczne Mebelki. Albo Czarodziejskie Mebelki Wyciosane Tajnym Zaklęciem. Mogliby też wytwarzać shillelaghs, regionalne pałki z tarniny lub dębu. I naturalnie drewniane koniczynki, kółka do kluczy, a może nawet miniaturowe wioski.

Zanim jednak pełne autokary zaczną się zatrzymywać przed sklepem, mogą przyjeżdżać po prostu do starej fabryki. Turyści będą oglądać robotników, którzy zabijają czas, popijając herbatę i gawędząc między sobą.

A jeśli zechcą napić się herbaty z robotnikami, tym lepiej!

Maura liczyła, że na tych zmianach zarobi dość pieniędzy, by ocalić fabrykę ojca. Tymczasem jednak musiała chyba sprzedać kamienicę, żeby wszystko dalej się kręciło. Prawdopodobnie dostałaby wysoką cenę za sam dom, a były jeszcze meble i dywany.

Tylko co z duchem?

- Nie myśl o tym - powiedziała do siebie. Może tak jest lepiej: po prostu sprzedać dom i dalej układać sobie życie. Może przesadne zainteresowanie umarłymi zagroziło zdrowiu jej umysłu. W tym domu pełnym tajemnic i uroków zaczęła dziwaczeć.

Naturalnie musiała przekonać Charlesa MacGuire'a do swego planu. Z tym jednak nie powinno być kłopotów. Adwokat wydawał się...

- Ojej, to ty! - Maura omal nie przeszła przez Fitzwilliama Connolly'ego, który stał przy framudze.

- Ja.

- Proszę, nie rób tego więcej - powiedziała, przyciskając dłoń do piersi. Serce biło jej jak szalone. - Omal nie umarłam ze strachu!

- Wtedy przynajmniej bylibyśmy w jednakowej sytuacji. - Uśmiechnął się szeroko. - Serdecznie przepraszam, że nie oznajmiłem swojego nadejścia w bardziej stosowny sposób.

Wreszcie i ona się uśmiechnęła.

- To jest twój dom, Fitz. Po prostu bardzo mnie zaskoczyłeś.

- Miałem cię o coś zapytać, pani.

- Proszę bardzo, czekam.

- Dlaczego, na miłość boską, nazywasz mnie „Fitz”? Przez całe moje życie, a o ile mogę stwierdzić, również potem, nikt nie zwracał się do mnie w ten sposób. Rzadko mówiono do mnie nawet „Fitzwilliam”, robili to przede wszystkim bliscy krewni, którzy mieszkali ze mną pod jednym dachem z górą dziesięć lat.

- A jak cię nazywał młodszy brat?

Roześmiał się, a Maurę zaskoczyły biel i zdrowy wygląd jego zębów. Były nawet bielsze niż koszula. Fitzwilliam niecierpliwie poruszył ręką, strzepując włos, który spadł mu z głowy.

- Andrew nazywał mnie „Fitzwilly”. Ale radzę, pani, byś powstrzymała się przed nazywaniem mnie w ten sposób.

- A to dlaczego?

- Ponieważ zwykle byłem zmuszony zniechęcać go do tego, stosując siłę fizyczną, to znaczy łaskotałem go albo trzymałem głowę w dół nad końskim żłobem. - W miarę mówienia uśmiech mu gasł.

Maura, która zauważyła, jak zmienia się jego twarz, pojęła to samo co on: Fitzwilliam nie mógł już oddziaływać na nic i nikogo nawet najmniejszą siłą fizyczną.

- Och, przykro mi - szepnęła.

- Nie martw się. - Wyprostował plecy. - Jak mężczyzna, który nie jest w stanie utrzymać kartki papieru, może komuś zagrażać? Nawet nie mogę nikomu narobić kłopotów.

- Ha, tak się zdaje temu, kto wtargnął tutaj bez zapowiedzi.

Nie odezwał się, tylko skinieniem głowy przyznał jej rację.

- Właściwie nie wiem dokładnie, po co tutaj jestem - przyznał, rozglądając się po pokoju.

- Czy byłeś tu kiedyś za dnia? Oczywiście odkąd... No, wiesz, o co mi chodzi.

- Nie przypominam sobie. To wszystko wydaje mi się... - Przetarł oczy, nagle jakby zmęczony. - Mam takie wrażenie, jakbym bardzo długo spał. I w tym czasie śniłem mnóstwo dziwnych snów, widziałem, jak przychodzą i odchodzą ludzie, których nigdy nie znałem. Mieli przedziwne stroje: kobiety - monstrialne suknie, a mężczyźni niezwykle peleryny i włosy ostrzyżone prawie do gołej skóry i długie bokobrody. Były też w tym śnie dzieci, nieznanome dzieci, które szybko dorastały, a potem znikwały.

Zadałaby mu wiele pytań, ale nie chciała się wtrącać do jego prywatnych spraw, odzierać go z tego, co mu zostało.

- Pamiętam też zabawnego staruszka w kapeluszu i z fontaziem.

- Delbert! Założę się, że to był on, człowiek, po którym odziedziczyłam ten dom.

- Tak? - Przez niepokojąco długą chwilę zatrzymał na Maurze spojrzenie. - A potem zobaczyłem ciebie.

Przełknęła ślinę i zaczęła odwracać głowę, ale oczy Fitzwilliama i w ogóle cała postać za bardzo przyciągały jej uwagę.

- Przyglądałem ci się, jak śpisz.

- Naprawdę?

- Za to też chyba powinienem przeprosić, skoro przyglądałem się kobiecie, która sama śpi w łożu.

Maura przestąpiła z nogi na nogę, skrzyżowała ręce i wzruszyła ramionami.

- Okoliczności są dość wyjątkowe. Nie sędzę, żeby etykieta przewidywała taką sytuację.

Znów przez dłuższą chwilę się nie odzywał, tylko obserwował jej ruchy. Sam był jak posąg.

W pokoju zrobiło się chłodniej; zdawało się, że zimny powiew wypełnia wszystkie zakamarki i porusza zasłonami, choć Maura nie była pewna, czy to nie jest tylko gra jej wyobraźni.

Ale gdy się obróciła, Fitzwilliama nie było. Wiedziała o tym już wcześniej. Od razu wyczuła pustkę.

- Mam nadzieję, że wrócisz - szepnęła.

Dzwonek telefonu przerwał natrętnym, gniewnym dźwiękiem tę intymną chwilę.

- Proszę, wróć - powtórzyła i poszła do kuchni odebrać telefon.

- Halo?

- Mauro, tu Donal Byrne.

W pierwszym odruchu chciała odłożyć słuchawkę, ale oparła się tej pokusie. Nie odezwała się jednak.

- Wiem, że pani tam jest - powiedział. - Słyszę pani oddech.

- Owszem, jeszcze jestem.

- Mauro, niech pani posłucha. Muszę coś wyjaśnić... to nie jest dla mnie łatwe. Czy zechce mnie pani wysłuchać?

- Ma pan na to kilka minut.

- Dziękuję. Przede wszystkim muszę pani powiedzieć, że bardzo przyjemnie wspominam wczorajszy wieczór. Nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać, ale ku swemu zaskoczeniu naprawdę dobrze się bawiłem w pani towarzystwie.

- Ku swemu zaskoczeniu? Jak to uprzejmie z pana strony, że...

Roześmiał się, ale tym razem nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Ale się wyraziłem. Nie jestem przyzwyczajony do mówienia o swoich uczuciach ani do sypania komplementami jak z rękawa. Zresztą rękawów też już nie mam.

- Czy przypadkiem włożył pan swoją niebieską marynarkę?

- Właśnie. W tej chwili jest bardziej podobny do kamizelki. Z pewnością będzie na to moda w Niemczech.

- W Niemczech? Dlaczego właśnie tam?

- Bo stamtąd pochodzą szefowie mojej firmy.

- Nic nie rozumiem.

- Szefowie, dla których zorganizowałem ważną konferencję. Wydawali się zachwyceni pomysłem zdejmowanych rękawów.

- Aha... - Nie miała wyrzutów sumienia. Nie dopuściła do siebie najmniejszego żalu z powodu tego, co zrobiła. - Może po prostu napisze pan dla nich notatkę służbową. Zdaje się, że ma pan dar zwiezłego i trafnego ujmowania różnych kwestii.

- Mauro... - zaczął, ale urwał. - Tamtą notatkę napisałem w zeszłym tygodniu i nikomu jej nie przekazałem. To był czysty biznes.

Blef, rozumiesz? Zresztą tak naprawdę blefowałem tylko na własny użytek.

- I dlatego napisał pan notatkę, której nie miał pan zamiaru nikomu przekazać?

- To nie tak. Próbowałem się wprawić w odpowiedni nastrój, żeby zapanować nad sytuacją. Normalnie nie jestem zbyt drapieżnym typem, ani w interesach, ani w życiu prywatnym. Pani wie, o czym mówię. Trochę pozuję przed samym sobą. Naprawdę mnie to krępuje, ale muszę, bo tak jest lepiej dla wszystkich.

- Całkiem dobrze to panu wychodzi.

- Mauro, proszę panią. Czy moglibyśmy jeszcze się spotkać?

Zamknęła oczy i oparła się o framugę kuchennych drzwi.

- Nie widzę sensu. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebyśmy mogli mieć ze sobą coś wspólnego. Nie po tej notatce. A co do fabryki, postanowiłam ją zatrzymać.

Nastąpiła długa pauza, a potem rozległ się dźwięk przypominający stukanie końcem ołówka o biurko.

- W porządku. Niewątpliwie ma pani prawo. - Stukanie ustało. - Ale gdy fabryka zbankrutuje, co powinno nastąpić za kilka miesięcy, jeśli nie wcześniej, będę mógł ją przejąć o wiele taniej.

- Fabryka nie zbankrutuje.

- Nie? Ho, ho. - W jego głosie znów pojawiła się nie wyrażona wprost groźba. - Domyślam się, że zamierza tu pani czarować tak samo jak w Stanach. Czy powiedziała już pani swoim pracownikom, że bez zmian fabryka może pociągnąć jeszcze miesiąc, najwyżej dwa, a potem trzeba będzie zacząć redukcję etatów?

- Jak... Kto...

- Bardzo mi zależało, żeby dowiedzieć się o pani jak najwięcej.

- I oczywiście nie jest pan drapieżnym typem.

Chociaż rozważała już taki zamiar, zwłaszcza podczas rozmów z Donalem, to nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek po prostu

zlekceważyła kogoś i trzasnęła słuchawką o widełki w pół zdania rozmówcy, nie trując się nawet zdawkowym pożegnaniem. Tym razem jednak to zrobiła. Słuchawka uderzyła o widełki z taką siłą, że wibracja przeniosła się aż na rękę Maury.

Przerwanie rozmowy z Donalem Byrne'em nie poprawiło jej jednak nastroju, nie dało też poczucia triumfu ani satysfakcji. Przeciwnie, poczuła się jeszcze gorzej.

Dotąd w głowie kołatała jej się myśl, że może zostaną przyjaciółmi. Jeśli nie brać pod uwagę fatalnego przypadku z notatką w kieszeni, to spędzili ze sobą cudowny wieczór i chyba łączyło ich coś wyjątkowego, chociaż Maura nie umiałaby tego nazwać. Może było to tylko obopólne zainteresowanie fabryką. Może takie napięcie w znajomości mężczyzny z kobietą jest całkiem normalne. Mimo wszystko to coś wydawało się Maurze zbyt głębokie i potężne, by takie powszednie wyjaśnienia wystarczały.

Notatka była paskudna, ale jeśli Donal rzeczywiście przygotował ją w zeszłym tygodniu, to jego usprawiedliwienie miało pewien sens. Przez małą chwilę zdawało jej się nawet, że zdołają uratować intymne ciepło niektórych wspólnych chwil z poprzedniego wieczoru.

Wiedziała jednak, że popełniła omyłkę, i to napelniało ją wielką goryczą. Donal Byrne był taki sam jak Roger. Dlatego nigdy, przenigdy nie mogliby zostać przyjaciółmi.

Duch pojawił się ponownie o zmierzchu.

Maura siedziała skulona na najmniej niewygodnej kanapie, mając obok siebie nadpita filiżankę herbaty, a przed sobą kolumny z „Irish Times” i „Independent” poświęcone nieruchomościom. Okulary do czytania tkwiły zapomniane na czubku jej głowy.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział bez wstępów.

- Proszę bardzo. - Odłożyła gazety na stertę, którą wieńczył notatnik. Oczywiście Fitzwilliam nie mógł wiedzieć, czym są ogłoszenia

o sprzedaży nieruchomości, ani nie rozumiał znaczenia kółek, którymi obwiodła telefony wybranych agentów. Tak czy owak nie chciała, żeby dowiedział się o jej planach sprzedania domu.

Podszedł do niej wielkimi, sprężystymi krokami, z każdym dosłownie pożerając dzielącą ich przestrzeń.

- Coś jest nie w porządku - rzekł Fitzwilliam.

- To bardzo ogłędnie powiedziane.

- Obawiam się, że nie będę mógł spocząć, póki nie dowiem się, co zaszło.

Maura zerknęła na niego. Zdawał się jarzyć, jakby emanował olbrzymie ciepło, jakby był czystą energią. Gdy nerwowo przeszedł kilka kroków, zaszeleściły papiery przesunięte podmuchem.

- Muszę cię o coś spytać. - Odłożyła pióro. - Chcesz, żebym ci pomogła, i naturalnie zrobię to. Ale czy naprawdę chcesz spocząć?

- Niestety, nie mogę odkryć, co zaszło... Słucham? - Przystanął w pół kroku.

- Spytałam, czy naprawdę chcesz spocząć. - Przełknęła trochę chłodnej herbaty. - Nie wyglądasz na kogoś, kto lubi odpoczywać.

- Bzdura. - Przeczesał dłonią włosy, przy okazji uwalniając następne kosmyki spod rzemyka.

- W jaki sposób to odczuwasz? - spytała Maura. - Chodzi mi o twój niepokój. Czy to jest dla ciebie przykre?

- Owszem, dręczy mnie to jak bolący ząb. Zaprzęta moją uwagę.

- Tak, ale czy to coś zmieni? To znaczy, co możesz zrobić w swojej sytuacji? Przeszłość jest przeszłością. Nie rozumiem, w jaki sposób odkrycie ponurych szczegółów z dawnych lat pomogłoby ci na tym etapie życia... no, powiedzmy raczej egzystencji.

- Czy chcesz się ze mną sprzeczać o każde zdanie?

- Nie zastanawiałam się nad tym. Ale pewnie tak.

- Do licha. - Pierwszy raz wydał się nieco swobodniejszy. - Czy to jest do siedzenia? - Wskazał jeden z niefortunnych przykładów

powojennego meblarstwa, olbrzymi, poobijany fotel, który kiedyś miał odchylane oparcie. Teraz po prostu tkwił sztywno w brązowym tweedowym obiciu, jakby mimo podłego wyglądu dumnie bronił własnego miejsca. Maura zmarszczyła czoło.

- Oczywiście, że do siedzenia. Może nie jest to najbardziej udany mebel, ale mimo wszystko służy do siedzenia.

- Wybacz mi. Nie jestem w stanie odróżnić przedmiotów z moich czasów i twoich. Zlewają mi się w jedno. Widzę żalosny chaos.

- Czy rzeczy ze swoich czasów również widzisz?

- Niezbyt dobrze. To są tylko blade zarysy, jak cienie w dzień, ale nie dość ciemne, by określić kształty. O...

- Uważaj! Ten fotel się rozkłada.

Mebel przypomniał sobie o swoim przeznaczeniu prawdopodobnie pierwszy raz od czasów wystrzelenia w kosmos pierwszego sputnika. Część do siedzenia wysunęła się do przodu i podcięła Fitzwilliama. Jednocześnie oparcie odchyliło się w przeciwną stronę, toteż pozostał na środkowej części fotela, rozpaczliwie wymachując rękami i nogami.

- Boże wielki! Czyżby to chciało mnie pożreć?

Maura doskoczyła do mebla i popchnęła do przodu jego starą drewnianą dźwignię.

- No, już w porządku - powiedziała z szerokim uśmiechem, lecz równie szybko przestała się uśmiechać.

- Dziękuję. To jest całkiem wygodne. Dlaczego tak patrzysz, Mauro? Czy coś się stało?

- Poruszyłeś fotel, Fitz.

W pokoju zapadło napięte milczenie.

- To niemożliwe. - Słowa bezdźwięcznie zawisły na wargach Fitzwilliama.

Maura wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

- Nie. Nie rób tego!

Gwałtownie cofnęła dłoń.

- Przepraszam. - Głos Fitzwilliama natychmiast złagodniał. - Ja po prostu... - dłoń zacisnęła mu się w pięść - no, na wszelki wypadek, gdyby moje ciało takie, jakie jest teraz, okazało się nieprzyjemne. Nie chciałbym sprawić ci przykrości, pani.

Chciała tylko dodać mu otuchy, ale Fitzwilliam okazał się niesłychanie dumnym człowiekiem. Prawdopodobnie żadne słowa nie były w stanie zachwiać jego przekonaniem.

- Och, Fitz.

- Tak, Mauro. - W końcu uśmiech wrócił mu na twarz. - To znaczy, że pomożesz mi w moich staraniach?

- Naprawdę nie wiem, co mogłabym dla ciebie zrobić.

- Czy jest jakieś miejsce, w którym przegląda się stare gazety i książki? Jeśli istnieje jeszcze Biblioteka Marsha, to może się okazać przydatna. Bardzo zależy mi na wszystkim, co ułatwiłoby odtworzenie zdarzeń.

- Nie chcę powtarzać się jak porysowana płyta, ale...

- Co porysowane?

- Przepraszam. Nie chcę się powtarzać, ale jaki z tego będzie pożytek? I tak nie możemy cofnąć się w czasie, żeby ukarać winnego czy winnych. Wygląda na to, że zbrodnię popełnił twój przyjaciel Patrick, a twój brat Andrew dla ratowania sytuacji ożenił się z Kitty.

- Proszę. Proszę... naprawdę nie umiem błagać. Jeśli jesteś, pani, zbyt zajęta innymi sprawami, to naturalnie rozumiem cię i postaram się dociec prawdy sam. Ale jeśli nie, to czy zechcesz mi pomóc?

To nie jest normalne, pomyślała, przyglądając się jego rysom. Mogła się niebezpiecznie łatwo wplątać w sprawy Fitza i zagrzebać w tym, co dawno już nie istnieje, zamiast zająć się rzeczywistością i wziąć za naprawdę pilne sprawy. Z drugiej strony stał się jej przyjacielem, w dodatku ważnym. Niezwykle w jego prośbie było tylko to, że ktoś taki jak on nie ma zwyczaju prosić nikogo o pomoc. I właśnie dlatego nie wolno mu było odmówić.

- Oczywiście - powiedziała w końcu. - Z wielką przyjemnością spróbuję ci pomóc.

- Dziękuję. Tymczasem odejdę. - Wstał z fotela z niejaką trudnością. - Czy to wymyślono dla ludzkiej wygody?

- Mhm. Potrzebujesz jeszcze tylko telewizora z dużym ekranem i możesz siedzieć do oporu.

Twarz miał nieprzeniknioną.

- Nie sądzę, żebym chciał wiedzieć, co miałaś na myśli. Przepuszczam, że nie wynika z tego nic dobrego.

- Masz rację. - Zerknęła na zegarek. - Dopiero co minęła szósta. Biblioteka na pewno jeszcze jest otwarta. Sprawdzę, co mogę dla ciebie zrobić.

- Jestem ci bardzo wdzięczny.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, już go nie było.

Biblioteka w College'u Świętej Trójcy istotnie była otwarta. Siedziało tam mnóstwo studentów wyglądających na zmęczonych, inteligentnych i bliskich paniki. Za późno było na szukanie innej biblioteki, a zwłaszcza Biblioteki Marsha, Maura poszła więc tam, gdzie miała najbliżej z domu. Bardzo ją ciekawiło, czy są jakieś książki o Fitzu, a jeśli nie, to czy jest wspomniany w jakiejś ogólnej historii osiemnastowiecznej Irlandii.

W holu z tłumem studentów, rozmawiających przyciszonymi głosami o zbliżających się egzaminach i kolokwiach, Maura przeżyła nagły atak popłochu jak przed lekcją matematyki, więc szybko skierowała się wprost do działu biograficznego.

Biografii Fitzwilliana Connolly'ego było ni mniej, ni więcej tylko pięć, najstarsza pochodziła z 1873 roku, a najświeższa sprzed zaledwie kilku lat. Nie mogła ich wypożyczyć, bo nie miała jeszcze karty biblioteczej, więc wzięła wszystkie pięć do czytelnicy i zaczęła po kolei kartkować.

Po pobieżnym przejrzeniu wszystkich uznała bez wahania, że najlepszą biografię napisał niejaki B.D. Finn. Uwagę Maury na tę właśnie książkę zwrócił początkowo podpis pod nieudolnym portretem z Muzeum Narodowego. Brzmiał on: „Portret Fitzwilliana Connolly'ego namalowany w rok po jego śmierci. Okoliczności powstania obrazu mogą tłumaczyć ponury wyraz twarzy postaci i jej wyjątkowo modne odzienie. Według relacji współczesnych Connolly nigdy nie nosił brokatów ani atlasów, nigdy też nie był w stanie usiedzieć na tyle długo, by pozować do portretu”.

Maura wybuchnęła głośnym śmiechem. Autor wyraził dokładnie to, czego sama się już dowiedziała. Spojrzała na stronę redakcyjną i stwierdziła, że biografia powstała w 1976 roku, grubo ponad dwa stulecia po okresie, w którym autor mógłby poznać swego bohatera osobiście.

Dziwna myśl przemknęła jej przez głowę. Czy Fitz mógł być odwiedzić autora w ten sam sposób, w jaki odwiedzał ją, Maurę?

- To śmieszne - mruknęła nad otwartą książką. Studentka, która właśnie usiadła na drugim krześle przy tym samym stoliku, uśmiechnęła się do niej na znak zgody, po czym z powrotem wzięła się do swojej pracy.

Im dłużej Maura czytała, tym bardziej widziała, jak dokładny obraz życia Fitz'a i - co dla niego ważniejsze - również jego śmierci stworzył autor. Z każdą stroną rosło też jej zakłopotanie. Jako Amerykanka nie zdawała sobie sprawy nie tylko ze znaczenia Fitzwilliana Connolly'ego dla kręgu jego przyjaciół, lecz również dla osiemnastowiecznej Irlandii w ogóle.

Nie tylko poglądy polityczne wyróżniały go spośród ówczesnej arystokracji. W latach poprzedzających amerykańską wojnę o niepodległość żyło wielu liberalnie myślących ludzi. Fitz jednakże był bogaty i uprzywilejowany od urodzenia jak niewielu współczesnych. Zamiast jednak lansować swoje idee, między innymi postulat

całkowitego zniesienia praw antykatolickich, które pozbawiły większość Irlandczyków praw zarówno obywatelskich, jak i czysto ludzkich, Fitzwilliam Connolly po cichu pracował, będąc członkiem izolowanego kręgu protestanckiej elity. Chadzał na bale Rotundy, jeździł na polowania, czasem zasiadał przy zielonym stoliku, lecz jednocześnie podkopywał fundamenty społeczeństwa, które dało mu bogactwo i pozycję.

Dopiero po sensacyjnej zbrodni jego prawdziwy charakter stał się powszechnie znany.

Przedtem Fitzwilliama Connolly'ego uważano za jedną z najważniejszych postaci dublińskiej śmietanki towarzyskiej i świata interesów. Sukcesy w obu dziedzinach rzadko kto łączył. Przyjęcie do jednej sfery było zwykle wymuszone przez wysoką pozycję w drugiej, ponadto zaś ręce kupców uważano za zbyt pospolite i brudne, by ścisnąć je w dobrym towarzystwie.

Connolly jednakże był najstarszym synem para. Ojciec zostawił mu majątek w ziemi, koniach, dziełach sztuki, firmie organizującej przewozy okrętowe i – rzecz wyjątkowo rzadka – również w gotówce. Odziedziczył też po ojcu tytuł, używał go jednak tylko wtedy, gdy było to niezbędne dla uniknięcia nieprzyjemności.

– Był markizem? – Nie zamierzała wypowiedzieć tych słów głośno, ale nigdy dotąd nie spotkała osobiście nikogo z arystokratycznym tytułem.

W czytelnicy zabłysły światła, sygnał, że wkrótce biblioteka zostanie zamknięta. Niechętnie przewróciła wiele stron, by zajrzeć na koniec książki, przeczytać o końcu życia Fitzwilliama Connolly'ego. Poczuli nagły ciężar odpowiedzialności, jakby samym przeczytaniem tego fragmentu mogła ulżyć cierpieniu Fitz'a.

– Interesuje panią rozwój szarych ludzi czy może pochodzenie turystów?

Maura wzdrygnęła się, poderwała głowę i stwierdziła, że prosto na nią patrzy swymi dziwnymi pięknymi oczami Donal Byrne.

- Ja... ani jedno, ani drugie, jeśli koniecznie musi pan wiedzieć. - Teatralnym gestem zatrzasnęła książkę, czym wywołała nerwowy ruch niejednego studenta. Kilka piór straciło kontakt z ręką właścicieli, rozległo się też parę okrzyków „Jeeezu!”.

- Przepraszam - powiedziała cicho do zebranych i znów spojrzała na Donal. - Co pan tu robi?

Wzruszył ramionami.

- Lubię biblioteki, ludzi, którzy tam siadują, zapach książek, spokój. - Wyciągnął szyję, żeby przeczytać tytuł jej książki. - A więc czyta pani biografie swego wybitnego przodka. Ta jest najlepsza ze wszystkich. - Wskazał książkę, którą przed chwilą czytała.

- Autor z pewnością byłby zachwycony, gdyby wiedział o pańskim uznaniu. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

- To była moja matka - wyrwało mu się i natychmiast zastygł w sztywnej pozie.

- Pana matka? - Maura znów zerknęła na książkę. - Tu jest podane, że autor nazywa się B.D. Finn.

- Podpisała ją inicjałami i panieńskim nazwiskiem. Widzi pani? - Otworzył książkę na końcu i pokazał jej skrzydełko z czarno-białą fotografią ładnej kobiety, o ciemnych, potarganych wiatrem włosach, która miała na sobie strój z wielkim szalowym kołnierzem. Informacja głosiła, że autorka mieszka w mało zurbanizowanej, zachodniej części Irlandii razem z mężem i małym synem. - Ten mały syn to ja - dodał bardzo cicho.

- Dlaczego mi pan o tym nie powiedział? - Maura przyjrzała się fotografii i rzeczywiście dostrzegła duże podobieństwo. Z czarno-białego zdjęcia nie sposób było odgadnąć, czy pani Finn miała taki sam kolor oczu, ale nawet w tej wersji były one uderzająco wyraziste.

- Jeszcze nie miałem okazji. Jak pani zapewne pamięta, jesteśmy po zerwaniu stosunków.

- Ha, ha. - Uśmiechnęła się, ale na niego nie spojrzała. Nadal wpatrywała się w zdjęcie i tylko kątem oka dostrzegła nogę Donala. Stał bardzo blisko, odniosła wrażenie, że czuje promieniujące od niego ciepło. - Chętnie bym ją poznała. Tak wiele wie o Fitzu. Byłoby wspaniale móc z nią o nim porozmawiać. Czy ona czasem przyjeżdża do Dublina?

- Przyjeżdżała. - Gdy przyglądał się zdjęciu matki, na wargach zaigrał mu nikły uśmiech. - Kiedy studiowałem na uniwersytecie, bywała tutaj często. Czasem wpadała tylko po to, żeby popatrzeć na mój mecz hurlingu, innym razem zjawiała się niespodziewanie w pokoju, w akademiku. O dziwo, żaden z moich kolegów nigdy nie miał nic przeciwko temu. Na widok innych matek zwykle zrywaliśmy się jak oparzeni i pędziliśmy do najbliższego pubu, żeby tylko uciec. Z moją mamą było inaczej, ona prędzej sama zaprosiłaby nas wszystkich do pubu.

- To bardzo zachęcające. Czy mama będzie tu w najbliższym czasie?

Donal raptownie zamrugał, jakby pytanie go zakłopotало, potem pokręcił głową.

- Umarła już dość dawno temu.

Maura instynktownie wyciągnęła rękę i dotknęła jego nadgarstka.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę nie wiedziałam.

- Wiem, że pani nie wiedziała - odparł cicho, powoli przenosząc wzrok na jej dłoń.

- Gdyby chciał pan kiedyś porozmawiać... - Urwała. Co jej znowu przyszło do głowy. On wyraźnie nie potrzebował od niej słów pocieszenia.

Wstał, zanim zdążyła znów się odezwać.

- Do widzenia, Mauro. - Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Pewnie dobrze się stało, pomyślała, jeszcze raz spoglądając na zdjęcie jego matki. Ona, Maura, i Donal Byrne nie mieli sobie nic do powiedzenia, absolutnie nic. Prawdopodobnie dobrze się stało.

Sukinsyn, skończony sukinsyn – mruknął do siebie, przecinając dziedziniec College'u Świętej Trójcy. Kilka osób zatrzymało się i popatrzyło na niego, ale widok młodego człowieka mamroczącego do siebie w okresie sesji egzaminacyjnej był tu dość powszedni.

Zaproponowała mu rozmowę o jego matce, Maura, która dopiero teraz dowiedziała się, że i on niedawno stracił rodziców, chciała dodać mu otuchy.

On przez cały czas wiedział, że jej ojciec zmarł niedawno w nie mniejszych cierpieniach niż jego matka. Mimo to nie wspominał o tym nawet w czasie ich najdłuższej rozmowy, nie zdobył się choćby na zdawkowe kondolencje. Powinien był to zrobić, wiedział o tym dobrze, choć jak ognia unikał tego tematu. Każdy człowiek mający w sobie gram uczciwości powinien okazać przynajmniej ślad współczucia.

Czuł, że odgradza się od świata jak jeszcze nigdy. Może było to z powodu niewyspania. A może było związane z niejasną sytuacją w interesach. Bez względu na przyczynę Donala dręczyła jednak przykra świadomość, że postąpił nie tak, jak powinien, że jego zachowanie nie odbijało ani jego uczuć, ani intencji. Zamiast zachować się uprzejmie, popisał się okrucieństwem. Nie wykazał ani krzty cierpliwości, był nietolerancyjny i chciał dostać wszystko, nie dając nic.

Co z niego za człowiek? Kim się stał?

– Sukinsyn, skończony sukinsyn – powtórzył.

Tym razem jednak nikt nie zwrócił już na niego uwagi.

Maurze ulżyło, lecz również trochę ją rozczarowało, że Fitz nie odwiedził jej w nocy. Długo spacerowała po sypialni, tłumiąc dłońią ziewnięcia, i czekała, aż go zobaczy. Absurdalność tej sytuacji zwróciła jej uwagę dopiero na chwilę przed tym, jak zrezygnowana wreszcie się położyła. Bądź co bądź była dorosłą kobietą, w dodatku kobietą interesu, głową dwóch firm.

A jednak stała w koszuli nocnej i czekała na pojawienie się ducha.

Zanim zgasiła światło, była już solidnie zmęczona i czuła się co najmniej głupio.

Naciągnęła koce pod brodę, zamknęła oczy i zaczęła planować, co będzie robić nazajutrz. Czekanie nie miało sensu. Powinna niezwłocznie skontaktować się z agentem sprzedaży nieruchomości. Im szybciej znajdzie się kupiec na dom przy Merrion Square, tym szybciej będzie mogła wprowadzić zmiany w fabryce i spłacić wierzycieli Finnegana.

Podjęła tę decyzję tym łatwiej, że wieczorem nie zobaczyła Fitz'a.

Nie wiedziała jednak, że gdy już morzył ją sen, jednak pojawił się w pokoju. Znalazł się tam po cichu, bezszelestnie, bez najmniejszego poruszenia. Stał i z uśmiechem w kącikach ust zaczął się jej przyglądać.

- Dobranoc, Mauro.

W półśnie wymamrotała coś niezrozumiałego i przewróciła się na drugi bok, wciskając poduszkę pod głowę.

- Dobranoc - powtórzył Fitzwilliam.

Maura przełknęła jeszcze łyk herbaty, wpatrzona w notatnik z żółtymi stronami, w którym wynotowała z gazety agentów sprzedaży nieruchomości. Jedno nazwisko zdawało się wyróżniać: Bidy Macguillicuddy. Ktoś, kto nazywa się Bidy Macguillicuddy powinien być sympatyczny albo przynajmniej mieć poczucie humoru.

Dziwne w tym wszystkim było to, że Maura miała kiedyś lalkę, którą nazywała Pani Macguillicuddy, zabawną filcową istotę z fioletowymi włóczkowymi włosami, ubraną w fioletową sukienkę z czerwonymi wisienkami i filcowe buciki w tym samym kolorze, sterzące w przeciwnych kierunkach.

Wybrała numer wymieniony w ogłoszeniu. Usłyszała wiadomość nagrałą zaskakująco radosnym głosem, który wydawał się stworzony do wykrzykników:

- Cześć! Tu Biddy Macguillicuddy! Zostaw, proszę, swoje nazwisko i numer, na pewno później do ciebie zadzwonię! Zdrówko!

Maura zostawiła wiadomość i odłożyła słuchawkę. Telefon odezwał się prawie natychmiast.

- Cześć! Tu Biddy Macguillicuddy!

Przez chwilę Maura miała wrażenie, że zadzwoniła do niej automatyczna sekretarka, i dopiero później zrozumiała, że to rozradowana Biddy we własnej osobie.

Maura opowiedziała o swoim spadku. Jej rozmówczyni była zresztą podejrzanie dobrze wtajemniczona w treść testamentu, paragraf po paragrafie.

- Ma pani wielkie szczęście! - Nagle jej głos stracił na intensywności. - Dlaczego chce pani sprzedać taki skarb?

Maura odkaslnęła. Musiała sprzedać tę nieruchomość, ale nie potrzebowała, żeby wszyscy, a zwłaszcza Charles, znali szczegóły sprawy.

- Jak by tu powiedzieć... - bąknęła.

- Tyle wystarczy - przerwała jej przyjaznym, lecz bardzo energicznym tonem Biddy. - Czy mam przyjechać dzisiaj i obejrzeć dom?

- To byłoby...

- Wspaniale! Będę o wpół do jedenastej. Zdrówko!

W słuchawce zapadła cisza. Maurze zdawało się, że właśnie spotkała na swojej drodze pluton pań z organizacji charytatywnej, życzliwych i bezlitosnych.

Dokładnie o dziesiątej trzydzięci Bidy Macguillicuddy we własnej osobie przestąpiła próg domu pod numerem osiemdziesiąt dziewięć i pół. Miała może odrobinę mniej niż półtora metra wzrostu i twarz podobną do suszonego jabłka, cherubinkowatą, lecz zoraną troskami. Jej dumną postać okrywał turkusowy strój ozdobiony plastikowymi wisienkami. Na głowie miała upiętą masę stalowo-siwych loczków. Był to jedyny kolor na jej ciele, który nie stanowił produktu katastrofy w naturze bądź okrutnego żartu pracownika mieszającego farby w kadzi.

- Dzień dobry. - Maura podała jej rękę. - Nazywam się...

- Och, oczywiście, oczywiście! - Bidy Macguillicuddy energicznie potrząsnęła jej wyciągniętą dłoń.

Maurę zatkało. Miała wrażenie, że jej lalka ożyła i zamieniła się w dublińskiego agenta sprzedaży nieruchomości.

- Proszę mi powiedzieć, panno Finnegan - Bidy Macguillicuddy przesłała Maurze szybkie, lecz przenikliwe spojrzenie - czy jest pani jakoś spokrewniona z Finneganami z Dalkey?

- Nic o tym nie wiem.

- Cieszę się! To była paskudna hałastrza, wszyscy, co do jednego. I Sean, zatrucacz studni, i jego najstarszy syn, Peter, gwałciciel owiec, i żona Petera, Peggy, która przerabiała na kielbasy trupy bezpańskich psów. A niech mi pani wierzy, że oni byli w tej hałastrze najlepsi, to była prawdziwa elita tych zakazańców, Finneganów z Dalkey. O reszcie nawet nie warto wspominać. - Na twarz kobiety spłynął nagle spokój, pojawił się na niej wyraz oczekiwania.

- Przykro mi, że dom nie jest w lepszym stanie - zaczęła Maura, wprowadzając gościa do salonu. - Przyleciałam do Dublina zaledwie przed kilkom dniami i nie miałam jeszcze czasu, żeby zrobić solidne porządki.

- Nie martw się, moja droga. I tak będziesz do przodu, jak ten dom wejdzie na rynek. - Z tymi słowami otworzyła dużą winylową torbę i wyjęła z niej pióro wysadzone kryształami górskimi oraz zniszczony kołonołatnik. - Czy nie masz nic przeciwko temu, że zanotuję to i owo, żeby mieć materiał do ogłoszenia?

- Oczywiście, że nie. Czy napije się pani herbaty?

- Och, kochana z pani dziewczyna! Nie, dziękuję. Na razie nie. Potem może, może, ale najpierw obejrzę dom. Chodźmy, popatrzmy.

Wyglądało to tak, jakby na twarz kobiety nagle opadła roleta. Biddu Macguillicuddy przedzierzgnęła się w profesjonalnego specjalistę od wyceny nieruchomości. Mówiła chłodno i rzeczowo.

- Ze sztukaterii zostało niewiele, prawda?

- Tego się obawiam.

- Doskonale. - Kobieta dotknęła języka końcówką lśniącego pióra, a potem zaczęła notować. - Zastanówmy się... „Pokoje bez kłopotliwych, trudnych do utrzymania w czystości ozdób”. Jak to brzmi? - Promiennie uśmiechnęła się do Maury. - Sztuka, moja droga, polega na tym, żeby wszystko przedstawić jako zaletę. Czy kuchnia jest w głębi domu?

Nie czekając na odpowiedź, z wojskową precyzją trafiła prosto tam, gdzie trzeba.

- Trzeba posłużyć się wyobraźnią. Czy masz dobrą wyobraźnię, moja droga?

- Nie. - Zawstydzona Maura skrzyżowała ramiona na piersiach. - Obawiam się, że nie. Zawsze byłam raczej pragmatyczna

- Dość cicha i staromodna, mam rację?

- Trochę tak. - Maura stanawszy z boku, żeby przepuścić panią Macguillicuddy, zaczęła nawijać na palec kosmyk swoich rudych włosów.

- Doskonale! „Przytulna kuchnia, którą można bez przeszkód urządzić w stylu lat dziewięćdziesiątych”. - Gestem fachowca kobieta odchyliła oberwaną zasłonę. - Boże! Podwórce za domem jest w jeszcze

gorszym stanie niż teren od frontu. „W ogrodach od frontu i od tyłu kontakt z niczym nieskrepowaną naturą”. To chyba brzmi dość zachęcająco, prawda?

Wreszcie Maura się uśmiechnęła.

- Owszem. Sama pokusiłabym się o kupno. - Potem głęboko zaczerpnęła tchu. - Jak pani ocenia szanse tego domu na szybką sprzedaż? Pytam, bo należę do ludzi, którzy lubią szybko załatwiać swoje sprawy, a słyszałam, że nieruchomości sprzedaje się miesiącami, a nawet latami.

Biddy Macguillicuddy obdarzyła ją szczególnym półuśmiechem.

- Ten dom się sprzeda. Możesz mi wierzyć, moja droga.

- On jest tak zapuszczony...

Niezmacona radość jakby na moment opuściła Biddy.

- Prawdę mówiąc, moja droga, ten dom sprzeda się ze względu na lokalizację. Ktokolwiek go kupi, wypruje mu wszystkie wnętrzności, bo to będzie dużo prostsze, niż gdyby starał się jakoś uporządkować ten bałagan. Bez wątpienia jednak cena będzie wspaniała. Domy w tej okolicy są na sprzedaż bardzo rzadko. A kiedy już trafia się okazja, w okamgnieniu zmieniają właściciela. Czy dostanę wyłączność na sprzedaż tej nieruchomości?

Uśmiech wrócił na twarz pani Macguillicuddy, ale Maura tego nie zauważyła.

- Nabywca wypruje mu wszystkie wnętrzności? - Co się stanie z Fitzem?

- To przecież jasne. Chodźmy teraz na górę.

Maura ruszyła w zadumie za kobietą, która nadal prowadziła notatki.

- W ogłoszeniach podkreślmy lokalizację. Jest pierwszorzędna. Naturalnie te domy są wizytówką Dublina, więc wszelkie zmiany muszą zostać zatwierdzone, ale to dotyczy przede wszystkim fasady. Poza tym dom należał do Fitzwilliamia Connolly'ego i to również stanowi

nieocenioną zaletę. Zawsze znajdują się ludzie gotowi zapłacić parę tysięcy więcej za piętno historii.

Wcześniej Maura rozumowała w podobny sposób. Teraz z wolna ogarniał ją niepokój, mający całkiem fizyczny wymiar: nieprzyjemnie ścisnęło ją w dołku na myśl o tym, że ktoś będzie bezceremonialnie rozwał wewnątrz tego domu.

- Czy również meble są do sprzedania?

Maura nie odpowiedziała, zresztą pani Macguillicuddy chyba nie oczekiwała odpowiedzi.

- Nieważne, o tym możemy zdecydować później. W każdym razie trzeba jak najszybciej dać ogłoszenie o sprzedaży domu. Boże wielki, niech pani popatrzy na to pomieszczenie z poplątaniem!

Weszły do pomieszczenia przylegającego do żółtego pokoju.

- A drugi pokój jest pusty! Ojej, jaka wspaniała georgiańska tapeta! Widziałam... - Bidy Macguillicuddy urwała. - Hm... Dziwnie to wygląda. Widocznie przez brak mebli.

Maura ze zgrozą ujrzała Fitzę, stojącego w kącie z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Wpatrywał się w nią z taką wściekłością, że po raz pierwszy, odkąd go zobaczyła, poczuła nieklamany strach.

- Czy coś się stało, panno Finnegan?

- Przepraszam, chyba naciągnęłam sobie mięsień, idąc po schodach - wybąkała Maura i pochyliwszy się, zaczęła masować nogę. Jednocześnie ruchem głowy wskazała drzwi, ale tym gestem tylko podsyciła gniew Fitzę.

Pani Macguillicuddy nagle zmartwiała.

- O, Boże - wyszeptwała.

Maura wyprostowała się i obróciwszy ku niej, instynktownie wyciągnęła rękę, żeby ją podtrzymać. Radość znikła z pobludłej twarzy Bidy Macguillicuddy i nagle kobieta zaczęła sprawiać wrażenie leciwej i kruchej.

- Czy pani dobrze się czuje?

Starsza pani wpatrywała się w kąt pokoju, w którym stał Fitz. Zrobiła krok do tyłu w swych solidnych pantoflach, ale nie odpowiedziała na pytanie. Pióro wyslizgnęło jej się z ręki. Maura schyliła się po nie i wtedy Bidy Macguillicuddy odepchnęła ją, zrywając się do ucieczki.

- Tu coś jest! Tu coś jest, wyczuwam zło!

Maura z otwartymi ustami wlepiła wzrok w Fitz'a, z którego twarzy zniknął gniewny wyraz. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, w całym domu odbił się echem stukot pantofli pani Macguillicuddy o marmurową posadzkę w sieni. Pytanie, w jaki sposób kobieta może poruszać się tak szybko, nasunęło się Maurze, gdy ruszyła jej śladem. Wnet usłyszała skrzypienie frontowych drzwi i odgłos kroków stopniowo uciechł.

Gdy dobiegła na parter, drzwi wciąż kołysały się na zawiasach. Na progu leżała paczka, która wyglądała jak książka. Była opakowana w szary papier i miała na wierzchu nazwisko Maury wypisane czarnym markerem. Nie było adresu zwrotnego ani śladu opłat pocztowych. Kimkolwiek był nadawca, najprawdopodobniej pofatygował się na Merrion Square osobiście, zamiast skorzystać z usług poczty.

Maura podniosła paczkę i z hukiem zatrzasnęła ciężkie drzwi, a tymczasem Fitz zszedł po schodach. Uczucie strachu, które ogarnęło Maurę wcześniej, już uleciało.

- Zobaczyła cię.

- Wiem. - Fitz potarł szczękę i pokręcił głową. - To się mi chyba jeszcze z nikim nie zdarzyło, jeśli nie liczyć ciebie. Rzeczywiście mnie zobaczyła, chociaż wcale nie chciałem jej się pokazać.

- Pewnie ma zdolności parapsychologiczne albo coś w tym rodzaju.

- Słucham?

- Ma zdolności parapsychologiczne. Wiesz, widzi duchy, przepowiada przyszłość i wróży z fusów.

- W moich dniach nazywano taką kobietę szaloną albo opętaną przez duchy.

- Możliwe, ale sądzę, że w swojej sytuacji powinieneś być bardziej otwarty na nowości, Fitz.

- Zobaczyła mnie.

- Wiem.

Nagle otrząsnął się z oszołomienia i spojrzał Maurze w oczy.

- Sprzedajesz dom.

- Miałam ci o tym powiedzieć. - Mocniej przycisnęła książkę do piersi. - Muszę, Fitz. Nie ma innego sposobu. Potrzebuję pieniędzy na ratowanie fabryki i firmy mojego ojca.

- Wobec tego mnie również sprzedasz - rzekł przez zaciśnięte zęby.

- Och, nie. To nie tak.

- Nie?

- Poczekaj. Omal nie zapomniałam... Znalazłam dla ciebie trochę informacji w bibliotece. Wytotowałam fakty i daty. Nie mogłam wypożyczyć książek, bo jeszcze nie mam karty bibliotecznej. Chyba muszę najpierw w jakiś sposób zalegalizować swój pobyt tutaj.

- Nie kłopotcz się, pani. Wygląda na to, że twój pobyt tutaj nie będzie na tyle długi, żebyś musiała starać się o przywileje w bibliotece.

Obrócił się na pięcie i zaczął wchodzić na schody.

- Nie chcesz usłyszeć, czego się o tobie dowiedziałam?

Nie było odpowiedzi. Fitz dalej wspinał się na schody. Zaraz za podestem, tam gdzie zakręcały, przystanął jednak i zacisnął dłoń na poręczy.

- Nic więcej już od ciebie nie chcę.

- Fitz, musisz zrozumieć... Naprawdę nie mam innego wyjścia. Miałam nadzieję, że będę mogła wziąć cię ze sobą. Czy sądzisz, że mógłbyś opuścić ten dom?

Długo jej się przyglądał, zanim wreszcie odpowiedział.

- Przez cały czas zdawało mi się, że to ja jestem sprzeczną z naturą, zimną istotą. W tobie widziałem ciepło i życie. Tęskniłem do tego, żeby być takim jak ty. Ja, spreczna z naturą, zimna istota.

Zanim znikł, uderzył pięścią w poręcz z taką siłą, że aż cała się zatrzęsała, razem ze wspornikami, a w powietrzu zawirowały drobiny farby i tynku.

- Wygląda na to, że grubo się omyliłem. To ty, moja pani, jesteś zimna, sprzeczną z naturą istotą.

- Nie, poczekaj! Proszę... - Ale Fitz już nie było.

Dom wydał się nagle Maurze taki pusty jak nigdy przedtem, ogarnęło ją poczucie nicości.

- On nie rozumie - powiedziała niepewnym, drżącym głosem. - Nie ma pojęcia, czego współcześnie wymaga od człowieka biznes.

Bolesnie przełknęła ślinę, zacisnęła powieki i jeszcze mocniej objęła paczkę.

Paczka. Maura omal o niej nie zapomniała.

Zaczerpnęła dużą porcję powietrza do płuc, podeszła do schodów i usiadła na drugim stopniu. Kciukiem ściągnęła taśmę oklejającą szary papier.

Gdy zobaczyła, co jest w środku, na chwilę po prostu osłupiała.

Książka była jej znana - „Fitzwilliam Connolly: dusza i sumienie Irlandii pod rządami protestantów” autorstwa B.D. Finn, matki Donala.

W odróżnieniu od egzemplarza w czytelni ten był w idealnym stanie, nie miał zagnieceń, plam po kawie ani oślich uszu, które znaczyły biblioteczny wolumin po dwóch dekadach użytkowania.

Otworzyła książkę na stronie tytułowej. Był tam krótki tekst czysto wypisany piórem. Litery były okrągłe i staranne; miały cechy, które wydały się Maurze znakiem irlandzkiej szkoły podstawowej.

„Mojemu synowi, który choć wciąż młody, nie jest już taki mały, jak bym chciała... Z miłością - Mama”.

To był prywatny egzemplarz Donala z dedykacją od matki. Zaparło jej dech w piersiach, wpatrywała się w tekst jak zahipnotyzowana.

Donal dał jej swój egzemplarz.

Spomiędzy kart książki wystawał bilecik.

„Mauro, mam nadzieję, że ta książka się pani przyda. Osobiście ręczę za charakter autora, choć niekoniecznie za temat. Miłej lektury, Donal Byrne”.

Pismo miało podobne do matki, choć może mniej pochyłe. Maura patrzyła na dwie próbki, jedną obok drugiej, i nie mogła zrozumieć, dlaczego tak trudno jest jej oderwać od nich wzrok. Nie było ku temu żadnego powodu oprócz tego, że im bardziej koncentrowała się na czymś tak niewinnym jak próbki pisma, tym mniej czasu miała na rozmyślanie, dlaczego nagle poczuła, że chce jej się śmiać i płakać jednocześnie. Ani dlaczego niespodziewanie wyrosła jej gula w gardle, co nie było do końca przykrym uczuciem, choć również nieprzyjemnym.

Jednak bez względu na to, jak długo siedziałyby na tych schodach z książką i szarym papierem na kolanach, jeden fakt pozostawał niezmienny. Donal dał jej swój egzemplarz.

Nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni Maura zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć, jak pracuje umysł mężczyzny.

Doznała takiego wrażenia, jakby ściany domu chciały ją udusić. Duże pokoje nagle wydały jej się przerażająco małe, ściany były zbyt blisko siebie, podobnie jak podłoga i sufit. Przypominało to wrażenie towarzyszące rodzinnemu spotkaniu, na które zjechało zbyt wielu krewnych. Nie ma ucieczki i nie ma kąta, w którym można by zebrać myśli. Dla zachowania zdrowia umysłu Maura musiała się stąd wydostać, uciec choćby tylko na parę godzin.

Zamiast zatelefonować do Charlesa MacGuire'a albo do Biddy Macguillicuddy, zamiast zrobić coś, co wymagałoby od niej prowadzenia inteligentnej konwersacji, postanowiła odwiedzić fabrykę mebli. Wiedziała, że jeśli zastanie tam Jimmy'ego O'Neila, nie będzie musiała pilnować wątku rozmowy, bo i tak niczego nie zrozumie. A jeśli Kermit MacGee wrócił do pracy, to może uda jej się na miejscu dowiedzieć, co takiego widzą w nim inni pracownicy.

Ubrała się starannie w płócienny kostium, który zdawał się podkreślać jej sprawność w interesach każdym skrawkiem praktycznej beżowej tkaniny. Jedyne ustępstwo na rzecz mody poczyniła, wkładając pod spód niebieską bluzkę z przypinanymi poduszczkami. Ramiona wypchała z nadzieją, że im bardziej będzie przypominać futbolowego obrońcę, tym większy szacunek zdobędzie u swych pracowników.

Przyjechała do fabryki tuż przed trzecią. Gdy weszła do środka, pracownicy akurat zamierzali urządzić sobie przerwę na herbatę. Jej pojawienie się bynajmniej nie odwiodło ich od tego zamiaru.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był Jimmy O'Neil. Jak zwykle miał na sobie czarną marynarkę i czarne spodnie, a pod spodem zgniecioną białą koszulę w geometryczny wzór. Nie była pewna, czy jest to ten sam strój co poprzednio, czy też Jimmy ma pełną szafę identycznie wystrzępionych spodni i wytartych marynarek. Ale przez przezroczysty materiał koszuli zobaczyła również ocieplany podkoszulek. Był trochę

odkształcony z przodu, bo jego wycięcie sięgało niemal najniższych żeber, a gdy popołudniowe ciepło skłoniło Jimmy'ego do zdjęcia marynarki, nie mogła nie zauważyć, że jeden z rękawów koszuli poddał się wysoko i wygląda jak obsunięte ramiączko stanika. Białe włosy, jak zwykle, stały Jimmy'emu na baczność, niczym w wojsku.

- Thath a geekoma hey. - Gwałtownie zamachał rękami i wskazał dżentelmena ze zdumiewająco białymi bakami. Zarzuciwszy sobie marynarkę na ramię, skinął w stronę towarzysza. - Kersther Matheraga.

Mężczyzna z bakami wstał i głęboko się skłonił. Jego spodnie sprawiały wrażenie uszytych w domu przez kogoś, kto jeszcze nie w pełni opanował sztukę krawiecką, za to miał mnóstwo różnokolorowej włóczki do dyspozycji. Krawat, zawiązany na niewielki węzeł, zwiślał mu aż za pasek i był zrobiony z tej samej włóczki. Jego koniec wyraźnie się strzępił, Maura wyobraziła więc sobie nagle, jak mężczyzna skraca sobie krawat w miarę jak ten się wyciąga.

- Bardzo mi przyjemnie panią poznać - oznajmił. - Jimmy wiele mi o pani mówił, panno Finnegan.

Maura zamrugła.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałam, jak się pan nazywa.

Mężczyzna wydał się zaskoczony.

- Jak to? Dokładnie tak, jak powiedział Jimmy: Kermit MacGee.

- Och, naturalnie! - Maura pochyliła się i potrząsnęła jego dłonią, co wyraźnie sprawiło mu wielką przyjemność.

Jimmy wystąpił i coś powiedział, a Kermit słuchał go z powściąganym siłą uśmiechem. Wreszcie Jimmy skończył, szturchnął Kermita i skinął głową.

- Nie, Jimmy! Nie mogę powiedzieć jej puenty. Nie tego dowcipu. Jego się nie opowiada w mieszanym towarzystwie.

- Proszę - zachęciła go Maura. - Bardzo chciałabym usłyszeć puentę. - Omal nie dodała, że jest to zupełnie bez znaczenia, bo i tak

nie ma pojęcia, o czym był dowcip, ale obawiała się, że skłoni tym Jimmy'ego do powtórzenia wszystkiego od początku.

- Czy pani jest tego pewna?

- Absolutnie - powiedziała z niezbitą pewnością w głosie.

- No, więc on mówi... - W warsztacie zapadła cisza. Kilku robotników szybko przysunęło się do nich i pochyliło w ich stronę, niecierpliwie czegoś wyczekując. - No, więc mówi... - powtórzył Kermit, upajając się reakcją słuchaczy.

Maura z zachwytem przyglądała się jego sztuce. Trzymał zebranych w napięciu jak profesjonalista.

Wreszcie Kermit uniósł się na palcach i wysokim głosem zawołał:

- Majteczki!

Odpowiedzią był powszechny wybuch radości. Jedna, jedyna Maura nie zgięła się wół ze śmiechu, nie trzymała się za boki, nie łapała ustami powietrza i nie powtarzała sobie pod nosem magicznego słowa.

Gdy wreszcie Jimmy odzyskał równowagę ducha, spojrzał na Maurę i zmarszczył czoło, ocierając łzę z zarumienionego policzka.

Kermit również się opanował i jakby nieco usztywnił.

- Bardzo przepraszam, jeśli ten dowcip czymś panią uraził.

- Nie, skądże. - Próbowała się uśmiechnąć, ale zmieszanie nagłą reakcją wszystkich dookoła nie pozwoliło jej przyznać się, że nie ma pojęcia, o co chodzi i co w tym jest zabawnego.

Z wolna na fabrykę zdawała się spływać posępna chmura, ludzie szeptali coś jeden do drugiego, potrząsali głowami, zapalali fajki i wracali do pracy albo do picia herbaty.

- Nie, naprawdę. To był bardzo dobry dowcip. - Nikt jej jednak nie uwierzył.

Jimmy O'Neil z niechęcią wzruszył ramionami, ale nagle zerknął na Maurę i twarz mu w jednej chwili pojaśniała.

- *Dotha misser blothdea!*

Wiedziała, że tym razem nie wolno jej stracić ani chwili.

- Ojej! Ale numer!

Klasnęła w dłonie i zaczęła się śmiać, zginając się w pół. Miała nadzieję, że to przedstawienie wygląda przekonująco.

Dopiero po chwili zorientowała się, że pęka ze śmiechu sama. Odgłosy jej radości głużyły wszystko dookoła. Urwała i kaszlnęła, choć wyrwał jej się jeszcze zabłąkany chichot.

Ktoś stanął za jej plecami.

- Cieszę się, że zapowiedź mojego nadejścia wprowadziła panią w taki znakomity humor.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Donalem Byrne'em.

- Po naszej ostatniej rozmowie - ciągnął - nie byłem całkiem pewien pani reakcji na mój widok.

Jimmy coś wtrącił i Donal spojrział na Maurę z wielkim zaskoczeniem.

- Chyba żartujesz - powiedział w końcu.

Jimmy pokręcił głową, wzruszył ramionami, zerkając na Maurę, poszedł, by dalej pić herbatę.

- Co on powiedział?

Na twarzy Donala powoli wykwitł uśmiech. Maura musiała przyznać, że w popołudniowym oświetleniu ta twarz wygląda niezwykle atrakcyjnie.

- Nie ma pani zielonego pojęcia, co mówi nasz poczciwy Jimmy, prawda?

- Owszem. A co powiedział?

- Im mniej pani wie o tym dość niefortunnym żarcie, tym lepiej. - Miał na sobie taki garnitur w prążki, jaki zawsze kojarzył się Maurze ze sztywniakami, Donal jednakże wyglądał w nim zaskakująco korzystnie. Przestąpił z nogi na nogę, nie odrywając od niej wzroku. Pomyślała, że lepiej byłoby, gdyby nie nosił takiego klasycznego męskiego stroju.

- Och - powiedziała zmieszana.

- Czy dostała pani książkę?

- Właśnie zamierzałam to panu powiedzieć. Tak, dziękuję bardzo. To była z pana strony niezwykła szczodrość. - Zniżyła głos. - Ale nie mogę przyjąć takiego prezentu. Jest zbyt cenny.

- Nie. Mama chciałaby, żeby tę książkę miał ktoś, kto naprawdę interesuje się Connollym. - Podniósł głowę i skinął pracownikowi, który zawołał go po imieniu.

- Ale w tej książce jest dedykacja dla pana, Donal. Nie mogę przyjąć egzemplarza, który pańska matka przeznaczyła specjalnie dla pana.

- Nie, nie, wszystko jest w najlepszym porządku. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Mam w domu całe pudła książek.

- Po co?

- Mama trzymała je na różne okazje, kiedy podpisywała tę biografię jako autorka. Niestety, nigdy nie było tak wielkiego zainteresowania książką, na jakie wszyscy liczyliśmy, chociaż w kręgach uniwersyteckich mama budziła przez kilka miesięcy żywe zainteresowanie, póki ktoś inny nie napisał następnej interesującej biografii. Mam jeszcze inne egzemplarze, więc nie ma się pani czym przejmować.

Patrzyła na niego i myślała o tym, jak światło igra mu we włosach i jak niezwykły odcień granatu nadaje jego oczom. Było w Donalu coś bardzo świeżego i szczerego, tyle życia. Nagle coś wpadło jej do głowy.

- A co pan tu właściwie robi?

- Zdaje się, że ostatnio lubi pani kwestionować moje prawo do przebywania w różnych punktach Dublina. Może powinna pani zwrócić uwagę na to, że to pani jest tu gościem, a ja miejscowym.

Puściła mimo uszu tę odpowiedź.

- Czy to ma coś wspólnego z pańskimi staraniami o przejęcie fabryki? Nic z tego. Właśnie miałam porozmawiać o moich planach z Jimmym O'Neilem, żeby sprawdzić, jak odniesie się do pomysłu zmian.

Nieznaczenie uniół brwi.

- Przecież pani nie rozumie ani słowa z tego, co on mówi. Jak, u licha, zamierza pani pracować z człowiekiem, którego pani nie rozumie?

- No, wie pan... - zaczęła. Przesłał jej tak piękny uśmiech, że nie mogła go nie odwzajemnić. - Bariera językowa między mną a Jimmym O'Neilem doprawdy nie jest moim największym zmartwieniem.

Miło było usłyszeć śmiech Donalę i zobaczyć, jak jego twarz rozjaśnia się światłem bijącym z wnętrza.

- No, to niech mi pan teraz powie - nie ustępowała Maura - co pan tutaj robi.

- Hm. - Zdawało się, że chce ująć ją za rękę, ale wcisnął ręce do kieszeni. - Pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę, czy nie miałyby pani ochoty na lancz.

- Jest po wpół do czwartej.

- No, to może zje pani ze mną wczesną kolację?

- Skąd pan wiedział, że tutaj będę?

- Zatelefonowałem do pani domu, a kiedy nikt nie podniósł słuchawki, po prostu zgadłem. Mam biuro niedaleko stąd. To co, pójdziemy na kolację? - Wysunął ku niej łokieć, nie wyjmując bynajmniej rąk z kieszeni. Po chwili wahania, ujęła go za ramię.

- Nie wierzę panu - mruknęła, gdy wychodzili. - W każdym razie po lanczu muszę tu wrócić i porozmawiać o zmianach.

- Najlepiej niech pani przeloży to na jutro. Oni dzisiaj wcześniej kończą pracę.

- Dlaczego? Kermit świetnie wszystkich bawi, więc nie ma powodu opuszczać fabryki.

- Ale jest bardzo ładna pogoda. - Donal urwał i podjął już poważniejszym tonem: - Przede wszystkim jednak nie ma dostatecznie dużo pracy. Nie ma tylu zamówień, żeby pracownicy mieli zajęcie na cały dzień.

Nie było sensu temu zaprzeczać.

- Nadal chcę wiedzieć, po co pan tu przyszedł, Donal.

- Zaprosić panią na coś do jedzenia. Po lokalu Nina należy się pani ode mnie coś eleganckiego.

- Bardzo mi się podobało u Nina! - Nie zamierzała tak podnieść głosu, ale Donal akurat się uśmiechnął.

- Tego się obawiałem. - Poprawił pasek jej torebki, żeby nie zsunęła się z ramienia, i wyszli.

- Romans wisi w powietrzu - powiedział ktoś z głębi warsztatu.

- Dobrze mówisz, Jimmy. Nie inaczej.

Inny mężczyzna dodał:

- Dobrze, że wyszła przed przyjazdem Niemców. O której mają tu być?

- Zdaje się, że około wpół do piątej. Donal poprosił człowieka z ministerstwa, żeby ich oprowadził, więc sam nie jest tu potrzebny.

Jedyne słowo, które przychodziło Maurze do głowy dla opisanie restauracji, było tym samym, którego użył Donal: elegancka. Odkąd weszli do małego kamiennego budynku, na progu którego z trudem opanowała chęć, by ukłęknać, mówiła szeptem.

Miejsce wyglądało tak, jakby przeniesiono je ze stron „Architectural Digest”. Imponowało wielkimi oknami i lśniącymi kryształowymi wazonami na każdym stoliku, a miękkie dywany tłumili wszystkie odgłosy. Sufit miał belkowanie, które wyglądało na stare. Całościowy efekt polegał na harmonijnym połączeniu nowoczesnej linii z klasycznymi detalami.

Wiedziała, że posiłek w tej restauracji będzie kosztowny. Ponieważ zaś nie była pewna, komu przyjdzie regulować rachunek, doświadczenie nauczyło ją bowiem, że Donal nie waha się obciążyć gościa kosztami zaproszenia, postanowiła, że bez względu na to, jakie luksusy znajdują się w menu i jakie czekają na nią smakołyki, wystarczy jej zwykły talerz zupy.

Donal jednakże czuł się w lokalu więcej niż swobodnie.

- Czy jest dzisiaj Kevin? - spytał, gdy powitał ich kierownik sali.
- Niestety, nie, panie Byrne. - Kierownik sali był starszym panem, który traktował swoje stanowisko z wielką godnością. Każde słowo wypowiadał ze starannością doświadczonego wikarego. - Pojechał dopingować kuzyna na festiwalu strzyżenia owiec w Wicklow.

- To już czas na festiwal?

- O, tak, panie Byrne. Słyszałem, że rodzina Kennedych z Galway ściągnęła do współzawodnictwa swoich kuzynów z Australii. Będzie ostra walka.

- Chyba nie chodzi o tych samych Kennedych, których siostra...

- Tych samiutkich - wpadł mu w słowo kierownik sali.

- To powinno ożywić zawody. - Donal zwrócił się do Maury: - Proszę mi wybaczyć, Mauro. To jest Dermot Hayes, najlepszy kierownik sali w dublińskich restauracjach. W gruncie rzeczy nawet w całej Irlandii.

Zanim mężczyzna skromnie zaprzeczył, cały pokraśniał z zadowolenia, nawet czubki uszu zrobiły mu się czerwone. A potem wrócił myślami do spraw profesjonalnych.

- Obawiam się, panie Byrne, że jest dzisiaj kłopot z miejscami. Ale liczę, że Hans coś dla pana znajdzie.

- Byłoby wspaniale, Dermot.

Zaprowadzono ich do dużego stolika pod oknem i Maura z zachwytem stwierdziła, że roztacza się stamtąd widok na stary drewniany młyn z kamienistym strumieniem, który napędza turbinę.

Była tak oczarowana tą scenerią, że nawet nie zauważyła, kiedy Donal zamówił wino.

- Nie. Nie mogę - wyszczała w chwili, gdy Dermot ich opuścił.

- Dlaczego nie? - Spojrzył na nią z miną niewiniątka. Ten fałszywy wyraz twarzy wpędził Maurę w popłoch bardziej niż wino.

- Bo muszę jeszcze popracować. Mam ważne sprawy. Kilka rozmów telefonicznych do załatwienia.

- I ciężar całego świata na swoich barkach. Niech pani pozwoli sobie na chwilę odpoczynku, Mauro. Jest późne popołudnie, w dodatku piątek. Nawet jeśli do kogoś pani zatelefonuje, na pewno go nie będzie. Lepiej niech pani powie, co by pani zjadła. Może znowu krewetki?

- Nie. Wystarczy mi zupa.

- Zupa? To wszystko?

- Talerz zupy - odparła.

Dermot wrócił z butelką białego wina tak schłodzonego, że po ceremonialnym nalaniu trunku do posmakowania na kieliszku zaczęły perlic się krople. Donal skosztował wina i uśmiechnął się.

- Niech mi pani powtórzy, że wystarczy pani talerz zupy, gdy pani spróbuje tego.

Z ociąganiem upiła mały łyk. Lepszego wina jeszcze nie miała w ustach. Trunek był wręcz boski.

- Ojej.

- Myślę, że jej smakuje, Dermot.

- Przypuszczalnie ma pan rację, panie Byrne.

Po odejściu Dermota Maura poczuła, że milczenie staje się krępujące.

- Rozumiem, że to jest stary młyn - powiedziała, upiwszy jeszcze jeden łyk wina.

- Owszem. Należy do rodziny o bardzo dziwnym nazwisku, jeśli zważyć na ich profesję. Doleję pani.

- Jest znakomite. Co to za nazwisko?

- Miller.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens odpowiedzi i wybuchnęła śmiechem.

- Zastanawiam się, co było pierwsze, zawód czy nazwisko.

- Zdaje mi się, że jest to problem jaja i kury. - Przekrzywił głowę. - Czy czasem zastanawia się pani nad nazwiskami? Na przykład nad

moim. Ja często dumam, czy komuś w mojej rodzinie nazwisko nie przeszkodziło w urzeczywistnieniu ambicji.

- Nie rozumiem.

- Ja na przykład mam talent, o którym mało się wie.

- Nie jestem pewna, czy chcę o nim usłyszeć.

- Piekę chleb.

Omam nie zakrzusila się winem.

- Słucham?

- Mówię poważnie. Moja matka bardzo pilnowała, żebym wiedział, jak się piecze domowy chleb na sodzie. To było dla niej bardzo ważne. Zawsze chciała być pewna, że nie będę głodny, jeśli tylko mam w domu funt mąki i filiżankę maślanki.

- I pomogło?

- Owszem. Kiedy przeprowadziłem się do Monachium, zdarzało się, że ledwie mnie było stać na mąkę i mleko, ale chleb miałem. A potem taki chleb pomagał mi w życiu. Jeśli było mi źle, czułem się samotny, zapach chleba na sodzie przynosił mnie prosto do domu.

Mówiąc, ponownie napełnił kieliszek Maury.

- Dlatego zawsze chciałem być piekarzem. Ale teraz to jest tajemnica i będę wdzięczny, jeśli pani tak to potraktuje. W każdym razie czy zatrudniłaby pani piekarza, który nosi nazwisko Byrne?

- Znałam kiedyś weterynarza, niejakiego doktora Yelpa.

- Mój przyjaciel, który jest bankierem, nazywa się Swindler. - Zaśmiał się. - A kolega z uniwersytetu został psychiatrą. Jak czułaby się pani, powierzając swoje najbardziej intymne myśli doktorowi Frankie Strange'owi?

Dermot zjawił się przy ich stoliku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Hans ma kilka pysznych dań w menu, może państwo posłuchają.

- Nie, dziękuję. Proszę tylko talerz zupy. - Trzymała się postanowienia, że zje tylko zupę. Nic więcej.

- Czy mógłbyś zostawić nas na kilka minut samych, Dermot?

Kierownik sali skłonił się i odszedł, zostawiając na stoliku koszyk z chlebem.

- Ej, ej - odezwała się Maura, zanim Donal zdążył coś powiedzieć. - Czy wie pan cokolwiek o tym, jak zginął Fitz?

- Kto to jest Fitz, u licha?

- Przecież pan wie: Fitzwilliam Connolly.

- Nazywa go pani „Fitz”? Rozumiem, że jako daleka krewna ma pani prawo do zażyłości. - Uśmiechnął się. - Zaraz... niech się zastanowię. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio o nim czytałem, ale o ile sobie przypominam, zamordował go przyjaciel, Patrick Kildare, którego z kolei zlinczowały tłumy Białych Chłopców

- Białych Chłopców?

- Taki gang młodocianych. Początkowo robili awantury, powołując się na obronę praw katolików. Nic poważnego. Ot, przewracali płoty, żeby ich bydło miało gdzie się paść, albo dokonywali drobnych aktów wandalizmu na ziemiach poborców dziesięciny. Przez pewien czas było o nich cicho, potem wrócili, ale już byli groźniejsi.

- Dlaczego nazywano ich Białymi Chłopcami?

- Ponieważ mimo że czernili sobie twarze, żeby uniknąć rozpoznania, nosili długie białe koszule i białe pióra przy kapeluszach. Pióra były ponoć hołdem dla Dzikich Gęsi.

- Jakich dzikich gęsi?

- Irlandczyków, którzy uciekli z ojczyzny wskutek prześladowań religijnych ze strony protestantów. Restrykcyjne prawo zabraniało katolikom służby wojskowej w armii brytyjskiej, więc Dzikie Gęsi wyjeżdżały na kontynent, przede wszystkim do Francji, i tam zostawały doskonałymi oficerami, absolutnie doskonałymi. Nawet wtedy trudno było Irlandczykowi zarobić na życie w swoim własnym kraju.

Z tymi słowami wziął butelkę wina i nalał odrobinę do kieliszka Maury, a resztę do swojego.

- Dermot, czy mógłbyś nam przynieść jeszcze butelkę wina?
- Niech pan poczeka, Donal. Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.
- Moim zdaniem jest wspaniały.

Uświadomiła sobie, że nie ma sensu się z nim kłócić. Gdy przyniesiono wino, przechylił butelkę nad jej kieliszkiem i trzymał tak, póki nie poruszyła ręką.

- Biali Chłopcy zamordowali Patricka Kildare'a, ponieważ zamordował Fitzwilliama Connolly'ego. - Donal nie patrzył jej w oczy. Skupiał wzrok to na swoich dłoniach, to na krawędzi kieliszka, to na zębach widelca.

- Skąd wiedzieli, że to zrobił Patrick Kildare?
- Bo Andrew Connolly widział mordercę.

Głośno zaczerpnęła tchu i ten odgłos sprawił, że Donal jednak spojrzął jej w oczy.

- Ile on miał lat?
- Chyba jeszcze nie skończył dwudziestu.
- Mój Boże! Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak musiało to wpłynąć na jego psychikę? - Pomyślała o sobie w wieku dziewiętnastu lat, o tym, jak chroniona przed światem była w tym wieku i jak zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Jakże inną osobą byłaby dzisiaj, gdyby wtedy w jej obecności dokonano morderstwa. Coś takiego zmienia człowieka raz na zawsze. Biedny Andrew.

- Czy on był pewien, że widział Patricka Kildare'a?

Donal skinął głową.

- Absolutnie. Zresztą nawet gdyby pozostały co do tego jakieś wątpliwości, istniały też dokumenty na poparcie świadectwa Andrew. Młody Connolly osobiście je znalazł. Był to zupełnie jednoznaczny dowód, który wykluczał stawianie dalszych pytań. Naturalnie dokumenty zginęły, ale Andrew je widział i opowiedział innym, co zawierały.

- To ponure. I potem Andrew ożenił się z Kitty.

Donal wreszcie się uśmiechnął.

- Jesteś z nimi w zażyłej komitywie, co? Kitty nazywała się Katherine Burbridge i była jedyną córką sir Garretta Burbridge'a. Powszechnie znano ją z urody, inteligencji i artystycznego talentu. Naturalnie wiadomo też, że jest narzeczoną Fitzwilliama.

- To akurat zwróciło moją uwagę. Planowali wielkie wesele. Ale więcej o niej nie wiem. Czy zna pan jeszcze jakieś szczegóły? Jaka to była kobieta? Chyba nawet nie widziałam jej wizerunku.

- Jeden był w książce mojej matki.

- Naprawdę? To znaczy, że coś przeoczyłam. A zdawało mi się, że obejrzałam wszystkie ilustracje. - Postanowiła natychmiast po powrocie do domu poszukać portretu Kitty. To na pewno była piękność, jedna z kobiet w typie Gainsborough, noszących bogato pofałdowane szaty w intensywnych odcieniach niebieskiego, zieleni i czerwieni, o nagich białych ramionach ozdobionych różem, a może również z pojedynczym złocistym, bursztynowym lub czarnym loczkiem spływającym po długiej szyi. Piękność, to pewne. - Poza tym przypuszczam, że Andrew i Kitty mieli dzieci.

- Nie. Katherine zmarła w rok po ślubie.

- Tego nie wiedziałam. Mój Boże, nie wiedziałam, że umarła tak szybko. - Dlaczego nie była teraz z Fitzem? Czyżby naprawdę zakochała się w młodym Andrew? Przez głowę przemknęła jej nowa myśl. - Umarła w tym samym roku, w którym namalowała portret Fitz'a.

- Tak mi się zdaje.

- Czy pamięta pan, jaka ona była? Albo jak umarła?

- Kto? Katherine?

- Oczywiście, że Katherine. Ile miała lat, gdy umarła?

- Myślę, że była w wieku Andrew, może kilka lat starsza.

- Tak jak powiedział.

- Kto powiedział?

Wciąż zastanawiała się nad Fitzem i Kitty, nad tym, jak ją kochał.

- Tak powiedział mi Fitz. Nie mógł uwierzyć, że Kilty poślubiłaby Andrew po tym, jak oboje tyle mu nadokuczali...

Urwała, uświadomiła sobie bowiem nagle, co właśnie powiedziała. Donal przyglądał jej się z nieprzeniknioną twarzą.

- Niech pani mówi dalej.

- Nie. Mniejsza o to. - Upiła duży łyk wina. - Chciałam powiedzieć, że z tego, co wyczytałam w książkach, należy sądzić, że tak prawdopodobnie pomyślałby Fitz. Przecież to Patrick miał się zaopiekować Kitty, w razie gdyby Fitzowi coś się stało.

- Nigdy o tym nie słyszałam. Skąd pani wie coś takiego?

- Nie pamiętam.

- Z pewnością nie było tego w książce mojej matki.

- Chyba rzeczywiście nie. Może sama to wymyśliłam albo pomieszało mi się z inną historią.

Dermot znowu stanął przy ich stoliku.

- Czy mogę zaproponować państwu coś na kolację? - Zatrzymał spojrzenie fachowca na prawie pustej drugiej butelce wina.

- Wszystkie propozycje mile widziane. - Maura nie była pewna, czy Donal skierował te słowa do Dermota, czy do niej. Ale wzrok miał skupiony wyraźnie na jej twarzy, nieruchomy i pewny.

Zalała ją fala ciepła, mgliście zdała sobie sprawę z tego, że rumieni się na twarzy, czy to od wypitego wina, czy od zmęczenia długim dniem, czy - co najbardziej prawdopodobne - z powodu Donala.

- Chodźmy - powiedziała. Donal początkowo nie zareagował.

- Chcę iść - powtórzyła, nie zważając na głośnie westchnienie Donala.

- Dermot - poprosił Donal, nie podnosząc głowy. - Czy możemy dostać rachunek?

- Wszystko na koszt firmy, panie Byrne. Rozsławił pan naszą restaurację wśród tyłu swoich znajomych i przyjaciół, że...

- Dziękuję, Dermot. Bardzo panu dziękuję.

Powrót na Merrion Square zajął im chwilę i wieczność. Wkrótce znaleźli się znów w domu, choć kontury tego momentu były zatarte. Najpierw Maura długo męczyła się z kluczami i wtedy oboje milczeli. Nie było potrzeby nic mówić.

W chłodnej marmurowej sieni od Donala biło wyraźne ciepło. Przez długie sekundy po prostu stali twarzą w twarz, lecz mimo to obojgu zdawało się, że ich ciała się stykają. Wreszcie Donal uniósł dłoń i pogłaskał Maurę po policzku. Było w tym geście tyle czułości, że aż zamknęła oczy. Nie mogła patrzeć, jak jego twarz zmienia się pod wpływem uczuć.

Czyżby szepnął jej imię?

Donal zdjął marynarkę, a potem ostrożnie zsunął Maurze żakiet z ramion. Aż zaschło jej w gardle z wrażenia, taką przyjemność sprawiało jej dotykanie Donala. Miał twarde mięśnie i kształtne barki. Dłonią wyczuwała, jak mocno bije mu serce. Pocałował ją w skroń.

Następne chwile były jak senne marzenie, choć nie mogły nie nadejść.

- Mauro - Tym razem Donal na pewno się odezwał, wiedziała to, bo wargami i językiem dotknął jej ucha, obwiodł je, a potem powędrował z pieszczotą niżej, na szyję.

Opadli spleceni na podłogę. Marmurowe płyty wydawały się teraz ciepłe i miękkie. Pocałowała tors Donala i usłyszała tak lubieżne westchnienie, że z zachwytu ponowiła próbę. Cieszyło ją, że w jej mocy jest danie mu niezwykłej rozkoszy.

Wszystko było dla nich nowością, poznawali swoje ciała, zachłystywali się nieznanymi wrażeniami, doświadczali uczuć o porażającej sile. Dzielili radość, pragnienie i upojenie jednością. Kierowali ku sobie nawzajem wszystkie myśli.

Jeszcze nigdy Maura nie doznała niczego równie porywającego. Zdawało jej się, że każdy jej nerw odbiera miliony bodźców w jednej

chwili. Nawet gdy Donal poruszał się, lecz jej nie dotykał, instynktownie знаła każdy jego ruch.

Wreszcie razem zasnęli na marmurowej podłodze, rozgrzanej ich namiętnością. Zapomniane ubrania leżały z boku, tam gdzie je rzucili. We śnie Maura nie obawiała się intymności. Gdy Donal przebudził się na chwilę, z uśmiechem pogłaskał ją po policzku, przypominając sobie, jakiego cudu wspólnie dokonali.

Nagle uśmiech zamarł na jego ustach.

Przyszło mu do głowy coś bardzo niepokojącego. Przecież nie miał takiego zamiaru. W każdym razie do tej pory nie przyznawał się przed sobą do niego.

Boże, pomyślał. Jeszcze trochę i się w niej zakocham.

Musiał być sposób na uratowanie sytuacji. Może zrozumiałaby go, gdyby mógł z nią spędzić trochę więcej czasu, zanim dowie się, co zrobił. Może zostaliby partnerami.

Po ramionach jego przebiegł nagły dreszcz. Mocniej przyciągnął ją do siebie, jakby w ten sposób mógł obronić się przed chłodem pokoju i chłodem, który wypełnił go od środka.

Jak kiedykolwiek będzie mógł jej wytłumaczyć, że znalazł kruczek w testamentie? W gruncie rzeczy był raczej zdziwiony, dlaczego Charles MacGuire nie zwrócił nań uwagi wcześniej i nie ostrzegł swojej klientki, że jeśli ta podejmie kroki zmierzające do sprzedania zasadniczej części spadku, to znaczy domu, w ciągu roku od przejścia własności, to fabryka zostanie automatycznie wystawiona na sprzedaż.

Czy to możliwe, że Charles nie wiedział o jej planie sprzedania domu? Tak czy owak za kilka dni fabryka miała należeć do niego, Donała, i zgoda Maury nic do tego nie miała. Prawdę mówiąc, zamierzał jej o tym powiedzieć podczas kolacji, ale zanim zdążył zrobić praktyczny użytek z wieczoru, znaleźli się razem na marmurowej podłodze.

– Przepraszam, kochanie – szepnął.

To mógł być ostatni raz, kiedy ją tak tuli. Tego należało się spodziewać. Gdy sobie to uświadomił, zaparło mu dech, a w sercu coś zakłuło, jakby chciało go oskarżyć.

Zamknął oczy, siłą woli próbując zmusić słońce, by pozostało w ukryciu, by mógł nacieszyć się każdą sekundą spędzoną z Maura.

Kilka minut później oboje spali. Donal odprężył się, na twarzy odmalował mu się wyraz sennego zadowolenia.

Ze szczytu schodów inny mężczyzna przyglądał się im z twarzą wykrzywioną z wściekłości. Był tam przez cały czas, obserwował ich, widział, co robili.

Wreszcie będzie mógł dopełnić swojej zemsty.

Scandalous

Maura ocknęła się z gwałtownym wzdrygnięciem. Jej głowa spoczywała na czymś ciepłym. A potem to coś się odezwało:

- Dzień dobry.

Aż podskoczyła, a Donal roześmiał się wdzięcznie.

- O, Boże - jęknęła. - Nie mogę uwierzyć w to, że byliśmy...

- Pst.

- Ale czy nie sądzisz, że powinniśmy...

- Pst - powtórzył.

- Nie mam w zwyczaju...

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, przeszkodził jej pocałunkiem. Jego wargi były cudownie miękkie i sprawiały jej nie mniejszą przyjemność niż poprzedniego wieczoru. Cofnięcie ust było dla niej poważnym wyzwaniem. Nie wiedziała, czy mu sprostą.

- Mmm... - mruknęła.

- Tak lepiej. - Chociaż nie widziała jego twarzy, wiedziała, że się uśmiechnął, czuła bowiem jego policzek, przy swojej twarzy.

- Nie mogę uwierzyć, że nocowaliśmy w sieni - odezwała się po długiej chwili przyjaznego milczenia.

- Ja też nie. Nigdy... - Nie dokończył zdania.

- Co nigdy?

Odchrząknął.

- Nigdy nie robiłem nic takiego - przyznał w końcu.

Odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy. Ze świeżym zarostem na twarzy wydawał się jeszcze bardziej przystojny. Ciemne włosy miał potargane i bardziej kręcone niż zwykle, co nadawało mu szelmowski wygląd.

- Ja też nie. - Dotknęła jego ust, a on delikatnie pocałował jej palce, potem zamknął oczy i przyciągnął ją bliżej.

W tej samej chwili wazon roztrzaskał się na podłodze dokładnie tam, gdzie przed chwilą Maura była.

- Co, u diabła? - Donal usiadł zaniepokojony. - Skąd to się wzięło?
Maura uniosła się na łokciu.

- Zostań tutaj - syknął. - Czy to możliwe, żeby ktoś się do ciebie włamał?

Skorupy leżały na podłodze, a na ścianie, w miejscu trafionym przez wazon, czerniła się plama, z której smugami spływała woda. Poprzedniego dnia Maura włożyła kwiaty do chińskiego wazonu w salonie, więc wśród niebiesko-białych skorup leżały bezładnie połamane lodygi. Dla Maury było oczywiste, kto jest sprawcą tego zamieszania.

Nikt inny, tylko Fitz.

Rozmiary jego gniewu zaskoczyły ją, lecz jednocześnie przstraszyły. Dotykając ramienia Donała, pierwszy raz odniosła przykre wrażenie, że ma tego wszystkiego powyżej uszu, że wplątała się w coś, czemu nie jest w stanie stawić czoła. Do tej pory uważała Fitz'a za przyjaciela.

Ale przecież on nie żył, był duchem. Nie było nic naturalnego w ich przyjaźni i nie mogło być.

- Donal, lepiej już idź - powiedziała z napięciem, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Nie. - Szybko włożył spodnie i koszulę i zapinając je, rozejrzał się.

- Mauro, kochana, lepiej się ubierz. Zdaje mi się, że nie jesteśmy sami.

- Ja to wiem na pewno.

- Kto tu jest?

- Proszę, idź. Wyjaśnię ci wszystko później. - Do tej pory na pewno uda jej się sklecić jakieś racjonalne wytłumaczenie. Gdyby powiedziała mu prawdę, uznałby ją za kompletnie obłąkaną, irracjonalną Amerykankę.

Może zresztą taka właśnie się stała.

Gdy odezwał się znowu, jego głos był pełen kojącego ciepła.

- Nie zostawię cię samej, póki nie będę wiedział, co tu się, u diabła, dzieje. - Omal mu nie zaufała, nie złożyła wszystkiego w jego ręce. Ale przemogła się i wstała.

- Donal, proszę cię, puść moją rękę.

Zanim zdążył się poruszyć, z salonu nadleciał zegar kominkowy. Maura zauważyła go kątem oka, więc pchnęła głowę Donala w dół. Zegar chybił i roztrzaskał się o ścianę. Na podłodze spiętrzyły się sprężyny, odłamki szkła i mahoniowego drewna oraz powykręcane kawałki mosiądzu.

- Co... - zaczął.

- Przestań! - krzyknęła.

- Słucham? - powiedział Donal ze zdziwioną miną i rozejrzał się po sieni.

- Nie mówiłam do ciebie - burknęła. - Proszę cię, będzie lepiej dla nas obojga, jeżeli już pójdziesz. Mam wrażenie, że go irytujesz.

- Taak. - Donal nadal mówił bardzo cicho. - Ktokolwiek to jest, też nie poprawia mi humoru. - Zaczął wstawać, przez cały czas rozglądając się za prześladowcą. - No, dobrze, człowieku. Widzimy, że lubisz sobie pozartować, i oboje jesteśmy pod wrażeniem. A teraz pokaż się, zanim wezwę policję.

Maura podała mu buty i skarpetki, zgniecioną marynarkę, z której zrobili sobie poduszkę, i krawat, o dziwo wciąż zawiązany.

- Proszę, idź już, później do ciebie zatelefonuję.

- Boisz się - powiedział, odgarniając kosmyk włosów z jej oczu. - Kto to jest? - Nagle jego twarz się odmieniła. - Mieszkałaś tu z mężczyzną przez cały ten czas?

- Niezupełnie. - Właśnie miała delikatnie wyprowadzić go przez frontowe drzwi, gdy niczym UFO wpadła do sieni popielniczka.

- Tchórz! - krzyknął Donal w stronę salonu. - Pokaż się...

Po tych słowach drogą popielniczki nadleciał podnózek fotela i podobnie jak poprzednie przedmioty roztrzaskał się o ścianę.

- Do widzenia, Donal. - Zaczynała się martwić nie na żarty.

Fitz wyrwał się spod kontroli i wyraźnie był zdecydowany wyrządzić komuś krzywdę. A tym kimś był Donal.

- Ach, więc to tak. - W jego głosie pojawił się obcy, wymuszony ton, jakby Donal ze wszystkich sił starał się zachować spokój. - Po ostatniej nocy... Czyżby to nic dla ciebie nie znaczyło?

- Było wspaniale. - Odwróciła się w stronę salonu i zobaczyła rozkładany fotel zmierzający powoli w stronę sieni.

Fitz usiłował zabić Donalą.

- Żegnaj! - Głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Już z zewnątrz usłyszała jego przekleństwo, a potem walenie do drzwi z taką siłą, że omal nie wypadły z zawiasów.

- Mauro, wpuść mnie z powrotem...

W odpowiedzi przesunęła zasuwę.

Po drugiej stronie zapadła cisza, więc Maura oparła czoło o grube zimne drewno drzwi.

- Bardzo przepraszam - szepnęła. Dotykała drzwi, marząc, że dotyka Donalą.

Ale przynajmniej był bezpieczny. Przynajmniej nic mu się nie stało.

Ta myśl dała jej siłę do konfrontacji z winowajcą.

- Fitz!

Nie usłyszała odpowiedzi.

- Nie ujdzie ci to na sucho, ty brutalu!

Znowu nie doczekała się żadnej reakcji. Zapięła do końca bluzkę i ze zrezygnowaną miną obejrzała pobojowisko w sieni.

- Myślałam, że jesteś moim przyjacielem - powiedziała cicho, idąc do kuchni po zmiotkę i śmietniczkę.

Jeszcze raz mężczyzna ją zdradził. Jakby nie dość jej było pecha do śmiertelników, teraz znalazła sposób, żeby wystawił ją do wiatru nieboszczyk.

Dwie godziny później, gdy wreszcie zadzwonił telefon, Mauraomal nie rzuciła się do słuchawki jak zawodnik do piłki.

- Halo. - Miała nadzieję, że nie słyhać po niej, jak bardzo czekała. Sama rozmowa z Donalem przyniosłaby jej wielką ulgę. Całe szczęście, że Fitz nie pokazał się po ostatnich wydarzeniach, mogła więc skupić uwagę właśnie na Donalu.

- Witaj, moja droga! - Był to ponad wszelką wątpliwość głos Bidy Macguillicuddy.

- Och. - Maura nie mogła stłumić rozczarowania.

- Chciałam sprawdzić, czy nie jestem już skreślona raz na zawsze. Mam nadzieję, że nie wyszłam na głupią, dlatego że wczoraj uciekłam. Najwyraźniej miałam halucynacje słuchowe. Zapewniam cię, moja droga, że będę cię kompetentnie reprezentować w sprawach dotyczących nieruchomości.

- Naturalnie. - Maura przysunęła sobie jedno z chwiejnych ażurowych krzeseł i usiadła. - Czy chce pani wrócić i dokończyć notatki?

- Och, miła z pani dziewczyna! Nie, nie chcę. Zresztą sądzę, że już znalazłam nabywcę na ten dom.

- Pani żartuje. - Za szybko. Maura spodziewała się, że poszukiwania będą trwały tygodniami, może nawet miesiącami.

- Agent nigdy nie żartuje, gdy w grę wchodzi potencjalni kupcy. Jeszcze muszę trochę popracować nad naszym chętnym, ale widoki są znakomite.

- To wspaniale.

- Ten człowiek chce zapłacić mnóstwo pieniędzy.

- Ile?

W słuchawce rozległ się nerwowy chichot.

- Aż boję się powiedzieć, żeby nie zepsuć interesu. W każdym razie będzie pani miała na czeku mnóstwo zer.

- To wspaniale - powtórzyła Maura z jeszcze mniejszym entuzjazmem. Wydawało jej się to nie w porządku. Przyszło za szybko i za łatwo.

Był też inny problem. Co miała ze sobą zrobić po sprzedaży domu? Rzecz jasna zawsze mogła wrócić do Mont Clare albo zamieszkać w Shelbourne. Ale hotele są kosztowne. Nawet nie mogła myśleć o wydawaniu prawie stu dolarów na dobę w ten sposób.

Gdyby tylko Donal, gdyby ona i Donal...

- I co, dobra wiadomość? - Bidy coś tam mówiła, ale Maura jej nie słuchała.

- Przepraszam, nie zrozumiałam ostatniego zdania.

- Zastanawiałam się, czy pani radca prawny wie o wszystkim. Oczywiście i tak będziemy musiały go powiadomić, gdy dojdzie do przenoszenia prawa własności i załatwiania innych spraw formalnych.

Charles. Nawet nie pomyślała o tym, jak niełojalnie wobec niego się zachowuje. Naturalnie uznały konieczność sprzedaży, ale był taki zachwycony jej przyjazdem na Merrion Square, że Maura mogła teraz myśleć o planowanej transakcji tylko w kategoriach podstępny i oszustwa.

Głos Bidy nie zamilkł ani na chwilę.

- No, to wkrótce dam pani znać, czy nasz nabywca dojrzał do kupna. Zdrówko, moja droga!

Maura odłożyła słuchawkę. Roztarta ramiona i poszła usiąść w salonie. Miała wrażenie, że dzieje się coś bardzo niewłaściwego, ale nie umiała tego nazwać. Po prostu czuła się zmieszana i zagubiona, jakby otaczała ją złowroga cisza przed burzą.

- Mauro.

Nadszedł tak cicho, że drgnęła zaskoczona.

- O, ty! - powiedziała i dumnie uniosła głowę. - Nie rozmawiam z tobą.

Fitz stał w drzwiach, uśmiech znikł mu z twarzy.

- Słucham?

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Mogłeś go zabić, ale na szczęście w baseballu nie zrobiłbyś kariery. Nawiasem mówiąc, wazon miał swoją wartość.

Zrobił krok w jej stronę i otarł dłonią usta.

- Proszę, powiedz mi, o co chodzi.

- Och, Fitz, nie zmuszaj mnie, żebym to wałkowała.

- Musisz, Mauro. Powiedz mi, co się właściwie stało.

- Przypuszczam, że miałeś dość przyglądania się wszystkiemu z boku i dlatego rzuciłeś kolejno wazonem, popielniczką, zegarem i podnóżkiem. Pracowałeś nad fotelem, gdy udało mi się wreszcie wypchnąć Donalę z domu. Nawiasem mówiąc, od tej pory nie dał znaku życia.

Fitzwilliam słuchał jej w milczeniu, z rękami skrzyżowanymi na ramionach.

- Mauro, to nie byłem ja.

- A kto jak nie ty?

- To nie ja rzucałem tymi przedmiotami. Nie ja.

Teraz ona musiała bardzo się starać, żeby zachować spokój. W chwili gdy Fitz zaprzeczył, zrozumiała, że mówi prawdę. Wydawał się nie mniej zdezorientowany niż ona i nie tylko zdezorientowany.

Wyrzął przez okno i wtedy uzmysłowiła sobie, że coś go trapi.

- Tu jest jeszcze jeden - powiedział cicho.

- Kto?

- Nie wiem. Już od pewnego czasu wyczuwam, że nie chodzę po tym domu sam. Kiedy cię spotkałem, myślałem, że to ty. Ale teraz czuję coś jeszcze.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i połączyło ich milczące porozumienie. Maura dosłownie nie mogła odwrócić wzroku.

- Boję się o ciebie - szepnął. Gdy się odezwał znowu, chłodny powiew zmierzwił jej włosy. - Czuję zawziętość i zło. Są bardzo wyraźne i jest tego coraz więcej.

- Czy to płynie od tej drugiej osoby?

Skinał głową tak nieznacznie, że w ogóle by tego nie zauważyła, gdyby nie była już przyzwyczajona do jego gestów.

- Myślę, że to on mnie zabił.

- Patrick Kildare?

- Nie wiem. Otacza go głęboka ciemność. Ty też to czujesz. Wiem, że czujesz.

Rzeczywiście czuła. Chociaż jej niepokój nasilał się, do tej pory przypisywała to poczuciu winy, jakie budził w niej zamiar sprzedania domu i opuszczenia Fitz. Ale był w niej również głos, który radził jej nie zwracać na to uwagi, liczyć, że złowroga chmura sama się rozwieje.

- Chyba musisz wyjechać, Mauro. Nie czekaj na sprzedaż domu. Musisz wyjechać dla własnego bezpieczeństwa.

Sama doszła do podobnych wniosków, ale w chwili gdy Fitz wypowiedział te słowa, pojęła, że musi zostać. Nie miała co do tego wątpliwości. Jej miejsce było tutaj.

- Nie mogę wyjechać, Fitz.

- Nie masz wyboru. - Powoli zamknął oczy, jakby chciał jej powiedzieć coś, co z trudem przechodzi mu przez gardło. - Zdaje mi się, że nie jestem w stanie cię ochronić.

Wbiła wzrok w podłogę, próbując powstrzymać łzy i nie zwracać uwagi na dotkliwe poczucie opuszczenia.

Co za głupi moment, żeby się nad sobą rozczulać, pomyślała. Głupi, głupi.

- Mauro... - Wystarczyło to jedno słowo i nie mogła już powstrzymać łez; popłynęły jej z oczu strumieniem. Zupełnie jakby całe życie czekała na to, żeby się wypłakać, wylać z siebie żal z powodu tego, co osiągnęła, a raczej tego, czego nie udało jej się osiągnąć. Bo

wszystkie jej sny i marzenia z dzieciństwa kolejno ulatywały, odchodziły w zapomnienie.

Była taka osamotniona.

Nagle Fitz znalazł się przy niej. Odwróciła głowę, chcąc ukryć łzy, choć było to absurdalne.

- Mauro... - powtórzył.

Tyle chciała mu powiedzieć. Że jest wielką nieudacznicą, że ponosiła fiasko we wszystkim, do czego się brała, że w odróżnieniu od niego nigdy nie będzie mogła zostawić swojego śladu na ziemi. A przede wszystkim że jest samotna.

- Nie, nie jesteś.

Czy rzeczywiście to powiedział, czy tylko zagrała jej wyobraźnia?

- Och, Mauro, jak bardzo, bardzo się mylisz.

Przechyliła głowę w kierunku, z którego doszedł ją głos, i stwierdziła, że Fitz prawie jej dotyka, że z tak bliska widzi najdrobniejsze szczegóły jego rysów, każde pasemko włosów. Ale prawdę mówiąc, widziała nie Fitz, lecz Donalę. Ogarnęły ją uczucia, które do tej pory były ukryte bardzo głęboko; nawet nie podejrzewała ich istnienia. Co się z nią działo?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Fitz pokręcił głową i natychmiast go zrozumiała. Nie było potrzeby mówić. Słowa stały się zbędne, bezużyteczne, wytarte.

Zamrugała i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że chłonie go całym ciałem, że ramiona Donalę wznoszą się ku niebu, a oni się jednoczą. Zupełnie jakby owionęła ich chmura miłości. Było to doznanie nie z tego świata, nie dla śmiertelnika. Każdym skrawkiem ciała czuła upajającą obecność Donalę, czuła, że jest dla niego ważna jak nikt nigdy na całym świecie.

Wolno rozchyliła powieki, ale znowu zobaczyła Fitz, który się do niej uśmiecha.

Co się stało? – pomyślała. Czyżby przed chwilą wyobraziła sobie, że widzi Donalę... kocha Donalę?

A potem Fitz zajął do jej wnętrza. Bez jednego słowa powiedział:

– Nasze dusze się zetknęły.

Wiedziała, że właśnie tak jest, że to jedyne możliwe wyjaśnienie.

Wciąż jeszcze była nieco oszołomiona, gdy do drzwi zadzwoniła Bidy Macguillicuddy.

– Witam! Mam nadzieję... o jejku! Czy pani się dobrze czuje?

Maurze zdawało się, że napadł ją hałaśliwy cherubinek. Małe, pulchne rączki Bidy gestykulowały tak, jakby kobieta w każdej chwili mogła odfrunąć, a plastikowe wisienki stuknęły o siebie do taktu.

– Pewnie jestem trochę zmęczona – powiedziała ostrożnie Maura.

– Och, biedactwo! Ale mam wspaniałe wiadomości. Nasz nabywca prawdopodobnie oficjalnie się zdeklaruje w ciągu najbliższych dni, może nawet już jutro.

– Jutro?

– Tak! To niesamowite, po prostu niesamowite! Jest o wiele lepiej, niż się spodziewałam. Ale, ale, czy miała pani czas zamienić słowo z Charliem MacGuire'em?

– Niestety, nie.

– Nie ma co się tym zbytnio przejmować, ale lepiej, żebyśmy mu jednak powiedziały o takim podniecającym rozwoju wydarzeń. Nie chce pani przecież, żeby radca prawny odniósł wrażenie, że zostawiłyśmy go na lodzie, prawda? A może pod lodem, ech, nigdy tego nie pamiętam. Czy mam dryndnąć do niego?

– Prawdę mówiąc... – zaczęła Maura. Nie mogła stąd wyjechać. Nie w takiej sytuacji, kiedy wszystko było zawieszona w powietrzu.

Nie bez Fitz.

– Proszę cię, moja droga, wyświadczyć nam obu przysługę i zadzwoń do Charlesa zaraz z samego rana.

- Czy pani mogłaby zagrać z tym klientem na zwłokę?

Biddy wydała się zdumiona w najwyższym stopniu.

- Po co? W nadziei na osiągnięcie wyższej ceny? Boże, nie umiem sobie wyobrazić wyższej.

Zadzwonił telefon.

- Zaraz wrócę - rzuciła Maura.

- Nie przejmuj się mną, moja droga. Nie mam nic więcej do powiedzenia, wpadłam tylko na chwilę. Zdrówko!

I starsza pani znikła, zanim Maura zdążyła zaprosić ją do środka. Telefon zadzwonił ponownie i nagle Maura zrozumiała, dlaczego Biddy oddaliła się w takim pośpiechu.

Biedaczka wyczuła Fitz'a i obecność zła prawdopodobnie też. Ten dom był dla niej po prostu nie do zniesienia i tylko nadzieja na szybką, lukratywną sprzedaż mogła ściągnąć ją ponownie w jego progi.

- Słucham. - Rozplątując przewód, który zaczął się o zasłonę, Maura wypuściła aparat z ręki. Z brzękiem wylądował na podłodze, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. - Przepraszam. - Roześmiała się. - Chyba puściłam coś mimo uszu. Na wszelki wypadek zaczynam od początku. Słucham.

- Może rzeczywiście powinniśmy zacząć od początku. - Jego głos brzmiał cicho, był wyprany z ciepła i humoru.

- Donal! Och, tak się cieszę, że dzwonisz. Mogę ci wyjaśnić, co zaszło rano.

- Już to zrobiłaś. Był u ciebie inny mężczyzna i całkiem słusznie rozżłościła go moja obecność.

- Nie, niezupełnie tak. To jest znacznie bardziej skomplikowane.

- Nie ma nic skomplikowanego w tej sytuacji. To jest najstarsza historia świata, Mauro.

- Uwierz mi, że ta akurat ma haczyk.

- O, nie wątpię.

Ostentacyjnie westchnęła, zrozumiała jednak, że nie pozostaje jej nic innego jak opowiedzieć mu wszystko od początku do końca. Próbowała znaleźć sensowny wykręt, ale im dalej budowała historyjkę, tym więcej pytań nie miało odpowiedzi. Groziło jej więc, że Donal potraktowałby ją jak osobę niespełna rozumu.

Z drugiej strony Biddy Macguillicuddy mogłaby udzielić jej wsparcia. Bez wątplenia zdawała sobie sprawę z obecności Fitzwilliama.

– Donal, wszystko ci wyjaśnię, ale muszę to zrobić osobiście, twarzą w twarz.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Ilekroć się widzimy, spotykają nas jakieś kłopoty.

– Proszę cię. Naprawdę muszę się komuś zwierzyć, a ty jesteś jedyną osobą, której mogę to opowiedzieć bez zakłopotania. – Nie była to cała prawda. Wolałaby nikomu o tym nie opowiadać, a już na pewno nie Donalowi. Niestety, był świadkiem czegoś, co wymagało wyjaśnienia.

– Dobrze. Gdzie chciałabyś się spotkać? Ja też mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

– Czy mógłbyś przyjść tutaj dziś wieczorem?

– Czy twój przyjaciel będzie miał coś przeciwko temu?

– Nie szukaj dodatkowych utrudnień.

– To nie za moją sprawą zaistniała trudna sytuacja. O ile pamiętasz, celem byłem ja, a nie ten, kto rzucał wazonem. Dlatego powtarzam pytanie: czy twój przyjaciel będzie w domu?

– Nie wiem. On przychodzi i wychodzi, jak mu się podoba. Zrozumiesz to lepiej, jak ci wszystko wyjaśnię.

– Mało prawdopodobne – mruknął. – Ale niech będzie. Czy o wpół do siódmej może być?

Zerknęła na zegarek. Do zaproponowanej pory brakowało niecałych dwóch godzin.

– Wspaniale. Do zobaczenia niedługo.

- Do widzenia, Mauro. - W jego głosie zabrzmiało lekkie wahanie, jakby chciał jeszcze coś dodać.

- Cześć.

Potem usłyszała cichy trzask i natrętny sygnał centrali. Przynajmniej go zobaczę dziś wieczorem, pomyślała.

Gdy zaledwie pół godziny później odezwał się dzwonek u drzwi, Maura, okryta szlafrokiem, z mokrymi włosami opadającymi bezładnie na ramiona, uznała, że to Donal.

- Półtorej godziny przed czasem? - Nie było rady, potrząsnęła głową jak zmoczony nowofundland i poszła otworzyć drzwi.

Na progu stał Charles MacGuire.

- O Boże! - Twarz spąsowiała mu ze wstydu i natychmiast odwrócił się plecami. - Przepraszam. Próbowałem do ciebie zadzwonić przed chwilą, ale nikt nie odpowiadał, więc pomyślałem, że po prostu podrzucę te papiery osobiście. O Boże!

- Nie martw się, Charles. Wejdz, proszę. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Skinał głową.

- Tak, w lepszym wyborze czasu na wizytę. - Gdy roześmiała się w odpowiedzi, wreszcie trochę się odprężył.

- O co chodzi w tych papierach? - Wskazała kopertę, którą trzymał pod pachą.

- A, w tych. Dotyczą sprzedaży.

Maurę zatkalo.

- Wiesz o sprzedaży?

- Tak. Dowiedziałem się dzisiaj.

- Bardzo... bardzo cię przepraszam, Charles. Powinam była zawiadomić cię o tym osobiście. - Czy nie powiedziała Bidy, że zadzwoni do niego w tej sprawie nazajutrz?

- Nie przejmuj się. Musimy tylko podpisać kilka dokumentów, żeby nieruchomość była gotowa do sprzedaży.

- Charles, ja naprawdę tego nie chcę. Po prostu nie mam innego wyjścia.

Jego poorana bruzdami twarz złagodniała.

- Rozumiem, moja droga. Zostałaś postawiona w bardzo trudnej sytuacji. Najlepsze, co możesz zrobić, to drogo sprzedać, wziąć duże pieniądze i koniec.

- Czyli nie jesteś zły?

- Ja? - Wydawał się szczerze zdziwiony. - Dlaczego, u licha, miałbym być zły, że chcesz sprzedać coś, co do ciebie należy. Masz, podpisz najpierw to.

- Och, tak się cieszę. Odetchnęłam z ulgą. - Nieznacznie się zawahała, ale podpisała dokument.

Co się stanie z Fitzem? Odsunęła od siebie tę myśl. Jakoś uda jej się rozwiązać problem. Żaden nabywca nie wyprosi jej z dnia na dzień. Na pewno będzie mogła jeszcze trochę pomieszkać w tym domu.

- O, znakomicie. Klient jest gotowy, jeśli dobrze rozumiem.

- Ja też tak słyszałam. - Mocniej ścisnęła szlafrok paskiem.

- Dziwi mnie, że wiesz aż tyle.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic specjalnego. Ale z tego, co mi powiedziano, klient chce załatwić sprawę szybko i po cichu. Rozumiesz, tak żeby nikomu nie wdepnąć na odcisk.

- Aha. - Tak naprawdę wcale nie rozumiała, ale cieszyła się, że Charles nie jest zły. - Wiesz, powinnam się chyba ubrać.

- Oczywiście! Ja tymczasem zrobię użytek z tych papierów. - Na chwilę zamilkł. - Ale, ale. Czy jesteś wolna dziś wieczorem?

- Nie. To znaczy nie wiem. Może później.

- Wspaniale! Wpadnij do Nesbitta, jeśli masz ochotę. Im później, tym lepiej.

- Dzięki. Spróbuję. - Uśmiechnęła się, a Charles zamrugał i odwzajemnił uśmiech.

Gdy znalazł się z powrotem na ulicy, nadal myślał o uśmiechu Maury i o tym, jak wyglądała w szlafroku, z mokrymi włosami, pachnąca jak sosnowy las. Gdyby tylko był dziesięć lat młodszy... No, piętnaście.

Składając papiery, dziwił się trochę, że tak łatwo zdecydowała się je podpisać. Prawdopodobnie zwiódł ją na samym początku rozmowy.

W każdym razie za kilka dni Maiden Works Furniture miało przejść w nowe ręce. Fabryka będzie finansowana przez niemiecką firmę farmaceutyczną i zarządzana przez Donalą Byrne'a.

Pogwizdując pod nosem, Charles ruszył w kierunku hotelu Shelbourne na swoją pierwszą whisky Jameson tego dnia.

Scandalous

Donal, zazwyczaj patologicznie punktualny, spóźnił się prawie dwadzieścia minut.

- Przepraszam - powiedział, stojąc w progu. - Pracowałem i straciłem rachubę czasu.

Mimo chłodu w sieni wszedł do domu z tweedową marynarką przewieszoną przez ramię. Maura przyglądała mu się i cieszyła jego widokiem. Nawet stojąc nieruchomo, promieniował energią, jakby zwykle stanic było poważną próbą charakteru.

Jak zwykle był ubrany kosztownie i nieskazitelnie, ale sprawiał takie wrażenie, jakby pod tymi pozorami kryła się dzikość tylko czekająca na okazję, by się ujawnić. Wydało jej się, że chciał powiedzieć więcej, ale nagle zgubił wątek myśli.

Stali w milczeniu i Donal prawie nieustannie patrzył jej w oczy, tylko przez chwilę mierzył ją wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując wzrok na talii ściśniętej paskiem dżinsów. Te oględziny wcale jej jednak nie zakłopotaly, przeciwnie, policzki rozgrzał jej przyjemny dreszczyk, jakby nagle ubrano ją w drogocenną, piękną suknię.

Nawet po dniu pracy Donal był świeży i pełen energii. Gdy znów skrzyżował z nią spojrzenia, ujrzała w jego oczach nieznaną czułość. Szybko jednak odwrócił głowę i przestąpił z nogi na nogę, jakby złapała go na najbardziej sekretnych myślach.

Przez chwilę patrzył w podłogę, dokładnie w to miejsce, gdzie leżeli poprzedniego wieczoru. Poszła za jego śladem i odchrząknęła, nie bardzo wiedziała bowiem, co powiedzieć.

- Wejdiesz? - Zanim zdobyła się na te słowa, była już w połowie drogi do salonu.

- Tak. - Szybko poszedł za nią, zostawiwszy po drodze w sieni marynarkę i aktówkę.

Atmosfera była napięta. Maura nie miała pojęcia, jak rozpedzić chmury.

- Usiądź, proszę. - Wskazała miękką kanapę.

Skinał głową i skorzystał z zaproszenia, ale przez cały czas nerwowo stukał piętą o podłogę.

- No, to kto pierwszy: ja czy ty? - spytał.

- Może... chyba ja powinnam. - Usiadła na tej samej kanapie dostatecznie blisko, by mogli się dotknąć, gdyby któremuś z nich przyszła na to ochota. Tymczasem siedzieli jednak w sztywnych pozach, jakby czekali na dzwonek. - W porządku. - Podkurczyła nogi. - Tylko naprawdę nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Może najpierw powiesz mi, kto rzucał we mnie tymi wszystkimi przedmiotami. To wygląda na dobry początek.

Przełknęła ślinę, w obliczu konkretnego pytania uświadomiła sobie bowiem, jak absurdalne jest to, co ma do powiedzenia. Przez kilka ostatnich dni przywykła do Fitz'a, więc dziwność tej sytuacji przestała zwracać jej uwagę. Fitz z ducha, mężczyzny, który nie żył od ponad dwóch stuleci, przedzierzgnął się w jej przyjaciela.

- Mój przyjaciel - powiedziała w końcu.

- Rozumiem. Tak przypuszczałem. - Donal potarł podbródek, co wywołało cichy, chrzęszczący odgłos, gdy przesunął ręką po świeżym, prawie niewidocznym zarostcie. - Czy to Amerykanin mieszka tu razem z tobą?

- Nie Amerykanin, Irlandczyk.

- Irlandczyk? - Donal wydawał się zaskoczony. - Dublinczyk?

- Kiedyś chyba tak. - Rozmowa stawała się coraz bardziej niezręczna.

- Czy studiował na uniwersytecie? Może go znam?

- Owszem, studiował, ale wątpię, czy go znasz. Był w College'u Świętej Trójcy.

- Czyżby? Znam wielu ludzi ze Świętej Trójcy. Kiedy skończył studia?

- O, na długo przed tobą. Bardzo długo.

- Rozumiem. - Donal zmarszczył czoło i zerknął na nią kątem oka.

- Czy on jest twoim krewnym?

- Tak, ale dalekim. - Jak długo mogła jeszcze ciągnąć tę dziwną rozmowę?

- Dalekim. Czy zgłasza roszczenia do twojego spadku?

- Niezupełnie. Chociaż powinien, bo ma do tego wszelkie prawa. Po prostu ani fabryka, ani prawo własności domu nie są mu w tej chwili do niczego potrzebne. To jest wspaniały człowiek.

- Interesujące. Czy mogę go poznać?

- Nie wiem. Z tym jest pewien kłopot.

- Jakiego rodzaju?

- Jak by ci tu powiedzieć... - Teraz ona zaczęła nerwowo stukać stopą o ziemię. Skrzyżowała ramiona, jakby tym gestem chciała dodać sobie odwagi.

- Powiedz mi, Mauro. Tu coś się układa nie tak, jak powinno. Od dzisiejszego ranka zachowujesz się dziwnie. Posłuchaj, panuję nad sobą. Jestem całkiem odprężony. Powiedz mi. Uważam, że mam prawo to wiedzieć.

- Chcesz herbaty?

- Nie, dziękuję. - Nie potrafił ukryć irytacji. - Czy nie możesz po prostu powiedzieć mi, jak się nazywa ten człowiek? To chyba nie jest dla ciebie nadmiernie stresujące?

- Jak się nazywa? - Zaczęła wyciągać sobie nitkę z mankietu. - Fitzwilliam Connolly.

Nitka wyciągnęła się do końca i guzik upadł na podłogę.

- Fitzwilliam Connolly - powtórzył Donal. - To rzeczywiście musi być spadkobierca. Ale czy nie powinien dziedziczyć przed tobą? Wiem, że bardzo długo cię szukano, więc nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki

sposób przegapiono absolwenta College'u Świętej Trójcy o nazwisku Connolly. – Urwał i schylił się po guzik, by podać go Maurze. – No, i była też moja matka – dodał. – Ona miała niezwykłą zdolność docierania do najbardziej nieprawdopodobnych źródeł, by nie wspominać o tych oczywistych. W College'u Świętej Trójcy spędziła wiele miesięcy, szukając po archiwach śladów rodziny Connollych. Nie uwierzę, że mogłaby nie zwrócić uwagi na tego Fitzwilliama.

– Hm... – Maura schowała guzik do kieszeni dżinsów. – Jest taka możliwość, że w okresie, gdy pracowała twoja matka, nie było możliwości dotarcia do materiałów o nim.

– To prawda. Ale matka była bardzo skrupulatna.

– Donal. – Maura nabrała pełne płuca powietrza. – Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, więc po prostu powiem i już: Fitzwilliam Connolly jest duchem.

Bardzo wolno odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz.

– A cóż to za głupie dowcipy?

– To nie jest głupi dowcip. Posłuchaj mnie i nie denerwuj się. Posłuchaj do końca.

Donal ani drgnął, nie próbował też jej zachęcić do dalszych wyjaśnień. Po prostu wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Właśnie tego wcześniej ci nie powiedziałam. Pierwszej nocy, którą tu spędziłam, zanim jeszcze cię poznałam, Fitz przyszedł do mojej sypialni. Wzięłam go za włamywacza albo kogoś w tym rodzaju. Ale on przeniknął przez mój багаż i wtedy zrozumiałam, że jest duchem.

– Mauro...

– Słuchaj dalej, proszę! On nie wiedział, że nie żyje. Sądził, że to ja jestem intruzem w jego domu, i musiałam mu tłumaczyć, jak jest naprawdę. Nawiasem mówiąc, Fitz uważa, że wersja jakoby Patrick Kildare go zabił, mija się z prawdą. Obiecałam mu więc pomóc. Właśnie dlatego studiuje źródła na jego temat i próbuję ustalić podstawowe fakty.

Donal milczał przez chwilę, wreszcie wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Zbliź się do mnie, Mauro.

Przesunęła się na drugą stronę kanapy, zaskoczona, lecz jednocześnie zadowolona, że Donal nie wpadł w złość ani nie oskarżył jej o wymyślne oszustwa. Objął ją i pocałował w czoło. Zanim jednak zdążył ją przytulić, znowu się odsunęła.

- Co o tym sądzisz? - Musiała to wiedzieć.

- To nie ma większego znaczenia.

- Owszem, ma! Przed chwilą powiedziałam ci, że w tym domu jest duch, a ty zdajesz się w ogóle nie reagować.

- Pozwól, że uporządkuję fakty. - Jego głos brzmiał cicho, całkiem racjonalnie. - Fitzwilliam Connolly mieszka tutaj z tobą i to on poprosił cię, żebyś zbadała jego życie. On również rzucił we mnie dziś rano różnymi przedmiotami. Czy tak?

- Niezupełnie. On twierdzi, że to kto inny chciał trafić cię w głowę.

- Ach, rozumiem. Czy ta inna osoba również jest bytem z zaświatów?

- Owszem. Nie wierzysz mi, co?

- Jak by ci to powiedzieć, Mauro? - Ujął jej dłoń. - Chyba nie doceniłem stresu, w jakim ostatnio żyjesz.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Poczekaj. - Zaciśnął dłoń w pięść. - Teraz moja kolej. Ty mnie dobrze posłuchaj.

- Nie wierzysz mi - powiedziała bezbarwnie.

- Posłuchaj Mauro, jak to wygląda z mojej strony. Niedawno zmarł twój ojciec, nawiasem mówiąc, jest mi przykro, że nie okazałem ci więcej zrozumienia. Ale to bardziej kwestia mojego skupienia na własnych problemach niż twoja wina. Chyba obawiałem się, że nasza znajomość przekształci rywalizację w coś bardziej osobistego i niesłusznie

założyłem, że wspomnianie o prywatnych sprawach naruszy zamierzoną przeze mnie linię postępowania.

- Nie rozumiem?

- Mauro, byłem w błędzie. Oślepiła mnie niechęć do Amerykanów. Przez swój upór i małoduszność zrzuciłem na ciebie winę za własne kłopoty.

Patrzyła na niego zaskoczona, z półotwartymi ustami.

- Wiem. Jestem tym bardziej zdziwiony niż ty. - Uśmiechnął się. - Ale to prawda.

- A co z duchami. Czy wierzysz w Fitza?

- Och, Mauro. Pomogę ci się z tym uporać. Może razem uda nam się rozwiązać twoje problemy. Tyle wzięłaś na siebie, najpierw byt rodzinnej firmy w Wisconsin, teraz wszystko tutaj. Ja też miałem w Monachium takie wrażenie, jakby cały świat spoczywał na moich...

- Nie wierzysz mi, prawda? - Wyswobodziła rękę i raptownie ją cofnęła. Donal spojrział na swoją dłoń, która nagle zawisła w powietrzu.

- Wierzę w to, że ty w to wierzysz - powiedział ostrożnie.

- Innymi słowy, uważasz, że zwariowałam.

- Nie. Wcale nie zwariowałaś. - Znów chciał ją przyciągnąć do siebie, ale usunęła się i usiadła skulona w drugim końcu kanapy. Donal nadal czule do niej przemawiał, jakby namawiał kota do zejścia z wysokiego drzewa. - Posłuchaj mnie. Kiedy umarła moja matka, w czasie deszczu zdawało mi się, że słyszę jej głos.

Maura nie odpowiedziała. Po prostu na niego patrzyła.

- Moja matka uwielbiała deszcz. Była jedyną znaną mi osobą, która wolała deszcz niż słońce, co dziwi zwłaszcza w Irlandii, gdzie pogodne dni się ceni, bo na palcach je można policzyć. Śpiewała przy akompaniamencie kropli bijących w szybę, wymyślała śmieszne, głupie pioseneczki z absurdalnymi słowami tylko po to, żebym nie bał się burzy. W miesiąc po jej śmierci przyszła wielka ulewa. Akurat przeglądałem pozostawione przez nią papiery i nagle usłyszałem jej głos.

Śpiewała jakąś piosenkę, której nie znałem, ale wiedziałem, że to właśnie ona ją wymyśliła.

- Słyszałeś swoją matkę, więc dlaczego nie wierzysz mnie?

- Przecież wcale jej nie słyszałem. Nie rozumiesz? Brakowało mi jej, tęskniłem za nią tak bardzo, że wyobraziłem sobie jej głos. Co dziwniejsze, potem poczułem się znacznie lepiej. Przypuszczam, że chciałem w ten sposób sobie pomóc. Oszukać serce, ułatwić mu pogodzenie się ze stratą.

- To jest co innego - broniła się Maura. - Po co miałabym sobie wyobrazić Fitzwilliamia Connolly'ego? Przecież go nie znałam.

- Nie rozumiesz, Mauro? Mogłabyś się nim posłużyć właśnie teraz, to jest sposób na złożenie części ciężaru na cudze ramiona. Kto nadawałby się do tego lepiej niż człowiek, od którego wszystko się zaczęło? Poza tym on ma dodatkową zaletę.

- Jaką zaletę?

- Nie żyje. W odróżnieniu od kogoś takiego jak ja twój duch nie ma żadnych wymagań. Nie musisz ryzykować zaangażowania uczuciowego i przez to siłą rzeczy okazywać słabości, nie grozi ci więc głęboki zawód.

Maura zamrugnęła.

- Boże, litości. Miałaś na studiach psychologię jako drugą specjalizację, przyznaj się.

- Owszem, miałem. Ale to nie dyskredytuje tego, co przed chwilą powiedziałem. Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy wymyśliłaś tego ducha, zanim zaczęłaś studia nad Connollym, czy później.

- Pfu! Czy nie możesz się zdobyć na większą otwartość w tej sprawie? Czy ani trochę nie wierzysz w duchy?

- Nie wierzę, Mauro. W gruncie rzeczy jestem zażartym przeciwnikiem samego pojęcia ducha. Takie przesady od wielu pokoleń przyczyniają się do zacofania Irlandii. Nie. Nie wierzę w duchy ani we wróżki, ani w czarownice, ani w krasnoludki.

- Donal... - Pomyślała o Fitzu, o sposobie, w jaki jej dotknął. - Czy wierzysz w to, że dusze mogą się zetknąć?

- Dusze mogą się zetknąć? Nie, nie wierzę, po prostu dlatego, że w ogóle nie wierzę w istnienie duszy. Jesteśmy ludźmi, sami tyczymy swoje ścieżki swoimi rozumami i ambicjami. Dusze należą do tej samej sfery co inne przesady, Mauro.

- Moim zdaniem mylisz się. Bo, na przykład, dlaczego ludzie czuliby do siebie pociąg? Wszyscy jesteśmy w zasadzie tacy sami, mamy skórę, krew i kości. Cóż więc nas różni, co czyni, że każdy jest inny od pozostałych? Co pociąga lub odstręcza ludzi od siebie nawzajem? Dla mnie jest jasne, że to zależy od duszy.

- Och, Mauro. - Uśmiechnął się. - Pociągasz mnie, bo wydajesz mi się piękna, a w pewnej chwili zrozumiałem, że również twoja osobowość mi się podoba. To nie ma nic wspólnego z duszą, wyłącznie ze śmiertelnym ciałem, charakterem i intelektem. To nie jest kwestia duchowa.

- Mylisz się.

- Niech będzie. Masz święte prawo nie zgadzać się z tym, co mówię. A ja po prostu nie wierzę w nic, czego nie mogę zobaczyć, dotknąć ani poczuć. Czy jednak ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Owszem, ma. Dla mnie ma, ponieważ nasze dusze się zetknęły.

- To śmieszne. Twoje wyobrażenie jest skutkiem stresu i przemęczenia.

- Nieprawda! Dla mnie to jest ważne, Donal. Nie wierzysz, że w tym domu jest duch, i to mogę zrozumieć. Ale wiara w duszę jest czymś tak fundamentalnym, że nie potrafię pojąć, czym można się kierować, nie wierząc w jej istnienie. Nagle wstała.

- Fitz! Fitz, czy mógłbyś zejść do nas na dół i porozmawiać z Donalem? On w ciebie nie wierzy. Proszę cię, Fitz.

Donal stanął przy niej.

- Mauro, usiądź, proszę. Przyniosę ci coś na uspokojenie.

- Jestem spokojna!

- Nie jesteś. Jesteś na mnie wściekła, a wszystko przez to, że wierze w naukowe podejście do życia, a nie w chochliki, dusze i krasnoludki w spiczastych ciżemkach.

- Fitz! Proszę cię, zejdź na dół do Donala.

- Niepotrzebnie tak się podniecasz. - Położył jej rękę na ramieniu. - Jestem tutaj, żeby ci pomóc tak, jak tylko umiem.

- Wcale nie. Chcesz mi się po prostu podlizać, żeby przejąć fabrykę. Nic z tego. Nie ustąpię za nic. Za nic. Fitz! Potrzebuję cię...

Niespodzianie chłód owionął cały pokój. Maura urwała w pół zdania.

- Ojej... - syknęła.

- Czy tu jest otwarte okno? - Donal zerknął za siebie, w stronę, z której zawiało, ale i okna, i drzwi były dokładnie pozamykane.

- Chodźmy - powiedziała Maura. - Możemy się sprzeczać dalej u Nesbitta. Chcę, żebyś szybko stąd wyszedł.

- Nic z tego. Najpierw sprawdzę cały parter i piętra, Mauro. Nie możemy zostawić otwartego domu.

- Donal, proszę cię. To coś cię nie lubi. Zdaje mi się, że cokolwiek to jest, uważa cię za Fitz'a i próbuje ponownie zabić.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie martw się, Mauro. Pamiętaj... ja nie mam duszy. Nikt na tym świecie ani w zaświatach nie mógłby pomylić mojej duszy z inną. Zostań tutaj chwilę, a ja sprawdzę pomieszczenia w głębi.

- Nie. - Ogarniał ją coraz silniejszy lęk. Donal przystanął i zaczął nasłuchiwać.

- Mauro, na górze jest nieproszony gość. - W jednej chwili znikły ślady jego dobrego humoru.

- To jest ten drugi duch, zły. To nie Fitz. Proszę cię, Donal, chodźmy stąd.

- Ktokolwiek to jest, muszę go zatrzymać. Nie wolno mu cię straszyć. - Donal ujął ją za rękę. - Wyjdź przed dom, Mauro. Na rogu jest budka telefoniczna. Nie chcę, żebyś pozostawała w tym domu ani chwili dłużej. Zadzwoń po policję.

Na górze rozległ się ogłuszający łomot, jakby ktoś grzmotnął o ścianę wielkim meblem.

- To się dzieje w żółtym pokoju, dokładnie nad nami - szepnęła. Donal skinął głową. Przechucie dopełniania się klątwy paraliżowało ruchy Maury. Podniosła głowę, żeby sprawdzić, czy i on czuje to samo.

Czuł. Wyczytała to z jego lekko zmarszczonego czoła i kropli potu, perlących się na skroniach. Dotknęła jego policzka, ale nie zareagował, wpatrywał się nieruchomo w schody.

Wyraźnie coś czuł.

Wreszcie błyskawicznym ruchem chwycił ją za rękę.

- Nie będziemy nikogo łapać, Mauro. Chodźmy stąd - wymamrotał i pociągnął ją ku drzwiom.

Skinęła głową i w jednej chwili znaleźli się przy frontowym wyjściu. Donal odciągnął zasuwę, ale klamka nie chciała się poruszyć.

- Szybciej - popędzała go Maura. Na górze rozległ się następny łomot, a potem stało się coś znacznie gorszego. Zabrzmiały ciężkie kroki na podłodze żółtego pokoju i skrzypienie otwieranych drzwi.

- Zacięło się to świństwo. - Donal uderzył w mosiężną klamkę, po czym znów spróbował ją poruszyć. - Gdzie są drzwi dla służby?

- Podwórze jest zamknięte. Nie ma innej drogi ucieczki oprócz tej. Donal, proszę cię, szybciej.

Zjawą nadchodziła, Maura to czuła. Donal poruszał się gorączkowo, wiedziała więc, że i on zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Na chwilę objęła go w pasie, jakby mogła w ten sposób zaczerpnąć od niego siły, po czym odwróciła się ku schodom.

Coś tam było. W odróżnieniu od Fitza nie przybrało jednak postaci człowieka, w ogóle nie miało kształtu. Wyglądało jak złowrogi wir,

ciemny niczym rozlany atrament. Bez przerwy się zmieniało, bez wątpienia przesuwało się jednak w ich stronę.

Maurze odebrało głoś, odebrało dech, zupełnie jakby na chwilę ustały wszystkie funkcje życiowe.

Donal nadal szamotał się z kluczem, klnąc i waląc pięścią w zamek, zasuwę i płytę drzwi. To coś wciąż się jednak zbliżało, płynnym ruchem ślizgając się nad marmurową podłogą.

Maura spojrzała na dłonie Donala i ujrzała krew w miejscu, gdzie uderzył o ostrą krawędź zamka. Mimo to nadal próbował zmusić klamkę do uległości.

Nagle przestał.

- Donal?

Usłyszała świszczący oddech i zwróciła się w jego stronę. To coś ich dopadło.

Cofnęła się i zrozumiała, że dopadło tylko Donala. Zupełnie jakby chwyciło go za gardło.

- Nie! - krzyknęła i chciała uderzyć mroczny kłęb. Ale trafiła tylko Donala.

Jego klatka piersiowa ciężko falowała. Próbował chwycić ustami powietrze, Maura widziała jednak, że mu się nie udaje, że to koniec.

Zachwiał się i pochylił do przodu, a ona tymczasem oburącz szarpała się z zamkiem i pomagała sobie, kopiąc w dół drzwi.

- Otwórzcie się - powtarzała błagalnie. - Proszę, otwórzcie się.

Nagle ogłuszył ją potężny huk i stał się cud: drzwi stanęły otworem. Szarpnęła Donala; ten zatoczył się i oparł czoło na jej ramieniu.

- Musisz jakoś iść - błagała. - Nie dam rady cię unieść.

Z trudem zrobił parę kroków samodzielnie, choć nadal charczał i ledwie łapał powietrze. Zatrzymał się u podnóża schodków, ale Maura wiedziała, że nie jest to bezpieczne miejsce. Musieli się dostać na drugą stronę ulicy.

Zielony autobus wykonał gwałtowny skręt, żeby ich wyminąć, gdy ciągnęła Donalą w stronę parku. Za plecami usłyszała łoskot zatraskiwanych drzwi.

W chwili gdy osiągnęli pierwszą połąć trawy, Donal osunął się na kolana. Wciąż jeszcze był ledwie żywy.

- Donal, jak się czujesz?

Przykucnęła obok niego i delikatnie położyła dłoń na jego plecach. Nieznacznie skinął głową. Klęczał, pochylony do przodu, podpierając się o ziemię. Kilka razy chrapliwie zaczerpnął tchu.

Nagle spojrział na Maure.

- Nic ci się nie stało? - Jego głos miał ochryple, zbolełe brzmienie.

Pokręciła głową.

- Nie, wszystko w porządku.

Nawet w mroku wieczoru widziała duże czerwone plamy na jego gardle powyżej jabłka Adama. A gdy spojrzała mu z bliska w oczy, dostrzegła, że lśnią nienaturalnie.

Niespodziewanie uświadomiła sobie coś straszego: Donal omal nie zginął. Niewiele brakowało, a to coś zadusiłoby go na śmierć.

- Mauro?

Spróbowała się uśmiechnąć. Przyciągnął ją do siebie, a ona przytuliła policzek do jego ramienia i zamknęła oczy.

- Co to było?

Musiała dobrze pomyśleć nad odpowiedzią.

- Nie wiem. To stało się tak szybko. Jeszcze nic podobnego nie widziałam, nigdy.

Wyprostowała się i odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie uśmiechał się.

- Nie wiem jak ty, ale ja chętnie wypiłbym kufel piwa - powiedział pośepnym, znużonym tonem.

Oboje niepewnie wstali i nawet nie oglądając się za siebie, na dom numer osiemdziesiąt dziewięć i pół, poszli do Nesbitta.

Nesbitt był jak zwykle pełen ludzi. Klienci stali stłoczeni, śmiali się, wznosili toasty i rozmawiali, a ich odbicia w zmatowiałych starych lustrach miały krzywe uśmiechy i twarze zamazane nie do poznania.

- Chodź. - Było to pierwsze słowo wypowiedziane przez Donalą, odkąd opuścili Merrion Square. Ujął Maurę za ramię i zaprowadził ją w głąb sali, gdzie było nieco więcej miejsca. Powitały ich radosne głosy, a oni odpowiadali skinieniami głowy, przeciskając się centymetr po centymetrze między grupkami ludzi.

- Wielki Boże, Byrne, bileś się z kimś?

- Popatrz na jego oczy, Seamus. Kto to był, Donal? Wygląda teraz gorzej niż ty?

- Ja bym raczej sądził, że to jakaś ona, a nie on tak go urządziła.

Maura zerknęła na Donalę i stwierdziła, że rzeczywiście wygląda tak, jakby uczestniczył w bijatyce. Zważywszy jednak na to, co w istocie zaszło, wydawał się bardzo opanowany.

- Wypijesz kieliszek wina?

Skinęła głową, więc Donal zamówił dla niej wino, a dla siebie kufel guinnessa.

Po powitalnych złośliwościach wszyscy zostawili ich w spokoju i tylko od czasu do czasu ktoś przesyłał im porozumiewawcze skinienie głowy albo mrugnięcie. Donal najpierw pociągnął długi łyk piwa, a dopiero potem się odezwał:

- Co tam się, u diabła, stało? - Jego głos wciąż brzmiał chrapliwie.

- Chyba ktoś chciał, żebyś wyszedł.

- Tak mi się zdawało. - Poklepał się po koszuli i przez moment sprawiał wrażenie zdziwionego. - Cholera, zostawiłem tam marynarkę. Czy nie masz przypadkiem papierosa?

- Nie powinieneś palić - odparła machinalnie.

- Wiem o tym, moja droga - wycedził. - Ale obawiam się, że na dłuższą metę to, że człowieka duszą prawie na śmierć, jest bardziej szkodliwe niż wypalenie tysiąca papierosów.

- Przepraszam.

Przyjął te przeprosiny nieznacznym skinieniem głowy.

- Jak tam twoje gardło? - spytała Maura.

- Nie sądziłem, że uda nam się stamtąd wydostać - powiedział w końcu. - Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że ujdziemy z życiem.

Ktoś przy drzwiach zawołał go po imieniu, więc Donal machinalnie uśmiechnął się i uniósł głowę, ale Maura widziała, że jego myśli pozostają przy domu na Merrion Square i niedawnych zdarzeniach.

- Wiem - szepnęła.

- Czy coś podobnego zdarzyło się już kiedyś?

- Nie. Zresztą to nie był Fitz. Nie wiem kto, ale nie Fitz.

- Skąd u ciebie ta pewność? - zapytał i nagle nerwowo zachichotał.

- Co w tym widzisz śmiesznego?

- Właśnie miałem zamiar ze śmiertelną powagą przedyskutować z tobą tę kwestię.

- A jak inaczej można ją dyskutować? - Nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

- Jeszcze przed chwilą wierzyłeś w to, że widziałeś... ech, wiesz.

- Pozwól, że dokończę za ciebie. Wierzyłem w to, że widziałem ducha. Czy o to ci chodziło?

- A co innego to mogło być, Donal? Sam widziałeś. Przez chwilę milczał, nie patrząc ani na nią, ani na nikogo innego.

- Ja się tylko zastanawiam. - Jednym łykiem dopił zawartość kufła i pokazał barmanowi, żeby podał mu następny. Otarł usta wierzchem dłoni, zbyt zajęty swoimi myślami, by zdać sobie sprawę z tego, co właśnie zrobił. - Czy to możliwe, że ktoś nie chce twojej obecności tutaj?

- Właśnie w tym rzecz. - Zmarszczyła czoło. - Fitz jest miły, ale ten drugi nie chce, żeby wtrącali się obcy.

- Nie, nie. Wcale nie to miałem na myśli. - Podano mu kufel guinnessa. Donal wskazał ruchem głowy jej kieliszek, ale podziękowała.

- Kto najwięcej skorzystałby na twoim wyjeździe?

- Masz na myśli osobę?

- Tak. Osobę, organizację albo firmę. Kto skorzystałby najwięcej na twoim wyjeździe?

- To nie ma znaczenia. Cokolwiek tam jest, nie można traktować tego w racjonalnych kategoriach.

- Mauro, posłuchaj mnie. Nie ma czegoś takiego jak duchy.

- Jak możesz tak twierdzić? To coś omal cię nie zabiło!

- Ktoś, nie coś. Ktoś bardzo sprytny, kto chce, żebyś wyjechała, żebyś się poddała. Pomyśl, Mauro, kto mógłby chcieć, żebyś spakowała rzeczy i uciekła do Stanów, nie oglądając się za siebie. Ktokolwiek to jest, chce, żebyś zrezygnowała ze spadku i znikła stąd jak najszybciej.

Maura odchrząknęła i pokręciła głową.

- Co znowu?

- Mówisz bez sensu. Nawet gdyby ktoś chciał, żebym wyjechała, to jak urządziłby to, czego właśnie doświadczyliśmy? Pomyśl, Donal. Nie ma sposobu na to, żeby stać się niewidzialnym.

- Już to rozważałem. Naturalnie masz rację, ale istnieje możliwość, że nas oszołomiono.

- Oszołomiono? Jak?

- Można wpuścić rurkami gaz halucynogenny albo rozpylić go z podestu schodów.

- Jasne. I oboje wyobrażaliśmy sobie dokładnie to samo.

- To mogła być siła sugestii, Mauro. Masz rację... to wszystko potoczyło się bardzo szybko i jest trudne do wyjaśnienia. Najpierw ustalmy więc, komu zależy na twoim wyjeździe, a potem możemy wrócić do pytania, jak wyreżyserowano to przedstawienie.

Donal mówił, a ona przyglądała się jego twarzy, patrzyła, jak każdym słowem próbuje przekonać samego siebie, że szuka jedynego możliwego wyjaśnienia tego, co niedawno zaszło.

- Prawda jest taka, Donal - odezwała się w końcu - że na moim wyjeździe najwięcej skorzystałbyś ty. Jesteś jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy.

Z zaskoczenia odebrało mu głos. Zrobił gniewną minę i zacisnął dłoń w pięść.

- Tak, Mauro, chyba zgadłaś. - Uderzył pełnym kuflem o kontuar, na krótko uciszając tym gwar, który wypełniał pub. Odczekał, aż rozmowy znów nabiorą wigoru, i dodał: - Chciałem mieć twoją cholerną kamienicę tak bardzo, że aż próbowałem się zabić. Jesteś wyjątkowo inteligentna, że zdemaskowałaś tę moją sztuczkę.

- Jesteś nieznośny. - Starła się zachować spokój w głosie. - Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz uznać tego, co się stało. Moim zdaniem absolutnie nikt nie byłby w stanie wyreżyserować czegoś podobnego. Nie rozumiesz? To działo się naprawdę. Napadła na nas istota nie z tego świata. Mój Boże, nigdy w życiu nie spotkałam kogoś równie upartego i...

- Maura! Donal! Jak wspaniale was spotkać, i to razem! - Charles MacGuire zdawał się obejmować ich oboje swym entuzjazmem.

- Witaj, Charles. - Donal nie spuszczał wzroku z Maury.

- Charlie! Aż trudno mi powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. - Celowo odwróciła się od Donala, zadowolona, że przerwano im sprzeczkę.

- Czy pijecie za interes, który robicie? - Charles uniósł palec i dał znak barmanowi, po czym znów skupił uwagę na Donal u i Maurze.

Maura splonęła rumieńcem, nie chciała bowiem, żeby Charles drażył ten temat. Co pomyślałby Donal, gdyby się dowiedział, że ona, Maura, sprzedaje dom dla ratowania fabryki? Jednak gdy chciała zbadać jego reakcje, odwrócił głowę.

- No, to możemy wznieść toast! - Charles podał Maurze następny kieliszek wina, a Donalowi i sobie kufle piwa. - Za pomyślność fabryki Maiden Works Furniture. Żeby jej wspaniała przyszłość dorównała chwalebnej przeszłości, a nawet ją przerosła.

- Dziękuję - bąknęła Maura.

- Dzięki, Charles - powiedział jednocześnie z nią Donal. Skrzyżowali spojrzenia nad krawędziami swoich naczyń, oboje lekko zaskoczeni, przyłączyli się do toastu i wypili po łyku swoich trunków.

- Jak dobrze, że zapomnieliście o dzielących was różnicach, i to właśnie wy, chociaż mielibyście wszelkie powody...

- Charles! - Donal był tak samo zaskoczony, słysząc swój głos, jak jego rozmówcy. - Chciałem... hm, chciałem po prostu spytać, jak się miewasz.

- Wspaniale, Donal. - Adwokat wzruszył ramionami. - Tak samo jak się miałem dziś po południu. - Urwał i przyjrzał się z bliska twarzy Donala. - Wielki Boże, co się stało z twoimi oczami? Wyglądasz tak, jakbyś przez ostatni rok nie robił nic innego, tylko bił się z ludźmi po pubach.

- Nie inaczej się czuję. - Donal uśmiechnął się. - Nie inaczej.

- Ale co się stało?

- Nic, Charles. Chyba jestem zmęczony.

Zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy troje rozglądali się po sali, uśmiechali niepewnie i szukali czegoś do powiedzenia. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby skrzepowanie przeszkodziło im w rozmowie. Wreszcie Charles rozpromienił się i zapytał:

- No, to jakie są plany w związku z fabryką?

- Och, jakby tu... - zaczęła Maura.

- Naprawdę nie sędzę... - wpadł jej w słowo Donal.

- Czy nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - spytała Maura najweselszym tonem, na jaki ją było stać, a Donal skwapliwie ją poparł.

- Charles, co sądzisz o Jackie Charltonie i jego chłopcach?

- Są niesamowici!

Przez następną godzinę Maura zdobyła więcej szczegółowej wiedzy o irlandzkiej drużynie występującej na mistrzostwach świata w piłce nożnej, niż mógłby sobie życzyć ktokolwiek, nie wyłączając samych zainteresowanych.

Dało jej się we znaki zmęczenie, więc zaczęła wyczekiwać przerwy w rozmowie, żeby oznajmić, że idzie do domu. Wreszcie zdołała się wtrącić między wymianą zdań o technice gry głową i gromami na pewnego sędziego.

- Zbieram się. - Odstawiła na kontuar pusty kieliszek.

- Nie - zaprotestował Donal, lecz natychmiast się uśmiechnął, by złagodzić kategoryczność sprzeciwu. - Chciałem powiedzieć, że odprowadzę cię do domu, Mauro.

- Jak elegancko! Donal, przynosisz chwałę swojej płci. Cieszę się, że jestem mężczyzną tak samo jak ty. - Ledwie Charles to powiedział, porwało go trzech mężczyzn, z których jeden nosił okulary przeciwsłoneczne, mimo że dochodziła północ, a drugi miał połowę wąsika.

- Szukamy właśnie reszty wąsów Willy'ego - oznajmił mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. - Ostatnio widziano je, jak poruszały się po Lower Baggot Street z elegancką damą z Kilkenny.

Donal delikatnie przeprowadził Maurę do drzwi.

- Dziękuję, Donal. Umiem sama znaleźć drogę do domu.

- Nie możesz tam wrócić.

- Dlaczego?

- Na miłość boską, sama doskonale wiesz.

- Myślałam, że nie wierzysz w duchy.

- Nie wierzę, ale wierzę w to, że ktoś chce cię przestraszyć, żeby skłonić do sprzedaży domu.

- Och, Donal. - Byli już na ulicy, gdzie chłodne wieczorne powietrze przyjemnie orzeźwiało umysł po kłębach papierosowego dymu u Nesbitta. - Nie słyszałeś, co powiedział Charles?

Wydawał się szczerze zaintrygowany.

- Dziś podpisałam dokumenty dotyczące sprzedaży domu. Nikt nie musi mnie stamtąd płoszyć. Zostawiam go z własnej woli.

- Nie rozumiem.

- Nie żartuj. - Była bliska płaczu. Czy musiała wszystko wyjaśnić do ostatniego szczegółu, żeby zrozumiał? - Sprzedaję dom przy Merrion Square, bo chcę ratować moją firmę w Stanach i pomóc wprowadzić zmiany w fabryce tu, w Dublinie.

Przez chwilę Donal wpatrywał się w punkt gdzieś za jej plecami. O czym ona mówiła? Czyżby nie zdawała sobie sprawy z tego, że papiery, które podpisała, dotyczyły fabryki, a nie domu?

- Och, Mauro - westchnął, kręcąc głową. - Czy przeczytałaś uważnie te dokumenty, które podpisałaś?

- Oczywiście. - Nagle przypomniała sobie, jak jej się śpieszyło, jak wiele problemów miała na głowie, gdy dostała papiery. Chciała je podpisać jak najszybciej, zanim zmieni zdanie. - No, nie - poprawiła się. - To znaczy przeczytałam, ale niezbyt dokładnie. Bidy Macguillicuddy podała mi wszystkie szczegóły. Ona sprawia wrażenie osoby bardzo kompetentnej i na pewno dobrze się zna na tych sprawach. - Nie odpowiedział, więc spróbowała wyczytać coś w mroku z jego twarzy. - To jest agentka sprzedaży nieruchomości.

- Wiem, kto to jest.

- Och, mniejsza o to. - Skrzyżowała ramiona, bo nagle przeniknął ją chłód.

- Czy postępujesz w ten sposób we wszystkich interesach, które robisz?

- Co rozumiesz przez „postępujesz w ten sposób”?

- Niefrasobliwość.

- Nie jestem niefrasobliwa.

- Dlaczego nie przeczytałaś dokładnie dokumentów, które podpisałaś? Powinnaś była poczekać, zatrzymać je na noc, a potem wezwać Charlesa albo innego radcę prawnego, żeby udzielił odpowiedzi na wszystkie pytania, które mogłyby ci się nasunąć. Czy tak postąpiłaś, Mauro?

- Niezupełnie. Ale wiem, o co chodzi w tych papierach. To był po prostu typowy formularz przenoszący prawa sprzedaży nieruchomości na agenta.

- Guzik prawda. Równie dobrze mogłabyś zapisać swoje ciało akademii nauk albo zgodzić się, że będziesz królikiem doświadczalnym w cyklu eksperymentów nad tatuażami.

- Dlaczego jesteś taki zły? To moja własność. Wiem, że ty i Charles będziecie uważać, że rozstanie z tym miejscem jest z mojej strony czymś w rodzaju zdrady. Ale czy nie rozumiesz? Nie mam wyboru, a chodzi mi o większe dobro: muszę uratować firmę ojca i wyprowadzić na prostą drogę fabrykę. Uznałam, że będzie z tego więcej pożytku niż z inwestowania w starą kamienicę. Zresztą jeśli fabryka stanie na nogi, to może w przyszłości będę w stanie odkupić ten dom.

Donal zacisnął dłonie, a Maura wyciągnęła rękę i przykryła jedną z jego pięści. Cofnął ją jak oparzony.

- Co ja takiego złego zrobiłam?

- Nic, do diabła, zupełnie nic. - Sprawiał takie wrażenie, jakby walczył ze sobą i koniecznie chciał zatrzymać słowa, które cisną mu się na usta.

- No, co? Proszę, powiedz mi.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że nie jesteś kobietą interesów?

Długo nie odpowiadała, tylko przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

- Czy takie pytanie ma sens, jeśli założyć, że nie chcesz mnie obrazić? - spytała cicho.

- Ma! Do diabła, dlaczego zajmujesz się czymś, w czym nie jesteś dobra?

- Serdeczne dzięki. - Sztynnym krokiem ruszyła naprzód, pod powiekami zapiekły ją łzy.

Westchnął i poszedł jej śladem. Po chwili położył rękę na jej ramieniu.

- Puść mnie - zażądała drżącym głosem.

- Wszystko wyszło jak najgorzej. Mogłabyś robić tyle rzeczy. Masz mnóstwo nieodkrytych zdolności, ale okoliczności postawiły cię w przymusowej sytuacji. Bardzo mi w tym kogoś przypominasz.

- Kogo mianowicie?

- Chodzi o to, że masz inne talenty i zainteresowania, ale los skazał cię na prowadzenie firmy ojca. Nigdy nie miałaś okazji zastanowić się nad tym, czego naprawdę chcesz. Wielka szkoda.

- Przypuszczam, że właśnie stąd wzięła się twoja wielkoduszna oferta uwolnienia mnie od jednego z ciężarów. Fabryka wcale nie była ci potrzebna. Kierował tobą altruizm, czysty altruizm.

- Mauro...

- Dobranoc, Donal.

- Nie możesz tam wrócić.

Przesłała mu urażone spojrzenie; w jej oczach odbijało się głębokie rozczarowanie.

- Przypuszczam, że lepiej dla mnie jest być tam, w środku, niż tutaj z tobą.

Nie czekając na to, co Donal ma do powiedzenia, odeszła w stronę domu, a gdy uznała, że porusza się zbyt wolno, puściła się biegiem.

- Mauro! - Zdażył zawołać ją raz, tylko raz, zanim znikła we wnętrzu.

Drzwi nie zatrzasnęły się za nią z hukiem, nie zamknęły się też bezgłośnie. Po prostu znikła za nimi i już jej nie było.

- Mauro - powtórzył cicho. - Przypominasz mi moją matkę. Bardzo.
- Popatrzył jeszcze na zamknięte drzwi domu, na migotliwe światła Merrion Square, posłuchał mowy zapóźnionych pojazdów i ginącego w oddali śmiechu, zerknął na kota, skręcającego w alejkę za rogiem i sam również poszedł do domu.

Być może problem bycia Amerykanką w Irlandii nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, a wyłącznie z oczekiwaniami - nie tylko jej i dublińczyków, których poznała, lecz również z oczekiwaniami i wyobrażeniami wielu pokoleń, które żyły wcześniej.

Bez względu na oczywistość sytuacji, takiej jak choćby zwykły fakt odziedziczenia nieruchomości, nieporozumienia i niejasności dosłownie się piętrzyły.

Podstawową trudnością było porozumiewanie się. W ustach Irlandczyków wszystkie słowa zdawały się mieć mitologiczny odcień, raz po raz padały gaelickie wyrażenia słabo tłumaczące się na angielski, tymczasem Amerykanie używają słów zwyczajnie, w krótkich zdaniach, bezpośrednio stwierdzających fakty. Maura była przyzwyczajona do mówienia wprost, do rzeczowego tonu wykładawców ekonomii z zajęć, na które chodziła.

Natomiast Irlandczycy usypiali czujność, czarowali pochlebstwami, a każde ich słowo, także w interesach, miało niezliczone niuansy i ukryte znaczenia. Donal był w tym niemal wyjątkiem. Niemal. Urzekał ją i uwodził swoimi manierami, rodzajem elokwencji nie mniej przekonującym niż słowa. Mimo to odnosiła silne wrażenie, że także on coś przed nią ukrywa.

Zdawało jej się również, że jest tylko jeden sposób wyjaśnienia chaosu uczuć, z którym nie potrafiła sobie poradzić, emocji tak silnych, że nawet nie usłyszała gwizdu czajnika z wrzącą wodą, gdy siedziała w

kuchni. W końcu ten przenikliwy dźwięk do niej dotarł, ale nawet wtedy nie podskoczyła jak zwykle w takiej sytuacji. Poruszała się w zwolnionym tempie, chociaż wcale nie czuła słabości.

Fitza nie widziała cały dzień i powoli zaczynała się zastanawiać, czy Donal nie miał racji, że jest to wytwór jej wyobraźni. Było całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, że Fitz nie istnieje. Cały kraj zdawał się konspirować przeciwko niej, żeby doprowadzić ją, jeśli nie do obłędu, to przynajmniej do zakłócenia równowagi psychicznej.

Gdy zadzwonił telefon, zdziwiło ją, kto, u licha, telefonuje o tak wczesnej porze. Wnet jednak uświadomiła sobie, że już minęło południe, tylko ona zamknęła się w świecie dręczących myśli i sennych ruchów.

- Mauro - usłyszała głos Donala. - Dzwonię sprawdzić, jak się czujesz. Czy w nocy zdarzyło się coś niezwykłego?

- Nie. - W gruncie rzeczy wcale nie chciała z nim rozmawiać. Nie miała mu absolutnie nic do powiedzenia.

- Masz dziwny głos.

Nie odpowiedziała.

- Mauro, mam ważną sprawę. Nawet dwie. Przeglądałem papiery mojej matki, te, na podstawie których napisała biografię Fitzwilliama Connolly'ego.

- Aha. - Była bardziej zmęczona, niż jej się zdawało. Nagle poczuła, że chce tylko jednego: spać.

- Matka miała wątpliwości co do winy Patricka Kildare'a. Zdaje się, że to wydawca namówił ją, żeby nie publikowała tych rozważań, dlatego że jej teza o niewinności Kildare'a pociągnęłaby za sobą mnóstwo pytań, z których większość nie ma odpowiedzi. Chcesz, żebym przyniósł ci te papiery?

Powieki, które od dłuższej chwili jej ciążyły, wreszcie opadły. Nigdy w życiu nie była jeszcze tak wyprana z sił. Mglistość zdawała też sobie sprawę z tego, że nachodzą ją mdłości, ale miała wewnętrzne

przekonanie, że sen je rozpędzi. Była tego niezbitcie pewna. Potrzebowała tylko snu.

- Mauro, jesteś tam?

Było niegrzecznie nie odpowiadać Donalowi, ale zmęczenie wzięło nad nią górę.

- Mauro? Odpowiedz, bo jak nie, to zaraz przyjdę...

To były ostatnie słowa, które usłyszała, a potem otulił ją mrok głębokiego snu.

Scandalous

Zbudził ją zapach czegoś słodkiego do jedzenia.

- Mmm - mruknęła pod nosem, trochę dlatego, że była zaspana, a trochę z powodu smakowitego aromatu. Jeszcze zanim otworzyła oczy, uświadomiła sobie dwa fakty. Po pierwsze, nie jadła od poprzedniego wieczoru. Nic dziwnego, że była tak zmęczona. Po drugie, za ciasno zawiązała pasek szlafroka. Ledwo mogła odetchnąć.

- No, dobrze - rozległ się głos kobiety, miły i krzepiący. - Napij się herbaty. On niedługo tu będzie, a nie chcesz chyba, żeby zobaczył cię w takim stanie.

Maura powoli uniosła powieki. Prawie natychmiast poznała salon, bo promienie słońca sączyły się przez okno w bardzo charakterystyczny sposób.

Ale zamiast bałaganu i zniszczonych zakurzonych mebli otaczał ją uroczy georgiański pokój, żywcem przeniesiony z muzeum. Meble lśniły, a okna miały eleganckie okiennice. Zamrugła i spojrzała ku sieni. Zobaczyła znajome białe-czarne marmury, ale ze stropu zwisał pobrzękujący żyrandol z grubymi świecami na kryształowych podstawkach. Jasnoniebieskie stiuki zdobiły strop i schody, a kontrastowała z nimi biel ścian i marmuru.

Bolały ją stopy, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że ma na nogach atlasowe pantofelki zdobione delikatnym błyszczącym haftem. Pięty były trójkątne, czubki spiczaste.

- Ja... - zaczęła i wtedy ujrzała kobietę, która przed chwilą się odezwała.

Zanim zdążyła ją spytać, kim jest, kobieta poklepała ją po dłoni.

- Spokojnie, moja droga Kitty. Twój Fitzwilliam obiecał wrócić z podróży najpóźniej dziś wieczór. On nigdy nie łamie danego słowa, a przecież znam go od dziecka.

Maura niewiele z tego usłyszała. Kobieta była cała ubrana w strój z epoki georgiańskiej, od koronkowego czepka na siwych kręconych włosach po przesadnie pofałdowaną spódnicę z dwoma garbami na biodrach, które skojarzyły się Maurze z wielbłądem przewróconym do góry nogami.

- Och. - To było wszystko, co zdołała wybąkać. Drżącymi rękami wzięła od kobiety filiżankę.

W naczyniu była herbata, ale o ostrzejszym smaku niż ta, którą zwykle pijała Maura. Na pobliskim stoliku ustawiono lśniący serwis: przykryte talerzyki i dzbanuszki oraz filiżanki. Maura zobaczyła też srebrny koszyk pełen maślanych babeczek.

Starsza kobieta roześmiała się.

- Tak, moja droga. Upiekłyśmy je dla ciebie nie dalej jak dziś rano! Pozwól, że ci jedną nałożę. - Jej akcent był przedziwny, ani całkiem angielski, ani całkiem irlandzki.

Babeczka była przepyszna, choć mąka użyta do pieczenia wydawała się dziwnie gruboziarnista. Na razie Maura jednak milczała, tylko rozglądała się po otoczeniu.

Usłyszała głośnie zgrzytanie kół powozu, parskanie koni, pobrękiwanie dzwonek przy lejcach i szmer rozmów woźniców i jeźdźców.

Jeszcze nigdy nie miała takiego bajkowego snu, chciała więc zapamiętać z niego jak najwięcej.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie, gdy ostatni okrucuch babeczki znikł w jej ustach. I ona nosiła kostium z epoki, odniosła bowiem wrażenie, że ma na sobie suknię z kremowego muślinu, lekką i zwiewną, znacznie mniej sztywną niż brokatowa szata starszej kobiety. Po bokach przeszkadzały jej jednak dziwaczne koła, a pod spódnicą czuła warstwy halek i koronki.

- Dobrze, moja droga - odezwała się kobieta - musimy porozmawiać o ślubie.

Maura uśmiechnęła się.

- Naturalnie! - Czemu nie? To był sen, mogła w nim robić, co jej się żywnie podoba. Nawet planować ślub.

- Wiesz dobrze, że Connolly nijak się na to nie zgodzi.

- Connolly? - Ulżyło jej. Przynajmniej знаła pana młodego ze snu. - Wiem. Jego nie interesują błahostki, które tylko zdołają.

Jakie znowu ozdobne błahostki?

Starsza kobieta najprawdopodobniej to wiedziała, bo roześmiała się przyjaźnie.

- Ech, mężczyźni. Co oni wiedzą o ślubach i weselach?

- Trudno właściwie dociec, dlaczego każemy im brać udział w ceremonii - dodała Maura.

Starsza kobieta znów się roześmiała.

- Och, moja droga. I ty to mówisz, mając takiego oblubieńca? Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak on będzie wyglądał? Przepięknie! To dobrze, że ślub będzie jesienią, bo nawet bez letniego upału niejedna panna zemdleje na jego widok. W każdym razie powiedziałaś, że chcesz, aby włożył surdut z jasnoblękitnego atlasu...

- Pfu! - Gwałtowna reakcja Maury zaskoczyła starszą panią. - Przepraszam, ciociu Saro. - Ciociu Saro? Co tam, takie samo dobre imię jak każde inne. Zresztą kobieta nie wydawała się nim zaskoczona. - Ciociu Saro - powtórzyła, chcąc sprawdzić brzmienie tego imienia. Kobieta przyjrzała jej się uważniej.

- Słucham, moja droga.

- Wiesz, mam nadzieję, że jeszcze nie poczyniono żadnych przygotowań. Bo wydaje mi się, że Fitzowi... - Urwała i powtórzyła: - Bo wydaje mi się, że Fitzwilliamowi byłoby okropnie w jasnoblękitnym.

- Ależ to jest taki modny odcień, moja droga. Powiedz mi zresztą, w jakim innym kolorze go widzisz. Świat będzie chciał obejrzeć go w czymś innym niż czernie, brązy i szarości, które nosi na co dzień. Powiadam ci,

że nikt nigdy nie wzięby go za para, gdyby sędził li tylko po odzieniu. Bardziej przypomina urzędnika niż lorda.

- To w nim lubię - powiedziała bardziej do siebie niż do postaci ze snu. - Nie nosi peruki, nie pudruje włosów, nie zdobi kamizelki kwiatami, nie ma koronek przy koszuli. Jemu to pasuje, bo on nie ma w sobie nic z salonowego lwa.

- Och, naturalnie! Przenigdy nie zarzuciłabym Connolly'emu, że jest salonowym lwem albo dandysem. Ale musisz przyznać, moja droga, że czasem bywa odrobinę prostacki.

- Prostacki?

- Nie w mowie i nie w manierach, rzecz jasna. Nic nie można zarzucić również jego butom. Ale odrobina blasku dobrze by mu zrobiła w dzień ślubu, nie uważasz?

- Nie. Wybrałam Fitzwilliama, nie Andrew. - Przez chwilę myśli wirowały jej w głowie jak szalone. Andrew? Któż to taki?

Nagle sobie przypomniała. Andrew był młodszym bratem Fitz'a. Pogratulowała sobie, że nawet w głębokim śnie udało jej się zidentyfikować drugoplanową postać.

Starsza kobieta wydała się zszokowana.

- Naturalnie! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy porównywać Andrew do jego brata. W rzeczy samej zastanawiam się nawet, czy łącz ich w ogóle jakiegokolwiek pokrewieństwo. Czasem nie mogę się powstrzymać od śmiechu, gdy widzę dziwaczne kaprysy Andrew. Tak wiele dzieli tych dwóch dżentelmenów...

- Czyżby? - Głos doszedł je z progu. Obie odwróciły się w tę stronę.

Mauraomal się nie roześmiała, gdy zobaczyła młodego człowieka, wspartego o futrynę drzwi zwieńczonych łukiem. Wydawał się klasyczną postacią teatralną, typowym fircykiem. Od czubka głowy przykrytej cudaczną peruką po ozdobne srebrne ostrogi lśniących butów miał na sobie mnóstwo zielonego atlasu, koronek i brokatu. Szczupła sylwetka zdradzała młody wiek, ale było w niej też coś miękkiego, co wskazywało,

że młodzieniec niewiele robi oprócz oddawania się przyjemnościom. Spojrzała na jego twarz, bladą od pudru, i zaczęła się zastanawiać, czy pieprzyk na podbródku jest prawdziwy, czy również sztuczny.

- Przepraszamy cię, Andrew - powiedziała szorstko ciotka Sara. - Rozmawialiśmy o zbliżającym się ślubie twojego brata. Zechciej nas łaskawie zostawić, żebyśmy mogły dokończyć rozmowę.

- A o czym mogłybyście rozmawiać! Pozwól więc, moja droga siostró Kitty, że jeszcze raz złożę ci serdeczne życzenia. Z prawdziwą niecierpliwością czekam, aż twoja obecność w tym domu stanie się czymś nieodzownym. Doprawdy nie umiem sobie wyobrazić nic wspanialszego niż takiego małego Fitzwilly'ego albo małej Kitty, berbecia, który biega po domu i łapie w pulchne rączki wszystko, co przedstawia jakąś wartość.

- To miło z twojej strony, Andrew. - Maura uśmiechnęła się i skinęła głową. - Wyobrażnia rzeczywiście podsunęła ci czarujący obraz. Jestem pewna, że będziesz wdzięczny losowi za to, że dał ci wreszcie towarzyszy zabaw, którzy dorównują ci inteligencją i zręcznością. Z pewnością będą widzieli w tobie dobry przykład.

Ciotka Sara głośno nabrała tchu, ale Maura nie zwróciła na to uwagi. Andrew skrzywił się; jego twarz przybrała tak zajadły i nienawistny wyraz, że aż przestraszył tym Maurę. W jednej chwili zblazowany młodzieniec stał się wcieleniem furii.

Zanim jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, frontowe drzwi otworzyły się.

- Kitty?

Andrew natychmiast nałożył na twarz maskę obojętności.

- Witaj, drogi bracie! Bardzo się cieszę, że udało ci się wrócić cało i zdrowo! Jest tu z nami twoja droga Kitty!

Wtedy do pokoju wszedł Fitz.

Maura wytrzeszczyła na niego oczy, a serce zabiło jej tak mocno, że aż przytknęła dłoń do klatki piersiowej, zdumiała ją bowiem, jak bardzo Fitz przypomina jej Donalę.

Klepnął Andrew w podbródek, aż sztuczny pieprzyk wolno spłynął na podłogę, a puder z peruki osypał się młodzieńcowi na ramiona.

- Jak widzę, humor ci dopisuje, ciociu Saro. - Fitz uśmiechnął się. Starsza pani odpowiedziała mu coś, czego Maura nie dosłyszała.

Ani na chwilę Fitz nie oderwał od Maury wzroku, a ta nawet nie mrugnęła powieką.

Wyglądał niesamowicie w znoszonym, trójgraniastym kapeluszu, z włosami i skórą spalonymi słońcem. Zamaszystym gestem zdjął kapelusz i stanął tuż przy niej.

Jakoś udało jej się wstać, choć ugiwały się pod nią kolana.

- Kitty - powiedział tak czule, jakby ją tym słowem objął.

- Myśle... - bąknęła i wtedy poczuła muśnięcie warg Fitz'a.

- Doprawdy, lordzie Connolly, nie mogę tolerować takiego zachowania, nawet u pana. Jestem tutaj przyzwoitką.

Na chwilę puścił Maureę.

- Och, idź sobie - powiedział do Sary. Uśmiechnął się szeroko i mocniej objął Maureę.

Oszołomiona, uświadomiła sobie, że ciotka Sara, zrzedząc pod nosem, rzeczywiście opuściła pokój, podobnie jak Andrew.

- Kochanie - szepnął Fitz.

Wciąż stała bez tchu i tylko lekko dotykała jego policzka.

- Jak to możliwe? - Gdy to mówił, upajała się jego ciepłem i siłą.

- Jak co jest możliwe? - Jej głos był schrypnięty, ale nie dbała o to.

- Jak to możliwe, że przez te cztery miesiące stałaś się jeszcze piękniejsza?

- Cztery miesiące? - Zaciśnęła dłonie na jego ramionach. - Mnie się zdawało, że to wieczność.

- Bo to była wieczność. - Sięgnął do kieszeni marynarki. - Proszę.

Wyjął bukietik fioletowych kwiatków, splaszczony i wysuszony.

Uśmiechnęła się, dotykając płatków.

- Z czyjego majątku zrabowałeś ten łup?

Roześmiał się wesoło, a jego śmiech zdawał się wypełniać wszystkie zakamarki pokoju.

- Niestety, moja oblubienica zna mnie od podszewki. Ale tym razem tylko uwolniłem podparyski ogród od kilku chwastów.

- Oho, chwastów. - Maura nie mogła uwierzyć, że stoi przed nią żywy Fitz. - To są z pewnością wyjątkowo rzadkie kwiaty, hodowane przez kogoś z największą troską i pieczołowitością.

- Nie. - Uśmiech znikł mu z twarzy. - To ty jesteś taka, Kitty. Jak najrzadszy kwiat.

- Och - westchnęła. Wzięła od niego bukietik i ostrożnie przypięła go do talii sukni.

Nagle ktoś odchrząknął na progu.

- Andrew - burknął Fitzwilliam.

- Fitzwilliamie, bardzo mi przykro, że ci przeszkadzam...

- Akurat - mruknęła pod nosem Maura.

Fitz zmarszczył czoło i uniósł podbródek.

- Spokojnie, Kitty. - Uśmiechnął się i pocałował ją w skroń. - Wejdz. Andrew. No, no. Czyżbyś sprawił sobie jeszcze jeden strój? - W jego głosie nie było przygany, nie było też najmniejszego śladu sarkazmu. Fitz sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego, że brat kupił sobie nowe ubranie.

- W rzeczy samej. - Głos Andrew był przesycony dumą.

- Ciekawe, jak nazwać ten odcień. - Maura byłaby gotowa się założyć, że Fitz z najwyższym trudem powstrzymuje chichot.

- Zieleń Pomony - odrzekł Andrew, prostując się, jakby chciał lepiej docenić urodę swojego odzienia.

- Flegmisty - szepnęła i Fitz omal nie udławił się ze śmiechu.

- Jest wspaniała, Andrew, absolutnie wspaniała.

- Muszę z tobą porozmawiać, bracie - powiedział Andrew. Maura zauważyła, że przez tę krótką chwilę, gdy go nie było w pokoju, zdążył przykleić na miejsce pieprzyk i odrestaurować kunsztowne loki na peruce.

- Słucham cię, słucham - rzekł Fitz..

- W cztery oczy. - Andrew uśmiechnął się do Maury, ale w jego oczach nie było śladów tego uśmiechu. Odniosła wrażenie, że zdobywanie się na życzliwość sprawia mu prawdziwe cierpienie.

- Nie przesadzaj, Andrew. - Fitz otoczył Maurę ramieniem. - Kitty będzie za kilka tygodni moją żoną. Możesz mówić przy niej wszystko.

- Będzie twoją żoną, a nie moją. - Przez usta przemknął mu grymas, tak ulotny, że prawie niezauważalny. - Fitzwilliamie, proszę cię. Bardzo chciałbym porozmawiać z tobą o interesach, a dla Kitty będzie to z pewnością nudne jak flaki z olejem.

- Ależ skąd! Słowo daję, że chciałabym dowiedzieć się więcej o interesach. Jeśli cokolwiek mnie nudzi, to francuska moda i nowe wzory czepków. W zeszłym tygodniu widziałam kobietę z tyłoma piórami we włosach, że wyglądała jak szalona.

- To, że tajniki mody wydają ci się nudne, widać na pierwszy rzut oka - syknął Andrew.

Fitz tylko zaczerpnął tchu i wskazał Maurze kanapę.

- Proszę, Kitty, usiądź na wypadek, gdybyś miała zemdleć z nudów.

- Już dzisiaj raz zemdlą. Dziwię się ciotce Sarze, że ci o tym nie powiedziała. - Andrew ostentacyjnie obejrzał sobie paznokcie.

Fitz w jednej chwili znalazł się przy kanapie.

- Czy niedomagasz, Kitty?

Położyła dłoń na jego policzku.

- Wszystko jest w porządku. Po prostu byłem głodna. Nie jadłam nic od wczoraj. Chyba byłam za bardzo podniecona twoim przyjazdem, żeby myśleć o jedzeniu. Jestem całkiem zdrowa.

Spojrzał jej w oczy i natychmiast poczuła dziwne ściskanie w gardle.

- Och, Fitz - westchnęła.

- Fitz - powtórzył. - To mi się podoba, Kitty. Ale tylko w twoich ustach. Tylko w twoich.

Pochylił się i poczuła jego ciepły oddech na policzku, a zaraz potem dotyk całujących warg.

- Chcę porozmawiać z tobą o pewnych sprawach dotyczących interesów - oznajmił Andrew.

Fitz znieruchomiał, choć wciąż się wściekał.

- Więc mów, o co chodzi, Andrew. - Przeczesał dłonią włosy i skupił uwagę na twarzy brata.

- Chcę wiedzieć, czy rozważyłeś sprawę, którą przedstawiłem ci, zanim wyruszyłeś w podróż. - Andrew zdawał się pęcznieć od każdego swojego słowa.

- Odśwież, proszę, moją pamięć. O co chodziło?

- O handel pewnym towarem.

Fitz niespodziewanie wyprostował się.

- Mam nadzieję, że nie wspominasz o tym, o czym myślę.

Maura spojrzała na niego; zdawało jej się, że cały zeszytywniał ze złości.

Andrew uśmiechnął się.

- W rzeczy samej, właśnie o tym. Dlaczego nie chcesz posłuchać, co mam w tej sprawie do powiedzenia? Nie wyobrażasz sobie, jakiego bogactwa można się dorobić na tym przedsięwzięciu. Wielkie, wielkie bogactwo po prostu czeka na nas, a naszym obowiązkiem jest z tego skorzystać.

- Nie. Nawet nie będę o tym rozmawiał. - Fitz zacisnął dłoń w pięść, lecz rozluźnił palce, gdy zauważył spojrzenie Maury.

- O co chodzi? - spytała cicho.

- Te sprawy nie powinny cię dotyczyć - odparł i dotknął jej ramienia.

- Nie, bracie. Nie odgrywaj hipokryty. To do ciebie nie pasuje. Nasza droga Kitty chciała słyszeć tę rozmowę. Myślisz, że jest zbyt ograniczona, żeby cokolwiek pojąć?

Fitz przez chwilę milczał.

- Sądzę jedynie, że twoja propozycja wzbudziłaby w niej takie samo obrzydzenie jak we mnie.

- Dlaczego wobec tego jej nie zapytać? Skoro wkrótce zostanie twoją żoną, to znaczy, że odmawiasz jej prawa do większego luksusu w życiu. Szkoda.

- Niech ci będzie. - Fitz zwrócił się do Maury. - Mój młodszy brat chce podjąć nowe przedsięwzięcie handlowe. Dotyczy ono ludzi.

Maura pokręciła głową z niezrozumieniem.

- Kitty, on chce na naszych okrętach przewozić na sprzedaż niewolników z Afryki.

Z zaskoczenia aż się wzdrygnęła.

- Och, Kitty, nie bądź taka prostacka - burknął Andrew. - Są znacznie mniej chlubne zajęcia niż handel niewolnikami. A pieniądze, które zarobiłabyś w ten sposób, mogłabyś przeznaczyć na działalność dobroczynną i rozdać tym wszystkim zasmarkanym ulicznikom, dla których bez przerwy robisz czapeczki na drutach. Afrykanie są niewiele lepsi od zwierząt, wartość takiego jednego jest mniejsza od dobrego psa czy konia, więc z pewnością...

- Przestań!

Fitz zagrzmiał z taką mocą, że oboje - Maura i Andrew - podskoczyli.

- Wstyd mi za ciebie, Andrew. - Mimo że teraz mówił już cicho, w jego głosie czaiła się groźba, przez co budził nawet większy respekt niż zwykle. - Jeszcze nikt nigdy mnie tak ohydnie nie obraził. Czy mamy się upodlić z chciwości i zwykłej żądzy pomnożenia pieniędzy. Jak wiele

jeszcze chciałbyś posiadać, Andrew? Czy nie dość ci atlasowych fraków w kolorze morwowym, pawoniebieskim, kanarkowożółtym, a teraz jeszcze jak się tam nazywa ten paskudny odcień?

- Zieleń Pomony - szepnął Andrew.

Wiedział, że przebrał miarę, Maura czuła to. Młodszy brat zawsze wiedział, kiedy się wycofać, tym razem jednak żądza pieniędzy naraziła go na nieostrożność.

- Zieleń Pomony - powtórzył Fitz. - Właśnie zieleń Pomony.

- Muszę już iść. - Andrew rozpoznał odwrót. - Czekają na mnie na balu u Downe'ów. Ty też jesteś zaproszony, Fitzwilliamie. Do zobaczenia i jeszcze raz witaj w domu.

Zaskakujące było to, jak szybko i sprawnie się wyniósł.

- Zieleń Pomony - mruknął pod nosem Fitz, gdy przebrzmiało echo zatrzaśniętych drzwi. - Ech, Kitty, co my z nim zrobimy?

- Fitz, czy Andrew ma udziały w twoich handlowych przedsięwzięciach?

Fitzwilliam bezwładnie opadł na kanapę i przy okazji uderzył głową o ścianę.

- Przepraszam. - Poglaskała go po głowie, aż rozsypał mu się gruby kucyk.

Przełknął ślinę i po twarzy przemknął mu uśmiech.

- Nie, kochanie. Jeszcze nie. Czekam z tym, aż Andrew będzie miał za sobą ten trudny wiek. Natomiast część udziałów ma Patrick, ale Andrew jeszcze o tym nie wie.

- Patrick Kildare?!

- Naturalnie. Ma udział w przewozach okrętowych, bo jest znakomitym handlowcem i jeszcze lepszym przyjacielem. Co cię trapi, Kitty?

Miała ochotę mu powiedzieć, że wcale nie jest Kitty tylko Maura, to wszystko im się śni, a Patrick Kildare prawdopodobnie intryguje, żeby go zabić. Chciała potrząsnąć go za ramiona i ostrzec, żeby trzymał się z

dała od schodów przed domem. Może mógłby wyjechać do Ameryki, byle znaleźć się daleko od polityki i niebezpieczeństw Irlandii.

Ale tymczasem po prostu pochyliła się ku niemu i cmoknęła go w policzek.

- Och, Kitty. - Ciężko westchnął. - Jak nazywasz tę moc, którą masz nade mną?

- Zieleń Pomony - szepnęła mu do ucha.

Po chwili oszołomienia Fitzwilliam Connolly całkiem dosłownie ryknął śmiechem.

- Mauro!

Ktoś mówił do niej z końca długiego tunelu; głos był męski i nagły. Spróbowała połączyć go z imieniem.

- Donal? - Zabrzmiało to jak jęk, który bardzo ją zakłopotał.

- Mauro, proszę cię.

W półśnie wyciągnęła rękę i wyczuła silne męskie ramię. Mężczyzna zdawał się podtrzymywać ją w pozycji siedzącej. Powoli, z ociąganiem uniosła powieki.

- Donal - szepnęła

- Na miłość boską, czy nie umiesz obsługiwać kuchenki gazowej?

Trudno jej było skupić myśli. Donal to zjawiał się, to znikał, jakby sen trwał dalej. Ale on wciąż mówił:

- Przekreśliłeś dwa kurki, ale zapaliłeś tylko jeden palnik.

- Co?

- Palnik. W kuchence. Gotowałeś herbatę, ale z jednego palnika ulatniał się gaz. Do diabła, Mauro, aż strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdybym nie zadzwonił.

Teraz widziała go już bez zakłóceń w dziwnie współczesnym stroju. Włosy miał lekko zmierzwione w miejscu, gdzie przeczesał je dłonią. Na skroniach perlił się pot, mimo że dzień był chłodny. Zwróciło jej uwagę, że Donal i Fitz są do siebie bardzo podobni. Nic dziwnego, że we śnie

wszystko jej się pomieszało. Właściwie chyba nie chodziło o podobieństwo czysto fizyczne, choć obaj byli podobnej budowy, mieli taką samą karnację i zakrzywione palce lewej ręki. Donal znacznie bardziej przypominał jej Fitzę wyrazem twarzy, obaj bowiem patrzyli na nią z niezwykłym skupieniem. Może to było najważniejsze.

- Miałam przedziwny sen. - Usiadła o własnych siłach. Nie wiadomo czemu, znajdowała się na podłodze w kuchni, Donal również siedział na podłodze, a obok niego leżała marynarka zwinięta w kłębek. W całym domu gwizdał wiatr.

- Czekaj. - Wziął marynarkę i okrył jej ramiona. - Musiałem wybić szybę od frontu, żeby wejść do środka. Przepraszam. Zaraz wezwę szklarza. A pozostałe okna pootwierałem, żeby wywietrzyć.

Nagle bez żadnego wyraźnego powodu ogarnął ją smutek. Bała się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Jak się czujesz? - Donal odezwał się nieoczekiwanie łagodnym tonem, tak czułym, że aż badawczo mu się przyjrzała. Podobały jej się jego męskie rysy.

- Miałam przedziwny sen - powtórzyła.

- Naprawdę? - Poprawił jej marynarkę na ramionach i przesłał miły uśmiech. - Opowiesz mi o nim?

- A co chcesz, wiedzieć? - Jej niepokój narastał. Czyżby Donal chciał usłyszeć, jak wyobraziła go sobie we wcieleniu sprzed dwustu lat. Jak obudziła się między nimi miłość.

- Co ci się śniło? Opowiesz mi o tym?

- Ach, tak, o śnie. - Zaczerpnęła tchu i zaczęła przypominać sobie szczegóły. - Byłam w osiemnastowiecznej Irlandii, dokładnie tutaj. Dom wyglądał wspaniale, tyle kryształów, świec i sreber. Musiał to być mniej więcej tysiąc siedemset sześćdziesiąty siódmy rok, bo planowaliśmy ślub.

- My?

- Na początku tylko ja i ciocia Sara, ale potem przyszedł Andrew, kapryśny i naburmuszony.

- Rozumiem. A ty byłaś zaręczona z Andrew?

- Nie! Oczywiście, że nie. Byłam zaręczona z... Fitzem.

- Z tym duchem?

Pokręciła głową.

- W tym śnie Fitz był prawdziwy i żywy. Właśnie wrócił z podróży, przywiózł mi zasuszony bukiet kwiatów z jakiegoś ogrodu pod Paryżem.

- To bardzo miło z jego strony.

- Owszem. Ciocia Sara chciała, żeby na ślub ubrał się w jasnoniebieski frak, ale mnie to nie przemawiało do wyobraźni.

- Czyli w tym śnie wystąpiłaś jako Katherine Burbridge?

- Nie jestem tego pewna. To byłam właściwie ja, chociaż wszyscy zwracali się do mnie „Kitty”. - Przygryzła wargę. - Śmieszne. Właśnie uzmysłowiłam sobie, że mówili do mnie „Kitty”, aleja słyszałam „Mauro”. Tyle że byłam jedną i tą samą osobą. Miałam swoje dłonie i ramiona. I ten sam pukiel włosów na ramieniu.

- To ciekawe. Pamiętasz coś jeszcze?

Zastanawiała się przez chwilę, nie zwracając uwagi na minę Donala, na to, jak mierzy wzrokiem jej sylwetkę i każdy szczegół ciała z osobna.

- Tak! To zdumiewające, Donal. Myślę, że Patrick Kildare nie zabił Fitzę. Nie potrafię tego wyjaśnić, po prostu mam takie przeczucie, ale zbyt silne, żeby je zlekceważyć. Czy wiesz, że Kildare był współnikiem Fitzę? Fitz bezgranicznie mu ufał i jako przyjacielowi, i w interesach, więc dał mu udziały w swojej kompanii przewozów okrętowych.

- Udziały w kompanii przewozów okrętowych? Nie sądzę. Czytałem o Kildarze wszystko, co można, i nigdzie nie było najmniejszej wzmianki na temat jego spółki z Connollym. Mauro, czy pamiętasz naszą rozmowę telefoniczną bezpośrednio przed tym, jak zemdliał?

- Nie - odrzekła zmieszana.

- Zadzwoń do ciebie, bo przeglądałem papiery matki. Ona również uważała, że Kildare był niewinny. Jej wydawca nie chciał, żeby rozwinęła ten wątek, bo to przyniosłoby zbyt wiele komplikacji, a matka nie mogła znaleźć przekonującego dowodu na swoją tezę. Ale jeśli nie Kildare, to kto? Gdyby był niewinny, znaczyłoby to, że padł ofiarą intrygi, a w tej sytuacji nie ma nikogo, kto zyskałby na takim rozwoju wydarzeń. Nikt nie miał powodu, żeby zabić Kildare'a.

- Hm. - Nagle twarz jej się rozjaśniła. - Jeśli Kildare naprawdę był współnikiem Fitz'a, to kto zyskałby najwięcej, gdyby obaj zginęli?

Donal rozmyślał przez chwilę.

- To dość proste: na pewno Andrew.

- Andrew. Szczerze mówiąc, Fitz miał dużą słabość do brata. Pod innymi względami wykazywał niezwykłą bystrość, ale w Andrew nijak nie mógł zobaczyć zepsutego, zblazowanego mydłaka. Szkoda, że nie widziałeś, w jaki sposób Andrew przyglądał mi się tymi swoimi koraliczkami. I ten jego sztuczny pieprzyk...

- Mauro, to był sen.

Skrzyżowała ramiona i już chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język.

- Miałaś ten sen dlatego, że zanim straciłaś przytomność, rozmawialiśmy na ten temat. Pamiętasz?

- Och, Donal, ale ten sen był taki prawdziwy, o wiele bardziej realny, niż wydaje mi się moje życie. Były nawet maślane babeczki, herbata. I gorset, Boże, jaki niewygodny!

- Mauro - powiedział ostrzegawczym tonem. - Nie posuwaj się za daleko.

Miał rację. Oczywiście, że miał rację.

- A jak wytłumaczyć to, co stało się z tobą wczoraj wieczorem?

Koszulę miał rozpiętą u góry i na szyi było widać ślady, które tymczasem nabrały fioletowoniebieskiego odcienia.

- Wciąż uważam, że ktoś chce nas stąd wypłoszyć, ale to musi być ktoś bardzo ludzki i bardzo chciwy. Dlatego tak się zaniepokoiłem, gdy dziś odłożyłaś słuchawkę. Bałem się, że stało ci się coś złego.

- Ojej. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czy już ci podziękowałam?

- Nie. Prawdę mówiąc, nie.

Pochyliła się i pocałowała go w usta.

Donal miał rację. Większą część tego wszystkiego podsunęła jej wyobraźnia, reszta nie miała nic wspólnego z siłami nadnaturalnymi, a dotyczyła jedynie praw własności.

Donal czule cmoknął ją w czoło.

- Aha, byłbym zapomniiał. W Muzeum Narodowym właśnie wystawiono z powrotem portret Katherine Burbridge Connolly. Przez ostatnie pół roku go nie pokazywano, podobno był w konserwacji, chociaż nie wiem, jak długo można konserwować płótno. Czy chcesz zobaczyć swoją rywalkę w walce o względy Fitz'a?

Pytanie wydało jej się absurdalne, zwłaszcza że za oknami świeciło słońce, a obecność Donala dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

- Dowcipny jesteś. - Uśmiechnęła się szeroko. - Poczekaj, tylko się ubiorę. - Nagle znieruchomiała. - Ale powinnam dzisiaj iść do fabryki. Chcę porozmawiać z najdłużej zatrudnionymi pracownikami o zbliżających się zmianach.

Donal wstał i pomógł podnieść się Maurze.

- Masz na to mnóstwo czasu. Nie śpiesz się. Jesteś w Irlandii, a nie w Stanach.

- Hm... - Bardzo chciała obejrzeć ten portret. - No, dobrze. Tylko daj mi chwilę, żebym mogła się ubrać.

Gdy wychodziła z kuchni, Donal się uśmiechnął, chociaż jego twarz nie była wolna od napięcia. Maura nie bardzo wiedziała, jak to tłumaczyć. Może po prostu czuł się nieswojo. A może posądzał ją o nadmiernie rozbuchaną wyobraźnię.

W każdym razie bardzo była ciekawa, jak wyglądała Kitty.

- Jest zupełnie nie taka, jak się spodziewałam.

Maura i Donal stali przed dużym portretem. Donal widział go już wcześniej, więc bardziej interesowała go reakcja Maury niż sam obraz.

Kobieta była atrakcyjna, ale dla tych, którzy lubią blade, wątłe istoty. Wszystko w niej wydawało się zmęczone, od gładkich ciemnych włosów po nijakie oczy. Nie różniła się niczym od tysięcy innych kobiet sportretowanych dawno, dawno temu w dziwnych strojach i bez makijażu.

- Odrobina tuszu do rzęs zdziałałaby cuda - mruknęła Maura. Donal wzruszył ramionami.

- Biedaczka była nie w pełni sił, Mauro. I miała za sobą kilka trudnych miesięcy, najpierw śmierć narzeczonego i jego przyjaciela, potem nagły ślub z Andrew. Na domiar złego cierpiała na jakąś śmiertelną chorobę. Nie pamiętam jaką, ale symptomy były bez wątpienia eleganckie i godne damy. Nie sądzę, żeby tusz do rzęs pomógł jej choć trochę w osiągnięciu lepszego wyglądu.

- Hm, rzeczywiście wydaje się zmęczona.

- Bo jest zmęczona. Założę się zresztą, że sama dobrze o tym wiedziała.

- Po co to mówisz?

- Popatrz na to, co trzyma w prawej dłoni.

- Poczekaj, tu odbija się światło. - Maura zmieniła pozycję. - Nie, nadal nie widzę, co to jest.

- Suche kwiaty. Trzyma bukietik suchych kwiatów. Dość makabryczne, nawet jak na osiemnasty wiek, nie sądzisz?

Kwiaty były małe i fioletowe. A Maura już je widziała. To właśnie te kwiaty Fitz przywiózł z Paryża.

- Czy coś się stało?

- Donal, to są te kwiaty.

- Które?

- Te z mojego snu. Te, które on jej dał.

- Nie, Mauro. Nie przesadzaj.
- Mówię poważnie. Wpięła ten bukiet za pasek sukni.
- Jestem przekonany, że widziałaś ten portret wcześniej i dlatego przyśniły ci się te kwiatki.

- Jak mogłam widzieć ten portret? Przecież przez wiele miesięcy tu nie wisiał! Donalu, to znaczy, że mój sen był prawdziwy! To wcale nie był sen...

- Nie - sprzeciwił się stanowczo. - Na pewno widziałaś ten portret, Mauro. Jest zamieszczony w prawie wszystkich biografiach Fitzwilliama Connolly'ego, nie wyłączając książki mojej matki. Może tylko na niego przelotnie zerknęłaś, ale szczegółów musiał wryć ci się w pamięć.

Nagle Maura odniosła wrażenie, że naraża się na śmieszność.

- Musisz myśleć, że mam nie po kolei w głowie.

Uśmiechnęła się.

- Tak myślę. Ale nie o to chodzi. Zobaczmy teraz, gdzie jest twój Fitz. Słyszałem, zdaje się, że jakiś strażnik moralności przeniósł go do innego skrzydła, żeby nie wisiał obok Kitty. - Potem dokończył szeptem:
- Przecież wiesz, że poślubiła jego brata.

- Ale jesteś dowcipny - odparła. A jednak zachichotała, gdy odeszli od portretu i skierowali się do następnej sali.

- O, jest i Connolly. Czy chcesz z nim zostać sam na sam?

Maura nie odpowiedziała, bo zapatrzyła się w portret Fitzwilliama. Wszystko było takie samo jak poprzednim razem, i za duży nos, i zbyt groźnie spoglądające oczy. Wszystko z jednym wyjątkiem.

Mężczyzna na portrecie nie miał na sobie jasnoniebieskiego atlasowego surduta. Był ubrany w zwykły czarny surdut, na włosach nie miał ani peruki, ani pudru. Spodnie do pół łydki były w kolorze żółtobrazowym, a buty - lśniące, lecz nieco znoszone. Ten wizerunek pasował prawie idealnie do jej Fitz.

Gdy próbowała powiedzieć ciotce Sarze, jak powinien wyglądać pan młody, miała na myśli właśnie coś takiego. Krótko mówiąc, mężczyzna z portretu wyglądał jak jej wymarzony oblubieniec.

Scandalous

Donal pognał za Maurą, która pędem opuściła muzeum.

– Może zwolnisz i powiesz mi, co się stało!

Nie odpowiedziała. Wciąż się oddalała z pobladłą twarzą, na której malowały się jednocześnie zdecydowanie i krańcowe zdumienie.

– Jeśli nie mnie, to powiedz George'owi. – Wskazał brązowy posąg George'a Bernarda Shawa.

– George'owi? Ach, rozumiem – odrzekła po dłuższej chwili i wreszcie przystanąła. – Donal, czy mogę zadać ci pytanie?

– Oczywiście.

– Czy Fitzwilliam Connolly na tym portrecie zawsze był ubrany w czerni?

Donal zamrugał.

– Czy chcesz powiedzieć, że on się przebiera?

– Jak mam to ująć? – Odsunęła się, żeby przepuścić grupę turystów. – Chcę zapytać, czy istnieje bardzo podobny portret, na którym model jest inaczej ubrany? Na przykład w jasnoniebieski surdut z brokatową kamizelką, a na głowie ma pudrowaną perukę?

– Chyba żartujesz, Mauro. Oczywiście, że nie. To jest jedyny znany wizerunek tego człowieka. Zresztą z tego, co o nim czytałem, za nic nie skłoniłabys go do pozowania do takiego obrazu jak „Błękitny chłopiec” Gainsborough.

– Przecież tak było! – Chwyciła go za nadgarstek. – Zanim mi się to przyśniło, Fitz miał wziąć ślub z Kitty, ubrany w jasnoniebieski atlas. Tak postanowiła ciotka Sara, ale namówiłam ją, żeby pozwoliła mu wystąpić w czerni.

– To był tylko sen. – Wyciągnął rękę i odgarnął jej kosmyk włosów z oczu. – Portret w niebieskiej wersji prawdopodobnie sobie wyobraziłaś. Ten sam, który widziałas w prawie każdej biografii Connolly'ego i w każdej ilustrowanej historii Irlandii, jaką sobie przypominam.

Już miała podjąć spór, ale się powstrzymała.

- O Boże, masz rację - przyznała cicho. - Chyba tracę rozum.

- Nie, skądże. Po prostu miałaś bardzo plastyczne sny. Jesteś w obcym kraju, w nieznanym otoczeniu. - Spojrzał na nią z ostrożnym uśmiechem. Wyraźnie mu nie wierzyła.

- Muszę iść - powiedziała nagle.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek. Po prostu muszę trochę pomyśleć. Może powinnam zatelefonować do domu i dowiedzieć się, jak stoi firma. Albo może odwiedzić fabrykę. Może i to, i tamto. A może ani to, ani tamto. Ale na pewno muszę się skupić i pomyśleć.

- Rozumiem. - Wcisnął ręce do kieszeni, a potem wrzucił ramionami. - Wobec tego może zjedlibyśmy dziś razem kolację?

- Och, nie wiem. - Potrzebowała trochę czasu dla siebie, żeby uporządkować myśli i ustalić, czy jest na krawędzi nerwowego załamania, czy po prostu pomieszało jej się w głowie. - Czy mogę do ciebie zatelefonować później, kiedy już się zdecyduję?

- Byłoby wspaniale. A jeśli nie odezwiesz się do wpół do ósmej, to ja zadzwonię.

- Zgoda. Aha, Donal?

Odwrócił się do niej i natychmiast Maurze rzuciło się w oczy, jaki jest niewiarygodnie przystojny.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała. Niepewnie skinał głową i uśmiechnął się.

- No, to do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Przeglądał jej się jeszcze, jak oddala się w stronę domu.

Jimmy O'Neil miał właśnie przynieść sobie następną filiżankę herbaty, gdy jego uwagę przykuł podejrzany ruch. Gdy zobaczył, kto wszedł, szeroko się uśmiechnął.

- Dzień dobry, panie Byrne.
- Dzień dobry - odwzajemnił powitanie Donal i zamknął za sobą drzwi fabryki.
- Czy będą z panem jacyś Niemcy dziś po południu?
- Nie, dziś nie będzie Niemców, Jimmy. Czy mogę z tobą porozmawiać?
- Oczywiście, panie Byrne. - Twarz Jimmy'ego nabrała powagi, co zdaniem Donala wyjątkowo do niej nie pasowało.
- Prawdę mówiąc, jest taka możliwość, że zajrzy tu po południu panna Finnegan.
- Osobiście?
- Osobiście.
- To bardzo miło z jej strony, że dalej interesuje się fabryką, w której nie należy już do niej nawet połamany stołek.
- W tym problem, Jimmy. Ona nie wie, że ja przejąłem zarządzanie fabryką.
- Poczerwieniała dłoń nastawiła ucho ku Donalowi.
- Co pan powiedział?
- Sam słyszałeś. - Donal westchnął. - Boże zmiłuj się nad nami, ona myśli, że wciąż jest jedyną właścicielką Maiden Works Furniture.
- Jeśli wolno spytać, to w jaki sposób doprowadził pan do takiego triumfu niedomówień? Musi być pan w tym niedościgłym mistrzem, prawdziwym poetą niuansów.
- Nie, Jimmy. Obawiam się, że jest znacznie gorzej. Ona wcale o to nie pytała, a ja... no, ja jej tego nie powiedziałem.
- Nie powiedział pan... - Zabrzmiało to jak urwane parsknięcie.
- Słucham?
- Wydaje mi się, że pan nie postąpił lojalnie wobec pani, ani trochę, ani trochę. - Ostatnie cztery słowa Jimmy wymówił jak jedno.
- W każdym razie sytuacja nieco się skomplikowała.

- I myśli pan, że tego nie zauważyłem, ja, człowiek mający parę zdrowych uszu i parę zdrowych oczu?

- Wiem, że zauważyłeś. Ale chciałbym, żebyście słuchali jej tak, jakby nadal była tu właścicielką. Tylko dzisiaj. Póki nie znajdę dobrego sposobu, żeby powiedzieć jej prawdę.

Jimmy O'Neil zmrzążył oczy, tak że zaczęły wyglądać jak dwie bladoniebieskie szparki, i było to bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

- Aha... - Donal wyprostował się - Czy miałeś czas przejrzeć propozycje zmian, które ci pokazałem?

- O, tak, proszę pana.

- I co o nich sądzisz?

- Nic dobrego.

Donal miał ciągnąć wątek, ale pozwilił się zaskoczyć.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie sądzę nic dobrego o proponowanych zmianach i inni ludzie też nie.

- Spokojnie, Jimmy, posadę masz pewną.

- Ja i tylko ja. Po co panu w ścianach wyciągi do wsysania wiórów? I kto ma obsługiwać komputery?

- Spróbujemy doksztalcić ludzi. A ci, którzy nie będą mogli się dostosować, cóż, dostaną bardzo przyzwoitą odprawę.

- Znakomicie. Akurat starczy na pogrzeb.

- Porozmawiajmy spokojnie, Jimmy.

- Jestem całkiem spokojny - stwierdził Jimmy, chociaż cały czas wspinał się na palce, usiłując dorównać Donalowi wzrostem i spojrzeć mu prosto w oczy. - Jesteśmy rzemieślnikami, panie Byrne. Wyrabiamy meble ręcznie, tak samo jak nasi ojcowie, a czasem nawet dziadkowie. Czy chce pan nam wmówić, że wprowadzenie komputerów da ten sam wynik?

- Nie, oczywiście nie. Ale fabryka jest skazana na zagładę, jeśli nie uda się wyprowadzić jej na prostą. Tymczasem koszty własne są zbyt wysokie, materiały za drogie, a praca postępuje za wolno, żeby była na to szansa. Stosując tańsze materiały, na przykład oklejając płyte wiórową, możemy zmniejszyć koszty produkcji. A jeżeli zaprogramujemy maszyny do cięcia i wygładzania drewna, zmniejszymy również wkład pracy ręcznej i w ten sposób obniżymy cenę, której musimy zażądać za towar, żeby fabryka miała zysk.

- A przy okazji zmniejszymy zatrudnienie.

- Jimmy, posłuchaj. Wielu pracowników i tak osiągnęło już wiek emerytalny. Na emeryturze będą mogli odpocząć i nacieszyć się życiem...

- Większość tych ludzi jest jedynymi żywicielami rodzin! Czy pan tego nie rozumie? Ich synowie i córki często jeszcze nie znaleźli pracy, a w najlepszym razie zarabiają marne pensy. Tu nie chodzi już tylko o starszego człowieka i jego siwą żonę, którzy siedzą przy kominku i wspominają dawne lata, haftując serwetki i bawiąc się z wnukami. Chyba powinni byli nauczyć pana tego tam, w Niemczech, na tych wszystkich mądraśnych kursach.

- Jimmy, proszę cię. - Donal uświadomił sobie, że wokół nich zgromadził się tłumek. Z zakłopotaniem skinął dłonią reszcie personelu.
- Witam panów.

Odpowiedziało mu kilka mrukliwych pozdrowień.

- Zrobię, jak pan sobie życzy, panie Byrne - powiedział w końcu Jimmy O'Neil. - Dzisiaj będzie po pańskiemu, bo nie chciałbym tej amerykańskiej pani dokładać strapień. Zdaje mi się, że odkąd pana poznała, i tak ma ich dosyć, więc nie będę dokładał od siebie.

Z tymi słowami Jimmy O'Neil odszedł, by wziąć sobie herbaty, a pozostali ludzie rozeszli się, lypiąc na Donala spode łba.

- Ja tylko próbuję pomóc. - Nie zdawali się słuchać. - Fergus? Mike? Słyszeliście, co powiedziałem?

Ale wszyscy już odeszli. Pierwszy raz, odkąd Donal Byrne podjął się tego zadania, naszła go potworna myśl: a jeśli się omylił w swych rachubach?

Maura musiała próbować kilka razy, zanim dodzwoniła się do Wisconsin, do swojej sekretarki. Gdy wreszcie jej się udało, zmieszana Rachel Wells odpowiedziała po piątym dzwonku.

- Sekretariat Maury Finnegan - odezwała się wątłym głosem, jakby spodziewała się, że ktoś zaraz na nią naskoczy. W tle rozlegały się trzaski i buczenie.

- Rachel? Hej, to ja.

- Maura! Dzięki Bogu, że dzwonicz! Tu wszystko stoi na głowie. - Sekretarka sprawiała takie wrażenie, jakby w każdej chwili mogła się rozplakać.

- A co się dzieje? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś, skoro jest tak źle?

- Mamy częściowo zablokowane telefony. Nie możemy prowadzić rozmów zagranicznych.

- Aż tak tragicznie?

- Właśnie tak. Mam dla ciebie dziesiątki wiadomości, tyle ich jest, że zużyłam te wszystkie różowe karteczki do zapisywania. Niektóre z banku, inne od wierzycieli domagających się pieniędzy, od firmy, która dla nas pakuje, od dostawców, którzy obsługiwali przyjęcie w zeszłym miesiącu. Och, Mauro, to jest istne piekło.

- Przykro mi, Rachel. Mogę tylko cię pocieszyć, że staram się coś załatwić tu, gdzie jestem.

- Powinnaś porozmawiać z Peterem Jonesem. On jakoś dźwiga wszystko na swoich barkach, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Dziękuję, Rachel. Możesz mnie do niego przełączyć?

- Och, jeszcze coś. Kilka dni temu zadzwonił Roger Parker.

W gardle jej zaschło. Roger. Przyczyna jej kłopotów, a w każdym razie ich większości. Udała, że ta wiadomość jest dla niej zupełnie nieważna, liczyła zresztą na to, że zakłócenia na linii pomogą jej ukryć prawdę.

- Roger? Aha. I co u niego?

- Chciał się z tobą zobaczyć. Kiedy powiedziałam mu, gdzie jesteś, odniosłam wrażenie, że to już wie. Ale podałam mu twój adres i telefon w Dublinie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie! - Wcale nie zamierzała tak piskliwie odpowiedzieć. Dzięki Bogu, że Roger nie zatelefonował do Dublina. Tylko tego jeszcze brakowało. - Dziękuję ci, Rachel, trzymaj się.

- Jasne, Mauro. Przełączam cię do Petera.

Znowu rozległy się trzaski w słuchawce, a potem odezwał się Peter Jones.

- Och, Mauro. Obawiam się, że firma znalazła się w niezłym błotku.

- Naprawdę? - Maura przygryzła wargę. - Czy to nowy przepis?

- Świetny dowcip! Nie, Mauro. Nie wiem dokładnie, co się dzieje, bo nie zostawiłaś mi zbyt wielkiej władzy. Ograniczam się do gaszenia drobnych pożarów, nawiasem mówiąc na ślepo.

- Przepraszam. - Przełknęła ślinę. - W porządku. Zatelefonuję do księgowości i polecę im udostępnić ci wszystkie rachunki. Na pewno bardzo ci się nie spodobają, Peter.

- To już wiem. - Pomyślała, że go zbiła z tropu, ale nie. Po chwili odezwał się znowu: - Mauro, co ty właściwie sobie wyobrażałaś?

Zamiast wykonać unik, dała mu odpowiedź wprost. Była już zbyt zmęczona tym wszystkim, żeby umiejętnie mijać się z prawdą.

- Nie wiem. Chyba że uda mi się uratować wszystko i wszystkich. Że kiedy pojedę do Dublina, stanie się jakiś cud i wtedy uda mi się spłacić wszystkie długi.

- Dobrze. Przyjrzę się księgom rachunkowym.

- Peter?

- Tak.

- Martwisz się.

W słuchawce usłyszała westchnienie.

- Mauro, jesteś dla mnie jak córka. Bardzo cię kocham.

- Dziękuję ci.

- Tylko widzisz, moja droga...

- Tak?

- Zawsze wydawało mi się, że ty raczej nie masz głowy do interesów. Powiedziałem to twojemu ojcu, ale nie chciał mnie słuchać. Zawsze twierdził, że jesteś rekinem finansów.

- A ty wiedziałeś swoje.

- Niezupełnie. Ja widziałem uroczego rudowłosego dzieciaka w stroju do tańców ludowych, który wychodzi z siebie, żeby wszystkich zadowolić. Zawsze byłaś posłuszna, zawsze się uśmiechałaś i uszczęśliwiałaś wszystkich dookoła. To znaczy wszystkich z wyjątkiem siebie.

- No, wiesz. - Raptownie spuściła z tonu. - Uporządkuję rachunki.

- Mnie chodzi o dostęp do księgowości - odparł. - Muszę porozmawiać z głównym księgowym i jego ludźmi.

- Oczywiście. Masz rację.

Po odłożeniu słuchawki poczuła się okropnie. Czego tylko dotknęła, obracało się w popiół.

Kuchnia ze swym surowym wnętrzem wydała jej się dziwnie krzepiącym miejscem. Zatrzymała wzrok na kuchence. Tu przeżyła swój najpiękniejszy sen z czarodziejskiego świata. Może zresztą nie było to realne miejsce, tylko jakiś zakamarek jej umysłu, w którym chowało się szczęście, ale w każdym razie i on, i szczęście były jej.

Czy lepiej żyć w ponurym świecie rzeczywistym, czy w cudownym, choć wyobrażonym? Jakże to ma znaczenie, póki człowiek jest zadowolony?

Przesunęła palcami po kurku, obwiodła go delikatnym, pieszczotliwym ruchem. Wystarczyłoby go przekreślić i znów zobaczyłaby ciocię Sarę, nadasanego Andrew i naturalnie Fitzę.

Ale nagle rozmyśliła się i cofnęła dłoni.

Co ja wyrabiam? – pomyślała.

Była przerażona i zarazem oburzona tym, że własny umysł chciał ją zdradzić.

Fabryka! Postanowiła jechać tam i zacząć ratować sytuację. Może to polepszy stan jej umysłu albo nawet ułatwi odzyskanie równowagi.

Musiała coś zrobić, cokolwiek, bo inaczej groziło jej, że zwariuje.

Ludzie w fabryce nie wydawali się zaskoczeni jej widokiem.

Wyglądało to nawet tak, jakby na nią czekali. Jimmy O'Neil powitał ją przy drzwiach, jak zwykle ze sztywno nastroszonymi siwymi włosami na głowie i w nieodzownym czarnym garniturze wystrzępionym przy mankietach, tu i ówdzie przybierającym kolor podobny do mchu.

– Athugh gothether motergergle. – Skinął dłonią.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Jimmy. – Maura uśmiechnęła się. – Chciałam z tobą przedyskutować parę pomysłów. Masz wolną chwilę?

Skinął głową i wskazał jej stół, przy którym pracownicy popijali herbatę. Cerata była starannie oczyszczona z okruchów.

– Dziękuję. – Zajęła wskazane jej miejsce, a Jimmy usiadł naprzeciwko niej. – Mam pomysł, jak zmienić fabrykę, żeby zaczęła przynosić zyski.

– Wspaniale – powiedział wyraźnie, choć z dającym się zauważyć brakiem entuzjazmu.

– Jestem pewna, że zauważyliście, jak wielu turystów przyjeżdża do Dublina.

Jimmy mruknął, ni to potwierdzając, ni zaprzeczając. Po prostu mruknął i już.

- Na pewno zauważyliście również, że Maiden Works Furniture nie cierpi na nadmiar klientów.

Tym razem Jimmy w ogóle nie odpowiedział. Po prostu wpatrywał się w nią bładoniebieskimi oczami, przekrwionymi, lecz bystrymi.

- Zamiast mebli będziemy produkować rzeczy, które lubią turyści. Drobiazgi, takie jak breloczki do kluczy, popielniczki, laski z tarniny, zabawki dla dzieci. Wiesz, gadżety, za które turyści dużo płacą.

- Po co w ogóle mamy to robić?

- Słucham?

- Mnie się zdaje, że w Dublinie sprzedają coś takiego na każdym rogu i w każdym sklepiku. Po co ludzie mieliby jechać pół drogi do Wicklow, żeby kupić dokładnie to samo?

- Bo widzisz, to byłaby atrakcja. Mogliby się przyjrzeć, jak wyrabiacie te rzeczy. Pracowników przebralibyśmy w ludowe stroje, a turyści cieszyliby się jak dzieci, oglądając, jak robicie dla nich breloczki do kluczy. Zastanawiam się też, czy nie mogliby napić się z wami herbaty.

- Krótko mówiąc, mamy zrobić z siebie kiepskie widowisko, tak?

- Och, nie. Wcale nie.

- Panno Finnegan - zaczął Jimmy, wstając. - *Ather mother-bilight keptheings.*

- Przepraszam, ale nie całkiem zrozumiałam.

- *Gother dallagh.* - Z tymi słowami odszedł.

Maura poczekała jeszcze trochę, żeby sprawdzić, czy Jimmy nie wróci. Gdy stało się jasne, że nic z tego, że po prostu będzie siedziała sama przy tym stole aż do zamknięcia fabryki, wyszła, rozmyślając, czy i jak znajdzie jeszcze odwagę, żeby się tu pokazać.

Potrzebowała pokrzepienia i spokoju, jakie dawał dom przy Merrion Square.

Jak mogła go sprzedać? Naturalnie jeszcze nie sfinalizowała transakcji, może uda jej się go odzyskać.

Z reakcji Jimmy'ego O'Neila wywnioskowała, że jej pomysł przekształcenia fabryki nie przejdzie tak łatwo, jak liczyła. Nie była nawet pewna, czy będzie miała odwagę powtórnie z nim wystąpić. Gdy ujrzała jawną dezaprobatę Jimmy'ego, pomysł wydał jej się nagle beznadziejnie głupi i obraźliwy.

Ale dom powitał ją ciepłem, jej milczący przyjaciel, oaza spokoju. Bezsilnie opadła na kanapę w salonie, niezbyt wygodną, ale należąca do niej, tylko do niej.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie zapach maślanych babeczek, pomyślała, że pije herbatę z gronem starych wypróbowanych przyjaciół.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Pomyślała, że jeśli go zlekceważy, ktoś, kto stoi na progu, po prostu sobie pójdzie. Ale dzwonek brzęczał natarczywie raz po raz. A potem Maura usłyszała odgłos klucza obracającego się w zamku i powoli otwieranych frontowych drzwi.

- Jesteśmy! - Głos Bidy Macguillicuddy płynął przez marmurową sień jak chmura radości. - Na szczęście mam klucze!

- O, Maura. Nie miałam pojęcia, moja droga, że jesteś w domu. Dzwoniliśmy i dzwoniliśmy, a ponieważ nikt nie otwierał, to weszliśmy.

Maura wreszcie otworzyła oczy. Stała przed nią drobna siwowłosa Irlandka, widziała też cień drugiej osoby.

- Jest ze mną pewien jankes, który chce obejrzeć dom.

Maura z ociąganiem wstała, przygotowana na spotkanie z obcym.

Na progu stanął Roger Parker.

- Witaj, Mauro. - Jego głos wciąż był gładki jak sztuczny jedwab.

Maura wolno ruszyła ku gościom. Otrząsnęła się już z zaskoczenia i stopniowo wpadała w coraz większą złość. To był najprawdziwszy Roger, jej dręczyciel, mężczyzna, który zamienił jej życie w pasmo nieszczęść. Roger.

- Znają się państwo? - Biddy Macguillicuddy popadła w zachwyty, jej twarz nabrała niebezpiecznych rumieńców, a plastikowe wisienki przypięte do klapy żakietu zaczęły radośnie podskakiwać.

- Czy się znamy? - Roger puścił do niej oko. - Byliśmy zaręczeni i mieliśmy się pobrać. - Uśmiechnął się. Przesadnie idealne zęby nie pasowały do tych ust. Maurze jego uśmiech wydał się nagle podobny do pakieciku białych gum, ułożonych w dwóch równych rzędkach. Kiedyś całowała te usta, pomyślała ze zdumieniem i niesmakiem.

- Co tu robisz, Roger? - Pytanie wydawało się wręcz komiczne.

Biddy klasnęła w dłonie.

- No, i powiedzcie, czy to nie jest coś?

Roger nadal się uśmiechał; sweter miał swobodnie zarzucony na ramiona, palec wetknięty za pasek spodni.

Nie pasował do Dublina. Był tu kompletnie nie na miejscu, jego wdzięk wydawał się oszukańczy, powierzchowność błada. Wszystko, co podziwiała w nim, gdy byli jeszcze w Wisconsin, wyglądało całkiem absurdalnie, od pozy z katalogu mody męskiej po nieskazitelnie uczesane włosy.

Oczywiście pozostawał jeszcze jeden drobny szczegół, a mianowicie góra kłamstw, którymi zrobił z niej kompletną idiotkę, by potem ją rzucić, gdy zorientował się, że wcale nie ma do czynienia z tak bogatą dziedziczką, jak przypuszczał.

- Czy możemy zamienić kilka słów na osobności? - Maurze nawet udało się uśmiechnąć do agentki.

- Ależ oczywiście! Już się usuwam i zostawiam zakochane gołąbki razem. - Z przenikliwym piskiem trzewików na gumowej podeszwie Biddy przemknęła do kuchni.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - wycodziła Maura przez zęby.

- Szczęśliwa? - Wargi wykrzywił mu leniwy uśmiešek. - Twoja sekretarka powiedziała...

- Moja sekretarka nie ma pojęcia, jakim jesteś pasożytem.

Wyciągnął do niej ramiona z wyrazem niezwykłego zadowolenia z siebie. Usunęła się, ale na nim nie zrobiło to wrażenia; mina nie zmieniła mu się ani na jotę.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż obraz, który zapamiętałem.

- Nie potrafię opisać, jak przyjemnie mi to usłyszeć. - Unikała jego wzroku.

- Naprawdę, Mauro. Masz teraz w sobie coś, czego wcześniej nie miałaś, taki delikatny smaczek, iskrę. Pasuje do ciebie to miejsce.

- Tak samo jak do ciebie pasował Harvard?

Chyba się zmieszał, bo przez twarz przemknął mu wyraz zakłopotania.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie rźnij głupka. Gdy zniknąłeś, zatelefonowałam do Harvardu. W biurze do spraw absolwentów nigdy o tobie nie słyszano. Nie ma cię na żadnej liście.

- Czy to znaczy, że się o mnie martwiłaś?

- Nie. Tylko zastanawiałam się, kim właściwie jesteś. No, kim jesteś, Rogerze? - Wreszcie na niego spojrzała.

Połaskotał ją pod brodą.

- Nie waż się - rzuciła Maura.

- Czego mam się nie ważyć? - Kiedyś, gdy odzywał się takim tonem, ugięły się pod nią kolana.

- Nie waż się kłuć mnie tym paluchem pod brodą. Zawsze tego nienawidziłam. A ty zawsze to robiłeś.

- No, no, Mauro. Nie przypominam sobie, żebyś się skarżyła.
- Tfu! - Odwróciła się twarzą do kuchni. - Pani Macguillicuddy.

Pani klient chce już wyjść.

- Co się stało, moja droga? - zdziwiła się agentka.

Roger podszedł do niej bliżej.

- Jestem zainteresowany tym domem.

- Przyjdź, jak już będę miała zainstalowany system alarmowy - syknęła.

- Przebyłem taki szmat drogi, żeby osobiście przekazać ci dobrą wiadomość, a ty mnie tak traktujesz?

- Dobrą wiadomość? Czyżby Interpol był na twoim tropie?
- O, Mauro - zachichotał - wyrobiłaś sobie poczucie humoru.

Postanowiła, że nie sprawi mu tej satysfakcji i nie powie, jak bardzo go nienawidzi. Nie był wart takiego wysiłku.

- Do widzenia, Rogerze.

- Jesteś teraz bogatą kobietą, Mauro.

- Wiem. Dlatego się tu zjawiłeś, prawda? Rzuciłeś mnie, kiedy byłam w trudnej sytuacji, a teraz wypłynąłeś tutaj i masz nadzieję położyć łapę na spadku. Tak?

- Nie. Nie rozumiesz mnie. Zawsze cię kochałem, ale czułem, że nie jestem ciebie godzien. Nie zapominaj też, że jestem człowiekiem czynów, Mauro. Potrzebuję dreszczyku przygody i niebezpieczeństwa, dlatego obawiałem się, że zbytne zaangażowanie w związek z tobą będzie mnie ograniczać.

Wytrzeszczyła na niego oczy. Człowiek czynów? Potrzebuje dreszczyku przygody. Jego najbardziej ryzykownym przedsięwzięciem, jakie dotąd widziała, było przechodzenie przez ulicę przy czerwonym świetle w śródmieściu Milwaukee i zapasy z koziołkiem w zoo.

- Ale teraz, Mauro, jestem mężczyzną, jakiego potrzebujesz. - Przybrał postawę, która mogłaby uchodzić za wojskową. - Nie boję się zobowiązań. Dojrzałem do naszego związku.

- Ty dojrzałeś? - Musiała aż przygryźć policzek od wewnątrz, żeby się nie roześmiać. - Rogerze, proszę cię. To już jest skończone. Zachowaj przynajmniej trochę godności.

Nagle ogarnęło ją współczucie dla tego mężczyzny, zupełnie jakby widziała go pierwszy raz. To było smutne, naprawdę smutne i zabawne zarazem, i z pewnością niewarte więcej złości. Raz udało mu się oszukać i ją, i siebie, teraz oszukiwał już tylko siebie. Cieszyła się, że przejrzała na oczy. Jak mogła kiedyś myśleć, że jest w nim zakochana? To była znajomość podobnego kalibru, co jej cieleca miłość do Billy'ego Kennedy'ego w piątej klasie, romans, który skończył się, gdy Billy napisał do niej liścik o treści: „Jesteś świnia”. Gdzieś jeszcze miała tę kartkę wyrwaną z notesu i wiedziała, że jej wspomnienia związane z Rogerem wkrótce dołączą do wspomnień o Billym.

- Och, Roger. - Nie skierowała tego westchnienia do niego. Była to raczej refleksja nad ludzkim brakiem rozsądku.

Wróciła Biddy, podniecona myślą o romansie.

- Jaką uroczą parą bylibyście! Panie Parker, czy nie wolałby pan, żeby panna Finnegan osobiście oprowadziła pana po tym domu?

- Roger jest już umówiony. Prawda, Rogerze? - Uśmiech Maury zniechęcał do próbowania sprzeciwu.

- Niestety, to prawda - przyznał.

- Jaka szkoda! Ale zdawało mi się, panie Parker, że zarezerwował pan całe popołudnie na obejrzenie tego domu.

- Wszystko, co chciałem, już zobaczyłem.

- Do widzenia, Rogerze. - Maura sięgnęła za jego plecy, by otworzyć drzwi.

- Pewnie jeszcze tu wrócimy. - Biddy wzruszyła ramionami ze znacznie mniejszą dozą entuzjazmu, niż spodziewałaby się po niej Maura.

Roger poczekał, aż agentka wyjdzie, i natychmiast spojrzał prosto na Maurę.

- Wróć tu, kochanie - bąknął. I zanim przestąpił próg, jeszcze połaskotał ją kciukiem pod brodą.

- Och, Rogerze. - Pokręciła głową, patrząc, jak się oddala. Czy zawsze chodził w ten sam sposób, z rozkołysanymi biodrami i niezgrabnie zwieszonymi ramionami? Jego głowa sprawiała wrażenie przechylonej na bok, jakby natężał słuch, chcąc usłyszeć niesłyszalną dla innych wiadomość, psi gwizdek dostrojony do jego ucha. Znowu się uśmiechnęła.

Biedny Roger.

Nieco później stanęła przed wyborem. Mogła spędzić wieczór sama, z dzbankiem herbaty i stertą książek, mogła też iść do Nesbitta, gdzie były dziesiątki jej przyjaciół, z których wielu jeszcze nawet nie poznała osobiście. Donal wspominał coś o wspólnej kolacji, ale te plany w najlepszym razie można było nazwać niewiązącymi. Wciąż jeszcze wahała się przed podjęciem decyzji, gdy zadzwonił telefon.

- Mauro. - Głos był taki napięty, że przez chwilę nie wiedziała, kto mówi.

- Donal?

W tle usłyszała gwar, wybuchy śmiechu, a z daleka również wysoki kobiecy chichot. Mężczyzna zaczął śpiewać trudną do określenia piosenkę, inni zawtórowali mu nie mniej fałszywie i radośnie.

- Tak, to ja. - W jego głosie była nerwowość, której nigdy przedtem nie słyszała. - Czy stało się coś złego?

- Musimy porozmawiać.

- Proszę bardzo. O czym chcesz rozmawiać

- Nie przez telefon. Musimy porozmawiać osobiście. Wpaść do ciebie?

Chociaż była już całkiem pewna, że wszystkie epizody z Fitzem po prostu jej się przyśniły, to nadal nie wiedziała, czemu, a raczej komu,

Donal przeszkadza na tyle, by na niego czyhać. Ta napaść była prawdziwa.

- Nie, nie. Umówmy się gdzieś. Gdzie jesteś teraz?

- U Nesbitta.

Roześmiała się, ale nie odpowiedział tym samym.

- Przyjdiesz niedługo?

- Tak, oczywiście. Daj mi tylko kilka minut na...

- Dobrze. Wobec tego do zobaczenia - rzekł i odłożył słuchawkę.

- Ja też się cieszę, że cię zobaczę - powiedziała słodko do głuchej słuchawki.

Naszła ją trudna do odparcia chęć, by zatelefonować do Nesbitta i poprosić tego, kto odbierze telefon, o przekazanie Donalowi wiadomości, że jednak nie będzie mogła przyjść. Ale gdy pomyślała o tym, jak będzie się zastanawiać, dlaczego Donal miał taki rozdrażniony głos, jak będzie ją dręczyć niepewność, czy nie zrobiła czegoś, czym mogłaby się narazić na jego gniew, uznała, że to nie dla niej. Musiała się dowiedzieć, w czym rzecz, choćby miała się porządnie zirytować.

- Wspaniały koniec wspaniałego dnia - mruknęła pod nosem, kończąc się ubierać.

U Nesbitta jak zwykle panowała atmosfera wszechogarniającej przyjaźni i życzliwości. Gdyby nie to, że Maurę czekała trudna rozmowa z Donalem, na pewno dobrze by się bawiła.

Może jednak słuch ją omylił. Może jego napięty głos był wynikiem przepracowania, bezsennej nocy albo zatrucia czymś nieświeżym zjedzonym na obiad. Może nie miał nic wspólnego z nastrojem Donala, który wydawał się jak najgorszy.

Właściwie pozwoliła sobie nawet na zarozumiałość polegającą na tym, że sądziła, iż to ona zepsuła Donalowi dzień, niechcący skaziła mu wieczór swymi kwaśnymi uwagami.

A potem zobaczyła, jak groźnie jej się przygląda od drugiego końca ciemnego drewnianego kontuaru. Była to jedyna posepna twarz w morzu życzliwości.

- Cześć, Donal. - Udało jej się go powitać jakby nigdy nic.

- Słyszałem, że miałaś dzisiaj bardzo szczególnego gościa.

- Słucham?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, że jesteś zaręczona?

- Z Rogerem? Masz na myśli Rogera?

- Tak, mam na myśli Rogera. Bidy Macguillicuddy opowiedziała już o waszym romansie całemu Dublinowi. Jak mogłaś ukryć to przede mną?

- Wcale nie jesteśmy zaręczeni! On tak twierdził, ale o małżeństwie nigdy nie było mowy.

- Ten ostatni wieczór zaplanowaliście razem, prawda? Żeby Roger mógł jak najkorzystniej kupić twój dom. Cała ta szarada z duchem miała nas wszystkich zmylić, co?

- Nie! Nie mogę uwierzyć, że tak sądzisz. Posłuchaj, Roger się nie liczy. Jest zwykłym oszustem i absolutnym zerem.

- Kiedy pomyślę o tym, jakiego głupca ze mnie zrobiliście...

- Nie mów tak, Donal. Proszę cię.

Tuż przy jego łokciu stał pusty kufel, ale Donal nie wykonał żadnego gestu, by barman ponownie napełnił mu naczynie albo podał coś do picia Maurze.

- Kiedy o tym myślę, to widzę, że mogę ci już powiedzieć. Papiery, które Charles dał ci do podpisania, wcale nie dotyczyły sprzedaży domu, chociaż zatrudniając agenta sprzedaży nieruchomości, ujawniłaś swoje plany. Nie rób takiej zdziwionej miny. Musiałaś wiedzieć... Mauro?

Poczuła się jak przekłuty balonik. Ledwie była w stanie pokręcić głową.

- Nie - szepnęła.

Gniew zaczął go opuszczać.

- Mauro, posłuchaj mnie. W tym nie ma nic osobistego. Wykonywałem swoją pracę. To było zwyczajne pociągnięcie człowieka interesów.

- Nieprawda. To było bardzo osobiste. - Przez cały czas pilnowała, żeby głos jej się nie załamał. - Zaufałam ci. Mówiłam ci różne rzeczy, dzieliłam się... O, Boże.

Drżącą dłońią zakryła usta, jakby powstrzymanie następnych słów mogło coś zmienić w tym, co się stało.

- Mauro... - Rozejrzył się dookoła, świadom, że znajdują się w centrum uwagi. - Dokończmy tę rozmowę gdzie indziej, w bardziej ustronnym miejscu.

- Nie. - Ogarniały ją coraz silniejsze mdłości i zastanawiała się nawet, czy nie rozchoruje się tu, przy barze. Musiała wyjść. Musiała znaleźć się z dala od dymu, morza twarzy, zapachu whisky i piwa, głośnego śmiechu. A przede wszystkim z dala od Donala.

Bez słowa wstała i ruszyła do wyjścia, na ślepo przedzierając się przez tłum, który się przed nią rozstępował.

Donal już miał za nią pobiec, ale ktoś go przytrzymał.

- Lepiej pozwól jej wyjść, Byrne. Daj jej kilka minut przewagi na starcie.

- Boże - wymamrotał. - A jeśli ona powiedziała mi prawdę o Rogerze? Jeśli naprawdę nie są zaręczeni? Jeśli ona go nie kocha?

- Wypij jeszcze kufelek, człowieku - poradził mu ktoś inny. Donal wbił wzrok w pienistą czapę kufla, który przed nim postawiono.

Był taki pewny swego. Kiedy usłyszał, że przystojny Amerykanin podaje się za jej narzeczonego, natychmiast w to uwierzył. To naturalne, że wybrała sobie kogoś swojego pokroju, jankesa. Dlaczego miałyby być zainteresowana nim, Donalem?

Ale ta jej mina. Nie był pewien, czy zdoła kiedykolwiek wymazać ten wyraz z jej twarzy. To był wyraz najczystszej urazy.

Jeśli istotnie powiedziała prawdę, to on z własnej woli zadał jej ostateczny, zdradziecki cios. Był tak pochłonięty rozpamiętywaniem swojej urażonej dumy, że nie pomyślał o niczym innym.

A jeśli to właśnie ten Roger krył się za wydarzeniami w domu przy Merrion Square? To wydawało się najbardziej sensowną możliwością. Jeśli tak. Maura mogła teraz być w opałach, wcale nie zdając sobie z tego sprawy. W opałach albo nawet w niebezpieczeństwie.

– Muszę iść – zwrócił się do swych kompanów.

– Nie możesz jeszcze iść. Daj jej ochłoniąć.

Ktoś inny poparł przedmówcę.

– Jeśli pójdziesz za nią teraz, to ani chybi zobaczysz patelnię od spodu. Była bardzo wkurzona, kiedy wychodziła. Na twoim miejscu poczekałbym trochę.

– Przynajmniej rok – dodał trzeci znawca i wszyscy zachichotali.

Mieli rację. Donal uznał, że musi się zastanowić, co powiedzieć, jak wyrazić swoje uczucia.

Wstrząsnęło nim, gdy uświadomił sobie, że nie wyobraża sobie przyszłości bez Maury. Nawet tydzień wydawał mu się długim okresem, a co dopiero miesiąc, dekada, rok.

Nie potrzebował fabryki. Potrzebował Maury.

Może Maiden Works Furniture było pretekstem, intrygą losu potrzebną, żeby się spotkali. A on walczył tak zaciekle o fabrykę po prostu dlatego, że nie był w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Bo tak naprawdę walczył o Maurę..

– Ej, Donal, błąd jesteś.

– O, tak. Wygląda, jakby zobaczył ducha.

W odpowiedzi zdobył się jedynie na nikły uśmiech.

W każdym razie mógł poczekać jeszcze chwilę i dopiero potem ruszyć za Maurą. Teraz i tak nie mógłby biec, bo za bardzo waliło mu serce, a nogi groziły, że odmówią posłuszeństwa.

– Napijesz się jeszcze, Donal?

Głęboko zaczerpnął tchu i skinął głową. Tego wieczoru zamierzał jej powiedzieć całą okropną prawdę o fabryce, żeby przyglądać się potem, jak Maura bezsilnie się wije, niszczone jego okrutnymi słowami.

Tymczasem okazało się, że czeka go znacznie bardziej niebezpieczne zadanie. Donal Byrne postanowił oświadczyć się Amerykance, Maurze Finnegan.

– Wznoszę toast, panowie – powiedział. – Za cuda, żeby nigdy nie przestały się zdarzać.

Tego Maura nie przewidziała. Dzień, który z godziny na godzinę stawał się gorszy, w ciągu ostatnich dwudziestu minut zamienił się dla niej w istny koszmar.

Tyle czasu to trwało. Wystarczyło dokładnie dwadzieścia minut i wszystkie jej nadzieje prysły jak mydlana bańka.

Nie miała fabryki. Nie miała sposobu na uratowanie firmy w Stanach, to zaś znaczyło, że nie miała pracy i przyszłości, a wszystkich pracowników trzeba będzie zwolnić.

Przede wszystkim zaś nie było i nie będzie Donala.

Nogi tak jej ciążyły, że nawet przejście przez sień równało się brnięciu przez lotne piaski. Bezwładnie opadła na pierwsze wolne krzesło i było jej wszystko jedno, że nie jest wygodne. Nie zasługiwała na wygodę.

Zaczerpnęła dużo powietrza do płuc i zamknęła oczy.

– Fitz – wymamrotała. – Co ja mam zrobić?

W zamroczeniu nie usłyszała kroków, które rozległy się na schodach.

– Dzień dobry, Kitty, kochanie.

Jego głos brzmiał czysto, kojąco i dochodził z bardzo bliska.

Gdy usłyszała dźwięczny chichot, otworzyła oczy i zobaczyła go przed sobą. Oto Fitzwilliam Connolly.

Gdy usiadła prościej na krześle, uświadomiła sobie, iż Fitz ma na sobie strój z epoki, ale inny niż poprzednio. Widocznie przyśnił mi się inny dzień, pomyślała, chociaż duch był ubrany w tę samą luźną lnianą koszulę, spodnie do łydek i wysokie buty, które zawsze nosił. Gęste czarne włosy miał związane z tyłu.

- Czy już się czujesz lepiej, Kitty?

- Tak. - W zasięgu ręki miała komplet do herbaty, również inny niż poprzednio, na talerzykach leżały nadgryzione maślane babeczki i kawałki białego chleba. Fitzwilliam podszedł do niej z uśmiechem i dotknął wierzchem dłoni jej policzka.

- Musimy cię trochę wzmocnić przed ślubem - powiedział cicho. - Nie byłoby dobrze, gdyby panna młoda zemdląła podczas ceremonii.

- Dlaczego nie? Inne panny na pewno to zrobią, kiedy zobaczą, jak wygląda oblubieniec.

Fitz delikatnie potarł kciukiem jej skroń, a potem usiadł na sąsiednim krześle. Wydawało się niemożliwe, by tak delikatna konstrukcja wytrzymała jego ciężar, a jednak wytrzymała.

- Będę szczery, moja droga - powiedział, ujmując jej dłoń. Miał duże, sekate ręce, znamionujące siłę. Nawet koślawy mały palec lewej ręki był mocny i pewny. - Martwię się o ciebie.

- Och, Fitz. - Zerknęła na tacę pełną okruchów. - Widocznie za szybko zjadłam babeczki.

- Nie tknęłaś ani kęsa. Kilka zjadł Andrew, ja jedną. Ty sprawiałaś takie wrażenie, jakbyś nie mogła ścierpieć ich widoku. I bardzo proszę, nie zaprzeczaj. Widziałem zmianę, jaka zaszła w twoim zachowaniu.

- To musi być skutek zdenerwowania przed ślubem. - Przez głowę przemknęła jej nagle myśl. - Czy wystąpisz w jasnoniebieskim surducie?

Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy. Andrew i ciotka Sara chcą, żebym ubrał się w niebieski atlas, ty życzysz sobie zobaczyć mnie zwyczajnie w

czerni, a ja przychyliłem się do twojego życzenia. Kitty... – Mocniej zacisnęła palce na jej dłoni. – Mam zostać twoim mężem. Prawdę mówiąc, już się czuję jak mąż. Powiedz mi, co ci dolega.

– Mnie... no... – bąknęła. – Martwi mnie Patrick Kildare.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czy na pewno mu ufasz? Boję się, że danie mu udziałów nie było najlepszym pomysłem.

Przez dłuższą chwilę milczał i tylko wpatrywał się w ich złączone dłonie.

– Czy masz coś przeciwko temu dlatego, że Patrick nie ma własnego majątku? Jego dobytek rzeczywiście można by przykryć kapeluszem.

Zmieszała się.

– Czym kapeluszem?

– Nie żartuj, Kitty. Patrick nie jest bogaty, ale porządny i uczciwy, jest też najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Oprócz ciebie.

– Fitz. – Pochyliła się i pocałowała go w rękę.

– Czy wolałabyś uniknąć spotkania z Patrickiem? Ma tu wkrótce przyjść i przynieść nowe zamówienia przewozowe.

– Bardzo chętnie go poznam. – Musi być bardziej udany niż Andrew, pomyślała. A już na pewno nie jest taki okropny.

– Poznasz go? Kitty, przecież znasz go prawie tak samo długo jak ja.

– Och, przejęczyłam się. Chciałam powiedzieć, że chętnie go powitam w naszych progach.

W tej chwili rozmowę przerwało głośne pukanie, a potem odgłos dzwonka do drzwi. Aż podskoczyła. O ile wiedziała, w domu był elektryczny brzęczyk, który wydawał płaski, mechaniczny dźwięk. Przyjemny gong mile ją zaskoczył.

Fitz nawet się nie poruszył, żeby otworzyć, i Maura już miała wstać, gdy do drzwi pośpieszyła sympatyczna kobieta w czepku.

- Dzień dobry, pani Finnegan. Czy wielki lord we własnej osobie jest w domu?

Finnegan! Gospodyni nazywała się Finnegan, więc Maura natychmiast wyciągnęła szyję, lecz mimo to nie udało jej się zobaczyć twarzy kobiety. Starsza pani roześmiała się dźwięcznie i wesoło.

- Naturalnie, panie Kildare. Właśnie pije herbatę z panną Burbridge.

- Kitty! - Entuzjastyczny głos wywołał uśmiech na twarzy Maury. Mężczyzna sprężył się i wkroczył do salonu, z uśmiechem od ucha do ucha i szeroko rozłożonymi ramionami. - Jak wspaniale, że cię widzę!

Machinalnie wstała i również rozłożyła ramiona.

- Patrick, jak ty wyglądasz, szelmo.

Zupełnie jakby witała ulubionego kolegę ze średniej szkoły, chłopaka, który nigdy nie miał dziewczyny, ale zasługiwał na wszystko co najlepsze. Był przystojny, ale to bardziej osobowość niż cechy zewnętrzne decydowała o jego atrakcyjności. Był zdecydowanie niższy od Fitz, miał krępa sylwetkę i taką budowę ciała, która wróżyła mu otyłość w przyszłości.

- A oto i on - rzekł Fitz. - Wspólnik marnotrawny. Co nowego na zachodzie?

- Pomyślne wieści, Fitzwilliamie. Ale poczekaj chwilę, żebym mógł uwieść twoją narzeczoną. - Z tymi słowami pocałował Kitty w czoło, a potem spojrział na nią badawczo. - Czy dobrze się czujesz, Kitty? - W jego piwnych oczach odmalowało się szczere zatroskanie.

- Co za komplement, Patrick! Nic dziwnego, że wciąż pozostajesz kawalerem. Podejrzewam, że częstowałeś dziewczęta z Kilkenny podobnymi oskarżeniami o chorobę. Nic nie może bardziej popsuć samopoczucia kobiecie niż pytanie, czy nie czuje się źle i czy na pewno powinna wyjść z domu, kiedy ona włożyła najlepszą suknię i dokonała istnych cudów z włosami.

- Wszyscy dobrze znamy szczególny wdzięk Patricka. - Fitz podszedł do nich z rękami splecionymi na plecach. - Jak obraziłeś tę pannę w zeszłym roku podczas balu na zamku? Kitty, ty musisz to pamiętać, bo pomagałaś biedaczce osuszyć łyżę na werandzie.

Patrick odpowiedział osobiście.

- Dajcie spokój, proszę. Jeśli mamy żartować sobie z moich kłesk w pozyskiwaniu serca dam, to grozi nam, że będziemy tu siedzieć do następnej Wielkanocy.

- Zaraz, co on powiedział... - Zmarszczyła czoło, całkiem lekceważąc prośbę Patricka. - Zdaje się, że wyrzuciłam to z pamięci, bo póki pamiętałam, śniły mi się przez to koszmary.

- No, więc dobrze. - Patrick pociągnął Kitty za kosmyk zakręconych włosów, który opadał jej na ramię, po czym znów zwrócił się do przyjaciela: - Skoro chcecie, to możemy dokładnie przypomnieć sobie to wydarzenie. Wina nie leżała po mojej stronie.

- No, widzisz, Kitty. Nie po jego stronie.

- Tak jak zawsze. - Zachichotała.

- Tamta panna wyraźnie utykała. Po pierwszym tańcu zaczęła utykać jeszcze bardziej. Zapytałam ją o zdrowie z czystej troski.

- Ja to pamiętam nieco inaczej - odparła Kitty, patrząc na narzeczonego, który bardzo starał się zachować powagę. - Rzeczona panna powiedziała mi, że zacząłeś, Patricku, bardzo niestosownie, od zapytania o jej nogę. Z damą nie rozmawia się o tak trywialnych sprawach jak utykanie. A gdy zarumieniła się i zaczęła jąkać, co musiało stanowić całkiem niezły widok, zarzuciłeś jej, że ma drewnianą nogę.

Fitz wybuchnął głośnym śmiechem, a Patrick skrzyżował ramiona.

- Nadal utrzymuję, że jestem niewinny. Przy tylu spódnicach i w ogóle przy powierzchni okrywającej was materii wasza zdolność do poruszania się, a co dopiero tańca, jest dla większości mężczyzn niezgłębioną tajemnicą.

- I prawdopodobnie pozostanie nią na zawsze, mój przyjacielu. Przynajmniej dla ciebie. - Fitz lekko szturchnął go w ramię i wszyscy się roześmiali. Potem pokazał im, by usiedli.

Maurę zaskoczyło, że powrót na krzesło przyniósł jej ulgę. Może istotnie była chora. Kilka razy głęboko zaczerpnęła tchu, zerkając kątem oka, czy przenikliwe oczy Fitz'a są na niej skupione. Uśmiechnęła się beztrzesko do narzeczonego, choć była daleka od beztrzeski.

Odwzajemnił uśmiech, ale odniosła wrażenie, że było to nieco wymuszone. Mimo to nie skomentował jej zachowania. Gdy znów odezwał się Patrick, Fitz zwrócił się ku niemu i otarł wierzchem dłoni usta, jakby chciał w ten sposób pozbyć się zgryzot.

- Fitzwilliamie, muszę ci coś powiedzieć wprost. Niestety, mam przykrą nowinę. - Wszystkie ślady dobrego humoru Patricka znikły. Cała trójka spoważniała.

- Mów dalej - zachęcił go przyjaciel.

- Czy twój brat jest w pobliżu?

- Nie. W tej chwili chyba powinien być u krawca przy Sackett Street. Czy ta zła wiadomość dotyczy Andrew?

- Obawiam się, że tak. Andrew i ciebie, Kitty.

- Mnie?

- Kitty? - zdumiał się w tej samej chwili Fitz.

- Będę się streszczał. Na zachodzie powszechnie uważa się, że Andrew szuka sposobu na przejęcie kompanii.

- Jak to możliwe? Mój brat nie ma na to środków.

- Wyznaczył dużą nagrodę dla tego, kto pomoże mu uprowadzić Katherine Burbridge.

Kitty wyciągnęła rękę do Fitz'a, a ten ujął jej dłoń.

- Interesował się również usługami kilku księży, którzy udzielają ślubów za pieniądze - ciągnął Patrick. - Krótko mówiąc, zamierza posłużyć się majątkiem Kitty, żeby doprowadzić do przejęcia naszej kompanii albo założyć konkurencyjną.

Rozumowanie Patricka wydawało się Kitty głęboko uzasadnione. Jako drugi syn w hierarchii starszeństwa Andrew zależał we wszystkim od dobrej woli pierworodnego. Fitz był szczodry, ale Andrew zawsze chciał więcej, niż dostawał.

Zrobiło jej się niedobrze na samą myśl o tym, że mogłaby zostać związana węzłem małżeńskim z Andrew.

- Nie uwierzę w takie historie o moim bracie - sprzeciwił się Fitz.

- Tego się obawiałem. - Patrick pochylił się ku niemu. - Proszę, posłuchaj mnie. Są wystarczające dowody na potwierdzenie jego zamiarów. On wcale nie dbał o zachowanie dyskrecji, Fitzwilliamie.

- Andrew jest moim bratem, czyli najbliższym krewnym. Nie zrobiłby czegoś tak małodusznego, a już na pewno nie mnie.

- Nie znasz go. Nigdy nie znałeś, w każdym razie nie tak, jak inni go widzą - tłumaczył łagodnie Patrick. - On jest twoim jawnym przeciwnikiem. Aż kipi zazdrością, gniewem i bezwzględna żądzą. Dla twojego dobra, błagam cię, rozważ dowody, które zgromadziłem. - Sięgnął do kamizelki i wyjął pergaminy obwiązane czerwoną wstążką. Chciał je podać Fitzowi, ale ten opuścił rękę i zerwał się na równe nogi.

- Nie będę oglądał sfalszowanych dowodów.

- Na miłość boską, Fitzwilliamie, wysłuchaj mnie! On chce porwać Kitty w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Słyszysz? Nie rozmawiamy tylko o przyszłości twojej kompanii, lecz również o Kitty.

- Nie będę słuchał takich łgarstw! Kitty, Patrick nie powinien był mówić takich rzeczy w twojej obecności. Nie powinien narażać twoich uszu na złośliwą obmowę.

Wstała i położyła rękę na przedramieniu narzeczonego.

- Fitz, nie sądzę, żeby to była obmowa.

Gdy zwrócił się ku niej, jego twarz pałała takim gniewem, że Kitty z lęku chciała się cofnąć, ale nie mogła.

- Ja też słyszałam plotki o Andrew i jego intrygach - powiedziała. - Czy wiesz, że często widuje się go na walkach kogutów i szczuciu

niedźwiedzi? Czy znasz szubrawców, z którymi przestaje? Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Andrew podobno...

- Milcz!

Żachnęła się zaskoczona gwałtownością reakcji Fitz. Nigdy jeszcze tak się do niej nie zwrócił. Nigdy.

Ale dumnie uniosła głowę i bez mrugnięcia okiem stawiała mu czoło.

- Zawsze przymykałeś oko na to, co robi Andrew. Błagam cię, potraktuj poważnie ostrzeżenie Patricka. Dla naszego dobra, dla mojego dobra. Och, Fitz, mogę cię tylko błagać.

- Nie wierzę własnym uszom. Kitty, Patrick... oboje zwróciliście się przeciwko mnie.

- Nie, Fitzwilliamie! Mówimy tak dlatego, że cię cenimy, że cię darzymy miłością - zaczął Patrick.

- Wyoście się oboje! Nie chcę was widzieć!

Serce podeszło Kitty do gardła i zaczęło tłuc się jak szalone. Przeniknął ją ból tak dotkliwy, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Oddech miała dziwny, świszczący, a słuch również odmówił jej posłuszeństwa, wszystko głużyło bowiem jej strwożone serce. Każde jego uderzenie sprawiało jej tyle cierpień, że zapragnęła, by się zatrzymało i przestało ją dręczyć.

- Kitty? - To był głos mężczyzny, ale nie potrafiła powiedzieć, czy Patricka, czy Fitz. - Włóż jej poduszkę pod głowę.

Czyżby stała nieruchomo? Nie, teraz leżała na podłodze, było jej twardo i zimno.

Może powinna była powiedzieć Fitzowi wcześniej o tym dziwnym trzepotaniu serca, jakie czasem ją nachodziło. Ale zawsze szybko mijało. A Fitz miał inne zmartwienia, o wiele ważniejsze niż lęki oblubienicy. Tak nazwaliby jej dolegliwość lekarze, postąpiłaby więc głupio, gdyby szukała porady medyka.

Z wielki wysiłkiem uniosła powieki i ujrzała Fitz. Ktoś rozluźnił tasiemki jej gorsetu. Miała nadzieję, że to pani Finnegan albo Fitz, bo

Patrick natrząsałby się z niej potem, że uwolnił ją od zbroi. Wiedziała, że by się z niej natrząsał.

Lepiej. Poczula się zdecydowanie lepiej. Fitz przytknął jej do warg szklaneczkę, więc upiła łyk spodziewając się wody albo herbaty. Ale dał jej alkoholu. Zaczęła się krztusić.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział, jakby była dzieckiem, i pogładził ją po głowie.

Poczula jego zapach, ta woń nieodłącznie kojarzyła jej się z Fitzwilliamem. Znów zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego ramienia.

Wreszcie była bezpieczna.

Scandalous

Całował ją.

Maura odprężyła się na chwilę, pochłonięta tym doznaniem. Ale im dłużej trwał pocałunek, tym wyraźniej docierało do jej świadomości, że coś tu nie gra. Mężczyzna nie był czuły i delikatny, lecz brutalny. Miała poczucie, że wcale o niej nie myśli. Wbijał jej paznokcie w ciało. Nawet ustami sprawiał jej ból, bardziej miażdżył jej wargi, niż całował. Doznanie szybko stawało się nieprzyjemne.

Za wiele zębów. Przemknęło jej przez głowę, że ktoś ją pożera. I wtedy właśnie uzmysłowiła sobie, że to nie Donal ani nawet nie Fitz tak ją przygniata.

- Roger! - Gdy próbowała się wywinąć, zobaczyła jego twarz, częściowo skrytą w mroku.

- Daj spokój, Mauro - wysapał. - Zostawiłaś otwarte okno od frontu. Wiedziałaś, że będę tędy przechodził.

- Tam jest wybita szyba. Zejdź ze mnie - zażądała ze złością, usiłując go odepchnąć.

Zamiast przetoczyć się na bok, znów zaczął rozgniatać jej wargi, tym razem z beczelnym uśmiechem.

- Pamiętasz to?

Owszem, pamiętała. Miał odrażający zwyczaj laskotania jej, gdy się obejmowali. Teraz jednak nie wydawało jej się to zabawne ani nawet irytujące. Roger był od niej cięższy o przynajmniej dwadzieścia kilo i zdradzał niepokojące zdecydowanie. Ogarniał ją lęk.

- Proszę, przestań.

Nic nie wskazywało na to, by ją usłyszał.

Nadal przygważdżał ją do ziemi tak, że nie mogła się ruszyć.

Skąd się wzięła na podłodze w salonie?

Jedną ręką zaczął ją szarpać za bluzkę, ale zanim zdążyła się naprawdę przerazić, ciężar przestał na nią napierać. W pokoju rozległ się inny głos:

- Ty sukinsynu! Puść ją natychmiast!

Donal. Jakimś cudem zdołał poderwać i postawić przed sobą zaskoczonego napastnika.

- Kim pan jest? - wybąkał zaskoczony Roger.

Donal bez słowa odwrócił się do Maury i pomógł jej wstać. Zatrzymał wzrok na podartej bluzce i jego twarz przybrała zacięty wyraz.

- Czy coś ci się stało?

- Nie, wszystko w porządku. - Nie mogła się zmusić, żeby choćby spojrzeć na Rogera, człowieka, o którym kiedyś myślała, że go kocha. Drżącymi rękami próbowała uporządkować swoje odzienie.

- Proponuję, żebyś stąd wyszedł i więcej nie wracał - zwrócił się Donal do Rogera.

- Jakie prawo ma pan...

- Idź sobie, Roger - przerwała mu Maura.

- Mauro, nie pozwolę traktować się w ten sposób.

- Czyżby? - Donal odwrócił się do niego powoli. - Sądzę, że mógłbym ci pokazać znacznie ciekawsze traktowanie. Policję na pewno zainteresowałoby, co tutaj zastałem. W najlepszym razie było to usiłowanie gwałtu.

Roger wyprostował się i sztywno wyszedł przez otwarte drzwi. Donal starannie je zamknął i sprawdził zamek, a potem wolno zwrócił się ku Maurze. Czule położył dłonie na jej ramionach.

- Powiedz mi teraz, czy naprawdę nic ci się nie stało. - Jego głos brzmiał tak łagodnie, tyle w nim było troski, że wreszcie w pełni do niej dotarło, czego przed chwilą uniknęła.

- Widocznie zasnęłam, bo wiem tylko, że nagle mnie przygniotti i wszędzie czułam jego ręce...

- Już po wszystkim, kochanie. - Delikatnieją przytulił, a Maura zamknęła oczy i przytknęła głowę do jej piersi.

- Nie wiem, jak to się stało. - Do oczu napłynęły jej nagle strumienie łez. - Ocknęłam się w ciemności, a Ciebie nie było.

- Miałem pobiec za tobą, ale byłaś na mnie okropnie zła, zresztą słusznie. Nie wiem, co się dzieje, ale kiedy jestem z tobą, zupełnie tracę rozum.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpieczna. Donal trzymał ją i delikatnie rozcierał jej plecy, a potem przytulił policzek do jej głowy i z namaszczeniem całował ją w skroń.

- On musiał tu być przez cały wieczór. Nie czułam się dobrze i wcześniej się położyłam.

- Nie było tak wcześniej, Mauro...

Dalej mówiła wtulona w jego objęcia, oczy miała zamknięte, ciało odprężone jak w letargu.

- A ty nie chciałeś słuchać Patricka. Nie wiedziałam, jak Cię przekonać, byłam w rozpacz. Ale dzięki Bogu zdążyłeś na czas. Aż się boję pomyśleć, co Andrew mógłby zrobić.

- Andrew? Myślałem, że on ma na imię Roger.

- Czy widziałeś już te dokumenty?

- Jakie dokumenty?

- Musiałeś je widzieć. Wiem, co zawierają, ale Patrick na pewno nie zrobiłby niczego, żeby Cię oszukać.

- Jakie dokumenty, Mauro? Jedyne, jakie mi się kojarzą, są u Charlesa, i dotyczą... hm, przejęcia fabryki przeze mnie, przecież wiesz.

Mówiąc to, zaprowadził ją na kanapę i tam oboje położyli się obok siebie, jakby byli jednym ciałem. Maura w sennym zadowoleniu wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

- Nie byłem z tobą całkiem uczciwy - zaczął i uśmiechnął się, gdy westchnęła. - Przez cały czas toczyłem z tobą walkę, ale tak naprawdę walczyłem ze sobą. Fabryka i wszystkie te interesy były tylko pozorami.

Zachowywałem je, bo uczucia, jakie żywię dla ciebie... no, prawdę mówiąc, te uczucia budziły we mnie lęk. Słuchasz mnie?

Zdawało mu się, że skinęła głową i przytuliła się jeszcze mocniej.

- Traktuję to jak potwierdzenie.

Gdy nie zareagowała, odezwał się znowu:

- Mój problem, samotność, którą sam sobie narzuciłem, zaczął się po śmierci matki. Byliśmy ze sobą bardzo blisko, zwłaszcza odkąd zmarł ojciec, dlatego po jej odejściu wpadłem w gniew, poczułem się zdradzony. Przerażała mnie siła tych uczuć. Przedtem zawsze zdawało mi się, że doskonale nad sobą panuję, trzymam emocje na wodzy. I nagle całkiem straciłem nad nimi władzę. Życie przestało mieć dla mnie sens. Pamiętam, jak szedłem ulicą w Monachium wkrótce po powrocie z pogrzebu matki i byłem wściekły, że wszyscy dookoła uganiają się za swoimi sprawami, jakby zupełnie nic się nie stało. Miałem ochotę wymyślać kobietę, która śmiała się przed domem towarowym, i podstawić nogę parze zakochanych.

Prawdopodobnie objawiałem w ten sposób oburzenie na tych ludzi. Jak mogą zajmować się swoimi sprawami, skoro cały mój świat się zawalił? Wreszcie jednak wziąłem się w garść i nieodwołalnie postanowiłem, że nigdy więcej nie pozwolę sobie na taką słabość. A potem poznałem ciebie.

Zrobił przerwę na zaczerpięcie tchu i zamknął oczy.

- Kocham cię, Mauro. Kocham cię tak bardzo, że gdy usłyszałem dzisiaj o przyjeździe jakiegoś Amerykanina, który cię zna, znowu straciłem panowanie nad sobą. Kocham cię tak bardzo, że wolę się z tobą kłócić, niż być z dala od ciebie. Kocham cię tak bardzo, że nie potrafię sobie wyobrazić przyszłości bez ciebie. To byłaby olbrzymia, bezkresna nicość.

Maura jakby się poruszyła, więc spodziewał się jakiejś reakcji. Czekał i czekał.

- Mauro? Czy nie masz nic do powiedzenia?

Wciąż milczała. I wtedy coś usłyszał. Początkowo tak cicho, że musiał wstrzymać dech, bo bał się stracić jakieś słowo. Ale Maura po prostu pochrapywała.

Najpierw przeżył straszny zawód, ale potem roześmiał się. To oczywiste, że przespała najbardziej namiętne wyznanie, na jakie zdobył się w życiu. To oczywiste, że chrapaniem odpowiedziała na jego płomienne deklaracje.

To oczywiste, że nie pozostało mu nic innego, jak powtórzyć całą tę scenę później, najlepiej gdy Maura będzie przytomna.

Zanim zasnął, przemknęła mu przez głowę jeszcze jedna myśl: przynajmniej miał okazję do próby generalnej.

Zbudził się w panicznym lęku.

Była chora, lecz na tym się nie kończyło. Co jeszcze tak bardzo go zaniepokoiło?

- Kitty. - Wypowiedział to słowo tak cicho, że nie sądził, by ktokolwiek jeszcze mógł je usłyszeć.

- Słucham? - I wtedy zobaczył jej twarz promieniejącą uczuciem, które mogło być tylko miłością, jej niezwykle oczy wpatrzone prosto w niego.

W jaki sposób znalazł się po drugiej stronie pokoju, dlaczego stał oparty o gzyms kominka?

Zerknąwszy w dół, ze zdziwieniem zauważył żółtobrazowe spodnie do kolan i skórzane buty z cholewami. Zakłopotany, chciał się podrapać w głowę, przeszkodziły mu jednak włosy, mnóstwo włosów, ściągniętych w kucyk... czym...? Rzemykiem. Rzemykiem?

- Mam nadzieję, że wkrótce go znajdą - powiedziała.

- Ja też - odrzekł machinalnie. - Wstyd mi tego, jak się zachowałem. Wstyd mi tak, że aż się boję o tym myśleć.

- Nie wyrzucaj tego sobie, Fitz. - Wyglądała tak krucho w muslinowej sukni, jej delikatna twarz wydawała się jeszcze bledsza niż

zwykle. Tego, naturalnie, należało się spodziewać. To i tak cud, że Kitty siedziała spokojnie po tym, co zaszło wieczorem.

- Od jak dawna wiedziałaś o Andrew? - Nie zamierzał zadać tego pytania. Miał nawet nadzieję, że Kitty go nie dosłyszała. Z drugiej strony jednak nie mógł nie wiedzieć, jak bardzo był ślepy na prawdę o bracie.

- Och, kochanie. - To efemeryczne westchnienie, które wydała, gdy mówił, przyprawiło go o lekki skurcz serca.

Natychmiast znalazł się przy niej, ukląkł obok krzesła i ujął jej delikatną dłoń.

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz, że zważyłem w was oboje, w ciebie i Patricka. Nie mogę o tym myśleć bez uczucia nienawiści do siebie samego.

- Byłabym bardzo rozczarowana, gdybyś w nas nie zważył. Andrew jest twoim bratem, a nasze podejrzania postawiły między wami mur.

- Od kiedy wiedziałaś?

- O Andrew? Fitz, on zawsze był taki. Ty widziałeś go inaczej, bo braterska miłość przesłaniała ci wzrok. Nawet twój ojciec martwił się jego charakterem. Czy przypominasz sobie wieczór, gdy ulubionego psa ojca znaleziono martwego na trawniku?

- Naturalnie. Boru był również moim ulubieńcem.

- To Andrew go zabił.

Mocniej ścisnął jej dłoń, ale nie wtrącił ani słowa, pozwolił jej mówić dalej.

- Twój ojciec podsłuchał, jak Andrew chełpi się przed chłopcem stajennym, że poderżnął psu gardło kuchennym nożem.

- Dlaczego mi o tym nie wspomniał? Ojciec powinien był mi powiedzieć.

- On również osłaniał Andrew w nadziei, że czarna owca z czasem zmieni maść. Poza tym wiedział dobrze, że prawdopodobnie już nigdy nie odzyskałbyś zaufania do brata i musiałyby upłynąć lata, by ta uraza poszła w niepamięć.

- Kuchennym nożem – powtórzył pod nosem. – Przypominam sobie, że mniej więcej w tym czasie, gdy Boru znaleziono martwego, w domu wymieniono część zastawy. Osobiście przyniosłem nowe zakupy ze sklepu Thomasa Reada przy Crane Lane.

- Twój ojciec powiedział mi, że nie może patrzeć na stare noże, bo natychmiast przypomina mu się Andrew albo biedny Boru.

- Dlaczego ci to powiedział? Tobie, a nie mnie?

- Zawodziło go już zdrowie, Fitz. Wiedział o naszych wzajemnych uczuciach. Podejrzewam, że zorientował się w nich dużo wcześniej niż my. Chciał, żebym wiedziała o dwoistej naturze Andrew w razie, gdyby w przyszłości miał z tego nie wyrosnąć. Ojciec bał się o ciebie. Wiedział, że widzisz w Andrew tylko to, co dobre.

- Musiał mnie uważać za kompletnego głupca.

- Nie. – Pochyliła się do przodu i położyła głowę na jego piersi. – Gdybyś był inny, podejrzliwy albo nieufny, nie byłbyś moim Fitzwilliamem.

Zamknął oczy, a ona pogłaskała go po głowie. W jaki sposób mógłby ją ochronić?

Poślubić ją. Poślubić natychmiast, przed długo i drobiazgowo planowaną wielką uroczystością. To była jedyna metoda przeszkodzenia bratu w urzeczywistnieniu jego zamiaru, który omal się nie powiódł już poprzedniego wieczoru.

Na Boga, musiał ochronić Kitty, żeby była jego na zawsze.

We śnie czuła, że jest w jego objęciach, i to było cudowne.

Rozbudziwszy się nieco, zdała sobie nawet sprawę z jego równego, głębokiego oddechu, a gdy się poruszyła, uścisk stał się mocniejszy, jakby się obawiał, że mu ucieknie.

Cudowny sen. Starła się jak najdłużej odwlec chwilę pełnego przebudzenia, gdy będzie musiała otworzyć oczy i przekonać się, że jest

sama. Ach, gdyby mogła jeszcze na trochę zasnąć i znowu śnić, że kocha i jest kochana.

- Mauro - szepnęła i aż podskoczyła.

- Donal!

Leżeli na kanapie w salonie, tak wąskiej i niewygodnej, że trudno było nawet na niej siedzieć, nie rozglądając się za czymś znośniejszym. Sądząc ze sposobu, w jaki leżeli, musieli tam przespać całą noc.

Maura wolno usiadła, wyplątując się z uścisku Donala.

- Jak tu się znalazłeś? Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Wcale nie zamierzała tego powiedzieć, ale wryło jej się w pamięć, że Donal jest na nią wściekły.

- Nie nienawidzę cię. - Jego głos zabrzmiał chropawo; nosił jeszcze ślady snu. Donal odchrząknął i uśmiechnął się. - Przeciwnie, o ile się nie mylę, w nocy wyznałem ci miłość.

Czy to był żart?

- A co... co ja powiedziałam?

- Ty chrapałaś.

- Ja... Co takiego? Ja nie chrapię.

- Dobrze wiedzieć. - Uśmiech znikł mu z twarzy. Donal usiadł. -

Czy dobrze się czujesz?

- Dlaczego pytasz?

- Pamiętasz ostatni wieczór, Rogera...?

- Tak - przerwała mu. - Roger był tutaj i... i...

- Wiem. Widziałem, co się stało.

Wróciły do niej przykre wspomnienia: natrętne ręce Rogera, ciało przygniatające ją do podłogi. I wtedy zjawił się Donal. Pamiętała, że wszedł do domu, uratował ją, a potem szeptał jej krzepiące słowa.

- Dziękuję. - To słowo było żałośnie niewystarczające, ale Donal wyciągnął rękę i odsunął kosmyk włosów zasłaniający jej oczy.

- Nie ma za co.

Na szczęście miał ślady świeżego zarostu, z którym wyglądał dość łobuzersko, a jego senne oczy niepodzielnie zawiadnęły Maurą. Mimo że dopiero co się ocknął, jeszcze nigdy nie wydał jej się tak atrakcyjny. Nigdy nie widziała równie przystojnego mężczyzny.

- Czy naprawdę wyznałeś mi miłość?

- Naprawdę.

- Zechciałbyś to powtórzyć?

Na wargach zaigrał mu uśmiezek.

- Nie teraz. Niech wystarczy, jeśli powiem, że zrobiłem z siebie kompletnego głupca. - Coś w tych słowach zwróciło jego uwagę. - Ty rzeczywiście musisz mnie uważać za kompletnego głupca - dodał po zastanowieniu.

- Wcale nie. Żałuję tylko, że spałam. Czy coś się stało?

- Nie wiem. - Rozejrzał się po pokoju. Przedtem pomieszczenie wyglądało inaczej, widział w nim kryształ, świece i stiuki na suficie. Reszta została bez zmian, kominiek i kąp, pod jakim światło wpadało do pokoju. Nagle coś go zastanowiło.

- Kim są Patrick i Andrew?

Natychmiast skrzyżowała ramiona.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? Czy coś mówiłam przez sen?

- Nie jestem pewien. Miałem dziwny sen o bracie imieniem Andrew.

- Opowiadaj dalej.

- Zdaje się, że miałem też przyjaciela imieniem Patrick i narzeczoną... Kitty. - Skrzyżował z nią spojrzenia. - To mi się na pewno śniło, ale było takie wyraziste, takie żywe, że pamiętam nawet, co na sobie miałem. Najdziwniejsze, że wcale nie czułem się nieswojo w osiemnastowiecznym stroju. Nawet mnie nie zaskoczyło, że jestem tak ubrany, zwyczajnie się z tym godziłem.

- Czy ja tam byłam?

Roześmiał się.

- Nie... - Urwał i się zamyslił. - Ależ nie, byłaś. Byłaś przez cały czas i miałaś na imię Kitty. A ja byłem... mój Boże, to niemożliwe.

- Ty byłeś Fitzem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie i zastanawiali, czy to, co im się zdaje, w ogóle jest możliwe. Maura pierwsza przerwała milczenie.

- Czy pamiętasz coś o psie?

Skinął głową.

- Boru. Andrew zabił go i zostawił na trawniku. Mój ojciec... - Urwał. - Ojciec Fitzwilliama powiedział o tym Kitty.

- Czy pamiętasz, co się stało potem?

- Ojciec zamówił nowe srebra. Pamiętam nawet gdzie: u Thomasa Reada przy Crane Lane. Ojej, Mauro, wiem, Read jest przy Parliament Street, tuż koło ratusza. Bardzo sławny sklep, Joyce nawet wspomniał o nim w „Ulissesie”. Otwarty od stuleci, cały już się chyli i wali ze starości.

- Czy Parliament Street nazywała się kiedyś Crane Lane?

- Nie wiem.

- Pamiętasz coś jeszcze?

- Andrew. Napadł na ciebie, chociaż wcześniej ty i Patrick ostrzegaliście mnie przed nim. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale Andrew chciał cię uprowadzić, żeby zdobyć twój posag. A ja byłem na to całkiem ślepy...

- Nie przejmuj się, Donal.

- To byłaś ty. Nazywałem cię Kitty, ale w duchu i w sercu wiedziałem, że to ty. Niedomagałaś, coś ci dolegało, ale wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakby nic ci nie było. W pewnym sensie ta historia z Andrew była dobra dla odwrócenia uwagi. Nie musieliśmy się zastanawiać bez końca, jak bardzo jesteś chora. Dlaczego nie zwróciłaś się do lekarza?

- Bo nie czułam się tak źle, przynajmniej do niedawna. Lekarz po prostu puściłby mi krew i uznał za histeryczkę albo jeszcze gorzej.

- Jesteś taka blada. Gdzieś w środku mam zapisane przeświadczenie, że niczego się nie boję, ani nagłej burzy na morzu, ani zmycia za burtę. Ale przeżywam najprawdziwszy lęk, gdy patrzę na Kitty, straszliwy lęk, do którego nigdy bym się nie przyznał, bo lękałbym się jeszcze bardziej.

- Andrew próbował mnie zniewolić.

- Wiem. To się stało poprzedniego wieczoru. Na szczęście w porę się zjawiłem. A potem Andrew znikł, ale Patrick również. Zabrał ze sobą dokumenty, w których były dowody.

- A ty nie wiesz, co w nich jest.

- Nie wiem, bo byłem głupcem i nie chciałem na nie nawet spojrzeć.

Znów zamilkli. Z zewnątrz, z parku po drugiej stronie ulicy, doleciały ich krzyki bawiących się dzieci. Ktoś przejechał na skuterze, miarowy pomruk silnika nieco przycichł, gdy pojazd brał zakręt. Z daleka zagrzmiął klakson. Ale Maura i Donal nie słyszeli tych dźwięków. Oboje trwali w osłupieniu.

- Niemożliwe, żeby to działo się naprawdę - powiedziała wreszcie Maura, a Donal musnął jej policzek wierzchem dłoni.

- Wiem.

- Poczekaj chwilę. - Powoli otrząsała się ze zdumienia. - Czy masz książkę telefoniczną?

- Nie przy sobie. A co?

- Właśnie pomyślałam, żeby zatelefonować do tego sklepu, który wspomniałeś, i spytać, czy kiedykolwiek zmieniali siedzibę.

- Wspaniale! To jest prawie muzeum, więc każdy, kto tam pracuje, na pewno zna historię sklepu. Wystarczy zadzwonić do biura numerów.

Maura już szła w stronę telefonu w kuchni. Donal ruszył za nią.

- Jaki jest numer? Czteryście jednaście?

- Jedenaście dziewięćdziesiąt.

Wybrała numer i trzymając słuchawkę, patrzyła na Donalę.

- Chciałabym prosić o numer sklepu Thomasa Reada przy Parliament Street.

Zdobywszy informacje, natychmiast z niej skorzystała. Ale gdy mężczyzna odebrał telefon w sklepie, nagle poczuła się bezgranicznie śmieszna.

- Chwileczkę – powiedziała i podała słuchawkę Donalowi.

Zrobił zdziwioną minę, ale się nie odsunął.

- Dzień dobry. Mam pytanie dotyczące państwa sklepu... Tak, tak, wiem, dziękuję. Ale ciekaw jestem, czy sklep mieścił się kiedyś przy Crane Lane. Tak? Naturalnie... Płatnerstwo? To istotnie wymierająca sztuka... Tak, tak, rozumiem... Pamiętam z lat, kiedy byłem chłopcem... Nie, ja jestem z zachodniej części kraju, ale przyjeżdżaliśmy każdego lata... Dokładnie z Cork... Nie, obawiam się, że nie, ale nazwisko wydaje mi się znajome. Tam mieszka wielu O'Connerów... Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Z pewnością odwiedzę. Serdecznie dziękuję. Do widzenia.

- No i co? – spytała natychmiast, gdy słuchawka trafiła na widełki.

- Jesteśmy zaproszeni na pokaz ostrzenia mieczy dziś po południu.

- Wspaniale, ale co z lokalizacją sklepu?

- Sklep założono w tysiąc sześćset siedemdziesiątym roku.

- Czyli w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym roku już istniał.

- Pierwotnie znajdował się przy Blind Quay, co, jak podkreślił mój rozmówca, było nieco krępujące dla firmy produkującej noże, bo nazwa nabrzeża kojarzyła się z wykluwaniem oczu.

- Kiedy się przenieśli na Parliament Street?

- W tysiąc siedemset sześćdziesiątym piątym roku. Jest nawet schowek, którego od tej pory nie otwierano, bo się zaciął, więc nikt nie wie, co zawiera. Czy to nie fascynujące? Nie mogą go otworzyć, bo jest w ścianie nośnej i gdyby spróbować wyłamania zamka, groziłoby to

zawaleniem ściany. Niezbyt przyjemna perspektywa, jak powiedział ten człowiek.

- Ojej. - Maura wzruszyła ramionami. - Czyli wszyscy byliśmy w błędzie.

- Tego nie powiedziałem. Na Parliament Street sklep przeniesiono z drugiego z kolei miejsca, które znajdowało się przy małej uliczce zwanej Crane Lane.

Milczała, więc Donal mówił dalej:

- Sklep był przy Parliament Street w tysiąc siedemset sześćdziesiątym piątym roku, czyli dwa lata wcześniej, niż dzieją się nasze sny czy jak to nazwać.

- A zdarzenie z Andrew i psem było bez wątpienia dużo wcześniej... w okresie jego dzieciństwa. - To wydawało się niemożliwe. - Donal, czy jesteś pewien, że wcześniej nie miałeś pojęcia o różnych lokalizacjach tego sklepu?

- A skąd miałbym coś takiego wiedzieć? Nie mam zwyczaju przyswajania sobie historii wszystkich dublińskich sklepów. Poza tym nie zapominaj, Mauro, że przez dziesięć lat mieszkałem w Niemczech, więc czas spędzany przeze mnie w Dublinie ograniczył się do letnich wizyt z rodzicami i okresu studiów na uniwersytecie. Ilu znasz studentów, którzy zajmują się badaniem dziejów swojego otoczenia?

- Masz rację, przepraszam. Po prostu szukałam jakiegoś logicznego wyjaśnienia.

Podeszła do Donala i objęła go w pół, a on delikatnie ją przytulił. Wydawało się to tak naturalne, jakby zawsze byli ze sobą, nigdy nie mieli konfliktów i nie wiedzieli, czym jest kłótnia.

- Mauro, to nie koniec.

- A co jeszcze?

- Ja chyba zostawiłem coś w tamtym sklepie.

- Kiedy byłeś studentem?

- Nie. Właściwie nie chodzi o mnie, tylko o Fitzwilliama. Gdy rozmawiałem z tym sprzedawcą, przypomniałem sobie, że było zamówienie, które nigdy nie zostało odebrane.

- To dziwne.

- Tak samo było w tym śnie. Dostawałem informacje tak szybko, że traktowałem je jak coś, co było zawsze, nie jak coś, czego właśnie się dowiaduję. I teraz przez telefon podobnie.

- Zastanawiam się, dlaczego Fitz nigdy nie odebrał artykułu, który zamówił.

- Może towar był w tym schowku, który się zaciął. A zanim zdołał go odzyskać... sama wiesz.

- Zginął.

Donal skinął głową.

- Zastanawiam się... - zaczęła i urwała.

- Nad czym?

- Zastanawiam się, kim w istocie jesteście. Co jest rzeczywistością, a co snem?

Oboje zatoneśli w swoich myślach. Ten chaos wydawał się absurdalny, nawet sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem, a jednak okazywał się prawdą.

- To brzmi jak dyskusja podczas zajęć z filozofii na pierwszym roku.

- Albo jak rozmowa po kilku piwach, po skończonych zajęciach z filozofii na pierwszym roku - dodała.

- Jednego jestem pewien.

Spojrzała na niego pytająco.

- Jestem pewien, że cię kocham. I mam na myśli siebie, Donalę Byrne'a, a nie kogoś sprzed wielu stuleci.

- Och, Donal. Ja też myślę, że cię kocham.

- Co chcesz powiedzieć przez to „myślę”?

- No, jestem prawie pewna, że cię Kocham, ale to się jakoś miesza z dziejami Fitz i Kitty.

- Pewnie musi. - Westchnął. - Może jeśli zapewnimy im godziwy spoczynek, będziemy mogli zająć się sobą.

- Donal?

- Tak?

- Czy uwierzyłeś w duchy?

- Nie jestem pewien, ale powiem ci jedno.

- Co takiego?

- Zaczynam w coś wierzyć. Tylko na razie nie bardzo wiem, co to jest.

Scandalous

Mieszkanie Donala było zupełnie inne, niż wyobrażała sobie Maura.

Spodziewała się europejskiego szyku, olbrzymiego metrażu z halogenowym oświetleniem i skandynawskimi meblami, jasnego drewna, skóry i chromu. Tymczasem mieszkanie było raczej nieduże, na pierwszym piętrze starej kamienicy po drugiej stronie rzeki Liffey. Mieszkańskie meble mogłyby właściwie stać w letnim domu, tylko akcenty w wykończeniu nadawały wnętrzu ciepło i przytulność. Kociołek na trójnogu służył jako doniczka. Kołdra rzucona na sofę była zniszczona i nosiła ślady ręcznie dokonywanych napraw. Pośrodku salonu stało zużyte krzesło w ohydny odcieniu przypalanej pomarańczy wymieszanej z zielenią awokado. Rząd rysunków nad gzymsem kominka przedstawiał twarze ludzi, roześmianych albo zadumanych, zajętych rozmową lub samotnych.

- Narysowałem to wszystko, kiedy pierwszy raz pojechałem do Niemiec - powiedział, gdy zauważył zainteresowanie Maury.

- Chyba żartujesz. To twoje?

- Jeden z moich licznych talentów. - Skrzywił się. - To miał być... - Urwał. - Nie, ty mi powiedz. Czy to ci coś przypomina?

- Pub - odpowiedziała bez wahania. - Ale nie byle jaki pub. Mnie to przypomina Nesbitta.

- Właśnie o tym myślałem, rysując. Dla Niemców, którzy odwiedzali mnie w Monachium, te rysunki były zbyt niepokojące, więc je schowałem i wy dobyłem z ukrycia dopiero po powrocie do domu. Tam, za granicą, chciałem mieć wspomnienie z Irlandii, a nie morze celtyckich twarzy, które służą do straszenia innych. Czy możesz mi pomóc?

Trzymał w objęciach wielkie kartonowe pudło wypełnione papierami do tego stopnia, że pokrywa się nie zamykała. Donal przytrzymał ją broda.

- Już, już. - Chwyciła róg pudła i razem postawili je na podłodze.
- Wszystkie notatki mojej mamy na temat Connolly'ego. - Schylił się i położył dłoń na pokrywie pudła. - Tam, w środku są lata pracy.
- Czy kiedyś przejrzałeś to wszystko?
- Nie. W zasadzie nie miałem powodu. Naturalnie aż do dzisiaj. A poza tym... - Zawiesił głos.

- Co poza tym?
- To było zbyt bolesne. Pamiętam, jak matka pracowała nad książką, sama wyszukiwała wszystkie szczegóły. To był taki szczęśliwy okres, tyle mam z niego dobrych wspomnień, że trudno byłoby mi przedzierać się teraz przez zapis myśli matki, gdy jej już nie ma.

Maura wzięła go za rękę.

- Może powinniśmy o tym zwyczajnie zapomnieć. Prawdopodobnie wszystkie informacje, jakie wyszukała twoja matka, znalazły się w książce. To może zupełnie nie mieć sensu.

- Nie. Ona miała mnóstwo pomysłów, zdobyła wiele materiałów, które nie w pełni wykorzystała z powodu sprzeciwów wydawcy. Zresztą... - otworzył pudło - pewnie chciałyby, żebym przejrzał te papiery. Inaczej dlaczego miałyby je zostawić? Masz tu stos do przeglądania. - Z uśmiechem wręczył Maurze gruby plik. - Kawy?

- Nie, dziękuję. Może później.

Większą część dnia spędzili razem, zatopieni po uszy w papierach dotyczących życia Fitzwilliama Connolly'ego.

Kiedyś istniał wiarygodny dowód przygotowywanego porwania Katherine Burbridge, które knuł Andrew Connolly. Nawet pisano o tym w gazetach, bo Andrew całkiem jawnie szukał popleczników, dając ogłoszenia w gazecie pana Lyncha, ukazującej się w Kilkenny.

- Zastanawiam się - odezwał się Donal, odsuwając na bok resztki kanapki - czy egzemplarze tych ogłoszeń jeszcze istnieją. Jak sądzisz?

- Nie. - Maura założyła ręce za głowę i przeciągnęła się. - Twoja matka już o tym myślała, ale w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku pożar w gmachu Czterech Sądów, w Dublinie strawił większość archiwaliów hrabstwa. Próbowała też szczęścia w Kilkenny, ale bez powodzenia.

- Pamiętam tamtą podróż. Urządziliśmy sobie piknik na wzgórzu i ukąsiła mnie pszczoła.

Maura podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Biedaku.

- To rzeczywiście było dość przykre. Poczekaj. - Wyprostował się ze skrawkiem papieru w dłoni. - Matka miała cały plik notatek na temat nieszczęśliwego związku Kitty i Andrew. Najwyraźniej nie brakowało źródeł, by udokumentować ich niezgodę.

- To oczywiste, że ich związek był nieszczęśliwy. Fitz nie żył, ją zmuszono do małżeństwa ze znenawidzonym mężczyzną, a w dodatku całkiem dosłownie była umierająca. Czy potrafisz sobie wyobrazić jej nienawiść do Andrew? Już samo to uczucie mogłoby ją zabić. Gdzie są te notatki?

- Cholera. Ta kartka musiała być doczepiona na górze. Reszta na pewno gdzieś tu jest.

Ale mimo poszukiwań nie udało im się niczego znaleźć. Donal znowu wziął się do przekopywania papierów, Maura tymczasem odkryła mały notatnik. Zaciekawiona, wzięła się do czytania.

- Mauro, czy możesz mi podać stamtąd pióro?

Nie zareagowała.

- Mauro?

Nadal stała w bezruchu, jeśli nie liczyć odwracania stron, następującego z dużą regularnością.

- Donal?

Nie zwróciła uwagi na jego zirytowane spojrzenie, gdy potknął się o pudło, próbując dosięgnąć pióra.

- Twoja matka też czuła jego obecność.

- Słucham?

- To jest tu, w notesie. Twoja matka czuła jego obecność podczas pracy i to ją bardzo niepokoiło.

- Nie ona jedna. Typowy problem autorów biografii. Raz o tym czytałem... kiedy zagłębiasz się w czyjeś życie, zawsze w pewnym stopniu zakochujesz się w swoim bohaterze. Właśnie dlatego, gdybym kiedyś miał napisać biografię, to darowałbym sobie Adolfa Hitlera i Henryka VIII i przeszedł od razu do Jean Harlow albo Avy Gardner.

Maura powoli opuściła notes.

- Twoja matka go widziała.

- Henryka VIII?

- Nie. Fitzwilliamia Connolly'ego.

Donal roześmiał się.

- Mauro, nie słyszałaś tego, co przed chwilą powiedziałem. Wszyscy biografowie dostają lekkiego szmergla i nie widzą świata oprócz swojego tematu.

- Ją to niepokoiło, bo on zdawał się koncentrować na tobie.

- O czym ty mówisz?

- Czy pamiętasz swoje koszmary z dzieciństwa?

- Każde dziecko miewa koszmarny sny.

- Kiedy twoja matka pisała tę książkę, którejs nocy przyszła otulić cię koldrą i wtedy wydało jej się, że kątem oka zauważyła coś dziwnego. Wkrótce potem obudziliś się z krzykiem, że twój brat cię morduje.

- To rzeczywiście byłby senny koszmar, ponieważ nie miałem brata. Ale skoro jestem jedynakiem, to i wrażenie już nie takie.

Niezrażona jego sceptycyzmem Maura ciągnęła ze wzrokiem wbitym w notatnik:

- Matka przybiegła do twojego pokoju i wtedy powiedziałeś jej, że masz dowód, że dał ci go Patrick.

Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Czy wymienilem to imię?

Skinęła głową.

- A dowody ukryłeś w żółtym pokoju.

- Mauro...

- Wiem. Chodzi o żółty pokój w domu przy Merrion Square.

- I co ona zrobiła? Chodzi mi o matkę.

- Przede wszystkim zaraz cię zbudziła. Ale nawet na jawie dalej opowiadałeś o Andrew i Patricku. Czy pamiętasz cokolwiek z tamtego dnia?

- Nie. Ale może zdawałem sobie sprawę tylko z tego, że matka pracuje.

- W tym rzecz. Ona pisze, że specjalnie trzymała cię z dala od swojej pracy, bo miała przekonanie, że ta historia byłaby dla ciebie zbyt rozstrajająca.

- A co z podróżami, podczas których zbierała materiały?

- Były później, kiedy nie miało to już znaczenia, bo znałeś temat lepiej od niej. Wtedy przeżywała rozterki: z jednej strony chciała się dowiedzieć wszystkiego, co masz do powiedzenia, ale z drugiej nie chciała, żebyś się w to przesadnie angażował.

- Ja pamiętam tylko, że bardzo się tym interesowałem. - Potarł kark.

- Powiedziałeś jej także, że dowód jest pod tapetą w żółtym pokoju.

- To wydaje mi się całkiem bez sensu.

- Owszem, ma sens. Pierwszej nocy, gdy zobaczyłam ducha Fitz'a, wyraźnie czegoś szukał. Obmacywał ściany żółtego pokoju.

- Zastanawiam się, dlaczego moja matka nie zajrzała tam osobiście.

- Próbowala, ale ekscentryczny właściciel domu, Delbert Finnegan, nie pozwoliłby jej nawet wejść do środka, zresztą nie tylko jej.

- Ciekawe dlaczego.

- Bał się.

- Czego?

- Ze straci prawo mieszkania w tym miejscu. Bo wiesz, osobiście nie sądzę, żeby stary Delbert był spokrewniony z Fitzwilliamem Connollym, co nawiasem mówiąc, dotyczy również mnie.

- W tym nie ma ani krzty sensu.

W końcu Maura opuściła notatnik.

- Sądzę, że jestem w prostej linii spadkobierczynią gospodyni Fitzwilliama Connolly'ego.

- W tym naprawdę nie ma sensu - powtórzył Donal. - Gdzie moja matka to znalazła?

- Nie znalazła. Ja po prostu to wiem.

- Och, Mauro. - Odłożył papiery trzymane w dłoni. - Co my robimy?

- Zakładam, że twoje pytanie jest retoryczne.

- Wcale nie. - Raptownie wstał i odsunął się od pudła. - To bzdura. Wplątaliśmy się w historię morderstwa sprzed wieków, które nie może mieć żadnego wpływu na nasze życie. Czego możemy dowieść? Główne postaci tej historii nie żyją od wieków. To nie ma najmniejszego znaczenia.

- Właśnie, że ma! - Jej sprzeciw wypadł znacznie bardziej zapalczywie, niżby sobie tego życzyła. - Nie rozumiesz? Jeśli to wszystko pozostanie nierozwiązane, nigdy nie będziemy szczęśliwi.

Wlepił w nią zdumiony wzrok i skrzyżował ramiona na piersi.

- Kto nie będzie szczęśliwy?

- My. - Nie odpowiedział, a Maura zaczęła nawijać na palec kosmyk włosów.

- To ciekawe. Czy masz na myśli siebie i mnie?

- Oczywiście. A kogóż by innego?

- Nie bardzo wiem. Ale nie wydaje mi się, żebym pasował do tego równania. W ogóle nie sądzę, żebym miał związek z tą sprawą.

- Co...

- Odwiozę cię już do domu. - Nagle wpadł w ponury nastrój.

Maura widziała, jak prawie niezauważalnie kręci głową, wrzucając rozsypane papiery do pudła.

- Jesteś gotowa?

- Donal, nie mam pojęcia, co cię ugryzło. Myślałam, że razem staramy się osiągnąć pewien cel, ale nagle stchórzyłeś.

- Nie stchórzyłem.

- To wyjaśnij mi, skąd ten pośpiech. Czemu nagle dostaję kopa za drzwi?

- Urocze sformułowanie, muszę je zapamiętać. „Dostać kopa za drzwi”, czy tak to ujęłaś?

- Och, Donal, proszę cię...

- Masz torebkę.

Nie chciała jej wziąć, aż w końcu Donal sam zarzucił ją Maurze na ramię.

- Powiedz mi - upierała się.

Otwierając drzwi na klatkę schodową, na chwilę znieruchomiał.

- Wiesz, Mauro, zdaje mi się, że grubo się mylisz.

- W czym?

- W wizji szczęścia, do której dążysz. Moim zdaniem razem go nie znajdziemy.

Tylko zmarszczyła czoło, ale Donal tego nie zobaczył. Wpatrywał się w swoją dłoń na klamce.

- Ty szukasz szczęścia w przeszłości.

- Mylisz się.

- To powiedz mi, Mauro... - Wreszcie spojrzał jej prosto w oczy. - Jak mam cię przekonać, żebyś żyła w teraźniejszości?

Nie miała się do kogo zwrócić, już nie.

Zniszczyła swój związek z Donalem i tylko do siebie mogła mieć o to pretensje. Póki nie stanęła sama w sieni domu przy Merrion Square,

nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo uzależniła się od Donalą, od jego bystrości, poczucia humoru i zdrowego rozsądku.

Znowu udało jej się zniszczyć związek, który mógł się okazać wspaniały. Tym razem naprawdę zrobiła coś niewybaczalnego, igraniem z przeszłością po prostu zatrąła sobie życie. Sama, przez nikogo nie przymuszona, zraziła do siebie najbardziej błyskotliwego i troskliwego mężczyznę, jakiego spotkała w ostatnich latach. Nie, nie w ostatnich latach – w ogóle. To był najwspanialszy mężczyzna, jakiego spotkała w życiu.

Gdyby tylko do niej wrócił. Gdyby drzwi się otworzyły i Donal stanął na progu...

Rozległo się głośne pukanie.

To był on! To musiał być Donal.

Podbiegła do drzwi i...

– Patrick! Wejdz, proszę.

Cały był oklejony błotem i darnią od długiej jazdy konno.

– Kitty. – Wszedł do środka, rozejrzał się i dopiero wtedy zamknął drzwi. – Jak się masz?

– Dziękuję, dobrze. Czy Fitz ci powiedział?

– Zaiste, powiedział. Naturalnie będę drużbą, to dla mnie wielki zaszczyt.

– Zawsze miałeś nim być, po prostu postanowiliśmy przyspieszyć ślub o kilka tygodni.

– Słusznie, i tak jest na to najwyższy czas. Właśnie wracam z Kilkenny.

– Wejdz dalej. – Odsunęła się, żeby mógł przejść. – Czy pozwolisz, że wezmę od ciebie pelerynę? Pani Finnegan zaraz ją oczyści.

– Och, dziękuję. Jechałem na klaczy, którą dostałaś w prezencie od Fitzwilliama.

– Naprawdę? – Pociągnęła za jedwabny sznur w salonie, by wezwać gospodynię. – I jak ci się podobała?

– Wspaniałe zwierzę, Kitty. Zaniesie cię wszędzie, gdzie tylko zechcesz.

Pani Finnegan weszła do pokoju i dygnęła, a potem wzięła okrycie Patricka.

– Jest pani wspaniała, pani Finnegan. – Patrick uśmiechnął się do gospodyni.

– Wiem, wiem, sir. Znam swoją wartość. – Pokręciła głową i cmokając nad zaplamioną peleryną, wyszła z pokoju.

– Powiem wprost – odezwał się w chwili, gdy zostali sami. – Mam tu następne gazety, w których Andrew w zawołowany sposób ogłasza, że szuka ludzi, którzy pomogliby cię uprowadzić. Nawiasem mówiąc, sam zniknął bez śladu. Zapewne ukrywa się wśród przyjaciół, o których istnieniu nam nie wiadomo. – Sięgnął do kieszeni kamizelki i wydobyl z niej papiery. – Jest tam również kilka wzmianek o sprawie Annie Delany.

– Czy miałeś okazję porozmawiać o tym z konstabłem?

– Nie. Ale policja już wie o związku Andrew ze śmiercią Annie, a przynajmniej ma ugruntowane podejrzenia. Wierzę, że dokonałem słusznego wyboru, w każdym razie nie podjąłem żadnych oficjalnych kroków, bo gdybym powiadomił stróżów prawa, sprawa przestałaby mieć ściśle rodzinny charakter. Osoba winowajcy i jego koligacje nie miałyby znaczenia. Angielskie prawo jest bezwzględnie egzekwowane, więc gdyby Andrew urzeczywistnił swój zamiar, mógłby zapłacić za to głową. Uprowadzenie siłą stanowi ciężkie przestępstwo. Gdybyśmy nie zdołali sami temu zapobiec, Andrew mógł zawisnąć na szubienicy.

– Biedak. – Westchnęła.

– Akurat, biedak! Biedny jest Fitzwilliam, biedna Kitty i – nie muszę chyba dodawać – biedny jest Patrick. Andrew udało się zgromadzić dość liczną bandę. Im szybciej wyjdiesz za mąż, tym lepiej. Gdzie schowamy dowody?

- Mam pomysł. Fitz kazał wytapetować pokój na górze na żółto. Schowamy te papiery za świeżą tapetą, między oknami, pod tym okropnym pejzażem, do którego Fitz jest tak dziwnie przywiązany.

- Wspaniale, to absolutnie wspaniały pomysł. Zrobimy to dziś wieczorem?

Skinęła głową.

- Tu będzie do wieczora spokoj. Fitz jest na Maiden Lane, ja posiedzę tutaj i zajmę się jakąś beznadziejną kobiecą pracą.

- Nie powinnaś zostawać sama. Co będzie, jeśli zjawi się Andrew i zechce wprowadzić swoje plany w czyn?

- W to wątpię. I nie zapominaj, że samotność mi tu nie grozi, jest ciocia Sara, pani Finnegan i stajenny Edward. Sądzę, że nasza czwórka, by już nie wspominać Fitz'a, może zniweczyć każdą głupią intrygę Andrew lub jego pijanych kompanów.

- To nie jest głupia intryga. Dla swojego dobra musisz zrozumieć, jak poważne są jego zamiary. Gdyby cię porwał i udało mu się dotrzeć do księdza, a wierz mi, że na pewno znalazł takiego, który udzieli ślubu za pieniądze, to zgodnie z prawem zostałąbyś jego żoną. Jako twój mąż Andrew nabyłby praw do wszystkiego, co posiadasz - przepraszam, że o tym mówię - z tobą łącznie.

Zamknęła oczy.

- Wiem. Boże, wiem. Chciałabym tylko...

- Czego byś chciała?

- Żeby Andrew wyjechał, najlepiej do Ameryki. Jak ja i Fitz będziemy mogli mieszkać z nim po ślubie pod jednym dachem, wiedząc, co wcześniej planował? Nie zaznamy szczęścia, dopóki jego cień będzie padał na nasz związek. Jak Fitz może mu ufać?

Patrick ujął ją pod łokieć.

- Nie ufa bratu. W gruncie rzeczy nawet... nie, nie wolno mi mówić dalej.

- Proszę cię, powiedz mi.

- Fitzwilliam zamierzał ci powiedzieć dziś wieczorem, że zmienił testament. W razie gdyby coś mu się stało, cały majątek zostawia tobie.

- Nawet nie chcę o tym myśleć - szepnęła. - Wydziedziczył Andrew i obdarował mnie? A jeśli Andrew pojmie mnie za żonę? Czy nie osiągnie w ten sposób swojego celu?

Patrick pokręcił głową.

- Fitzwilliam poczynił zastrzeżenie, że masz dostać wszystko i przekazać to w przyszłości waszym dzieciom, chyba że wysłabyś za mąż za Andrew. W takim wypadku majątek dziedziczy następną uprawniona osoba.

- To znaczy kto?

- Boże broń, by okazało się to konieczne, ale wtedy cały majątek przechodzi na mnie.

- Czy to nie stawia cię w niebezpiecznej sytuacji i nie czyni celem intryg Andrew? Ja będę bezpieczna, bo małżeństwo ze mną nie zapewni mu tego, na czym mu zależy. Ale ty... Gdyby tobie coś się stało, następnym dziedzicem jest Andrew.

Teraz uśmiechnął się Patrick.

- Nie. Nie mów tego nikomu, ale gdyby stało się tak, że i ty, i ja zejdziemy z tego świata, a ty nie dałabyś Fitzowi dziedzica, wszystko odziedziczy... o właśnie słyszę tę osobę.

Do pokoju weszła pani Finnegan, niosąc oczyszczoną pelerynę Patricka.

- Proszę, sir. - Uśmiechnęła się. Potem przyjrzała się uważnie ich twarzom, szerokiemu uśmiechowi Patricka i zachwytowi malującemu się na twarzy Kitty. - Co wy tu knujecie?

- Nic takiego, pani Finnegan. - Kitty podała okrycie Patrickowi. - Dziękujemy pani bardzo. Dziękujemy za wszystko.

- Czy jeszcze będę potrzebna, proszę pani?

- Nie, dziękuję.

Starsza kobieta dygnęła i szybko opuściła pokój.

- Och, Patrick. - Kitty wyciągnęła rękę. - Dziękuję ci za przyjaźń, jaką darzysz mnie i Fitzwilliamia.

Sklonił się nad jej dłonią.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, moja droga Kitty. -Wyprostował się i zarzucił pelerynę na ramiona. - Spotkamy się wieczorem. Aha, Kitty?

- Słucham.

- Powiem ci jeszcze coś o tym okropnym pejzażu, który wisi na górze między oknami. Namalował go sam Fitz. - Patrick nałożył trójgraniasty kapelusz. - Do zobaczenia.

Z tymi słowami wyszedł.

Ktoś zapukał.

Maura wstała, żeby otworzyć drzwi, wciąż jeszcze na wpół śpiąca. Czy przed chwilą nie otwierała tych drzwi?

- Charles - powiedziała zdziwiona, gdy ujrzała gościa.

- Mauro, musimy porozmawiać. - W jego głosie pobrzmiwała niezwykła powaga i nagły ton, którego Maura nigdy jeszcze nie słyszała u adwokata.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Nie. Prawdę mówiąc, czuję się paskudnie. Czy miałabyś może coś dla ducha, żebym mógł ukoić skołatanę nerwy?

- Dla ducha? - Czyżby Charles wiedział o Fitzu? Zaraz uświadomiła sobie jednak, że chodzi po prostu o alkohol. - Nie, Charles. Mogę zaproponować ci tylko herbatę albo mleko.

- Trudno, nieważne. To ma związek z twoim Rogerem.

- On nie jest „mój”.

- Wobec tego przepraszam. W każdym razie Roger najwyraźniej miesza i chce ci narobić kłopotów, dużych kłopotów. Czy wiesz, że zdołał nabyć prawo własności do tego domu i do twojej firmy w Stanach?

- Jak to możliwe? On nie ma prawa!
- Czy parę miesięcy temu nie przepisałaś na niego własności firmy?
- Nie. Był zatrudniony jedynie jako konsultant. Obiecał, że pomoże mi wydobyć firmę z dołka, ale gdy zbadał księgi i stwierdził, jakie mamy straty, po prostu znikł.

- Obawiam się, że nie znikł, Mauro. Właśnie zadzwonił do mnie niejaki Peter Jones. On również zbadał księgi twojej firmy w Wisconsin i doszedł do wniosku, że została ona przekazana w ręce Rogera Parkera, który nabył do niej prawo...

- Poczekaj chwilę... to niemożliwe. Dlaczego Peter nie zatelefonował najpierw do mnie, a nie do ciebie?

- Przed rozmową z tobą chciał najpierw sprawdzić, jaki jest status twoich nieruchomości tutaj, w Dublinie.

- Zdaje się, że i ja potrzebuję czegoś dla ducha... - Głos jej się załamał.

- Mauro, moja droga. Przykro mi, że muszę podjąć ten temat, ale czy nie czytałaś żadnego z dokumentów, które przeszły ci przez ręce w ciągu ostatniego półroczka? Osobiście widziałem, jak podpisujesz swoim nazwiskiem dokumenty sprzedaży fabryki, nawet ich nie przeczytawszy. To bardzo zły zwyczaj.

- Och, Charles, co mamy robić?

- Znam jedną osobę, która może teraz pomóc.

- Kogo?

- Donalą Byrne'a. Nie krzyw się tak, Mauro. Za tym człowiekiem stoi potężna firma, a on jest znany z tego, że nieraz poradził sobie ze sprawami niemożliwymi do załatwienia. Popatrz tylko, czego dokonał tutaj: przekonał niemiecką firmę farmaceutyczną, żeby zainwestowała w irlandzką fabrykę mebli. Jeśli to nie dowodzi zręczności w interesach i pewnej błyskotliwości, to nie wiem, co może dowieść.

- Nie mogę go poprosić, Charles. Po prostu nie mogę.

- Czy przeszkadza ci duma?

Najpierw pokręciła głową, ale potem z ociąganiem potwierdziła.

- Ech, duma. To taka bagatelka, a zniszczyła życie tylu ludziom. Czy opowiadałem ci kiedyś o mojej byłej żonie? Byłej, ponieważ uznałem za pewnik, że spotyka się z innym mężczyzną. Zanim odkryłem, że jestem w błędzie, zdążyłem wyprowadzić się z mieszkania i urządzić wielką scenę na dość eleganckim przyjęciu. Zdaje się, że mężczyzna, o romans z którym ją oskarżyłem, był po prostu nadgorliwym kelnerem, bardziej zainteresowanym napiwkami niż czymkolwiek innym. Ale byłem za bardzo zażenowany sytuacją, żeby przyznać się do błędu, i dlatego jestem dzisiaj sam i tak pewnie pozostanie do końca moich dni.

- Przykro mi, ale z Donalem jest zupełnie inna historia, bardzo skomplikowana. Powiem ci, że nie masz o tym pojęcia.

- Nie, rzeczywiście nie mam. Ale jeśli nie chcesz się z nim skontaktować dla swojego dobra, to pomyśl o pracownikach, których masz w Wisconsin, albo o tym, co pan Parker zamierza zrobić z domem przy Merrion Square.

- To znaczy?

- Chce zamienić go w skrzyżowanie muzeum i salonu gier pod nazwą Królestwo Oskara Wilde'a. Będą tu gry wideo, lasery i co tylko jeszcze można sobie wyobrazić.

Roger. Oczywiście, że właśnie coś takiego sobie wymyślił. Człowiek czynu, którego pojęcie o wysokiej kulturze ogranicza się do skorzystania z promocji kanału w telewizji kablowej. Teraz istotnie nie pozostało jej nic innego, jak zwrócić się do Donala.

- Zaraz do niego zadzwonię... tylko daj mi chwilę ochłonać.

Charles skinął głową.

- Wspaniale. Wobec tego idę...

Zanim wyszedł, zadzwonił telefon.

- Maura?

Był to Donal.

- Właśnie przypomniałem sobie, jakie zamówienie zostało złożone u Reade'a.

- No, jakie?

- Nóż kieszonkowy, taki do ostrzenia gęsich piór. Miał go dostać w prezencie Patrick na pamiątkę świadkowania na moim ślubie. Na nożu były wygrawerowane jego inicjały i data.

- O! - Nie bardzo wiedziała, czego to właściwie dowodzi, zanim jednak zdążyła spytać, Donal wyjaśnił jej sam.

- Myślę, że właśnie tego Andrew użył przeciwko bratu, takim nożem...

- Przestań. - Nie mogła mu pozwolić na dokończenie tego zdania, nie mogła pozwolić, żeby powiedział „zabił Fitzwilliama”, chociaż znakomicie wiedziała, co Donal ma na myśli. - Nie mów tego. Sama rozumiem. Ale co możemy w tej sprawie zrobić?

- Powiedziałaś, że strój ślubny Connolly'ego zmienił się z niebieskiego na czarny. Za twoją sprawą, Mauro. Czy sądzisz, że to również da się zmienić?

- Czy możesz zaraz tu przyjechać?

- Nie, nie teraz. Muszę pomyśleć, dokładnie to rozważyć. Zadzwoń do ciebie trochę później, jeśli coś przyjdzie mi do głowy. Daj mi znać, gdybyś tymczasem coś wymyśliła. - Jego głos wydawał się zmęczony.

- Czy dobrze się czujesz?

- Nie wiem. Ta cała historia jest szalona. Zastanawiam się, czy i ja nie oszalałem. Aha, Mauro...

- Tak?

- Przepraszam za popołudnie. - Odłożył słuchawkę, nie mówiąc „do widzenia”.

Charles uśmiechnął się, gdy otwierała przed nim drzwi.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wy dwoje możecie doskonale załatwić tę sprawę.

- Mhm. Jasne.

- Powodzenia.

- Dziękuję.

Była tak rozproszona, gdy wypuszczała adwokata na dwór, że w ogóle nie zauważyła Rogera Parkera, który stał po drugiej stronie ulicy, opierał się o ogrodzenie i wpatrywał w jej dom z niepokojącym skupieniem.

Scandalous

To była taka ulga stanąć w tych drzwiach, przestąpić próg, który dawał bezpieczeństwo i fizyczne, i duchowe. Wreszcie w przedsionku kaplicy po drugiej stronie parku stało się to, co musiało nastąpić. Została jego żoną i już nic nie mogło im zaszkodzić.

– Fitz, ja... co ty robisz?

Zanim zdążyła zaprotestować, porwał ją w ramiona i wniósł do sieni.

– Jesteś dziś panną młodą – szepnął jej do ucha. – A to jest twój dom, już na zawsze.

Roześmiała się i objęła go jednym ramieniem, a drugą rękę przytuliła do jego policzka.

– A ty jesteś moim mężem i bufonem nad bufonami. Gdybyś teraz potknął się i upadł, mielibyśmy oboje za swoje i należałoby nam się.

Patrick wszedł tuż za nimi.

– Czy nie ma tu nikogo, kto wniósłby i mnie?

Fitz delikatnie postawił Kitty na ziemi.

– Chcesz, żeby cię wnieść? Proszę bardzo. – Zaczął zdejmować surdut, eleganckie, lecz proste czarne odzienie, skrojone w pośpiechu specjalnie na ślub. Odrzucił go na poręcz schodów, rozluźnił halsztuk i z respektem przyjrzał się Patrickowi.

– Jednak nie – powiedział i lekceważąco machnął ręką. – Kitty, to jest twój ciężar. Możesz go wnieść, jeśli chcesz. Ja odmawiam.

Wszyscy troje beztrąsko się roześmiali. Wreszcie Fitzwilliam skinął głową, otoczył żonę ramieniem i spojrzął na Patricka.

– Doprawdy, przyjacielu, nie wiem, jak ci podziękować za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Mam coś dla ciebie w prezencie.

Wyciągnął rękę do małego okrągłego stolika i wziął z niego pakiecik, owinięty w jasnozielone płótno. Patrick zaczerpnął tchu.

- Nie potrzebuję nagrody. Wszystko, co robię, robię z czystej przyjaźni.

- Tak też potraktuj ten dar: jako wyraz przyjaźni.

Patrick uśmiechnął się i odpakował zawiniątko.

- Nóż do piór! Jaki piękny. Zobacz, Kitty, tu są moje inicjały.

- Pomoże ci to podpisać wszystkie ważne dokumenty, o podpisanie których bez wątpienia będziesz proszony. Masz, szczęśliwą rękę.

- Dziękuję wam obojgu. To był dla mnie prawdziwy zaszczyt. Mam nadzieję, że to wydarzenie nie zaszkodziło nieodwracalnie twoim stosunkom z Andrew, Fitzwilliamie.

- Ach, z moim drogim bratem. - Fitzwilliam westchnął. - Nie ma w tym chłopaku nic takiego, czego rok lub dwa na jednym z moich statków nie mogłoby uleczyć.

- Takie masz zamiary? Czy on o tym wie? - spytała Kitty.

- Jeszcze nie, ale wkrótce się dowie. Byłem dla niego zbyt miękki, wszystko dlatego, że chciałem go chronić. Ale teraz widzę swój błąd. Andrew obejrzał za wiele przedstawień „Opery żebraczej”. Zapewne tam właśnie wpadł na pomysł uprowadzenia Kitty. Niestety, prześladowuje go demon nieróbstwa. To dobry chłopak, tylko potrzebuje doświadczonego doradcy, a ja go zawiodłem.

Patrick i Kitty wymienili spojrzenia, po czym Patrick powiedział:

- Fitzwilliamie, obawiam się, że się mylisz.

- Co masz na myśli?

- Kochanie - zaczęła ostrożnie Kitty. - Myślałam, że już to zrozumiałeś. Andrew nie jest znudzonym młodzieńcem, który nie widzi celu w życiu. Wręcz przeciwnie, on dobrze widzi swoje cele i ma mnóstwo ambicji. Dopnie swego za wszelką cenę, wszystko jedno, kto będzie przez to cierpiał.

- Fitzwilliamie, słyszałem bardzo przykre historie o eskapadach twojego brata. W Dublinie i okolicznych hrabstwach jest znany jako

ladaco i człowiek bez serca, który wykorzystuje twoje nazwisko i pozycję do zaspokajania swoich zachcianek.

- Bardzo sobie cenię wasze opinie, ale znam go lepiej niż ktokolwiek inny. To jest mój młodszy brat, więc nic dziwnego, że ludzie biorą go na języki. Z pewnością nie jest jego winą, że nosi nazwisko Connolly, tak samo jak nie jest moją winą, że to ja jestem starszym synem. A teraz zadzwonię na panią Finnegan, żeby przyniosła nam po lampce wina. Musimy wznieść toast za nasze szczęście.

- Czy kojarzy ci się z czymś nazwisko Annie Delany? - spytał Patrick.

- Annie Delany? Nie. A powinno?

- Nie dziwię się. To była nieszczęsna panna z Kilkenny, którą brutalnie skalano w zeszłym roku po balu w Rotundzie. Mówi się, że to sprawka twojego brata.

Fitzwilliam pokręcił głową.

- Znowu ktoś oskarżył Andrew. Bez wątpienia jakiś zmyślny pan na włościach chce wyłudzić ode mnie pokaźną sumę. Ale to, że nigdy nie słyszałem o tej pannie, dowodzi niewinności Andrew.

- Ta panna zmarła, zanim zdążyła złożyć zeznanie - stwierdził bezbarwnym głosem Patrick. - Nie słyszałeś o tym zdarzeniu wyłącznie dlatego, że byłeś wówczas w podróży. Gdybyś przeczytał gazety, które ci dałem, fakty stałyby się dla ciebie aż nadto jasne.

- Gazety są w miejscu, które uzgodniliśmy. Nie miałem serca ich czytać, ale wyrobiłem sobie zdanie na podstawie kilku stron, które przejrzałem. - Fitzwilliam skrzyżował ramiona na piersi. - Jeśli Andrew naprawdę jest podejrzany o skalanie panny Delany, to dlaczego nikt z władz nawet ze mną na ten temat nie porozmawiał? I dlaczego jej rodzice nie wystąpili z oskarżeniem?

- Boją się. - Kitty ujęła męża za rękę. - Andrew zagroził im ruiną, zasłaniając się twoim nazwiskiem i wpływami. Jesteś bardzo szanowany, kochanie, a rodzina Delanych rozpaczała nad stratą córki w

milczeniu ze strachu, że wycofasz swoje poparcie dla katolickich właścicieli ziemskich.

Fitzwilliam osłupiał.

– Nigdy bym tego nie zrobił, nawet nie przyszłoby mi do głowy, że można wymyślić coś równie okrutnego.

– Musisz zrozumieć – zaczął cicho Patrick. – Na zachodzie, a także w pobliskich hrabstwach jest wielu ludzi, którzy są ci winni głęboką wdzięczność z powodu tego, co zrobiłeś. Ale ponieważ masz tytuły własności do ich ziem, żeby w ten sposób uchronić ich przed skutkami antykatolickich praw, są oni siłą rzeczy zdani na twoją łaskę i niełaskę. Cały ich dobytek jest zapisany na twoje nazwisko dlatego, że jesteś protestantem i w myśl prawa możesz być posiadaczem. Przed nędzą ratuje ich jedynie twoja dobroć i wszyscy co do jednego doskonale o tym wiedzą.

Kitty westchnęła.

– Przecież jako katolicy nie mają żadnych praw, nie mogą nawet posiadać konia wartości większej niż pięć funtów, nie mogą być właścicielami ziemi ani domów, nie mogą zajmować urzędów i nawet nie wolno im wstępować do wojska.

– Nie potrzebujesz wymieniać wszystkich niesprawiedliwych praw, Kitty. Znam je aż za dobrze, podobnie jak znał je mój ojciec. Dlatego właśnie zgromadziłem tytuły własności do tych ziem w swoich rękach. Ale to jest tylko własność nominalna, formalny wybieg, który chroni prawdziwych właścicieli.

– Tyle że twój brat latami posługiwał się tym formalnym wybiegiem dla własnych celów! – krzyknął Patrick, zaraz jednak zniżył głos. – Boże, Fitz, jak możesz być taki zaślepiony. Myślałem, że rozumiesz, w czym rzecz. Andrew tak bardzo lubi jeździć na zachód, bo jest wtedy poza twoim zasięgiem i nikt nie kwestionuje jego władzy. Tam wszyscy sądzą, że polecenia pochodzą od ciebie, a kto powie, że jest inaczej? Na pewno

nie ja. I nie Kitty, chociaż teraz, gdy została twoją żoną, być może tu i ówdzie zyska posłuch.

Fitzwilliam zmieniał się w oczach. Jego wyzywająca poza znikła, zastąpiło ją niedowierzanie, wreszcie zaś wyraz całkowitej klęski.

- Muszę usiąść - powiedział cicho. - Muszę pomyśleć - dodał, gdy już spoczął na krześle.

Przez dłuższą chwilę nie odezwał się ani słowem, tylko spoglądał na przyjaciela i żonę z coraz bardziej bezradną i załamana miną. Dziwnie nie pasowało to do jego szlachetnych, wyrazistych rysów. Kilka razy zaczynał coś mówić, ale zaraz milkł i spuszczał głowę, jakby znał już odpowiedzi, lecz bał się do tego przyznać. Wreszcie odezwał się złamanym głosem:

- Teraz to wszystko ma sens, straszny sens. Do tej pory stosowałem jedynie półśrodki. Boże, jak mogłem dopuścić do takiej sytuacji?

- Nie miej do siebie pretensji, Fitz. Andrew zawsze był taki i nie można cię za to winić. - Kitty usiadła obok niego.

- Kiedy ostatnio byłem na zachodzie, miałem dziwne wrażenie, że ludzie przyjmują mnie chłodno. To niby drobnostka, ale w przeszłości ugościliby mnie tak, że wróciłbym do Dublina ledwie żywy od ich serdeczności. A wiesz, jak w swej głupocie wyjaśniłem sobie to zachowanie? Pomyślałem o tobie, Kitty. Byłem tak zapatrzonej w siebie, że przypisałem ich chłód ogłoszeniu naszych zaręczyn. Wiele osób powtarzało mi wcześniej, że jestem znakomitą partią, że takiego kawalera ze świecą szukać.

- To była prawda. Za to teraz zadzieraszą nosa i jesteś tak zarozumiała, że bardziej już nie można. - Cmoknęła go w policzek, ale chyba nie zwrócił na to uwagi. - A ponieważ cię zdobyłam, więc to ja jestem zwycięzca, a ty moim łupem.

Westchnął i spojrział najpierw na Kitty, potem na przyjaciela.

- Czy możesz przynieść mi te papiery, których tak długo nie chciałem przeczytać?

- Z największą przyjemnością.

- Dziękuję. Bo widzisz, tylko jeśli dowiem się naprawdę wszystkiego, będę mógł spokojnie o tym myśleć.

Patrick skinął głową.

- Szczerze żałuję, przyjacielu, że musiałem przekazać ci tę wiadomość akurat w takim szczęśliwym dniu. - Skłonił się przed Fitzwilliamem, potem przed Kitty i opuścił pokój.

Kitty uśmiechnęła się smutno.

- Przykro mi, że słyszę takie rzeczy akurat dzisiaj, tuż po naszym ślubie - powiedziała. - Obawiam się, że to nam źle wróży.

- Kitty. - Zamknął oczy i znużonym gestem przetarł czoło. Razem czekali na powrót Patricka.

A w sąsiednim pokoju Andrew, który wszystko podsłuchiwał, zaciskał pięści i kipiał ze złości.

Ocknęła się, gdy pokój był pogrążony w mglistym mroku, nie chciała jednak całkiem się budzić. Było jej zbyt dobrze, zbyt przyjemnie rozkoszować się odpoczynkiem po dniu pełnym emocji i uczuciowych zwrotów.

Teraz już będzie cicho i spokojnie, wreszcie nacieszą się szczęściem, na które zasługują. Będzie cicho i spokojnie.

Wszedł do pokoju tak bezszelestnie, że nawet nie westchnęła przez sen.

Trudno mu było nie pogratulować sobie w duchu bystrości i zręczności. Przechytrył ich wszystkich i teraz będzie ją miał. Przez całe życie odsuwano go na bok tylko dlatego, że miał pecha, gdy się rodził. Przez taki drobiazg.

Kiedys bardzo jej się podobał, durzyła się w nim. Wiedział to na pewno. Była panną z rodziny o znacznym majątku. Dopóki jego rywal nie zawrócił jej w głowie, była jego, cała jego.

Wszystko się w nim gotowało, gdy myślał o nich razem. Teraz nie chodziło już o pieniądze, chociaż pierwotnie to z ich powodu ją wyszukał i wybrał.

Teraz pieniądze stały się mniej istotne.

Najważniejsze dla niego było zawojować jej serce, zmylić czujność tych głupców, którzy jej strzegą. Gdy już ją oczaruje, wtedy będzie mógł zagrać na nosie całemu światu, wszystkim, którzy mówili o nim, że jest ladaco i leń, bo gdy zdobędzie jej serce, zdobędzie również pieniądze.

Naturalnie powinien był zrobić swoje wcześniej, nie należało pozwolić, by sprawy zaszły tak daleko. Ale tym większy będzie jego triumf, skoro przystąpił do działania tak późno. Dał swemu nędznemu rywalowi przewagę na starcie, by tak rzecz nazwać. Postąpił honorowo i wszyscy, którzy będą o tym mówić, bez wątpienia to potwierdzą.

Już niedługo jej głupie uśmiechy do tamtego będą odległą przeszłością również dla niej. Tymczasem jednak jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, w kim jest naprawdę zakochana, a jego doprowadzało do pasji, gdy widział ją z tamtym, gruchających jak gołąbki.

Wkrótce to z nim będzie tak gruchała, wkrótce zapomni o tym drugim, który stanie się kompletnym zerem.

Przewróciła się na drugi bok we śnie, on jednak się nie poruszył. Na razie nie miało sensu jej budzić. Za dużo pracy kosztowało go drobiazgowo planowanie.

Pomyślał o tych, którzy nim pogardzali, uważali go za nic. Teraz będą mu się przypochebiać na wyścigi!

Jej łóżko oświetlał tylko księżyc. To też była część planu, wiedział przecież, że tego wieczoru należy spodziewać się pełni.

Czyżby na dole rozległ się hałas?

Niemożliwe, zresztą mniejsza o to. Będzie zachowywał się cicho, ona również. Nie da jej wyboru. Będzie tu panem, a ta noc stanowi jedynie początek.

Powoli wycisnął na jej wargach pocałunek. Ochoczo odpowiedziała na to zaproszenie i przeciągnęła się jak lubieżna kocica. Nagle się cofnęła. Zanim jednak zdążyła krzyknąć, zacisnął jej palce na krtani. Nie miał tego w planach, ale sama go zmusiła. Co by zrobił, gdyby zaczęła krzyczeć?

Zaciskając dłonie na jej krtani, znów spróbował pocałunku. Ten jednak nie był już taki przyjemny. Zaczęła się wrywać i kopać, więc musiał ją przygnieść całym ciałem, ale wydawała obrzydliwe dźwięki, charczała i skamlała tak, że omal nie zdławiła jego pożądania.

Omiał, ale niezupełnie.

Mimo wszystko czuł pod sobą zarys jej miękkich piersi i szaleńcze bicie serca. W niej też odezwało się pożądanie. Był tego pewien. Ona też go pragnęła. Tamten nigdy jej tak nie podniecał.

Trochę rozluźnił palce zaciśnięte na jej gardle. Chwyciła ustami powietrze, piersi jej zafalowały. Nie wydała żadnego innego odgłosu.

Przesunął dłonie w dół. Teraz mógł ją wziąć, była gotowa. Weźmie ją...

– Pomocy!

Jak udało jej się krzyknąć?

Przykrył jej usta dłonią. Nie mógł pozwolić, żeby zniweczyła jego plany, nawet jeśli spalała ją namiętność. Bo to był krzyk namiętności.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem, jakby zagrzmiało.

Potworny ciężar.

Przygniół ją w jej własnym łóżku i zanim zdążyła w pełni oprzytomnieć, zacisnął jej ręce na gardle.

Czy była w domu sama? Nie mogła sobie przypomnieć. Próbowała krzyknąć, ale nie była pewna, jaką siłę ma jej głos.

Czuła, jak uchodzi z niej życie. Może tak było lepiej, o wiele lepiej, niżby miał ją wziąć. Może powinna zrezygnować z walki i po prostu poddać się losowi.

Nagle rozległ się straszny łoskot, potem krzyki i wołania, i tupot kroków na schodach.

Więcej nie pamiętała.

- Mauro! Otwórz oczy, proszę.

W czułym objęciu ramion posłusznie uniosła powieki. Z góry spojrzał na nią Donal.

- Dzięki Bogu. - Przyciągnął ją do siebie. Na twarzy miał rozcięcie, które krwawiło, ale Maura nie mogła skupić myśli.

- Co się stało? - Jej głos zabrzmiał jak krakanie wrony. Jeszcze ktoś był w pokoju.

- Za moment przyjedzie policja.

- Charles?

- Już nic ci nie grozi, Mauro. Dzięki Bogu, jesteś całkiem bezpieczna - szepnął Donal, kryjąc usta w jej włosach.

Na chwilę zamknęła oczy, żeby zatrzymać wirowanie pokoju.

- Już nic ci nie grozi. - Słowa były te same, lecz głos odrobinę inny. I zapachy też były inne. Człowiek, który ją trzymał, pachniał końmi.

- Fitz?

- Wybacz mi - szepnął. - Wolę nie myśleć, co mogłoby się stać, gdybym cię nie usłyszał. Andrew jest na dole z Patrickiem...

Głos znów się zmienił.

- Roger jest na dole z Charlesem.

Wreszcie oba głosy zlały się w jeden, a gdy Maura uniosła powieki, zobaczyła Donalą, ale nad nim mgliście majaczył Fitz. Ich słowa i mimika powtarzały się, jakby byli jedną osobą.

A potem jeden z nich znikł. Początkowo nie wiedziała, który, i bała się nawet, że straci obu.

- Proszę, wróć! - krzyknęła.

- Nigdy cię nie opuszczę...

Głos tego drugiego był już bardziej odległy, jakby dochodził ze zwięzającego się tunelu.

- Muszę odejść. Ona na mnie czeka. Czekają...

- Nie!

I znowu słyszała tylko jeden głos:

- Nigdy cię nie opuszczę. - Donal przytulił ją mocniej. I zdaje się, że wtedy straciła przytomność.

Charles z Donalem siedzieli na parterze domu przy Merrion Square, obaj wstrząśnięci, obaj ze szklaneczkami whisky, które wręczył im litościwy policjant po zanotowaniu ich zeznań. Whisky pozostała jednak nietknięta długą chwilę, Charles i Donal bili się bowiem z myślami.

- Na pewno wydobrzeje, Donal. Lekarz powiedział, że nie trzeba jej nic więcej oprócz snu.

- To moja wina. - Donal wreszcie upił łyk. - Nie traktowałem Rogera poważnie.

- Jeszcze nie mogę uwierzyć w to, co zrobiłem. Ja, Charlie MacGuire, łatwa ofiara każdego osiłka, odkąd nauczyłem się chodzić, zraniłem człowieka.

- Muszę ci podziękować, Charles. Gdybyś nie wpadł na pomysł, żeby tu zajrzeć... brr, dotarłbym za późno.

- Nie wiem, co mnie naszło. - Charles wbił wzrok w zawartość szklaneczki. - Wcale nie miałem zamiaru tutaj wrócić, to wyszło samo z siebie. A kiedy zobaczyłem go, jak przygniata Maurę, chwyciłem za pierwszy przedmiot, który wpadł mi w rękę: stary nóż do ostrzenia gęsich piór.

Donal nie powiedział ani słowa, ale i on widział ten nóż, kiedy sanitariusz wyciągnął go z ramienia Rogera. Zabytek z inicjałami P.K. elegancko wygrawerowanymi na rękojeści.

- Ten człowiek jest umyślowo chory - mruknął Charles.
- Oczywiście. Pozostaje mi liczyć na to, że będzie go bronił niekompetentny adwokat. Mam nadzieję, że się o to nie obrazisz, Charlie.

- Nic a nic. - Charles jednym łykiem opróżnił szklaneczkę z zawartości. - Jeszcze czegoś dla ducha?

Donal pokręcił głową.

- Tu się dzieje coś dziwnego - oświadczył.

- Wiem. Ledwie umoczyłeś usta w swojej szklaneczce.

- Nie tylko. Czy czujesz to, Charles? Czy czujesz coś dziwnego w powietrzu?

- Skłamałbym, gdybym powiedział „nie”. - Adwokat znowu szczerze nalał sobie whisky. - Prawdę mówiąc, to się zjawilo razem z nią. - Skinął głową w stronę sypialni na drugim piętrze, w której spała Maura.

- Kiedy pierwszy raz to wyczułeś?

- Jak pokazywałem jej ten dom. Odkąd przestąpiła jego próg, zaczęła się inaczej zachowywać, jakby nie tylko była jankeska, która przejmuje spadek, lecz miała jeszcze inny cel.

- Zachowywała się tak, jakby znalazła się u siebie.

- Po części tak - przyznał Charles. - Ale to jeszcze nie wszystko. Trudno mi to dobrze nazwać, ale odniosłem takie wrażenie, jakby otaczała ją niezwykła aura, jakbyśmy wszyscy w jej obecności dostawali się we władzę jakiegoś zaklęcia.

Donal skinął głową.

- Dziękuję ci, przyjacielu, za pomoc. Wszystko, co zrobiłeś... Adwokat się skrzywił.

- Nic takiego nie zrobiłem, zupełnie nic. - Zamyślił się. - Ale miewam bardzo szczególne sny.

- Teraz też?

- To jest nawet silniejsze od snu, bardziej realne. Byłem w tym czymś mężczyzną imieniem Patrick.

Donal patrzył na niego z nieprzeniknioną twarzą.

- To dość pospolite imię, zwłaszcza w Dublinie.

- Pewnie poniosła mnie wyobraźnia, w każdym razie zdawało mi się, że jestem przyjacielem Fitzwilliama Connolly'ego. I ten sen wcale nie chciał się skończyć. Zawsze był, kłębił się jak mgła, jakby czekał na kogoś, kto się nim zajmie, uzna jego istnienie.

- Czujesz teraz ten sen?

Adwokat przez chwilę mieszał whisky w szklaneczce, rozmyślając nad odpowiedzią.

- Nie. Znikł, przynajmniej na razie. Ale mam takie przeczucie, że już nie wróci. Jest jak książka. Skończył się, więc nie mogę go znowu przeczytać pierwszy raz. Znam treść, mogę ją sobie zawsze przypomnieć, ale dla mnie to już przeszłość.

Donal zaczerpnął tchu. Już miał opowiedzieć Charlesowi o swojej roli w tym śnie, ale na widok miny adwokata zawahał się i ostatecznie zrezygnował. To byłoby zbyt poruszające dla Charlesa. Jako mimowolny uczestnik wydarzeń i tak zrobił już więcej, niż do niego należało. Im mniej wie, tym szybciej będzie mógł wrócić do swojego świata testamentów, zapisów i innych codziennych spraw.

- Już pójdę, Donalu, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Czy poradzicie sobie tutaj we dwoje?

- Dziękuję ci, Charles. Poradzimy sobie na pewno. Aha, wpadnę do ciebie jutro, jadąc do fabryki.

- Dobrze. Trzeba jeszcze to i owo załatwić.

Adwokat wstał, jednym łykiem dopił whisky i sięgnął po marynarkę.

- Idziesz do Nesbitta? - Donal uniósł brew. Charles radośnie potwierdził skinieniem głowy.

- Do Nesbitta. Umówiłem się z Evie.

- Z była żoną?

- Właśnie z nią. To dziwne, Donal, ale odkąd przyjechała Maura, Evie i ja... no, nasze sprawy inaczej się układają. Inaczej, to znaczy lepiej. Evie mówi, że jestem właśnie takim mężczyzną, jakim powinienem być się stać już dawno, cokolwiek miałyby to znaczyć. Innymi słowy, znowu mnie polubiła. - Uśmiechnął się szeroko i podszedł do drzwi sprężystym, kołyszącym krokiem.

- To wspaniale, Charles. Czy myślisz, że znowu się pobierzecie?

- Znowu? Skądże, nie ma potrzeby.

- Jak to?

- Bo widzisz, drogi chłopcze, nigdy nie byliśmy rozwiedzeni. Do zobaczenia rano, Donal.

Uchylił nieistniejącego kapelusza i wyszedł. Jeszcze przez zamknięte drzwi wyraźnie było słychać jego wesołe pogwizdywanie.

Donal roześmiał się i zaciągnął zasuwę.

Stojąc plecami do schodów, zorientował się, że ktoś za nim jest. Instynkt podszepnął mu, że to nie Maura, która na pewno by się odezwała. Miałby zupełnie inne wrażenie, nie takie, jakby po kręgosłupie przebiegał mu lodowaty dreszcz.

Powoli się odwrócił. Początkowo nie zobaczył niczego. Potem, gdy wzrok przyzwyczaił się do mroku, zauważył nad schodami chmurę czegoś, co wyglądało jak dym.

Wirowała szybciej i szybciej, stawała się coraz gęściejsza i jak glina na garncarskim kole zaczynała zmieniać się w wyraźny kształt.

Wirowanie trwało dalej, to coś stawało się coraz wyższe i bardziej masywne. Donal przyglądał się temu zjawisku z zapartym tchem.

Wreszcie na schodach stanęła trójwymiarowa postać Fitzwilliamia Connolly'ego.

Donal wlepił w nią zdumiony wzrok. Nie bał się dawno zmarłego człowieka, ale nie bardzo wiedział, co robić.

Connolly odwzajemnił jego spojrzenie i dokładnie zmierzył go wzrokiem.

Zjawa wyglądała jak żywa pod każdym względem. Jej wyglansowane buty odbijały światło. Włosy, gęste i nieco potargane, spadały Connolly'emu na ramiona. Donal czuł się tak, jakby go znał. Łączyło ich głębokie porozumienie, obaj znali się dobrze i choć ta więź nie należała do tego świata, była czysta, naturalna i mocna. Nawet więcej, Donal czuł się tak, jakby był tym mężczyzną, jego niewidzialną częścią, o której wie tylko on i może jeszcze Maura.

Zareagował więc w jedyny sposób, który wydawał mu się w tej sytuacji słuszny i naturalny. Uśmiechnął się.

W odpowiedzi Fitzwilliam Connolly przekrzywił głowę, jakby bez słowa zadawał pytanie, i również ciepło się uśmiechnął. Wyciągnął ramię ku Donalowi, jakby mogli się dotknąć albo uścisnąć sobie dłonie. Zaraz jednak bezradnie opuścił rękę, widocznie uświadomił sobie, że niczego nie może dotknąć.

A potem zrobił coś zupełnie nadzwyczajnego: uklonił się. Nie było to zdawkowe skinienie głową ani niedbale pochylenie ciała naprzód. Był to głęboki elegancki ukłon, gest zarazem archaiczny i uniwersalny w wymowie, wyraz szacunku, a prawdopodobnie także przyjaźni.

Przez moment Donal stał nieruchomo, a potem i on skłonił się głęboko i w ten sposób uhonorował mężczyznę na schodach zapomnianym gestem pozdrowienia i uszanowania. Zanim się wyprostował, zjawy już nie było.

Donal był święcie przekonany, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Po dwóch i pół wiekach niepokoju Fitzwilliam Connolly nareszcie odnalazł spokój.

Nareszcie było po wszystkim.

- A więc nic się nie zmieniło. - Maura wolno zeszła po schodach, uważnie przyglądając się najdrobniejszym szczegółom swego domu. Poranne słońce wdierało się do wnętrza przez brudne szyby. Jedyna goła żarówka żałośnie zwisała w miejscu zajmowanym niegdyś przez imponujący kryształowy żyrandol.

Donal zerwał się na równe nogi, na widok Maury otrząsając się z resztek snu.

- Jak się czujesz?

- Zmęczona - przyznała. - Czy byłeś tutaj całą noc?

- Oczywiście. Chodź. - Wyciągnął ku niej ramię, a gdy splełli dłonie, Maura przystanąła.

- Nic się nie zmieniło. - Czuła, jak wzbiera w niej krzyk.

- Mylisz się. Wszystko się zmieniło. Całą noc spędziłem na czytaniu książek. Są teraz zupełnie inne, niż były.

- To dlaczego jeszcze tutaj jestem? Dlaczego Fitz i Kitty nie dostali tego domu?

- Chodź, usiądziemy. Wszystko ci wyjaśnię.

Z wysiłkiem poszła za Donalem.

- Czy żyli razem długo i szczęśliwie? Zaczynij od tego.

- Niestety, nie.

Usiadła obok niego na kanapie.

- Och, Donal.

- Wygląda na to, że Kitty naprawdę była chora. Umarła w ramionach Fitz'a niecały rok po ich ślubie.

Maura raptownie zasłoniła usta dłonią. Przez cały czas miała nadzieję, że Donal się pomylił, intuicja podpowiadała jej jednak co innego. Serce ścisnęło jej się z żalu.

- To straszne - szepnęła.

- Może. Ale przez ten rok byli szczęśliwi. - W jego zadumany głosie pobrzmiwała miękkość, której przedtem tam nie było. A jeśli była, to jakoś uszła uwagi Maury. W każdym razie Donal wydawał się inny. Tylko dom był dokładnie ten sam, ze wszystkimi odrapanymi kątami i wydeptanymi podłogami.

Ale Donal się zmienił. Na czym to polegało? Jego głos brzmiał tak samo; ruchy miał zręczne i pewne jak zawsze.

Zdumiona, utkwiała wzrok w jego twarzy. Może tam należało szukać zmiany.

- Czy Fitz ożenił się ponownie? - spytała i zmrużyła powieki, by przyjrzeć się jego reakcji.

- Nie, Mauro. W zasadzie nie miał okazji. W 1770 roku jego okręt „Katherine” zatonął podczas burzy gdzieś na Atlantyku. Fitz płynął nim do Ameryki, żeby zacząć tam nowe życie.

Lzy znowu napłynęły jej do oczu, zanim jeszcze skończył zdanie. A gdy potoczyły się po policzkach, nie mogła już ich zatrzymać. Przeraziła ją myśl o przedwczesnej śmierci Fitz'a, o trwodze, jaką musiał odczuwać, wiedząc, że nie przeżyje burzy, gdy okręt gwałtownie się przechylał, a w końcu roztrzaskał się na kawałki.

- Może byłoby dla niego lepiej, gdybyśmy się nie wtrącili - powiedziała, gdy Donal podał jej chusteczkę. - Może lepiej byłoby, gdyby umarł tu, na schodach.

- Jak możesz mówić w ten sposób? Pomyśl tylko o Kitty, która nie musiała przeżyć jego śmierci. Mój Boże, Fitz na pewno zgodziłby się na znacznie większe cierpienia, i to z radością, byle oszczędzić jej takiego doświadczenia. Prawdopodobnie zawsze wiedział, że śmierć marynarza ma zapisaną w gwiazdach, chociaż ta myśl wcale go nie cieszyła i starał się uniknąć swego losu. Poza tym Fitz i Kitty przeżyli rok razem, przynajmniej rok. Większość ludzi nie ma nawet tyle.

Co za romantyczna argumentacja jak na pragmatyka. To było całkiem niepodobne do Donala Byrne'a.

- Masz rację. - Otarła oczy. - Oczywiście masz rację. A co z Andrew i Patrickiem?

Na wargach zaigrał mu uśmiezek.

- Andrew wykurował się po zranieniu i wtedy jego starszy brat szybko wyekspediował go w rejs dość przykrym szlakiem do Ameryki Południowej i Australii.

- Zasłużył sobie na znacznie gorszy los - szepnęła.

- Och, nie martw się. Skończyło się to dla niego nie tylko brakiem dobrego krawca. Jego ludzie go zabili.

- Jego ludzie?

Donal skinął głową.

- Zdaje się, że wbrew decyzji brata Andrew próbował przewozić niewolników. Na okręcie nie było miejsca dla dodatkowych pasażerów, a szczególnie są raczej skąpe, w każdym razie wygląda na to, że pierwszy oficer go zastrzelił. Przeprowadzono krótkie śledztwo, ale w gruncie rzeczy wszystkim ulżyło, że Andrew odszedł z tego świata. Nie zapominaj, że Kitty i Fitz też już nie żyli, więc nikt nie nosił po nim żałoby. A Patrick popłynął do Ameryki.

- Patrick? A gdzie osiadł?

- Jeśli chcesz, możesz przeczytać którąkolwiek z jego biografii. Ja wiem tylko, że był jednym z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości i dożył podeszłego wieku na plantacji w Wirginii.

- Och, jak wspianiale. - Pierwszy raz się uśmiechnęła. - Zasłużył sobie na szczęście. Czy kiedykolwiek się ożenił?

- W późnych latach życia, z wdową po przyjacielu. Ale nie mieli dzieci, więc po jego śmierci ten dom i fabryka przeszły na własność spadkobierców pani Finnegan, gospodyni Fitz'a, a przodków twoich i Delberta.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, oboje zadumani nad losem czworga ludzi, którzy żyli, kochali, śmiali się i smucili ponad dwa stulecia temu. Aż trudno było uwierzyć, że już ich nie ma na świecie.

- No, to zdaje się, że doszliśmy do końca tej historii – powiedziała w końcu Maura.

- A co z nami? – zapytał bardzo cicho, niepewnie, lecz mimo to Maura go usłyszała.

- Nie wiem.

Uczucia Donala wreszcie odmalowały się w oczach. Zawsze były wymowne; teraz objawiło się w nich coś nowego, głębia, ciepło i życzliwość, których wcześniej nie widziała.

- Za to ja wiem, Mauro. Kochałem cię już wcześniej, ale po tym, co stało się ostatniej nocy... – Nie dokończył zdania. Nie było potrzeby.

- Donal, dzieli nas tyle problemów.

- Ja to widzę inaczej. Oboje żyjemy, oboje jesteśmy tu i teraz. Co innego mogłoby mieć znaczenie?

- Fabryka. Co zrobimy w tej sprawie?

- Trochę się nad tym zastanawiałem w czasie, gdy spałaś.

- Zdawało mi się, że całą noc czytałaś.

- Umiem szybko czytać. Kiedy już uwinąłem się z lekturą, zacząłem myśleć o fabryce. I doszedłem do wniosku, że szkoda byłoby po tylu latach zmieniać ją od podstaw.

- Coś trzeba zrobić – sprzeciwiła się Maura. – Fabryka na pewno dużo dłużej nie pociągnie, tracąc pieniądze w tym tempie co teraz.

- Masz rację. Problem leży w surowcach i sile roboczej. Jeśli zastosujemy mniej kosztowne drewno i bardziej nowoczesną technologię, zaczynając od rezygnacji z ręcznego wykańczania mebli, to moglibyśmy obniżyć koszty i zwiększyć produkcję.

- Nie. Nie sądzę, żeby zastosowanie tanich materiałów stanowiło właściwą odpowiedź.

- Nie powiedziałem tanich, tylko mniej kosztownych. To jest różnica. W tej chwili produkujemy bardzo zgrabne kopie antyków. Inne firmy robią to równie dobrze, z tym że bardziej wydajnie.

- Rozumiem, ale...

– Mauro, czy kiedykolwiek widziałeś prawdziwe wiejskie meble z Irlandii? Takie, które naprawdę stoją w domach?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Są niesamowite, naprawdę piękne. Najczęściej z sosny, a sosnowe drewno jest tańsze niż dębowe. Wzory są proste, ich artyzm polega na czystości linii i wykończeniu.

Entuzjazm Donala okazał się zaraźliwy.

– Mów dalej – przynagliła go Maura.

– Wszyscy pracownicy fabryki potrafią to robić, tylko nie mieli do tej pory okazji wykorzystać swoich umiejętności. Możemy sprowadzić trochę nowych maszyn, zatrudnić kilku świeżo upieczonych absolwentów uniwersytetu i od tego zacząć.

– Może wykańczanie mebli, które jest najciekawsze, odbywałoby się w hali przy wejściu, żeby mieli okazję obejrzeć to turyści odwiedzający fabrykę.

– Może. Ale bez kostiumów z epoki i trzewików z zabawnymi klamrami.

– Bez kostiumów – zgodziła się. – To będzie prawdziwe irlandzkie rzemiosło artystyczne, każdy mebel unikatowy, niepowtarzalny. Wzory znormalizujemy, ale pracownicy będą im nadawać indywidualne piętno, rzeźbienia, może również jakieś inne ozdoby.

– Wspaniały pomysł, absolutnie wspaniały!

Spojrzała na niego osłupiała.

– Zdaje się, że uważałeś mnie za osobę, która słabo radzi sobie z interesami.

– Czyżbym powiedział coś takiego? – Uśmiech znikł mu z twarzy. Donal odchylił się do tyłu i oparł ramię o poręcz kanapy.

– Bez wątplenia. Nieraz nawiązywałeś do niepowodzeń mojej firmy w Stanach i błędnych decyzji, jakie podejmuję niemal w każdej sytuacji, w której się znajduję.

Wcale nie zamierzała tego powiedzieć, ale samo jej się wyrwało. Wszystkie wzmianki Donala o jej niepowodzeniach wciąż dręczyły ją bardziej, niż chciała się do tego przyznać. Kilkoma ciętymi uwagami udało mu się podkopać jej wiarę w siebie.

Jak mogłaby być szczęśliwa z kimś, kto bez przerwy krytykowałby każdy jej krok?

- Musisz mnie uważać za wyjątkowo wrednego typu - szepnęła.

Zamrugnęła; zaskoczył ją swoją reakcją.

- Owszem, mówiłem takie rzeczy - ciągnął. - Teraz już chyba rozumiem, dlaczego. Chciałem cię urazić, dopiec ci i wyrządzić krzywdę.

- Ale czemu? Przecież nigdy w niczym ci nie zaszkodziłam.

- Jakże nie! - Otworzył oczy i wtedy nieziemski błękit sypnął iskrami wigoru, od których zaparło jej dech. - Na nowo obudziłaś we mnie uczucia. Wróciły do mnie urazy, ból i lęk, wszystko, przed czym długo uciekałem. Wiedziałem, że jesteś delikatna, a instynkt podpowiadał mi, gdzie należy celować. Nie mogłem zaatakować ciebie osobiście, więc uderzyłem w to, co nie było twoją winą, to znaczy w upadek fabryki twojego ojca.

- Przecież to była moja winą. - Przełknęła ślinę, ale nie potrafiła uciec przed jego wzrokiem.

- Widzisz, jaki byłem sugestywny? Wstyd mi, Mauro. Szczerze mówiąc, uważam, że kłopoty twojej firmy nie mają nic wspólnego z tobą, bo ich źródłem jest wyłącznie produkt. To doprawdy cud, że firma, która produkuje tylko liofilizowaną kapustę, może związać koniec z końcem.

Milczała, bo wprawdzie coś podpowiadało jej, że powinna bronić pomysłu ojca, ale powstrzymało ją zdumienie, że sama do tego nie doszła. Donal jednakże zdawał się czytać w jej myślach.

- Mauro, ludzie na świecie nie tęsknią za liofilizowaną kapustą i tak naprawdę wcale jej nie potrzebują. Świeża kapusta w zupełności im wystarczy. Czy przy każdej okazji musi być pod ręką również

liofilizowana? – Z wielką czułością objął ją ramieniem i przytulił. –I tak prawie dokonałaś cudu. Wymyśliłaś mnóstwo sposobów przekonywania ludzi, że potrzebują tej kapusty. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak radziłabyś sobie, gdyby ci dać naprawdę dobry produkt? – Pocałował ją w głowę. – Byłabyś niesamowita. Już jesteś.

– Och, Donal. Jak ty to robisz?

– Co?

– Właśnie przyznałeś się, że strasznie mi bruździłeś, ale natychmiast odwróciłeś kota ogonem i teraz mam takie wrażenie, że powinnam być ci wdzięczna za te wszystkie impertynencje.

– To dzięki tobie. Bo widzisz, w kilku sprawach przekonałaś mnie, że się mylę, do czego w ogóle nie byłem przyzwyczajony. Zwłaszcza jedno odkrycie sprawiło, że zobaczyłem wszystko w nowym świetle.

– Co takiego?

– Dowiodłaś, że mamy duszę. Mało tego. Dowiodłaś mi, że dusze mogą się stykać, łączyć i uwielbiać. Jak inaczej mogłabyś zdobyć tak pełną władzę nade mną?

Pierwszy pocałunek był delikatny i czuły. Szybko jednak dała o sobie znać tęsknota, a potem namiętność, burzliwa i głęboka. A potem było już tylko pragnienie.

I wreszcie w którymś momencie Donal i Maura zgodzili się, że byłoby z ich strony czystym szaleństwem, gdyby jeszcze kiedyś spróbowali zaprzeczyć istnieniu tego pragnienia.

Stanęli w żółtym pokoju przed wyblakłym kawałkiem tapety między oknami.

– Ciekawa jestem, co znajdziemy – mruknęła Maura z nabożną czcią. W końcu mieli zobaczyć papiery ukryte tam ponad dwa wieki wcześniej.

- Ja już wiem, co. Dowody złych intencji Andrew. Założę się, że to będą stare gazety i podobne szpargały, może również jego listy. - Donal podał jej wilgotną gąbkę. - Czy zechcesz czynić honory pani domu?

- Nie jestem pewna swoich praw. Czy to jest znowu moja nieruchomości?

- Tak powiedział Charlie. Roszczenia Rogera były nie mniej oszukańcze niż jego przeszłość.

- I zęby - dodała Maura.

- I zęby - potwierdził Donal z szerokim uśmiechem.

- No, to do roboty. Zobaczmy, jakie to tajne papiery ukrywał w swoim domu Fitzwilliam Connolly.

Pracowali powoli, ostrożnie, żeby jak najmniej uszkodzić delikatną tapetę. Maura zwilżyła papier tylko na tyle, by Donal mógł oderwać pasek.

- Nic nie ma - powiedziała, gdy wreszcie w pocie czoła rozłożyli starą tapetę na woskowanym papierze, by móc ją potem z powrotem przykleić.

- Poczekaj chwileczkę. A to co?

Ich oczom ukazał się rożek kartki.

Spojrzeni po sobie, oboje świadomi, że być może właśnie natknęli się na rozwiązanie zagadki z przeszłości. Czyżby znaleźli dowód na to, że Andrew próbował porwać Kitty? Może dostaną się w ich ręce sfalszowane dokumenty, którymi chciał obciążyć Patricka. A może nawet będzie to jakieś wyznanie.

- Ostrożnie - powiedział do siebie Donal, odrywając kolejny kawałek tapety. - Co, do diabła? - Wlepił wzrok w kartkę, trzymając ją tak, żeby i Maura mogła zobaczyć.

- Cóż to jest, na Boga?

Roześmiał się.

- Kwit.

- Na co?

- Na jakiś nienazwany towar ze sklepu jubilerskiego Thomasa Reada.

- Ale nóż do ostrzenia gęsich piór już został odebrany.

- Tu chodzi o coś innego. Poczekaj, na odwrocie ktoś napisał parę zdań.

Maura natychmiast poznała charakter pisma. Niewątpliwie wyszło ono spod ręki Fitzwilliama Connolly'ego.

Patricku, przyjacielu,

Znowu przyszedłeś mi z pomocą, kiedy bardzo jej potrzebuję. To znaczy, mam nadzieję, że wszyscy czujecie się dobrze, ty, Kitty i dziecko. Sprawia mi to wielką radość. Ufam też, że wyruszyłem w rejs podobny do wszystkich innych, a nie w podróż, bardziej długotrwałej natury. Bez względu na powód mojej nieobecności przekaż Kitty wyrazy mojej niegasnącej miłości.

Twój Connolly

- Teraz już niczego nie rozumiem - powiedziała Maura, ponownie czytając liścik. - Czyje dziecko?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał. - W każdym razie nie jestem tego pewien.

- Jak to? Czyżbyś domyślał się, co to może znaczyć?

- Mauro, czy miałabyś ochotę na spacer do sklepu pocziwego pana Reada? Zdaje mi się, że o wiele za długo zwlekaliśmy z odbiorem zamówienia.

- Świetny pomysł. - Ujęła go za ramię. - Nie jesteśmy chyba winni sklepowi należności za towar, cokolwiek to jest?

- Nie, na kwicie napisano, że rachunek uregulowano.

- Wspaniale.

- Rzeczywiście wspaniale - przyznał, a potem w pogodny dubliński dzień poszli razem sprawdzić, co takiego Fitzwilliam zamówił wiosną 1768 roku.

Sprzedawca u Reada w ogóle nie wydawał się zdziwiony. Zupełnie jakby odbieranie zamówienia po dwustu pięćdziesięciu latach było najnormalniejszym zwyczajem na świecie.

- Chyba państwo trochę o tym zapomnieli - powiedział i puścił do nich oko, gdy obejrzał kwit.

- Owszem - potwierdził Donal. - Ostatnio było tyle zamieszania.

- Zamieszania? - Sprzedawca na moment podniósł głowę.

- Och, wie pan, wojny światowe, utworzenie Stanów Zjednoczonych, wojny napoleońskie, jeden czy dwa spacery człowieka po księżycu, by nie wspominać nawet naszych rodzimych kłopotów z głodem i wieloma innymi sprawami. - Wzruszył ramionami. - Nawet nie myśleliśmy o tym kwicie.

- No, tak, już rozumiem, jak to mogło się stać. Mnie też trudno się oderwać od powtórek „Dynastii”. W każdym razie wiem, o którą paczkę chodzi. Mają państwo szczęście, że nie jest w zablokowanym schowku, bo wtedy zostałyby tam na wieki. O, proszę.

Wyciągnął spod lady spory podłużny pakunek.

- Czy pan jest pewien, że to jest to?

- Całkowicie. Proszę spojrzeć, numery się zgadzają. Potem sprzedawca wziął księgę oprawną w skórę. Lekko zwilżył językiem końce palców i zaczął ją kartkować, przeglądając podpisy. Maura zobaczyła migające daty, w większości z poprzedniego stulecia.

- Czy mogą państwo pokwitować odbiór towaru?

- Naturalnie - odrzekła Maura.

Sprzedawca nabazgrał numer pakunku, a potem wręczył jej pióro.

Zwróciła się do Donala.

- Może raczej ty pokwitujesz?

- Nie, Mauro. To jest twoje.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad księgą, by wpisać tam swoje nazwisko. Gdy wyprostowała się, sprzedawca przybił obok pieczętkę.

- Gotowe. - Podał jej pakunek.

- Czy pan wie, co jest w środku? - spytała mimo woli.

- Nie - odrzekł sprzedawca. - Ale wygląda na to, że klient, kto zamówił towar, potem go nie potrzebował. Tak jest z większością artykułów, których nikt nie odbiera. Po prostu są niepotrzebne z najróżniejszych powodów. Ileż to jest historii.

Pakunek nie był zbyt ciężki.

- Nie wiem, czy starczy mi cierpliwości, żeby dojść z tym do domu. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że otworzę to na miejscu?

Sprzedawca uniósł brwi.

- Miałem taką nadzieję. Sam też umieram z ciekawości.

Maura odłożyła pakunek na ladę.

- Czy ma pan nożyczki?

- Proszę wybierać. - Sprzedawca szerokim gestem pokazał gablotkę z setkami złotych i srebrnych nożyczek. Niektóre były grawerowane i zdobione, inne proste, funkcjonalne. Maura wybrała fantazyjne nożyczki z winoroślą owijającą się wokół tnącej krawędzi.

- Och, to jest piękny przykład wiktoriańskiego sekatora do winorośli - wyjaśnił sprzedawca. - Urocze, prawda?

Maura przecięła sznurek i odwinęła szary papier. W środku była zwykła drewniana kasetka na mosiężnych zawiasach.

- Donal, jakie to piękne.

- Otwórz - przynaglił ją.

Powoli uchyliła wieczka. W środku, na ciemnozielonej aksamitnej poduszeczce, leżał zestaw srebrnych sztuczków i talerzyków dla małego dziecka. Wszystkie przedmioty ozdobiono grawerowanym rysunkiem ptaszków.

- Ho, ho. - Sprzedawca gwizdnał. - Wspaniałe rzemiosło. Urocze. A to co? - Wskazał małą okrągłą tarczę z drewnianą dźwigienką wystającą ze środka.

Maura zwróciła się do Donala, by spytać go o to samo, ale on nagle zbladł.

- Dobrze się czujesz?

Odpowiedział pojedynczym skinieniem głowy.

- Smoczek sprzed wieków. Muszę wyjść na dwór. Przepraszam.

Maura zwróciła się do sprzedawcy:

- Zaraz wrócę.

Ten nawet nie podniósł głowy znad kasetki. Przez cały czas wyjmował łyżeczki i filiżanki z misternie wrytymi ptaszkami na rączkach i uszkach.

Donal stał na krętej uliczce koło zardzewiałego czarnego roweru i opierał się ramieniem o zszarzałe cegły starego budynku. Głowę miał zwieszoną.

- Donal?

Nie odpowiedział od razu. Gdy wreszcie na nią spojrział, miał oczy mokre od łez.

- On zamówił to, by było gotowe w razie, gdyby Kitty urodziła dziecko wtedy, gdy on jest w podróży. Ukrył kwit, bo nie chciał, żeby żona się dowiedziała, jak bardzo pragnął mieć z nią dzieci. A gdy się zorientował, że jest ciężko chora, że o dziecku nie ma mowy, poczuł prawdziwą ulgę, że jej o tym nie powiedział. Nie chciał, żeby kiedykolwiek zobaczyła ten kwit. Tylko Patrick o nim wiedział.

- Ale potem Patrick wyjechał za granicę. Może zapomniał o tym kwicie - wyraziła przypuszczenie Maura.

- Nie, nie zapomniał. Poza tym na wszelki wypadek zachował wszystkie papiery dotyczące Andrew. Te jednak najwyraźniej nigdy się nie przydały. Andrew sam się przyczynił do swej haniebnej śmierci. Ale sprzedawca w sklepie miał rację.

- W czym?

- Że nikt nie odebrał zamówienia, bo towar nikomu już nie był potrzebny. Może jednak...

- Może co? - Przygryzła wargę, wyobrażając sobie, jakie nadzieje i marzenia musiała dzielić para kochanków sprzed wieków. Chcieli od

życia tylko tego, co najprostsze: siebie nawzajem, rodziny i domu. Los odmówił im jednak nawet tego.

- Może nam się przydadzą te talerzyki, tobie i mnie. Może właśnie taki cel miały te zdarzenia. - Obrócił Maurę twarzą do siebie i spojrzał jej w oczy. - Chcę cię pojąć za żonę, Mauro, i to jak najszybciej. Nie musimy czekać, aż się lepiej poznamy, bo znamy się lepiej, niż gdybyśmy żyli oboje po sto razy.

Mogła tylko skinąć głową, wiedziała bowiem, że Donal ma rację. Wiedziała też, że są dla siebie stworzeni.

- Czy to znaczy „tak”? - spytał.

Ponownie skinęła głową.

- A czy zawsze będziesz posłuszna swemu mężowi?

Usta wciąż miała otwarte ze zdumienia, jej twarz wyrażała najgłębsze zdumienie, lecz mimo to zdecydowanie pokręciła głową.

- I dobrze. Wracajmy teraz po rzeczy dla dziecka. Musimy zaplanować wesele.

Nieco później w pubie, w dzielnicy Tempie Bar, gdy sprzedawca od Reada dopił drugi kufel piwa i zamówił trzeci, do środka weszła grupa jego przyjaciół.

- Mam dla was pyszną historię, chłopcy. - Otarł pianę z ust. - O Amerykance, Irlandczyku i o tym, jak połączył ich dwustuletni komplet dla dzieci, wręczony im przez tu obecnego...

Epilog

Jimmy O'Neil spojrział w prawo i w lewo, przeszedł przez jezdnię i stanął przed domem przy Merrion Square. Do czarnej marynarki przyciskał butelkę, której zarys był wyraźnie widoczny przez szary papier torby. Minęła go młoda kobieta z terierkiem na smyczy, ale nawet na niego nie zerknęła.

- I na co tak patrzysz, pannico, z tym swoim skundlonym pieskiem?

Młoda kobieta przyśpieszyła kroku, bo choć nie zrozumiała, co powiedział ten dziwny człowieczek, usłyszała wyrzut w jego głosie.

Jimmy przystanął za zielonym walcem skrzynki pocztowej i wyjrzał zza niego, gdy uznał, że horyzont jest już czysty. Właśnie miał pokonać ostatni odcinek drogi, gdy na chodniku ukazała się grupka dzieci, prowadzonych przez zakonnice.

Kilku rozczochrańców szło nie dość szybko jak na jego gust. Wybrał więc najmniejszego, podniósł rękę i syknął:

- Maszeruj szybciej, smarkaczu! I nie waż się spojrzeć na moją butelkę!

Dziecko wybuchnęło płaczem i biegiem dołączyło do swojej grupki.

Usatysfakcjonowany tym Jimmy doskoczył do furtki domu numer osiemdziesiąt dziewięć i pół, jednego z najpiękniejszych po tej stronie placu. Och, jak pięknie go odrestaurowano, z ogrodem, lśniącymi mosiądzami i czerwonymi drzwiami. Dużą część prac wykonała osobiście Maura, podczas gdy Donal spędzał większość czasu na przywracaniu świetności fabryce.

Zamówienia spływały teraz ze wszystkich stron, z Europy, Ameryki i nawet z Japonii, chociaż Jimmy nie potrafił sobie wyobrazić, po co Japończykowi wielki irlandzki kredens albo słojuwana komoda, bo przecież Japończycy nie noszą butów, a ich malutkie naczynia będą przelatywać przez szpary między listwami.

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu rozpoczęli produkcję waterfordzkich łózek na kółkach, wielkich, krytych, przypominających cygańskie wozy. Amerykanie szaleli na ich punkcie, zwłaszcza gdy sprzedawało się je razem z rękodzielniczymi kołdrami.

W każdym razie ostatnie półtora roku było imponujące. Fabryka jak świat światem nie widziała większych zysków, a co jeszcze ważniejsze, Byrne'om udało się w końcu wykupić ją z rąk Niemców. Nawet Kermit MacGee od ponad roku opuścił tylko jeden dzień pracy, i to z powodu wrzodu na plecach. Taki pech.

Jimmy wspiął się po schodach i z upodobaniem obejrzał ozdobną wycieraczkę oraz doniczki z chryzantemami po obu stronach drzwi. Te doniczki były jeszcze jednym pomysłem Maury, małe gliniane naczynia malowane przez miejscowe dzieci. W fabryce pracownicy nie nadążyliby z malowaniem, taki był na nie zbyt.

Dzwonek wydawał bardzo piękny dźwięk. Byrne'owie przywrócili do życia dawny mechanizm i wyrzucili elektroniczny brzęczyk, który odzywał się kiedyś. Jimmy już miał zadzwonić drugi raz, gdy drzwi nagle się otworzyły.

– Wejź, Jimmy! – powitał go Donal Byrne.

Przystojny facet, pomyślał Jimmy, wchodząc do sieni, i zerknął na żyrandol. Przypomnił sobie pierwsze spotkanie z Donalem, posepnym młodzieńcem, nie mającym w sobie ani jednego pogodnego rysu. Wydawało się niemożliwością, że ten sam młody człowiek ma ujmujący uśmiech i tyle wdzięku. To doprawdy był zaszczyt pracować z kimś takim.

– Przyniosłem małe co nieco dla uczczenia okazji. – Jimmy podał Donalowi butelkę.

Donal zajrzał do torby.

– Dziękuję. Zobaczmy, co tu mamy. Butelka szkockiej, przezroczysty płyn z fusami w środku i zakrętka od ginu. Jimmy! Po co tak... przecież to jest twoja najlepsza whisky!

- A jest, jest. Ale będę miał jeszcze lepszą. Tylko trzymaj się z dala od tej trutki na szczyry, którą pędzi MacGee. Właśnie przez takie ohydztwa pędzenie jest nielegalne. Pamiętasz starą Maddie Brown?

- Tę ślepa, chromą kobietę?

- Nie była ani ślepa, ani chroma, póki nie spróbowała samogonu MacGee'a. Zabójcza mikstura. Odbija mi się na samą myśl o niej.

- Bardzo ci dziękuję, Jimmy. Na pewno z przyjemnością się z Mamą napijemy. - Przyjrzał się, jak grudka trudnej do nazwania substancji unosi się z dna, zakręca się w butelce i osiada na ściance.

- Jak ona się czuje?

- Wspaniale, Jimmy. Po prostu wspaniale. To był prawdziwy popis. Szesnaście godzin.

- Boże! A co z małą? Jak ma na imię?

- Katherine. Ale nazywamy ją Kitty. Wygląda zupełnie tak samo jak jej matka, absolutnie prześlicznie.

- Jasnowłosa czy ciemna?

- Chyba jasnowłosa, ale ma jeszcze tak mało włosów na głowie, że trudno jest ocenić.

- Kropelka tego - Jimmy poklepał butelkę - i raz dwa wyrośnie jej tyle włosów, że można będzie nimi dwa razy owinać kołyskę.

- Zapamiętam to sobie. Aha, Jimmy, powiedz chłopcom, że kołyska jest doskonała. Nigdy nie widziałem, żeby dziecko tak dobrze spało.

- Kropla lub dwie tego tutaj - Jimmy znów poklepał butelkę - i wszyscy będziemy spali jak niewinne dzieciątka. Wracam teraz do pracy. Było dzisiaj dwanaście nowych zamówień, panie Byrne. Jedno na dwanaście komód wszystkich rodzajów: Galway, Ulster, Wexford. Dzwonił w tej sprawie strasznie sympatyczny gość. Aż szkoda, że mieszka w takim miejscu, które na pewno zaleje ocean po następnym trzęsieniu ziemi. Trudno. Proszę przekazać moje uszanowania pani Byrne.

Zanim Donal zdążył zaprosić Jimmy'ego dalej na łyk samogonu, już go nie było – powłócząc nogami oddalał się ulicą. Widać było jego lśniąca białą czuprynę.

Donal zamknął drzwi i jeszcze raz zerknął na butelkę. Po fabryce chodziły plotki, że Jimmy wrzuca szczury do beczki, żeby wzmocnić zapach i przyspieszyć fermentację.

Jeden z pracowników fabryki napełnił samogonem naczynia na wodę święconą w całym domu, chciał się bowiem jak najszybciej pozbyć charakterystycznej butelki, zanim znajdzie ją żona, nie mógł jednak się zdecydować na wylanie choćby kropli do zlewu. Kiedy żona umoczyła palce w wodzie święconej i po przeżegnaniu się, poczuła charakterystyczny aromat, uznała, że stał się cud.

Donal uśmiechnął się i odstawił butelkę na stół. Na górze, a dokładniej w sypialni na drugim piętrze, czekał nań jego własny cud.

Wziął bukiet kwiatów, który właśnie przyniesiono, i uważnie sprawdził, czy Maura będzie w stanie odczytać bilecik. Podpisał go cały personel firmy Finnegana, którą sprzedawała ponad rok temu. Rządził tam teraz Peter Jones, który włączył do asortymentu suszone owoce i napoje zdrowotne, co tak raptownie popchnęło firmę do przodu, że nawet poświęcono jej główny artykuł w jednym z wydań „Business Week”.

Nikt nie cieszył się ich dobrą passą bardziej niż Maura. Wprawdzie część pomysłów, które przyniosły firmie sukces, wyszła kiedyś od niej i napotkała sprzeciw ojca, ale Maura nie czuła się ich autorką. Nigdy nie skarżyła się, że firma już do niej nie należy, i nie żałowała tego.

– Teraz żyje tutaj – powiedziała Donalowi. – Tutaj mam swoje dziś i jutro, w Irlandii z tobą, a nie gdzieś za morzem, w Wisconsin.

To był naprawdę żywy cud, ta jego Maura.

Cichutko wszedł do sypialni i popatrzył na śpiącą żonę. Wciąż jeszcze nie mógł się na nią napatrzeć i był przekonany, że nigdy nie będzie mu tego dość. Maura poruszyła się we śnie, więc pochylił się nad nią i odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. Przeciągnęła się, prostując

ręce nad głową, a potem otworzyła oczy. Donal przyglądał się jej ruchom z nieustającym zachwytem.

- Czy to był Jimmy O'Neil?

- Tak. A tu przyniosłem ci kwiaty od Petera Jonesa i jego pracowników. Mogę usiąść na łóżku?

- Oczywiście. - Poklepała miejsce obok siebie. - Są piękne, prawda?
- Wciągnęła w nozdrza zapach kwiatów, gdy mąż stawiał bukiet na stoliku.

A potem Donal usiadł i pocałował ją. Ujęła go za ramiona i westchnęła.

- Jak się czujesz? - spytał. Kolory już jej wróciły, policzki miała rumiane i czerstwe.

- Wspaniale. - Uniosła się nieco i oparła na łokciu. - A ty?

- To nie ja właśnie urodziłem dziecko. Czy ona ciągle śpi?

- Mhm. Jest taka dobra, Donal. Inne dzieci marudzą i płaczą, ale Kitty jest absolutnie cudowna. Tylko na nią popatrz. Uśmiecha się nawet przez sen.

- Biddy Macguillicuddy mówi, że to zawracanie głowy.

- A co ona tam wie? - Maura zachichotała.

Donal zajrzał do kołyski, w której spała mała dziewczynka.

- Czy ona nie jest zdumiewająca? - spytał.

Maura wpatrywała się w męża z wyrazem uwielbienia na twarzy. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie takiego szczęścia. Były chwile, gdy musiała się szczypać, żeby sprawdzić, czy Donal nie jest tylko cudownym snem, fantazją, która urodziła się w jej sercu i duszy.

Ale ujął ją za rękę i natychmiast poczuła, ile ciepła bije z jego serca. Dłonie stwardniały mu od pracy fizycznej w fabryce, postanowił bowiem samemu nauczyć się robienia mebli. I dobrze mu to szło. Jimmy O'Neil powiedział nawet, że zatrudniłby go, gdyby nie był jego szefem.

- Pieczesz chleb? - Dopiero w tej chwili wyczuła zapach chleba na sodzie.

Skinał głową, nie odrywając wzroku od córeczki.

- Jak się cieszę, że będzie dorastać, jedząc domowy chleb. - Maura przytknęła sobie do ust dłoń męża i pocałowała ją.

Donal wolno się do niej odwrócił.

- Nigdy nie myślałem, kochanie, że w życiu może być tyle radości - powiedział cicho. - Tak wiele mi dajesz.

Znów ich wargi się spotkały, a Maura pociągnęła jego głowę, żeby znalazł się jeszcze bliżej. Żadna bliskość nie wydawała jej się wystarczająca.

Wreszcie Donal się cofnął.

- Zaraz przypalę dwa pyszne bochenki chleba. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Pociągnęła nosem i odwzajemniła uśmiech.

- Zawsze uwielbiałam przypalony chleb.

- Muszę dać przepis Ninowi.

- On już na pewno ma - odparła.

Donal wstał.

- Zaraz wróć. Gdzie jest gaśnica?

- Za drzwiami w kuchni. Tam, gdzie odłożyłeś ją ostatnim razem. - Ruszył do drzwi. - Donal?

Odwrócił się na progu.

- Słucham.

Nawet w tym jednym słowie słyhać było miłość. Maura zamrugała, upajając się obecnością męża.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś ich zobaczymy?

Nie spytał, o kogo chodzi.

- A co, tęsknisz za nimi?

- Nie o to chodzi. - Usiadła na łóżku i zaczęła skręcać pasemko włosów. - Po prostu chcę wiedzieć, jak się mają i co czują. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Czy sądzisz, że Fitz i Kitty jeszcze tu wrócą?

Oparł się o framugę.

- Prawdę mówiąc nie wiem, czy opuścili nas na dobre.

- Widujesz ich?

- Nie, ale czuję ich obecność każdego dnia. To jest coś takiego jak drobniutka mżawka, prawie mgła, właściwie się tego nie zauważa, ale to jednak jest.

- Ja też czasem ich wyczuwam. Patricka i Andrew nie. Ale czasem spoglądam na ciebie i widzę Fitz'a w twoich oczach.

Głęboko zaczerpnął tchu.

- Kiedyś ta myśl mnie złościła. Nie byłem pewien, czy kochasz mnie, czy ducha. A teraz sam uświadomiłem sobie, że w pewnym sensie widzę w tobie Kitty. Nie przez cały czas, ale są takie chwile. I dobrze mi z tym, jakby właśnie tak miało być.

- Może oni dali nam szczęście, za którym sami tęsknili. Czy to wydaje ci się prawdopodobne?

- O, tak. - Nagle zmarszczył czoło. - Czy czujesz dym?

- Chleb!

- Boże, zapomniałem! - Zanim pobiegł ratować wypiek, jeszcze raz odwrócił się do żony. - Aha, czy zgodziłabyś się, żeby zaprosić na wieczór Charlesa z Evie?

- Doskonale, Donal, ale chleb...

Pognał schodami na dół.

Maura oparła się o puchowe poduchy i zamknęła oczy, rozmyślając nad tym, jak mogło jej się kiedykolwiek wydawać, że w Irlandii nie ma nic magicznego.